

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/256-2/257

1969



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

P. HOSTOWIEC :

GORZKA PIGUŁKA

L. SZULCZYŃSKI :

SUKCESY I PORAŹKI MIECZYŚŁAWA MOCZARA

J. MATIS : **KRAJOWIEC WŚRÓD EMIGRANTÓW**

M. LURCZYŃSKI : **NOTATNIK Z PODRÓŻY PO
POLSCE**

SPIS RZECZY

—	<i>Wpłaty na Fundusz „Kultury”</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	9
Anna Bogusławska:	<i>Dzieci z licznych rodzin</i>	15
A. Jędrkiewicz:	<i>Crescite et multiplicamini</i>	23
Stanisław Vincenz:	<i>W domu</i>	27
Zygmunt Haupt:	<i>Nietota</i>	36
Jan Warski:	<i>Siateczka</i>	45
T. T. Jeż:	<i>Dziewczyna</i>	54
	WIERSZE	
Kazimierz Wierzyński:	<i>Caravaggio. Dzwony</i>	86
Wacław Iwaniuk:	<i>Z mojej księgi rodzaju</i>	88
T. Chabrowski:	<i>Z. A. M. Fredry. Siedem</i>	89
Adam Czerniawski:	<i>Lingua Adamica. Słuchając któregoś kwartetu Schuberta. Życiorys</i>	90
Jan Deręgowski:	<i>Słonie. Po pożarze</i>	91
H. Gurr-Jazłowiecka:	<i>Na krawędzi</i>	92
L. Rydzyska:	<i>Cierpienie tobie. Życzenia. W hotelu de Lutece</i>	92
Arnold Słucki:	<i>Nowe wiersze. Mit wtóry</i>	93
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Juliusz Mieroszewski:	<i>Rewolucja jedna i niepodzielna</i>	97
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	105
	K R A J	
—	<i>Korespondencja z Kraju</i>	113
Leon Szulczyński:	<i>Sukcesy i porażki M. Moczara</i>	115
Mieczysław Lurezyński:	<i>Notatnik z podróży po Polsce</i>	128
	SĄSIEDZI	
Benedykt Heydenkorn:	<i>Rozmowy z bp. Rusnakiem i St. Roma- nem</i>	147
George J. Flemming:	<i>Znad Węłtawy nad Pacyfik</i>	153
—	<i>Dwa procesy</i>	156
	SPRAWY I TROSKI	
Edward Puacz:	<i>Muzeum Polonii w Chicago</i>	157
Andrzej Chciuk:	<i>O zmianie nazwisk</i>	163
	SPRAWY POLAKÓW	
Jan Matis:	<i>Krajowiec wśród emigrantów</i>	167
	KRONIKA KULTURALNA	
Adam Sutkowski:	<i>Rocznica Odrodzenia Polski w Radio Francuskim</i>	175
Józef Czapski:	<i>Sima i Cremonini</i>	182
—	<i>Komunikaty</i>	185
	KSIĄŻKI	
Czesław Miłosz:	<i>Sienkiewicz, Homer i Gnębón Puczy- morda</i>	189
Lucjan Kłodnicki:	<i>Ofiary i oprawcy</i>	198
Adam Czerniawski:	<i>Prawdy względne Leszka Kołakowskiego</i>	201
Adam Sutkowski:	<i>Staropolskie organy</i>	204
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	209
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	213
	◆	
J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	216
	◆	
L. Tyrmand:	<i>List do Juliusza Mieroszewskiego</i>	224
A. Chciuk, M. K. Dziewa- nowski, St. Mękarski, A. Nasielski, J. Piotrow- ski, I. Ziemińska:	<i>Listy do Redakcji</i>	228
—	<i>Wydawnictwa „Biblioteki Kultury”</i> ..	234

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty – Janvier-Février 1969

INSTYTUT



LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Anna BOGUSŁAWSKA, wyższe studia rozpoczęła na Wydz. humanistycznym Uniw. Warsz., a ukończyła na Wydz. pedagogicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej, otrzymując w 1934 r. łączny dyplom obu tych uczelni. Na WWP, pod kierunkiem Heleny Radlińskiej zapoznaje się z zagadnieniami wiedzy psychologicznej i podejmuje w tej dziedzinie własne prace badawcze.

Po wojnie praca nauczycielska w szkołach wychowania ojczystego w Londynie zachęca ją do prób stworzenia nowej, ułatwionej metody czytania po polsku. Wydaje książeczki elementarzystwo „Bawię się i czytam”, a jej podręcznik metodyczny „Początkowa nauka czytania” służy nauczycielom.

Anna Bogusławska jest członkiem „United Kingdom Reading Association” i „Guild of Teachers of Backward Children” i bierze udział w pracach tych stowarzyszeń. Z zakresu prac literackich jest autorką powieści „Ludzie walczące Warszawy” oraz szeregu opowiadań. Przed wojną współpracowała z prasą spółdzielczą i „Promykiem”.



Arnold SŁUCKI, ur. 15. IV. 1915 w Tyszowicach. W 1939 ukończył seminarium nauczycielskie w Warszawie. W okresie nauki w seminarium brał czynny udział w nielegalnej działalności młodzieży komunistycznej. Redagował nielegalne pisma „Świt” i „Biuletyn ideologiczny”.

W czasie wojny był w ZSSR najpierw nauczycielem w szkołach na Ukrainie, w Rosji i Uzbekistanie, następnie zaś walczył z I Armią W.P., z którą wrócił do Warszawy. Za udział w walkach o Warszawę otrzymał szereg odznaczeń. Po przekształceniu gazety dywizyjnej w „Życie Warszawy” był jednym z pierwszych jej redaktorów; w tymże czasie zostaje wybrany sekretarzem Związku Dziennikarzy w Warszawie i jest członkiem Związku Literatów Polskich.

W latach 1946-1950 studiuje filozofię na Uniw. Warsz.; w r. 1950 ogłasza pierwszy tom wierszy pt. „Ziemia jaśniej”. Od tej chwili poświęca się pracy literackiej co pozwala mu na uchylanie się od działalności politycznej w okresie stalinowskim. Do r. 1956 jest członkiem komitetu redakcyjnego „Przeglądu Kulturalnego”. Za artykuł zamieszczony w tym piśmie, w r. 1955, zostaje usunięty z partii, po r. 1956 zostaje „zrehabilitowany”. Z partii wystąpił w r. 1966. Swoją wyjazd z Polski uważa za deportację.



Bieżący zeszyt Kultury jest — jak co roku — podwójny (styczeń-luty 1969), zeszyt następny ukaze się w pierwszych dniach marca.

Wpłaty na Fundusz «Kultury»

Doc. Franciszek J. Adamczak, Stockholm	F. 24,50
A. G., Buenos Aires	F. 49,00
Dr J. J. Berest, Lima, Ohio (USA)	F. 24,50
Inż. M. i J. Białkowscy, Sydney	F. 54,00
S. S. Birkenmayer, State College, Pa. (USA)	F. 24,50
Dr Jerzy Bogdanowicz, Louvain (Belgia)	F. 30,00
Karolina Borchardowa, Londyn	F. 246,00
Inż. G. M. Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 500,00
Czesław Borowicz, Buenos Aires	F. 81,00
I. Człowiekowski, Lethbridge, Alta. (Kanada)	F. 45,00
Natalia i Tadeusz Dąbrowscy, Buenos Aires	F. 24,50
L. Demby, Nomansland, Wilts (W. Brytania), po raz dziewiąty	F. 12,00
Rozalia i Jan Dobrucccy, San Diego, El Cayon, Cal. (USA), po raz piąty	F. 98,00
Wiktor T. Drymmer i J. Łukasiewicz, Blacksburg, Va. (USA), po raz drugi	F. 122,50
Dr W. M. Drzewieniecki, Buffalo, N.Y. (USA)	F. 49,00
S. Dudziński, Latrobe, Pa. (USA)	F. 24,50
Kazimierz Furdyna, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 122,50
Ks. Zygmunt Gaj, Ubly, Mich. (USA)	F. 49,00
Tony Gawron, Paryż	F. 25,00
Kazimierz Gawroński, Chicago, Ill. (USA)	F. 49,00
Dr Stanisław Gombiński, Paryż, po raz piąty	F. 50,00
Roman A. Górecki, San Rafael, Cal. (USA)	F. 49,00
S. i D. Grabowscy, Sydney	F. 108,00
Henryk Grynberg, Beverly Hills, Cal. (USA)	F. 24,50
Romualda Gutowska, Bruksela — zamiast kwiatów na grób sp. Janiny Załęskiej	F. 20,00
Z. Hofman, Prahran, Vic. (Australia)	F. 98,00
Dr P. Horbaczewski, Ramat Aviv (Izrael)	F. 24,50
Władysław Igliński, Kitchener, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 45,00
Mieczysław V. Janikowski, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 49,00

Maria Jarmoluk, Gary, Ind. (USA)	F. 24,50
Dr Jacek Jędruch, Pittsburgh, Pa. (USA)	F. 98,00
J. G., Los Angeles, Cal. (USA)	F. 24,50
Mieczysław Józwiak, Paryż	F. 50,00
Dr. Ihor Kamenetsky, Mount Pleasant, Mich. (USA)	F. 49,00
Zygmunt Karolczak, Montreal	F. 9,00
T. Kempa, Springfield, Tas. (Australia)	F. 50,00
A. Kleniewski, Grimsby, Ont. (Kanada)	F. 24,50
Koło B. Żołnierzy A.K., Oddz. w Nowej Połudn. Walii (Australia)	F. 108,00
Ewa Kot, Chicago, Ill. (USA)	F. 24,50
Inż Józef Kowalczyk, Monte Grande (Argentyna)	F. 73,50
Anna Krieger, Gland (Nyon) (Szwajcaria)	F. 24,50
Mieczysław Kruszewski, Buenos Aires	F. 98,00
Roma i Ryszard Krygierowie, Sydney	F. 108,00
Stanisław Krzyckowski, Montreal	F. 22,50
Dr Marian Krzyżaniak, Houston, Texas (USA)	F. 24,50
Bonifacy Kubica, Paryż	F. 100,00
Janina Kulikowska, Jersey City, N.J. (USA)	F. 24,50
Dr Otto E. Lauterbach, Los Angeles, Cal. (USA)	F. 73,50
Zenon Lortz, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 98,00
Hryhor Lutsy, New Britain, Conn. (USA)	F. 24,50
Józef Łoza, Edmonton, Alta (Canada)	F. 112,50
Jan Machnicki, Genewa, zamiast życzeń Świątecznych i Noworocznych dla prof. C. R. w Lozannie	F. 98,00
Janusz Marczewski, Jamaica, N.Y. (USA)	F. 24,50
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 45,00
Red. Józef Mastalski, Scranton, Pa. (USA)	F. 24,50
C. J. Michejda, Lincoln, Nebr. (USA)	F. 49,00
Prof. Bogdan Mieczkowski, Ithaca, N.Y. (USA), po raz trzeci ..	F. 150,00
Jan Mika, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 24,50
Jan Morelewski, Chicago, Ill. (USA), po raz drugi	F. 24,50
C. Niemirycz, Vancouver, B.C. (Kanada)	F. 22,50
Tadeusz Nowacki, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,00
Anna Nowicka, Albany, N.Y. (USA), dla uczczenia pamięci zmarłego Męża, Odon S. Nowickiego	F. 122,50
E. Ojrzyńska, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 22,50
Józef Osiński, Tallmadge, Ohio (USA), po raz drugi	F. 24,50
Jarosław Paszyński, Torrance, Cal. (USA)	F. 24,50
Jerzy Patykiewicz, Rochester, N.Y. (USA)	F. 24,50
Dr Czesław Pawłowski, Chicago, Ill. (USA)	F. 49,00
J. Perkowicz, Sydney	F. 27,00
Dr Zygmunt A. Piotrowski, Philadelphia, Pa. (USA)	F. 98,00
D. Pipiórski, Corral, N.S.W. (Australia)	F. 12,00
Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, Cal. (USA)	F. 49,00
Jan Podkowa, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 22,50
François Prause, Monrovia (Liberia)	F. 100,00

Józef Przydacz, Sydney	F. 27,00
Leokadia A. Rabińska, Holyoke, Mass. (USA)	F. 49,00
Dr Eryk Ressler, Sydney	F. 27,00
Dr A. Richter (Bahamas)	F. 120,00
F. Rutkowski, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 100,00
Mieczysław Sangowicz, Montreal	F. 24,50
Krystyna i B. Singler, Sunshine, Vic. (Australia, po raz trzeci	F. 50,00
Antoni Siemak, So. San Gabriel, Cal. (USA), po raz czwarty	F. 24,50
Władysław Stefanik, Detroit, Mich. (USA), po raz trzeci	F. 24,50
S. J. Stolle, Melbourne	F. 27,00
K. Styś, Montreal	F. 33,50
Wacław Sułek, Fairview, Mass. (USA)	F. 24,50
Janina Szarlak, Monachium (NRF), po raz piąty	F. 5,00
Jadwiga Szyryńska, Ottawa	F. 45,00
Prof. Alfred Tarski, Berkeley, Cal. (USA), po raz drugi	F. 490,00
Victor Trocki, Philadelphia, Pa. (USA)	F. 24,50
Inż. Bohdan M. Uzarowski, Chicago, Ill. (USA)	F. 39,00
Jadwiga i Jan Wagnerowie, Oakland, Cal. (USA), po raz drugi	F. 49,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada)	F. 112,50
Bogusław Wądołkowski, Lynhurst, N.J. (USA), po raz dziewiąty	F. 39,00
J. Wąsowicz, New Westminster, B.C. (Kanada)	F. 22,50
Ing. Stefan Wlekiński, Panama	F. 98,00
Zygmunt Wojda, Hartford, Conn. (USA)	F. 122,50
Tadeusz Wyszogrodzki, Los Angeles, Cal. (USA)	F. 98,00
Zofia Zakrzewska, Buffalo, N.Y. (USA)	F. 39,00
Lucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 147,00
K. Z., Brooklyn, N.Y. (USA)	F. 9,00
Dr Zygmunt Zawadowski, Beyrouth	F. 112,50
Ludwik i Alina Żerańscy, Bethel Park, Pa. (USA)	F. 24,50
S. Żochowski, Brisbane, Qld' (Australia), po raz drugi	F. 54,64
Zdzisław T. Żukotyński, Phoenix, Arizona (USA), po raz drugi	F. 22,00
Dr K. Żurowska, Sudbury, Ont. (Kanada)	F. 166,50
Kazimierz Życki, Montreal	F. 22,50
Bezimiennie z Bettlach (Szwajcaria)	F. 133,00
Bezimiennie z Brooklynu, N.Y. (USA)	F. 49,00
Bezimiennie z Buffalo, N.Y. (USA)	F. 490,00
Bezimiennie z Kingston, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty	F. 112,50
Bezimiennie z Lille (Francja)	F. 25,00
Bezimiennie z Niles, Mich. (USA)	F. 39,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz szósty	F. 80,00
Bezimiennie z Montebello, Calif. (USA)	F. 24,50
Bezimiennie z Montrealu	F. 31,50
Bezimiennie z Los Angeles, Calif. (USA), po raz drugi	F. 81,50
Bezimiennie z New Yorku	F. 73,50
Bezimiennie z Ottawy	F. 245,00

Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada)	F. 66,30
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 450,00
Bezimiennie z Sydney	F. 25,00
Bezimiennie z Syracuse, N.Y. (USA)	F. 49,00
Anonimowo	F. 24,50



San Francisco, 8 grudnia 1968.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Załączam czeki na ogólną sumę 586 dol, którą, w odpowiedzi na Apel „Kultury”, udało mi się zebrać — w głównej mierze dzięki pomocy Profesora Jerzego Lerskiego, jak też zarządu Klubu Polskiego w San Francisco.

Wczoraj obchodzono w naszym Klubie „Wieczór Barbarki”. W ramach tzw. „atrakcji” — wystawiliśmy jeden z moich obrazów w atrakcyjnej cenie 500 dol. (zamiast oryginalnej 2.500 dol.), oraz litografie innego obrazu po 5 dol. (zamiast 25 dol.), przeznaczając całkowity dochód na APEL KULTURY.

Obraz kupili Państwo: Aniela i Daniel Friedman. Ich spontaniczna reakcja na przemówienie Dra Lerskiego była tym bardziej wzruszająca, że Pan Friedman — wychowany jako wojenny sierota w Stanach — nawet nie pamięta i nie zna Polski. Raz jeszcze i z całego serca Im dziękuję.

Nazwiska nabywców litografii załączam poniżej, z prośbą o ich wydrukowanie, w charakterze „potwierdzenia odbioru”, jako że część była płacona gotówką, którą wymieniałam na czek.

Dorothy & Gordon Burr-Miller	\$ 5	Wincenty Rożek	\$ 5
Teofil Kot	\$ 5	Dr Konrad Smolarski	\$10
Prof. Jerzy Lerski	\$15	Zenon Szymczak	\$ 5
Jan Grycz	\$ 5	Czesław Seyfert	\$ 6
Wanda i Mikołaj Lipscy	\$ 5	Mieczysław Sawicki	\$ 5
H. Muchliński	\$ 5	Dr Alina Wierzbianańska	\$ 5

Maria Tadeusz Wyatt-Woytowiczowie \$10.

Oboje z mężem życzymy Wam wszystkim dobrej i spokojnej Gwiazdki, przesyłając wyrazy najgłębszego szacunku, szczerego podziwu i uznania — i dużo serdeczności,

Henry i Kali WEYNEROWSCY



Melbourne, 6 grudnia 1968.

Szanowny Panie Redaktorze!

W załączeniu przesyłamy czek na sumę \$ 300,27 (1642,20 franków francuskich) zebrane przez Komitet Przyjaciół Kultury Paryskiej w Melbourne.

Niżej podajemy wykaz osób, które zakupiły znaczki oraz zapłaciły za roczną prenumeratę Kultury i Zeszytów Historycznych.

J. A. Czachorowski	\$ 5	E. Musioł	\$ 5
D. Grafman	\$ 5	W. Jabłoński	\$ 5
J. Kostański	\$ 5	C. i S. Berezowscy	\$ 5
H. Dobroszycki	\$ 5	A. Butowski Alma Travel Serv.	\$10
A. Chciuk	\$ 5	Dr Walker Polski Komitet Fun-	
S. i M. Łuk-Kozika	\$10	duszu Olimpijskiego	\$20
C. Millicer	\$ 5	M. Zarzycki — Odra	\$20
J. Żelicka	\$10	W. Gałęska — Geelong Trav.	
R. Gronowski	\$20	Service	\$20
K. Skoczek	\$ 5	J. Lewulis	\$ 5

Dochód z wieczoru urządzonego na cześć Pana Henryka Szerynga \$ 102,27 z czego za sto dolarów zostało wykupionych 5 znaczków po \$ 20.

Uprzejmię prosimy o łaskawe pokwitowanie przesłanej sumy.

Łączymy wyrazy poważania,

Za Towarzystwo Przyjaciół Kultury
Paryskiej w Melbourne

M. B. ŁUK-KOZIKA



Adelaide, 13 grudnia 1968 r.

Wielcy Szanowny Panie Redaktorze!

Towarzystwo Wiedzy o Polsce w Płd. Australii (Polish Historical Society in Australia) z pozostawionych przez p. J. Bonieckiego znaczków na „Fundusz Kultury” rozsprzedało jeden bloczek znaczków po \$ 5,00 — razem zebrano \$ 30,00.

Nabywcy znaczków:

Panie Olga (sr) i Olga (jr) Łaskiewicz — Hyde Park, S.A.	\$ 5
Pan Stefan Marko, Croydon, S.A.	\$ 5
Pan Bolesław Wróblewski, Pennington, S.A.	\$ 5
Pan dr J. H. Wróblewski, Birmingham Gardens, N.S.W.	\$ 5
Pan Stanisław Dijakiewicz, Prospect, S.A.	\$ 5
Państwo Genowefa i Marian Szczepanowscy, S.A.	\$ 5

Razem \$30

Bank wystawiając czek przeliczył powyższą sumę na F.F., co wyniosło 163.83 F. Czek na powyższą sumę załączam (Bank of New South Wales — No FL 4 033 604). — Sprzedaż znaczków kontynuujemy.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Marian SZCZEPANOWSKI

Kierownik Sekcji Naukowej T.W.o P.

DZIĘKUJEMY!

ZESZYTY HISTORYCZNE

CENA PRENUMERATY NA ROK 1969
DLA PRENUMERATORÓW „KULTURY” WYNOŚI:

F. 25,00 (dol. 5,00)

W ROKU 1968 UKAZAŁY SIĘ:

ZESZYT TRZYNASTY

Zawiera m.in. prace: K. Iranka-Osmeckiego: *Polacy i Żydzi 1939-1945*; T. Nowackiego: *Gen. Kazimierz Sosnkowski*; St. Biegańskiego: *Rozkaz Nr 19 gen. Sosnkowskiego i kryzys polityki polskiej*; R. Królikowskiego: *Operacja Polejump*; F. Kalinowskiego: *Lotnictwo polskie w bitwie o Atlantyk*.

Str. 240.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,00)



ZESZYT CZTERNASTY

Zawiera m.in. prace: Tadeusza Katelbacha: *Zet*; W. T. Drymmera: *Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935-1939*; E. Puacza: *Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia*; T. Romera: *U kolebki pewnego sojuszu*; J. Weinsteina: *Scenariusz ministra Gafencu*.

Str. 240.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,00)

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

GORZKA PIGUŁKA

Przed kilkunasty laty Dr Felix Buttersack, redaktor naczelny monachijskiego *Merkura*, zaprosił mnie na śniadanie do swego domu nad jeziorem starkberskim. Dom był stary, pełen osobliwych akcentów architektonicznych. Stał w lesie, na brzegu jeziora, przy ścieżce wydeptanej niegdyś przez germańskich myśliwych i rybaków. Zastaliśmy tam pisarza Ernsta Penzoldta, wprowadzonego właśnie w modę przez Heimerana i Suhrkampa, świetnych wydawców niemieckich. Pani domu była mądrą lekarką, urodzoną na brzegach Bałtyku, Dr Buttersack był mistrzem konwersacji przy okrągłym stole, rozmowa toczyła się więc swobodnie, w łagodnych podskokach. W pewnej chwili zeszła na objawy przełudnienia Europy. Penzoldt, niewiele myśląc, oświadczył:

— Europa jest tak przeludniona, że — jeżeli nie wyniszczy się bombami atomowymi jakichś stu milionów ludzi — nie będzie tu można mieszkać.

Dr Buttersack słuchał tych wywodów z widocznym zgorszeniem i, zwracając się do mnie, zapytał:

— I co pan na to powie?

— Pan Penzoldt rozumie jak inżynier, który po rozpoznaniu zagadnienia i rozważeniu najskuteczniejszych środków proponuje od razu praktyczny plan działania. Ludzie o formacji humanistycznej tak myśleć nie mogą.

Myliłem się zresztą całkowicie. Penzoldt nie był inżynierem, lecz wychowankiem akademii sztuk pięknych w Kassel i Weimarze. Myliłem się także co do postawy humanistów. Jeden z ich najważniejszych autorytetów, gdy pojawiła się pierwsza możliwość pokojowej regulacji urodzin przy pomocy pigułek antykoncepcyj-

nych, potępił tę inicjatywę, inni zaś zachowali przezorne milczenie.

Rozmowa nad jeziorem wskazuje, że nieopanowany przyrost ludności wywołał głęboki niepokój w umysłach naszych współczesnych. Różne na pół świadome związki łączą to zjawisko z bombą atomową. Mówi się np. o „eksplozji” demograficznej. Penzoldt wypowiedział tylko beztrząsco myśl, czającą się w głębi umysłów. Niepohamowana rozrodczość stała się rodzajem grzechu śmiertelnego, czekającego na zbiorową ekspiację.

Według obliczeń FAO produkcja środków żywnościowych pozostaje w tyle za przyrostem ludności globu. Ekonomisci przestrzegają przed nadmiernym przyrostem, prowadzącym ich zdaniem do bezrobocia i ubóstwa. Nikt jednak nie słucha tych ostrzeżeń. W niektórych krajach Europy średni wiek obniżył się do 25 lat. Jaki los czeka tę młodzież? Są rządy subwencjonujące płodzenie dzieci i rodzenie za pieniądze, co wydaje się nowym rodzajem prostytucji. Parlamenty uchwalają bez szemrania potrzebne na ten cel kredyty. Jeżeli kiedyś zbuntowana młodzież zacznie wyrzucać przez okna lekkomyślnych rodziców, nikt nie będzie mógł twierdzić, że los ich nie był, częściowo przynajmniej, zasłużony.

Cokolwiek myśleć o przewidywaniach ekonomistów, spadek wartości życia ludzkiego wydaje się w tej perspektywie nieunikniony. Jego wysoka cena była jednym z ostatnich i kruchych jeszcze osiągnięć naszej cywilizacji. Wiek XVIII zwłaszcza był pod tym względem pełen obietnic. Zaczął się od potępienia fanatyzmu i entuzjazmu, który my nazywamy zaangażowaniem. Obalono szubienice stojące u wejścia do każdej wsi i na ich miejscu posadzono lipy. Nawet życia żołnierzy, których usługi opłacano złotem i których ubierano w kosztowne mundury, nie wystawiano na zbyt wielkie ryzyko. Obietnice Wieku Oświecenia niestety nie spełniły się. Rewolucja Francuska pozostawiła okropny spadek w postaci powszechnej mobilizacji. Odtąd wojujący ponosili tylko koszty uzbrojenia, żołnierze nie kosztowali nic i w konsekwencji życie ich nie było nic warte. Pojęcia te przetrwały do naszych czasów. W pamiętnikach z 1914-1918 Lloyd George notuje, że najstarszy wówczas rangą wojskowy brytyjski, lord Kitchener, był przeciwny dawaniu żołnierzom Jego Królewskiej Mości więcej od dwóch karabinów maszynowych na pułk, w obawie aby obfitość broni nie spowodowała nieogłédnego ekspensu amunicji. Najtańsza nawet amunicja zdawała się więcej warta od życia żołnierza. Stąd blisko już było do tego, co stało się potem.

Moja matka opowiadała mi o scenie, którą widziała w Winnicy jesienią 1917, gdy zbuntowane jednostki armii rosyjskiej, po masakrze oficerów zaczęły opuszczać front i cofać się w głąb kraju. Na skrzyżowaniu ulic stał żołnierz, wahający się jak gdyby nad wyborem drogi, a widząc staruszkę niosącą kobiałkę z jakimś

nędznym prowiantem, powiedział: „Ech, dość już żyłaś, babuleńko, czas odpocząć”, po czym zmierzył do niej z karabinu i pociągnął za cyngiel. A przechodnie? Oglądając się za siebie, zaczęli się bez pośpiechu oddalać. Strzelaniny uliczne były rzeczą codzienną, wszyscy przywykli do widoku trupów. Tak rozpoczął się okres zwany według periodyzacji niemieckiej okresem historii współczesnej. Wędrowny żołnierz wyraził z prostotą uczucie, które — zaledwie ukryte pod warstwą słów i argumentów — żywili mężowie stanu i generałowie bombardujący miasta. Jeżeli ustali się powszechne mniemanie, że w Europie jest sto milionów zbędnej ludności, mordercy mogą utracić resztę skrupułów.



Przesłanki do obecnej sytuacji demograficznej Europy powstały w końcu XIX wieku, kiedy lekarze, bakteriologowie i higieniści opanowali choroby epidemiczne i obniżyli śmiertelność dziecięcą. Trudno nam dziś sobie wyobrazić sytuację zdrowotną Europy w wiekach poprzednich i nawet podczas wielkiej paniki, jaka towarzyszyła cholercie w 1834. Opis dżumy w Atenach u Tukididesa i w Londynie u De Foëgo są tylko malowniczymi wycinkami ówczesnej rzeczywistości.

Z głębokości przemian mogłem sobie zdać sprawę w 1932 w Luczkach, ubogiej wsi podkarpackiej, gdzie lekarza widziano tylko raz jeden, przejeżdżającego w 1918 do zamieszkałego o kilka kilometrów dalej leśnika, który zresztą nazajutrz umarł. Byłem właśnie w gościnnym domu Stanisława Vincenza w Słobodzie Run-gurskiej, gdy pod koniec obiadu przysłała z Luczek starsza kobieta, szukająca pomocy dla 13-letniej córki, która spadła z czereśni i uszkodziła sobie staw biodrowy. Wyszedłem z nią natychmiast. Zrazu usiłowałem przypomnieć sobie z moich niedokończonych studiów medycznych anatomię stawu biodrowego, potem zaczęliśmy rozmowę o Luczkach, przez które przechodziłem już kilkakrotnie.

Od towarzyszki mojej dowiedziałem się, że kobiety rodzą tam przeciętnie koło 15 dzieci, z których jedno lub dwoje — nie więcej jednak od trojga — dożywa pełnoletności. Najwięcej umiera między pierwszym i drugim rokiem życia. „Robią się gorące, czerwone, potem skóra na nich marszczy się i umierają”. Dysenteria, szkarlatyna, dyfteryt i inne choroby, trudne do rozpoznania z opisu, dziesiątkują pozostałe przy życiu. A tyfus? Cała wieś przechodziła tyfus w 1918; wszyscy starsi wymarli wówczas. Odtąd jednak tyfusu nie widziano.

Tak gwarząc przyszedłszy na miejsce. Historia ze stawem biodrowym okazała się chorobliwym urojeniem dziewczyny na

tle kalectwa ojca, chora gorączkowała jednak już zapewne od dłuższego czasu. Nie znajdując przyczyny gorączki poradziłem rodzicom odwieźć córkę do szpitala w odległej o 40 km. Nadwórnej. Przy braku dróg była to ekspedycja trwająca dwa dni. Na trzeci dzień chora wróciła znużona z 10 proszkami antypiryny i rozpoznaniem: osteomyelitis. Po 5 dniach, gdyby proszki nie pomogły, miała wrócić do szpitala na oddział chirurgiczny. Nie widząc żadnych przesłanek do takiej diagnozy zrozumiałem, że los tego dziecka znalazł się przypadkiem w moich rękach i że muszę stąd wyciągnąć konsekwencje.

Zacząłem od obchodu wsi. Widziałem liczne, szczególnie uciążliwe dla górali schorzenia kostne, oglądałem zwłoki świeżo urodzonego dziecka. Nie było wątpliwości: wszyscy mieszkańcy wsi, zaczynając od rodziców mojej pacjentki, mieli mniej lub więcej pozytywną reakcję Wassermanna. Śmierć dzieci była powszechną obsesją matek. W pewnej chwili posłyszałem za sobą wołanie. Przed chatą stała młoda kobieta zalana łzami. „Moje dziecko umiera”. Obok spał na słońcu świetnie wykarmiony chłopiec liczący niespełna rok życia. Sen jego był zdrowy, spokojny, puls normalny. „Chłopiec wydaje mi się zdrowy”. „On tak prędko dyszy”. Oddech był zaledwie przyspieszony. Poleciałem położyć chłopca w cieniu. Po kwadransie oddech stał się normalny. Uspokojona, młoda matka powiedziała mi, że sąsiadki jej zaczynały wszystkie od rodzenia dzieci martwych, gdy jej udało się od razu wydać na świat dziecko żywe i zdrowe, drżała więc nieustannie o jego życie.

Następnego dnia przyniosłem 50 lamelek i wziąłem próbki wody ze wszystkich studzien i źródeł. Po zabarwieniu na wszystkich szkiełkach ukazały się bakcyle Ebarta. Była to pamiątka po epidemii 1918. Wraz z pierwszym łykiem wody dzieci dostawały tyfusu. Większość umierała, pozostałe przy życiu były uodpornione. Stąd brak tyfusu u dorosłych.

Przez dwa tygodnie nie byłem pewny czym skończą się dla mnie codzienne wyprawy do Luczek, bo i ja pijałem tam wodę z krynicy pełnej zarazków. Jeżeli wyszedłem cało, nie śmiem przypisywać tego corocznemu szczepieniu doustnemu, uchodzącemu za mało skuteczne. Większą wagę przypisuję mojej nadkwasocie żołądka oraz okoliczności, że do Luczek schodziłem zawsze po dobrym śniadaniu. Od dawna zresztą było wiadomo, że cholera, dysenteria i tyfus brzuszny, kosząc tysiącami niedożywionych, nie miały się prawie wcale potomków Gargantui i Pantagruela. Zjawisko to znał Petenkofer, który ku przerażeniu Roberta Kocha wypił w jego obecności całą epruwetkę pełną aktywnej kultury cholery. Ja sam mogłem je obserwować podczas epidemii cholery w Odessie w 1910. Przez długie wieki grzech obżarstwa był najskuteczniejszą ochroną przed groźnymi chorobami epidemicznymi.

Kobietom wdzięki tycjanowskie wróżyły długie, szczęśliwe życie, gdy smukła linia zapowiadała wczesną śmierć.

Do plag trapiących ludność Luczek dodać należy choroby oczu. Oszczędziła ją wprawdzie *coniunctivitis granulosa*, lecz wiele dzieci cierpiało na zapalenie tęczówki. Niektóre z nich utraciły już połowę zdolności widzenia. Żrénice ich miały zygzakowate brzegi, wśród których pływały luźno kawałki tęczówki.

Nie będąc pewny czy nastąpiło to skutkiem czy pomimo leczenia, o mojej pacjentce powiem tylko, że poprawiła się szybko. Zresztą nie o to chodzi.

Sytuacja, jaką znalazłem wówczas w Luczkach, dawała pojęcie o stanie zdrowotnym Europy przed stu laty. Ludność Luczek nie wykazywała widocznych zmian. Nieliczne chaty nowe wzniesione były na miejscu budynków zniszczonych przez pożary. Znajdujące się na miejscu źródła żywności zdawały się wyzyskane aż do ostatniego ziarnka kukurydzy. Ratę śmiertelności można było zredukować radykalnie przy pomocy środków tak prostych i mało kosztownych jak wytępienie luesu endemicznego, szczepienia ochronne przeciw tyfusowi i dożywianie dzieci. Ludność Luczek podwoiłaby się w ciągu kilku lat, gdyby śmierć głodowa nie zastąpiła chorób jako regulator przyrostu.



Lekarze i higieniści, którzy w kilkadziesiąt lat opanowali choroby epidemiczne i śmiertelność dziecięcą, wychodzili ze szkoły pozytywistów i nie pytali wcale czy wolno im zmieniać porządek natury, powstały z zamysłu Stwórcy, planu Opatrzności czy też ducha dziejów. Były to dla nich słowa bez pokrycia, bez jasno określonej treści. Zuchwale ograniczyli więc wszechmoc śmierci, opiewaną przez barokowych poetów, i stworzyli sytuację nową, pełną nieznanych przedtem zagadnień, z których najbardziej aktualnym zdaje się być obawa przeludnienia.

Środki, jakie proponowano zrazu przeciw tej nowej pladze, wydają się gorsze od choroby. Jest to przywrócenie wszechmocy śmierci przy pomocy bomby atomowej, o którym posłyszałem w rozmowie nad jeziorem. Inną drogę wskazuje Thérèse Nisot w rozprawie pt. *La castration pénale*. Autorka opisuje w niej próby sterylizacji bezrobotnych i kastracji niespokojnych psychopatów w latach wielkiego kryzysu 1930-1936. Rozprawa wydawała się dość aktualna, aby *Mercure de France* przedrukować ją w 1936 lub 1937. Pamiętam wrażenie, jakie zrobiła na Leonie Chwistku, który zobaczył ją u mnie w Warszawie i rozpoznał od razu — były to czasy Hitlera — zawartą w niej wizję przyszłości.

Przypuszczam, że wielu czytelników gazet doznało uczucia ulgi, dowiadując się, że oczekiwana od lat pigułka antykoncepcyjna zyskała wreszcie aprobatę świata lekarskiego i stanie się niebawem dostępna dla wszystkich. Ludzie w białych bluzach, którzy opanowali przerost śmiertelności, ofiarowują nam dziś środek na opanowanie kryzysu przeludnienia.

Encyklika papieska *humanae vitae* z 25 lipca 1968, potępiająca pigułkę i wszystkie w ogóle środki i zabiegi antykoncepcyjne, budzi w tej sytuacji pewne zdziwienie. Nie moją rzeczą jest krytykować prozę papieską. Encyklika znalazła krytyków bardziej powołanych wśród samych hierarchów Kościoła. Dodam tylko, że wszyscy uczeni doktorzy, komentujący w prasie encyklikę, starają się osłabić jej efekt. Mówią więc, że Paweł VI nie zaangażował w nią swej nieomyślności, że potępił pigułkę, lecz nie osoby używające jej, itd.

Z lektury tego skąd inąd interesującego tekstu wynika, że encyklika nie dotyczy zagadnień, którym pigułka zawdzięcza swą aktualność. Kompleks przeludnienia, zatruwający dziś samo źródło nowego życia, leży poza obrębem jej rozważań. Troska Pawła VI leży gdzie indziej. W planie doktrynalnym środki antykoncepcyjne są dlań buntem przeciw porządkowi natury, wyrażającym wolę Stwórcy. W planie moralnym obawia się, że środki te mogłyby zdegradować miłość małżeńską, pozbawiając ją poczucia odpowiedzialności i wolności wyboru. Uznając że nie wszystkie rodziny mogą sobie pozwolić na coroczne płodzenie dzieci, papież dopuszcza ograniczenie urodzin, ale tylko w granicach „porządku natury” — to znaczy uprawiając miłość z kalendarzem w rękę i wyzyskując okresy niepłodności kobiet.

Odmienność zadań stawianych sobie z jednej strony przez Stolicę apostolską, z drugiej zaś przez świat lekarski i władze cywilne, pozwoliłaby na pozór łatwo uniknąć konfliktu opinii na temat środków antykoncepcyjnych. Do lekarzy i władz należałoby opanowanie wywołanego przez ich poprzednią działalność przeludnienia, do Kościoła utrzymanie poprawności jego własnej doktryny oraz szlachetna troska o czystość i odpowiedzialność w stosunkach małżeńskich. Niestety encyklika zwraca się do władz cywilnych z apelem o niedopuszczenie do rozpowszechniania się pigułki, to znaczy o zakaz jej fabrykacji i sprzedaży. Nie wiem czy parlamenty usłuchają Pawła VI. Jeszcze bardziej wątpliwe wydaje się czy czystość i odpowiedzialność w miłości małżeńskiej zyskałyby na pomocy policji. W ten sposób sławna pigułka, która przed pół rokiem jeszcze zdawała się być uśmiechem fortuny, nabrała lekkiego posmaku goryczy.

Paweł HOSTOWIEC

Dzieci z licznych rodzin

1.

W jednej ze szkół początkowych w Londynie istnieje malutka klasa, najmniejszy pokój w całej szkole, trzy metry na pięć najwyżej. Jestem z niej bardzo dumna i bardzo zadowolona, bo kiedy zaczęłam w szkole tej przed trzema laty pracować, nie było żadnego stałego miejsca dla nauczycielki-terapistki (*Remedial Reading Teacher*), do której posyła się najtrudniejsze, najmniej rozwinięte dzieci, te które podczas pierwszego czy też dwóch pierwszych lat szkolnych nie poczyniły postępów. Trzeba było uczyć małe grupki tych dzieci po kątach, to w szatni, to znów w pokoju jadalnym, służącym równocześnie za salę telewizyjną, to w chwilowo niezajętej klasie. W końcu wypatrzyłam sobie jakiś hall, zdobyłam tablicę, stoliki i krzesła. Przez hall przechodziły starsze dzieci, drzwi trzaskały, przeciąg hulał. Teraz wreszcie mam swoją lilipucią klasę, siedzimy ściśnięci w ośmioro czy dziesięcioro przy małych stolikach, ale jest zacisznie, nikt nam nie przeszkadza, wesołe obrazki-wskaźniki wiszą na ścianach. I ja, i moi mali uczniowie jesteśmy najzupełniej zadowoleni.

Większość moich uczniów i uczenic to dzieci nie tylko najgorsze, ale i najbiedniejsze z całej szkoły, bo jedno z drugim jak najbardziej się łączy. Trafiają się oczywiście wyjątki. Czasami nauczycielki klasowe skierowują do mnie małych cudzoziemców z kulturalnych rodzin dopiero co przybyłych do Wielkiej Brytanii i nie znających języka. Ci na ogół goszczą u mnie krótko, często już po paru miesiącach zaczynają chwytac powiązania między wymową a zawiłą angielską pisownią. Przyswajają sobie podświadczone trudne reguły i zaczynają czytać poprawnie nawet te wyrazy, których jeszcze nie rozumieją. Tempo, w jakim wyprzedzają inne moje dzieci, mówiące od urodzenia po angielsku, wprowadzało mnie często w początkach mej kariery nauczycielskiej w zdumienie.

Przychodzą do mnie czasami dzieci z rodzin z problemami, w których ojciec pije lub rodzice się rozchodzą. Do tych należało jedno z nielicznych polskich dzieci, które wymagały mej pomocy — ładna, jasnowłosa Basia, starannie ubrana, ale zawsze poważna i smutna. Jej zapóźnienie było wynikiem niezgodnego pożycia rodziców, a później ich rozejścia się.

Basia dostała się pod mą opiekę wraz z innymi dziećmi nie umiejącymi czytać, kiedy miała siedem lat. Przychodziła do mnie przez dwa lata. Postępy jej i reakcje odzwierciedlały jej los i tragedię, których można się było domyśleć z jej naiwnych, dziecinnych póśłówek. Robiła duże postępy i była pierwsza w zespole, gdy znajdowała oparcie w swej matce. Kiedy pojawił się na horyzoncie nie lubiany „wujek” i kiedy wreszcie matka porzuciła ją pozostawiając opiece jakiejś przygodnej „cioci”, Basia stępiała w sposób trudny do uwierzenia. Stało się bardzo wątpliwe, aby dogoniła kiedykolwiek poziom klasy.

Czasem, bardzo zresztą rzadko, trafiają na krótko do mnie dzieci zakwalifikowane do szkół dla niedorozwiniętych. Są to przypadki najbardziej beznadziejne. Krzywdą wyrządzona tym dzieciom pochodzi od natury i społeczeństwo niewiele może naprawić.

W miarę nabywania doświadczenia nauczycielka-terapistka zaczyna rozumieć, że w większości innych przypadków niedorozwój dziecka i jego neurozy są skutkiem warunków, w jakich dziecko żyje, czyli w pewnym sensie pochodzą od społeczeństwa. Stąd tak liczne niespodzianki, nagłe przebudzenia wśród najbardziej beznadziejnych, kompletna niemożność przewidzenia, jak się rozwinię inteligencja tego czy innego ucznia. Ot, taki Joseph, mały czarnoskóry Jamajczyk. Kiedy przyszedł do szkoły w wieku pięciu lat, badano jego słuch i wzrok, bo zdawał się nienormalny, nie robił żadnych postępów, nie reagował na to, co się do niego mówiło. W dwa lata potem — coś za zmiana. Czyta i pisze wspornie. Jego wypracowania wskazują na wysoką wrodzoną inteligencję. Szkoła obudziła to żyjące w wyjątkowo prymitywnych warunkach dziecko z uśpienia.

Inny był przypadek Richarda. Richard miał sześć lat, kiedy przyszedł do mnie. Był tępy z najtępszych, apatyczny, śmierdział brudną bielizną i wilgocią, siedział obojętny, leniwy, nawet gryczytelnicze, zazwyczaj tak pasjonujące dzieci, nie ożywiały go zbyt. Robił postępy, jakże jednak powolne. Jego koledzy wyprzedzali go, przechodzili do grup bardziej zaawansowanych, po roku lub dwóch opuszczali mnie, bo byli na poziomie rówieśników. On ciągle tkwił w początkach, mylił *b* i *d*, gubił się w rozróżnianiu dźwięków. Nagle, w trzecim roku, stał się cud: Richard przestał wcale nieprzyjemnie, zaczął przychodzić do szkoły czysty i wyświeżony, bardziej ożywiony, pracowitszy. O dziwo: zaczął rozumieć, co się do niego mówi, pisać *a* z kreseczką z prawej strony, *d* z brzuszkiem na lewo. Jego postępy stawały się szybsze i szybsze i kiedy w lipcu badałam me dzieci testami, stwierdziłam, że Richard w ciągu jednego roku szkolnego skoczył o trzy lata.

Przy rozdawaniu nagród wywołano jego nazwisko. „Za niezwykle postępowanie w czytaniu” powiedział kierownik.

Kiedy szedł przez salę po odbiór dużej, kolorowej książki z rąk tytułowanej lady, odszukał mnie oczami i porozumiewawczo, z jakimś szczęściem się uśmiechnął.

Byłam chyba równie wzruszona tą nagrodą jak on. Jednak widziałam na pewno, że jego postępowanie nie było wyłączną zasługą nas, nauczycielek, ani też jego samego: coś w jego życiu gruntownie się zmieniło, może ojciec był bez pracy, a następnie ją dostał, może matka była chora i powróciła ze szpitala albo ktoś inny okazał mu serce i ulitował się nad jego biednym, opuszczonym dzieciństwem.

2.

Istnieje kategoria dzieci, które rzadko kiedy omijają moją klasę. Są to dzieci z bardzo licznych rodzin robotniczych. Jeśli rodzina ma ośmioro czy więcej dzieci, wszystkie zazwyczaj są skierowywane kolejno na lekcje dla dzieci zapóźnionych i są to uczniowie, którym najtrudniej dopomóc, bo są najbardziej cofnięci w rozwoju, a równocześnie najbardziej nerwowi.

Kontakty między szkołą angielską a rodzinami uczniów nie są zazwyczaj ani ożywione, ani częste, a jeśli ktoś z rodziców samorzutnie przychodzi, to najczęściej nie są to rodzice zaniedbanych dzieci, które potrzebują mojej pomocy.

Jednak matki najniezwyklejsze, matki, z których potomstwa można by stworzyć małą klasę, szkoła widuje czasami, bo los ich jest tak tragiczny, ich byt oparty na tak kruchych podstawach, że w chwilach załamania wszędzie szukają ratunku.

W pokoju nauczycielskim o nikim nie mówi się tak często jak o nich. Dzieci z licznych rodzin to te, nad którymi każda nauczycielka się lituje i których chciałaby się pozbyć jak najprędzej. Nad ich tępotą, a także nad brudem, zaniedbaniem łamią ręce wychowawczynie. Kierownik skierowuje do rodzin opiekunów społecznych, a do dzieci wzywa, zależnie od potrzeby, higienistkę, psychologa, psychiatrę.

Ubogie dzieci w W. Brytanii otrzymują z pewnością więcej pomocy niż w większości innych krajów. Darmowe obiady i mleko dostają nie tylko podczas dni szkolnych, ale także podczas ferii. Opieka urzędowa, a także komitety charytatywne opiekują się nimi i przydzielają im wsparcie. Nie ma mowy, aby ktoś umarł z głodu albo nocował bez dachu nad głową. Anglia jest *Welfare State*.

A jednak...

Oto opis prawdziwy czterech licznych rodzin, które posyłają swe dzieci do szkół św. Genowefy lub św. Józefa. Zmienione są tylko, rzecz prosta, nazwiska.

Rodzina Spring'ów ma ośmioro dzieci. Najstarsi przeszli już szkołę początkową i są w *secondary*, gdzie źle się uczą i chuliganią.

W pierwszym roku mej pracy w szkole św. Genowefy przysyłają mi dwóch Springów nie umiejących czytać: ośmioletniego Mi-

chaela i siedmioletniego Johna. John jest mniej więcej normalny, ale Michael to kłębek nerwów. Dowiaduję się, że matka ma silny rozstrój nerwowy.

Spotykam ją na zorganizowanej przez szkołę wyprzedaży rzeczy używanych. Jest bardzo chuda, o rysach ostrych i napiętych. Stoją z Michałem, który spostrzega mnie i wita uśmiechem. „Mamo, — mówi. — „Patrz, mamo, to moja nauczycielka”. Ale ona, zamiast pójść za wzrokiem syna, gwałtownie, z ponurym wyrazem twarzy odwraca się do mnie plecami.

Michael tak strasznie pragnie nauczyć się czytać, a jest chyba najniezdolniejszy w swoim zespole. Zapomina o tym, czego się już nauczył, myli się, płacze. Przy zawodach w czytaniu i grach czytelniczych stale przegrywa, bo wskutek emocji nie jest w stanie odczytać nawet tych wyrazów, które zna dobrze. Obaj chłopcy spóźniają się niemal codzień do szkoły, przychodzą nieraz, kiedy moja lekcja się kończy. Nie pomaga wzywianie do kierownika, napomnienia i kary, choć widać, jak bardzo się wstydzą. Nie trudno się domyślić, o której chodzą spać w przetłoczonym mieszkaniu.

Przez dwa lata walczę z oporami Michaela. Polecam mu przychodzić na lekcje dwa razy częściej niż innym. Probuję dawać mu książki do domu, ale matka, w przystępie złości, niszczy jedną z nich. Wreszcie, w trzecim roku widzę rezultaty: chłopiec nabiera pewności siebie i zaczyna czytać wcale nieźle.

Jest już zresztą najwyższy czas po temu, bo kończy właśnie lat jedenaście i ma niezadługo opuścić naszą szkołę.

Obserwuję niestety niemiłe zmiany w jego charakterze. Z miłego dziecka wyrasta na nieprzyjemnego chłopca. Staje się zawistny i złośliwy, śmieje się głośno przy najmniejszym potknięciu się innych, kuksa słabszych. Nie mogę go już lubić.

Na wiosnę obaj z Johnem zaczynają chodzić na wagary, nie pokazują się w szkole przez całe tygodnie. Biedne, wykołajone dzieci. Jaki będzie ich los?

Rodzina Smithów to podobno wzór cnót chrześcijańskich. Tak mnie zapewnia nauczycielka, która mieszka w pobliżu i czasem ich odwiedza. Są pobożni, cisi i zgodni, ktoś im ofiarował telewizję, więc w skupieniu spędzają przy niej wieczory. Dzieci mają dziesięcioro. W ciągu trzech lat mego pobytu w szkole św. Genowefy czworo z nich przechodzi przez moje zespoły, piąte obiecuje mi już nauczycielka na następny rok.

Dzieci Smithów są wszystkie wątłe, drobne, co najmniej o głowę niższe od koleżanek i kolegów. Mają popsute żołądki czy wątroby, kiedy są w klasie muszę co chwila otwierać okno, aby oczyścić powietrze.

Są to bardzo poczciwe dzieci. Najstarsza, Margaret, stale ofiarowuje się z pomocą, ostrzy mi ołówki, ustawia krzesła. Ale jakże brudna jest biedna Margaret, jak zaniedbana. Jej bratu podarta koszula wyłazi stale z portek, sześciolatnia Mary chodzi w darowanych sukienkach, które wiszą na niej jak na kołku. Jedna

tylko Elisabeth dba o siebie i wygląda jako tako. Elisabeth wydaje się z nich wszystkich najmniej cofnięta w rozwoju, najłatwiej ją uczyć. Mimo to przy testach inteligencji, które wypełniają wszystkie dzieci w ostatnim roku pobytu w szkole początkowej, otrzymuje najgorszą notę w klasie. „Nie ma szans pozostania w najniższym nawet strumieniu normalnej *secondary* — objaśnia mnie jej nauczycielka. — Przeniosą ją zapewne po roku do szkoły specjalnej dla dzieci niedorozwiniętych”. Tymczasem Elisabeth jest asem w porównaniu z młodszym rodzeństwem. Tony i Mary są zapóźnieni w rozwoju umysłowym o jakie trzy lata.

W szkole św. Józefa najliczniejsza jest rodzina Kellych. Gdy pracownica społeczna odwiedziła ich w domu, nawet ona, przyzwyczajona do różnych widoków, wierzyć nie mogła, że można żyć na takim śmietniku. Dwanaścioro osób — rodzice i dzieci — gnieździło się w malutkim mieszkanku, jeśli można tak określić to siedlisko brudu, zaduchu, chaosu. Wśród nieopisanego nieporządku jeden tylko pan domu robił wrażenie schludności i staranności w ubiorze. Glansował sobie buty i zbierał się do wyjścia, kiedy przyszła. U Kellych, jak i u Springów, matka jest kompletnie załamana nerwowo. Ojciec nie daje na dom pieniędzy.

Nim zaczęłam pracować w szkole św. Józefa, przez szkołę przeszła już cała gromadka dzieci Kellych. Wszystkie były niezdolne i zapóźnione umysłowo. Do mnie trafiło ich troje: Siedmioletnia Ann, sześciolatek John, a w następnym roku także mała Patricia.

Biedny, malutki John (był tak drobny, że trudno było uwierzyć w jego lata) w wieku lat ośmiu został przeniesiony do szkoły dla dzieci niedorozwiniętych. Miał dobrą pamięć i czytał już wtedy trochę tym najłatwiejszym sposobem rozpoznawania wyrazów z wyglądu, ale nie umiał wskazać, które z dwóch drzew jest duże, a które małe, ani nazwać kolorów. Na pytanie „Gdzie jest mama?” nigdy nie chciał czy nie umiał pokazać jej uśmiechniętego wizerunku na obrazku. „*Lucky lady* — powiedział mi kiedyś widząc w moim ręku torebkę cukierków, które przyniosłam na nagrody dla dzieci. — *Lucky lady*... Może jeść cukierki codzień”.

Starsza jego siostra, Ann, była dobrą, cichutką dziewczynką, niezdolną, ale bardzo pracowitą i chętną. Stan jej nerwów objawiał się dopiero w jej rysunkach i piśmie. Nawet kopiując nie potrafiła pociągnąć prostej linii, a jej litery to były ledwo czytelne bohomazy o różnej wielkości i dziwacznym kształcie.

Teraz, kiedy już jej nie ma, kiedy zginęła pod kołami lory dlatego, że idąc w niedzielę do kościoła przestraszyła się biegącego ulicą psa, myślę ze współczuciem, jak mało ta biedna, szara myszka doznała w swym życiu dobrego. Przy szczerym naszym żalu, przy trosce, czy się nie męczyła długo, tkwiło jednak w nas, którzyśmy ją uczyli, na wpół uświadomione przeświadczenie, że już chyba lepiej, że ona niżby którekolwiek inne... Odeszła, tak jak się rodziła, niepotrzebna.

Pozostało mi jeszcze napisać o rodzinie Tobinów ze szkoły św. Genowefy — o tych, których najbardziej lubiłam i uważam za największe zmarnowane wartości.

Byli na swój sposób ładni — irlandzkie, piegowate blondasy, przypominające mi trochę polskie wiejskie dzieci. W klasach należeli do najgorszych, ale mnie pewne fakty wskazywały, że mają wysoką wrodzoną inteligencję. Ślicznie rysowali, ładnie kreślili litery. Najstarsza, Eileen, która zaczęła do mnie przychodzić w wieku lat ośmiu, już wtedy wstydziła się, że jest skierowana na lekcje specjalne, podczas gdy na ogół dzieci dopiero około dziesiątego roku życia zaczynają sobie zdawać sprawę, że jest to dowodem, że są gorsze od innych. William był wcześniej od innych zdolny do uogólnień. Był on, ten William, moim ulubieńcem. Wyglądał jak mały, zaspany miś i mylił się, nazywając mnie *mummy*, ku ucieście innych dzieci. Robił szybsze postępy od innych, miałam nadzieję, że doprowadzę go do poziomu klasy.

W rodzinie jednak nie działo się dobrze. Nauczycielki współczuły Eileen, bo matka włożyła się, zaniedbując ośmioro swych dzieci i pozostawiając pod opieką córki całą drobiazg.

W rok po moim zetknięciu się z rodziną Tobinów zginął w wypadku ojciec. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, czy była to śmierć samobójcza.

Starsze dzieci nie okazały z powodu śmierci żadnych uczuć. Sześciolatek Robert przybiegł do mnie podczas przerwy w lekcjach w podskokach: „*Daddy* jest w ziemi i nigdy nie wrócił!” — wołał z hałaśliwą radością.

Wkrótce potem wszyscy przestali przychodzić do szkoły. Wyszli z mieszkania i rozdzielono, skierowując do domów przejściowych dla bezdomnych. Powrócili dopiero po kilku miesiącach, kiedy otrzymali nowe mieszkanie. Dzieci wiele przez ten czas zapomniały.

Przenosiłam się ze szkoły św. Genowefy do szkoły św. Józefa, kiedy Eileen dobiegała jedenastu lat, a William dziesięciu. O Williama byłam jako tako spokojna. Umiął i lubił czytać, uczył się nieźle, nie potrzebował więcej mej pomocy. Eileen wyrastała na ładną dziewczynkę, ale podobnie jak Michael Spring przestawała być miła. Była w niej teraz trudna do zniesienia nienaturalność, przykra dysharmonia wyglądu dziecka ze spojrzeniem dorosłym, chwilami cynicznym, chwilami pełnym gorzkiej ironii.

Pod wiosnę nauczycielce z jej klasy zginęło z torebki pięć funtów. Sprawcy nie znaleziono i nikomu nie można było nic udowodnić, ale błyskotki, jakie pojawiły się w jakiś czas potem na jej ubraniu, zabawki w rękach młodszego rodzeństwa rzuciły na nią podejrzenie.

W następnym roku odwiedziłam mą dawną szkołę. Williama nie widziałam, był nieobecny. Poinformowano mnie, że miał wypadek, spadł gdzieś z muru, rozbił głowę. Grozi mu epilepsja, na razie nic wielkiego, ot *petit mal*...

3.

Zażyłość moich rodziców z rodziną Staszyńskich, zamożnych gospodarzy kujawskich, datowała się od czasów, kiedy byłam dzieckiem. To ojciec wyciągnął dwóch najstarszych synów z domu, jeden z nich ukończył Wyższą Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego, drugi — nic dobrego przy robocie w polu — został nauczycielem.

Miałam dziesięć lat, kiedy spędziliśmy wakacje letnie w sąsiedztwie Staszyńskich. U nich oczywiście miejsca nie było, mieli czternaścioro dzieci, a choć kilkoro starszych wyszło już z domu, każdy kąt był zapchany. Na prośbę ojca wynajęli nam mieszkanie w sąsiedztwie u małego gospodarza. Odstąpił nam chałupę i jak się okazało, z liczną rodziną wyniósł się na całe lato do stodoły.

Do Staszyńskich biegałam prawie codzień. Zażywna i pogodna matka nie przepracowywała się. Często widywałam ją rozsiadłą sobie wygodnie i dyrygującą córkami. Moja rówieśnica Hela i młodsza od niej Joaśka miały dość czasu, aby bawić się ze mną, dwunastoletnia Aniela niańczyła roczną Kundzię. Starsze dziewczęta i chłopcy pracowali z ojcem w polu lub z matką koło domu, drobne dzieci pętały się między nimi. Ojciec — gospodarz o okrągłej, rumianej twarzy — żartował, kiedy nas spotykał. Miał powody, aby być zadowolonym z życia, ręk do pracy w gospodarstwie nie brakło, najstarszy syn był posłem na sejm ze swego okręgu, drugi z rzędu — kierownikiem szkoły w pobliskim miasteczku. Była to najbardziej patriarchalna rodzina, jaką zdarzyło mi się oglądać. Na długo jednak przed wojną gospodarstwo starego zostało rozdzielone między wielu synów, którym życie układało się już znacznie trudniej.

U uboższego gospodarza, u którego myśmy mieszkali, było zupełnie inaczej niż u Staszyńskich. Przekonaliśmy się wkrótce, że bijał okrutnie swe dzieci i straszne to na mnie zrobiło wrażenie, kiedy mały Antek, pastuch krów ojcowskich, zbity przez ojca wypadł ze stodoły z krwią płynącą z nosa.

Lecz po co uciekać się do wspomnień? Około roku 1930 Związek Nauczycielstwa Polskiego rozesał do nauczycieli szkół powszechnych ankietę dla zbadania warunków, w jakich żyją w Polsce wiejskie dzieci. Z otrzymanych kilkudziesięciu odpowiedzi wybrano kilkanaście — każdą z innej części Polski — i wydano nakładem „Naszej Księgarni” jako pracę zbiorową pod tytułem „Dziecko wsi polskiej”.

Nie mam możliwości dotarcia dziś do tej książki i zacytowania nazwisk autorów, przedmówcy ani nawet dokładnego roku wydania. Pamiętam natomiast dokładnie to, co się powtarzało w każdym z tych opisów. Wszyscy autorzy twierdzili zgodnie, że tylko tam, gdzie w rodzinie jest niewiele dzieci — jedno, dwoje czy troje — są one kochane i dobrze traktowane. W biednych rodzinach z licznym potomstwem o dzieci się nie dba, są one prze-

ciężane pracą, poniewierane i bite. Wśród wielu powiedzeń dziecięcych i zdań wyjętych z wypracowań uczniów cytowanych w tej książce utkwiło mi jedno, najbardziej wymowne: „Chciałabym być krową i dawać mleko, bo wtedy byłoby mi dobrze w domu”.

4.

W nadchodzącym roku szkolnym dołączą do zespołów dla zapóźnionych młodsze dzieci Springów, Smithów, Kellych i Tobinów. W innych rodzinach porodzą się nowe niemowlęta, odbierając chleb starszym dzieciom. Encyklika papieska w sprawie regulacji urodzin odbiera nadzieję, żeby coś się zaczęło zmieniać na lepsze w tym względzie. W dalszym ciągu kaznodzieje będą grzmieć z ambon przeciw rozpustnikom, którzy zapobiegają ciąży, i będzie to uderzać w tych najbiedniejszych i najprostszych, bo człowiek z bardziej rozwiniętym intelektem, chociażby religijny, ma prócz księdza inne autorytety i własny rozsądek.

Czyż można sobie wyobrazić Boga tak okrutnego, aby chciał patrzeć na te tragiczne matki, na ojców uciekających od obowiązków, którym nie są w stanie podołać, i na te biedne dzieci — niedożywione i wyrastające krzywo, przyjęte na świat jako zło, któremu nie można zaradzić, i pozbawione wszystkiego, co się każdemu dziecku należy?

Anna BOGUSŁAWSKA

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Crescite et multiplicamini

Ostatniego lata gazety były pełne fotografii i opisów przepelnionych stacji klimatycznych, lotnisk nadmorskich czy też górskich. Fotografie plaż, na których nie widać ani piasku ani morza pojawiły się w czasopismach całej Europy. Zdjęcia szos wypełnionych samochodami, bądź to w drodze nad morze czy też na przejściach granicznych każą nie tylko zadziwić się ale również zastanowić nad dalszymi następstwami tego wzrostu ludności. Przed samą wojną, gdy zdawałem maturę, ludność świata wynosiła 2 miliardy — obecnie — liczy „sobie” przeszło trzy. A jak zapewniają biegli w statystyce, pod koniec tego tysiąclecia przekroczymy ładną, równą liczbę 5 miliardów. I nie jest to epoka tak znowu odległa: nasze dzieci powinny jej dożyć.

W naszych oczach tworzą się ogromne miasta-mrowiska, narastające poziomo i pionowo, ze swoimi prawami i wymogami opłatującymi coraz ciśniej lepką, bezduszną pajęczynę jaką z jednej strony tworzy samo społeczeństwo, chcąc w jakiś sposób umożliwić poruszanie się w obrębie tego mrowiska, a z drugiej fizyczna liczba ludzi i ich wytworów, domów, środków pracy, transportów, usług informacyjnych i td.

Wewnątrz społeczeństwa tworzą się ogromne organizmy np. przemysłowe, dysponujące wieloma setkami tysięcy ludzi, i ich rodzin, autorytatywnie podporządkowanymi jednemu celowi i pozostawiającymi osobnikom żyjącymi w ich zasięgu znacznie mniej wolności aniżeli działa się to w dawnych, niedemokratycznych, państwach. Organizmy takie np. jak Ford działają znacznie sprawniej od państwa egipskiego, które zwykło stawiać się za wzór woli narzuconej całej ludności.

To powstawanie wielkich ośrodków, podporządkowanych jednemu celowi, jest także wywołane nadmiernym wzrostem ludności: wzrost ten, i towarzyszący mu wzrost zapotrzebowania, wywołuje powstawanie coraz to nowych ośrodków produkcji czy też usług. Od fabryk obuwia do jednoosobowych wytwórni np. obcasów do bucików. Ich wzrost sprawia, że poszczególne orga-

nizmy, by móc pracować korzystnie, by nie być zalanymi morzem podobnych im jednostek, starają się wysunąć ponad dotychczasowy poziom, łącząc się po kilka jednostek w jeden większy organizm, tworząc w ten sposób superkolosy, które już teraz stawiają czoła organizacji państwowej a niezadługo, prawdopodobnie, przerosną same państwo w obecnej formie, zajmując jego miejsce.

Istnieje także niebezpieczeństwo, że coraz większa masa ludzka — obojętne w jakim ustroju żyjąca — będzie coraz to trudniejszą do kierowania. Będą musiały więc zniknąć swobody obywatelskie a wzrastać coraz bardziej środki przymusu. Orwellowski obraz nie jest taki utopijny.

Poza tymi rzucającymi się w oczy przejawami zwiększania się zaludnienia, są także inne, mniej widoczne. Zmniejsza się przede wszystkim ilość innych mieszkańców ziemi. Wprawdzie, podobno, wszystko na tej ziemi zostało stworzone na użytek ludzki, wątpię jednak, żeby oznaczało to prawo do całkowitego niszczenia. Choćby z tego względu że w ten sposób znika nie tylko prawo ale także i możliwość tego użytku. Znikają więc inni mieszkańcy, bo po prostu coraz to mniej dla nich miejsca na świecie. Myślę tu nie tylko o różnych gatunkach zwierząt ale także o świecie roślinnym. Czy istnieją jeszcze w Europie puszcze? A przecież istniały jeszcze w ubiegłym stuleciu. A sam krajobraz? Czy nie słyszy się ustawicznie utyskiwań na brak np. plaży nie zespconych 10 rzędami parasoli czy namiotów, za którymi wznosi się jeden, drugi, nieraz trzeci i czwarty rząd coraz to bardziej pojemnych, komfortowych i szpetnych drapaczy chmur?

Jednym słowem tak jak w przejściu z jednej ery geologicznej do drugiej zmieniał się wygląd ziemi, tak dzieje się też i obecnie choć nie zdajemy sobie z tego sprawy. Kończy się jedna era a nadchodzi jakaś inna.

Razem z rosnącym zagęszczeniem ludności zmienia się psychika samego człowieka. Zmienia się przede wszystkim stosunek człowieka do swego bliźniego.

Dawniej, nie tak bardzo dawno — wczytajmy się w atmosferę np. „Nocy i Dni” — napotkanie nowego człowieka wywoływało przede wszystkim ciekawość — jaki też on jest? Obecnie nowy człowiek nie jest wcale nowością, ale codziennym i to uprzykrzonym zjawiskiem. „Nowych” spotyka się ustawicznie.

Zaczyna się żyć stale w tłumie ludzi, tak jak straszni mieszczańskie Tuwima, jeden koło drugiego. Sprawia to, że nie ma się możliwości popatrzenia na siebie uważnie, gdyż stosunki pomiędzy ludźmi, tak jak w malarstwie, wymagają patrzenia się z pewnego dystansu. Wobec tego wzajemne ustosunkowanie się jest nacechowane niechęcią, obawą — nowy konkurent — czy też co najmniej zniecierpliwieniem. Gazety są pełne opisów tragicznych nieraz spotkań zupełnie obcych ludzi w zupełnie błahych okolicznościach, np. na szosie, prowadząc samochód. Na ogół to nieżyciwe ustosunkowanie się do bliźniego jest ledwo-ledwo pokrywane automatyzmem tzw. dobrego wychowania — u tych

którzy je otrzymali — względnie obawą odwetu ze strony przeciwej. Prawdziwa „miłość bliźniego” staje się natomiast coraz bardziej odległą utopią.

Ta bliskość nowych konkurentów wywołuje chęć przerośnięcia ich, wybiecie się ponad ogólny poziom, stania się czymś innym. Tendencja ta, instynktowna, wydawałaby się czymś dodatnim. Ale — pomijając już fakt, że zaspakajanie instynktów jest rzadko kiedy przeprowadzane w sposób dodatni, lub przynajmniej nieszkodliwy dla innych — nie może ono stawać się ideą dominującą, *idée fixe*. Tymczasem obecnie, z powodu wielkiej liczby punktów porównawczych — tj. innych jednostek ludzkich — a również z powodu ich bliskości, wywołanej gęstością zaludnienia — tendencja ta staje się coraz to silniejsza i bardziej bezwzględna. Gdy chodzi o osoby dorosłe, posiadające już swe miejsce w społeczeństwie, to dopinguje je ona w pracy każąc im dochodzić do wyników, mających umożliwić zdystansowanie innych. Jest to tylko w pewnym stopniu korzystne, gdyż wysiłek, jaki wkłada się w pracę, przewyższa, i to w znacznym stopniu, minimum konieczne do życia. Do pewnego stopnia zapewnia się w ten sposób rozwój techniki bytu, ale w większości wypadków jest to wysiłek nieproduktywny dla społeczeństwa a nieproporcjonalny w stosunku do korzyści dla danej osoby, gdyż osiągnięty kosztem innych sposobów spędzenia czasu, mniej nużących fizycznie czy też umysłowo. Mamy tu do czynienia z nowym *plus-value*, tym gorszym że nie przynoszącym absolutnie nikomu korzyści.

Ale nie wszyscy są w stanie zwiększać wydajność własnej pracy. Niezależnie od ambicji, nieraz sam zawód nie pozwala na zwiększenie jej rytmu. W jeszcze gorszym położeniu są ci, którzy dopiero zaczynają pracować lub w ogóle jeszcze nie pracują a tak samo czują się zagrożeni przez zalewający ich tłum. Nie chodzi tu już nawet o wywyższenie się, ale o wyodrębnienie się od otaczających. Wdrapują się w górę, bo gdzie indziej miejsca nie ma. Ci wszyscy ludzie wdziewają na siebie maskę, która ma ich odróżnić od innych. Maską tą, obojętną jaką — wygląd czy zachowanie — w każdym razie coś sztucznego, nienaturalnego, musi być czymś niecodziennym, innym, zwracającym uwagę. Stąd biorą się wszystkie „wyskoki” młodych — od buszmeńskich fryzur i skórzanых kurtek, do krajania nożami opon samochodowych (własności innych). Do zjawisk tych należą także *topless* i ćwierć-spódniczka. I wiele innych wyczynów, którym oddają się „kilkunastolatki”.

Oprócz tego zjawiska mamy jeszcze inne — mniej proste. Oto zarzuca się uznawane kryteria estetyczne, by w uznaniu innych, zupełnie przypadkowych, znaleźć się na pozycji oddalonej, odrębnej. Przynajmniej przez chwilę dopóki snobizm (i reklama handlowa) nie narzucą nowego „smaku” szerszym masom. Takimi zjawiskami są Sagan i Bardot, pop i op-art itd.

Równocześnie, obok wysiłku wyrwania się z otaczającego tłumu, człowiek jest dzisiaj opanowany jeszcze innym uczuciem.

Otóż ten tłum, z którego tak się pragnie uciec, staje się przedmiotem lekceważenia lub wręcz pogardy. Tak jak w ekonomii wraz ze zwiększoną podażą obniża się cena, tak i w społeczeństwie, w miarę zwiększania się liczby ludzi, maleje ich wartość. Zjawisko, którego nie chce zauważyć nikt ze zwolenników niewprowadzania kontroli urodzin. Wartość poszczególnej jednostki obniża samo społeczeństwo. Obecne filmy sensacyjne pełne są scen gdzie czarne charaktery giną jak muchy, trupy ludzkie liczą się na tuziny, a wszystko to wywołuje ryki śmiechu publiki, nie zdającej sobie zupełnie sprawy, że odnosi się w tak lekceważący sposób do śmierci własnych bliźnich. Za czasów Tom Mix'a przeciwnicy również ginęli, ale jakoś nie wywoływało to salw śmiechu.

Tak więc niekontrolowany wzrost gęstości zaludnienia, którego kilka przejawów zostało tu naszkicowanych, jest rzeczą z wielu stron ujemną. I nie ma nadziei by natura sama potrafiła ten wzrost przyhamować zwiększając równocześnie stopę śmiertelności. Rozwój medycyny wyklucza bowiem możliwość zaistnienia epidemii a wbrew pozorom, wzrastająca ilość wypadków lotniczych czy samochodowych nie wpływa zupełnie na liczbę ludności. Zresztą niezadługo szosy, przynajmniej w Europie zachodniej, będą tak przepełnione i szybkość krążenia po nich obniży się do tego stopnia że i ewentualne zderzenia będą mniej niebezpieczne.

Jak z tego wszystkiego widać, pewne reguły, takie jak zwrot umieszczony w tytule, *muszą* ulec rewizji w miarę zmian zachodzących wokół człowieka. Dotyczy to zresztą nie tylko zasad religijnych ale także i przepisów prawo-moralnych. Można zrozumieć, że nie jest łatwo przekreślić pewne zasady, od dawna uznawane, i obalić je, czy też przynajmniej ograniczyć, ale trzeba zdać sobie sprawę z absolutnej konieczności wprowadzenia regulacji urodzin. Nie ma innego wyboru jak tylko ta decyzja oraz umożliwienie praktycznego a przede wszystkim psychicznego przygotowania społeczeństw do jej stosowania.

A. JĘDRKIEWICZ

W domu

Opowiadając perypetie pana Tytusa, chcąc nie chcąc zaniedbaliśmy a raczej nie mogliśmy jeszcze wyłuszczyć, czym stał się dlań powrót. A trzeba powiedzieć, że wówczas — poza krótkimi okresami wspomnień, które budziły w nim dawną gorączkę — bywał nieraz szczęśliwy.

Wrócił pochopnie, niespodzianie, nie mogąc doczekać się aż sprawy jego będą umorzone. Nie było pewności czy władze sądowe nie będą go ścigać natychmiast. Musiał przeczekać, po prostu ukryć się, naprzód w chacie myśliwskiej pod Jałowiczą na granicy Pokucia — zanim przyjaciele upewnią się i załatwią wszystko dokumentnie. Ten czas przywrócił mu obcowanie z krajem, oddał mu własne ciało.

Gdy człowiek utraci nogę albo rękę, zazwyczaj nie twierdzi, że utracił część swego ja. To nie ja, to moja noga — powiada. Zapewne o każdym członku, o każdym organie można by podobnie powiedzieć oprócz tych, których utrata powoduje utratę świadomości. Wiadomo wszakże że można utracić rękę albo nogę, a wciąż odczuwać że się ją posiada. Można by być pozbawionym wszystkich niemal członków, a wciąż dalej czuć, że się je „posiada”, że nasze „ja” nie jest uszczuplone. Gdzież znaleźć taki schówek, centrum takie, by po utracie całego prawie wplecionego w nas nerwami świata zewnętrznego, całej przestrzeni, ciągle obecność ich była zamagazynowana i żywa.

Na Broadway'u w Nowym Yorku „posiadał” usypaną bukowym listowiem ścieżkę z Pohara, otoczoną wysokim sklepieniem bukowym. Taką przestrzenną, że można by iść nią z zamkniętymi oczyma lub nocą. Stopy były przyuczone do niej chyba od czwartego roku życia. Reszeto, Złoty Potok. Powoli ścieżka wgłębiała się, zwężała się w rów. Przechodziła w jar coraz głębszy, obficie

wypełniony pokładami, mogiłami i nasypami listowia. Jar dość wąski, dla wędrowki idealnie wygodny. Zalistwione ściany jedna obok drugiej dają miękkie oparcie łokciom i dłoniom. Przy wejściu doń liście falują, szumią bukowo. Ogarniają, sięgają po piersi. I wyżej. Niechby i głowę nakryły. Zabukowiony świat wyłącza wszystko co nie liściaste, nie bukowe. Liście i liście. A wśród nich jak watra, to trzaska, to leciutko polata, myśl swobodna. I jak kochanka, która nic dla siebie nie zachowa, niczego nie odmówi, ośmiela do porywu, do ekstazy, tak jar zalistwiony ośmielałby w tej osłonie i w swobodzie tej — sięgnąć do czegoś najwyższego.

To posiekany, to dudniący hałas Broadway'u był gdzieś daleko.

Kiedy indziej na okęcie wśród mokrej mgły poczuł pod dłonią gładkość stalowych buków z Pohara. I widział zakręt wśród paproci nad Złotym Potokiem, a stamtąd daleką aleję kulistych i puszystych buków, u dołu szczelnie pokrytą ziołoroślami. Gdy wracał nocą mijał dom poważnego arendarza, który zazwyczaj czytał po nocach przy świecy. A jeszcze dalej były rzęsne światła ojcowskiego domu. Przenikały przez mgłę aż tutaj. W dymnym hałaśliwym barze amerykańskim nadmiernie przejaśnionym światłem gazowym owiewała go żywiczna woń mrocznej smerekowiny. Pod stopami odczuł zalaną żywicą miękką, nieco śliską ścieżkę nad przepaścią. Ostrożnie stapał po niej, wdychał pustkę jaru zięjącego chłodem, słyszał syczenie potoku. Gdyby tylko chcieć, już by był na niej.

Tym bardziej potem odczuwał przestrzeń, która była wokół niego jako protezę niewdzięczną, raniącą, duszącą, jako „nie-ja”. Wyłożyć siebie w przestrzeń, szukać siebie poza sobą można tylko w tym co moje; gdy się włada i rozporządza przestrzenią jakby organem, jak nogą, ręką, okiem albo nosem, do których dochodzą nerwy. Czuł to tak jakby można wskrzesić odcięty organ dlatego, że go się czuje centralnie, czyli że się go w ten sposób posiada. Tam, w Ameryce, pozostał mu z czasem tylko jakiś trzon ciała. Niewiele brakowało, by rzucił tę resztę i siebie na śmietnik. Skoro wszystko czego się dotknąć — „nie-ja”. Skoro prawie pozbawiony swego ja...

Jak wiemy wrócił.

Na razie zacierał usilnie amerykańskie wspomnienia, aby coś mącącego nie kapnęło do tego pucharu, który był przed nim, niby kropla nafty do miodu. Przekonał się z czasem, że to niepotrzebne. Co dnia gdy budził się rano pierwszą myślą jego było: jak to dobrze, że nie tam. Każde wspomnienie tamtejsze jak ciemne tło uwydatniało jego szczęście.

Gdy przybył późnym jesiennym wieczorem nad Jałowiczorę, powitało go zewsząd pokorne, starcze szeplenienie opadłych liści. Wyschła zgniłość listowia przenikała czyste powietrze zapachem

dobrotliwie zrezygnowanym, gotowym na śmierć jakby na dobry sen. Wszedł do domku. Nagrzana izba, drewniane ściany powleczone zaciekami żywicy, ze wzorami przeciętych słoików, zatopionymi w aksamitnym szernieniu pachniały i promieniowały przyjaźnie niby stara odnowiona kołyska smerekowa. Zwęglone polana trzaskały z cichym chichotem, kurzyły lekko lecz z fantazją.

Gdy ujrzał rankiem jasne zatoczki polanek, wgłębione w tęgie bukowiny ponad potokiem, ta sama ciekawość w nim się ocknęła, jak gdy niegdyś odsłaniał zatoczki ukryte pod szyją i między piersiami ukochanej. Nie którejkolwiek pojętej kobiety, lecz tej jedynej, która niegdyś była ogniskiem świata. Budził się w nim rozczarowany i pozbawiony kierunku eros.

Jak człowiek, który po paraliżu — ba, jakimś cudem po amputacji — odzyskałby członki, nawet wśród puszczy nie odczuwał osamotnienia. I rad że ma świat, cieszył się światem. Ciało jego odnawiało się, kraj cały stał się jego nogami, rękami, powonieniem, podniebieniem, wzrokiem. I znów złożony był w tej kolebce, w której znajdowała się Bukowina falista. Między górami, dokąd zapuszczały się jego korzenie, a stepem, gdzie była jego skóra.

Cieszył się wszakże jedynym towarzyszem, który go codziennie odwiedzał. Raz na dzień, choć nie regularnie, schodził do chaty z najbliższej choć wcale odległej połoniny, niemłody, poważny owczarz, któremu powierzono pieczę nad panem Tytusem. Biednie ubrany, połatany, przesiąknięty dymem watry, aż ciemny, wynurzał się z pobliskiego lasu w miękkich postołach — cicho jak duch. Posuwał się powoli z rozważą i z namaszczeniem. I gdy odchodził także znikał jak duch leśny. Smukły, trochę posiwiwały i smętny owczarz miał w sobie coś wojackiego. Pochodził z Pokucia, z Berezowa szlacheckiego, był „szlachcicem”. Przynosił mleko, sery, przygotowywał drzewo, rozpalał watrę, dokładał do watry, piekł chleby kartoflano-kukurydziane. Aby nie robić hałasu chodził cały czas na palcach. Krzątając się sapał, dyszał i świstał nosem z napięcia jak niejeden górski człek, co lekkomyślnie, bądź z fajką w zębach, bądź z ciężarem na plecach, zbyt prędko wspina się po stromych ścieżkach. Prawie nic nie mówił. Aż raz nagle zapytał suchym, pełkocącym głosem.

— Panie baronie, a czy to prawda, że wyście uciekli z Ameryki?

— Uciekłem — odpowiedział pan Tytus po namyśle.

— I ja uciekłem — rzekł owczarz nieco weselej.

— Jak to?

— A tak — i owczarz zaczął mówić po angielsku owym dialektem rąbanym, tak trudnym do zrozumienia, jakim mówili emigranci, uczący się jedni od drugich, — ej chy byn in Arkanzas in Nebraska and in Chicago for fyv jyrs. I uciekłem do chaty.

— A czemu? Nie było tam lasu i gór? Co?

— Jeszcze jaki las! To pan nie wi? Ale to wszystko sen. To gorączka. Nie poznawałem sam siebie. I teraz nie wiem sam czy to tutaj sen czy tamto.

— No i cóż tam jeszcze w tej Ameryce?

— A co? Światło wszędzie. Światła dużo. Ciemność gdzieś się schowała. Ale wciąż gdzieś gonisz, uciekasz wciąż, czy co? Chyba że od śmierci. Ba. I tak nie uciekniesz. Tylko ci życie tymczasem ucieknie. Tutaj życia dość — haj i za dużo.

Pan Tytus nie odpowiadał, owczarz kręcił się wokół pana Tytusa jak kot zadowolony czy zainteresowany, sapał i dyszał. Rzekał mu w końcu pełkocąc nad uchem.

— A wy ny żurysy! My tu każdy swój. My wszyscy wasi. I książę cesarski i brat wasz i nawet ja. Jeden umrze, drugi zostanie. Jak na warcie. Co nam kto robi? — Znów zamilkł, chodził tędy i owędy. Sapał po swojemu. Więcej nie okazywał ochoty do rozmowy. Gdy owczarz odchodził zostawiał po sobie tęgą watrę. Pan Tytus, o ile był w domu, dokładał do watry, utrzymywał ją. Watra kurzyła, pachniała mu wciąż świeżym dymem, podobnym do tego, którym przeniknięty był owczarz. Watra szeptała i pełkotała podobnie. I grzała podobnie.

Czekanie przeciągało się. Zanim przyszły rozstrzygające orzeczenia z Wiednia, jego krewni i przyjaciele odwiedzali go, chcąc mu urozmaicić pobyt. I przewozili go z miejsca na miejsce.

Z kolei zamieszkał więc na razie, już niedaleko gościńca, ale jeszcze wysoko w górach na przełęczy w Płoskiej na plebanii, wśród stromych łąk sianokośnych z widokiem ku puszczyom Jałowiczory.

Płoska wcale nie była tak mało zaludniona jakby się zdawało. Było to jedno z najludniejszych osiedli w górach bukowińskich. Lecz chaty były pochowane i zamaskowane. Toteż pomijając carynki i stogi, okolica niewiele różniła się od połonin i puszczy nad Jałowiczorą. I tu niemniej był samotny w gościnie u młodego wikarego, którego mało widywał. Lecz miał najlepsze zajęcie. Przychodził do siebie. Wędrował po okolicy całymi dniami nie tylko bez konia i bez psa, ale nawet bez strzelby.

Ten kraj cały odkrył mu się jako trwały odlew jego nadziei. Był pucharem, który go zachował. Nie w naniesionych warstwach pamięci, ani nawet w tym co rwało się, co jak grom czało się ukryte w szeleszczących szpargałach pokoju bibliotecznego, które bądź co bądź cenił, do których tęsknił. Lecz w otwartej księdze Bukowiny falistej widział nadzieję spełniającą się i zabezpieczoną. I dziś i po wiekach można by rozpoznać w niej wyraz pana Tytusa: tęsknotę wieków do przestrzeni. Jak wynurza się, jak zrywa się ze szczęśliwego zacisza. Z groźnym akordem, z pomrukiem gra-

nic: puszcz i stepów. A w to ujęta sama nadzieja o łagodnym życzliwym kołysie falistych rysów.

Gdy staniecie w pogodny jesienny dzień nad jeziorkiem czarnohorskim, utworzonym przez potok, całe oblicze jeziorka układa się podług waszego odbicia. Wizerunek ciała miesza się na dnie, niby ciało topielca, to z szuwarami i z nitkami zielonych porostów, to z ich cieniami na piasku. Głowa ujęta w ramę z chmur, włosy wplątują się w odbicie mchów nadbrzeżnych, z twarzy wyrastają porosty. Jedną ręką dzierży odbłask skalnego występu, a przez drugą przemykają się lub poważnie w niej trwają nakrapiane pstrągi.

Tak mieszał się pan Tytus ze swym krajem. Stamtąd spływały soki w jego zdrowie. Te soki które rozdzielały się na cały kraj, w pobliżu wysokiej przełęczy Płoskiej z kilku działów wód. Ze źródeł strumieni i dopływów: Białej Rzeki, Czarnej Rzeki, Putylli, Seretu, Suczawy. Wszystkie rodzą się nagle. Niewinnie wyszeptać się, wyblęsnąć z ziemi, ze żwirowisk, na szuwarach, na głazach. Potem rozsypują się kropłowiskiem jak obfite rosy. Tak biegną niezaradnie rynienkami, skaczą ciurkałami jakby młodzieńskie niedoświadczone jagniątka rozbiegły się i skakały. Potem zbierają się w ciemniejsze strugi. Nakrywają się ciepło gąszczami. We wzajemnej pomocy i usłudze: dają wilgoć kosodrzewinie, wierzbie górskiej, różanecznikom, kaszkom-rzeżuchom, — a tamte chronią je od słońca, od wiatru od mrozu. Zaszywiają się coraz głębiej, bulgocą, mruczą, zaczynają grać głęboko. Tak to rzeki siecią wodnych korzonków wydzierają się z gór, wysnuwają się z puszczy górskich.

Jak korzonki, nitki, pęki i miotełki korzeni biegną w puszcze i knieje ścieżyny, płaiki, tropy rozkrzewione. Podobne szeregom zdań, co gładko mkną przez gęstwiny starej księgi i widać dokąd dążą. Inne boczne, równoległe bieżące, to komentarze, to odsyłacze. Inne znów przecinki tylko, to numery stron. Przelatują przez teren albo próbują go na wsze strony, obmacują ostrożnie. Czasem już tylko ścieżynowe pytańniki, czasem myślniki i kropki — do skoku dla jelenia, do wzlotu dla sępa. Czasem szpetne pułapki dla durnych. A inne to aluzje puszczone dla tych, którzy godni byli tu się znaleźć. Czasem ścieżka śpiewa samotnemu wędrowcowi melodię krętą-giętą, zakręca rondem. W nią wlewają się wspomnienia, za jej zakrętami znikają wyrzuty i żale. Uspokaja symetrią refrenu.

Od ścieżyn stromiznami i zapasowymi rynnami potoków podążały starojelenie chody. To w dół ku ciemności, ku wodopojom, to skokiem w górę przez usypisko ku jasności, ku rykowiskom wysoko nad pustką zawieszonym, na wysuniętych nawisach skalnych, mchami okrytych.

Od płaików suche, trwałe, utorowane choć niepozorne tropy przedzierały się w dół przez rusztowania wiatrołomów, zalepione mułem jakiegoś dawnego wylewu, a zamaskowane darnią i mchami. Na tropach ślad jak gdyby kaloszy dziecinnych z wstydliwie ukrytymi odciskami potężnych pazurów. Prowadziły w dół sztolniami ku wygodnym korytarzom na dnie jaru. Tam na spodzie pod piętrem wiatrołomu staroniedźwiedzi płaj biegł już sobie wesoło aż pod gaurę. Zagnieżdżona w jaskini utworzonej w wywrocie korzenia, stała tam jak fort obwarowany wyszarpanymi głazami i zawarty strzaskanymi kłodami. Rowki z gaury wyprowadzały w jakiś inny świat, w królestwo niedźwiedzie. Za gaurą głęboki a swobodny jar się zaczynał bez dostępu dla nikogo. Wśród zaciemnionych polanek świeciły zastałe sadzawki puszczone, miejsca zabaw dla dzieci niedźwiedzych. Wysoko na stromiznach jaru wśród szczególnie starych pni smerekowych znaczonych korbami pazurów niedźwiedzych, ukryły się tarasy zamszone. To były ustronia niedźwiedzie dla wiosennych schadzek i igr miłosnych. Za całkowicie ukrytymi od świata zakrętami, w rozgałęzieniach potoczków, nad dopływami jeziorzek, na plażach doskonałe wgłębienia: dla niedźwiedzi-rybaków, które czatują tam i łowią sobie pstrągi.

Pod samym szczytem leśnym, od żadnego płaju niedostępne, niewidzialne z żadnego płaiku, nieosiągalne także dla rysownika mapy, o szczelinie tak stromej, że chyba by skrzydłem tam zlecieć, albo stoczyć się półżywym, na samym wierchu zakręconego ślimakowato jaru — źródła rysie. Gdzieś wysoko nad nimi, na skałach grubo omszonych, w gęstwinie szczelnie owiniętych, gniazda tych dziarskich kotów, leopardów naszych puszc. Rysiom łatwo zbiec do swego źródelka, nie potrzebują się obawiać, że ktoś im naruszy lub skazi ich krynice. I mogłyby tam sobie przetrwać kto wie jak długo, gdyby ich coś nie ciągnęło do wnętrza i na skraje puszc: potrzeba łowcza czy tylko zew wojenny? Same szukają śmierci.

Pan Tytus schodził w głębokie nory i leje u dna przepastnych zwisów. Do płajów sępicz a raczej do lądowisk sępicz, tam gdzie bieleją resztki kości, gdzie poniewierają się szczątki skór, włosienia i piór. Tamtędy do najdalszych zakątków docierała śmierć puszczoła. Raczej zajeżdżała sobie skądś pewnie i cicho szlakiem swoim cesarskim. A za nią z góry z powietrza, niemniej pewnie, niemniej cicho, jej ciemni pomocnicy i sprzątacze — sępy. Przylatywały naprawdę nie wiadomo skąd, jakby z innego świata, bo tutaj na całym obszarze gór czeremoskich nikt chyba nie zdołał odkryć ich gniazd. Były to sępy siedmiogrodzkie o skrzydłach opatrzonych w żalobnie zwisające firanki krepowe. Gnieździły się może gdzieś w Rodnieńskich czy Marmaroskich głazowiskach, w skalistych wyspach górskich, dokąd nie dochodzą nasi myśliwi. Za to sępy docierały wsze-

dzie. Ostatecznie gdzie sępy uprzątną, tam szybko murszeją szczątki kości, sam las je pochłania i mech.

To była jego granica na sępich płaikach. Do niej dochodził pan Tytus. Czemuż by nie. Gdzież jeśli nie tu? Dokąd należą sam, jeśli nie tutaj? I co bym właściwie stracił, gdybym stąd nie wrócił? Tu spoczynek trwały lepszy chyba jeszcze niż ten wycieczkowy. Gdyby tak można wiedzieć o ludziach te tajemnice, które wymykają się im samym jeszcze płochliwiej niż takie, które osłaniają sprawy wstydlive albo haniebne. Pan Tytus zdaje się myślał o śmierci zazwyczaj mniej jeszcze niż kto inny. Czuł wprawdzie dobrze, że skoro mógł wysyłać ludzi na tamten świat z lekkomyślności prawie, to powinienby równie lekkomyślnie albo na każde zawołanie stawić się śmierci do oczu. Tymczasem zamykał oczy. Na usprawiedliwienie mówił sobie: mógłbym być wtedy palnąć jeszcze jedno i to nieodwołalne ostatnie głupstwo. Na to zawsze jest czas, jeśli powrót i miłość mają być nie sezonowe, niby powrót ptaków na wiosnę, by znów odlecieć. W łonie tych łagodnych ciemnych skłonów zalesionych, u stóp bukowych czupryn, w dudniącej katedrze zieleni, pod murawą, pod rosami dźwięczącymi w powiewie puszcзовym jest dużo miejsc.

To właśnie umacniało go. Tu umrzeć, tu być pogrzebanym. Aha, zatem tu jest zakorzenione stereotypowe powiedzenie tak mało zrozumiałe: chciałbym leżeć we własnej ziemi.

Przez te płaje, przez całe ich pismo puszcзовe, kraina nieodkryta, a może straszna dla nieobeznanych z nią, stawiała się dla pana Tytusa, jak dla kłusowników, jak dla zapamiętałego pustelnika, krainą wiedzy. Przelatywanie światła opustoszyło go z wiedzy. Po prostu naprawdę nic nie wiedział od kiedy prawzorem dla orientacji w świecie stała się dlań jakaś pusta i przejrzysta szachownica albo płaska mapa.

A świat przecie był pozakręcany jak te puszcзовe płaiki. Na każdym z nich czyhało coś całkiem osobliwego, o czym trzeba wiedzieć aby tu nie przepaść. Na ścieżkach swych sam stawał się korzeniem szukającym w ciemni. I to mu przypominało dawne doświadczenia. Jak gdyby wcielenia. Jak gdyby był niegdyś jeleniem z puszczy pod Jałowiczą, świadomym ziół i pastwisk, z powonieniem o ogromnej skali. Z oczyma mieniącymi się nieustannie falującą tęczą czuwania dla zmierzchu i dla nocy. Z nogami dla jazu po ospiskach, dla skoków przez przepaście. Z uszami dla każdego powiewu, dla szelestów liści, dla szeplenienia szpilek smrekowych. Albo co najmniej psem gończym tu zrodzonym, wćwiczonym do puszczy. Albo dzieckiem pastuszym w szałasie zrodzonym. Takim jak ów legendarny Dobosz, co to nigdy nie zaznał duszności izby ani spania pod dachem. Nie dał zatkać sobie zmys-

łów i myśli zaduchem, śmierci stawał do oczu niemniej śmiało jak ryś. Może i szukał jej.

Korzeń zapomnianej wiedzy wiódł go. Świat ziścił się w jego kraiku. Uchwycił w nim taką żyłą nadziei jak człowiek, który nie potrafi się modlić dopóki nie zamknie się w starej kapliczce leśnej, porośniętej mchami, wśród jej czarnych zmurszałych ścian. A tam ze ścian szept Bóstwa płynie, jak kadzidło wonne otacza go, dusi prawie, ale i unosi.

Między wiedzą a ziemią ojczystą jest taki związek, jak to wynika ze zdania Voltaire'a w słowniku filozoficznym, sądził pan Tytus. Nie można znać, więc nie można kochać zbyt wielkiej ojczyzny. Czyli, należy wnioskować, nie można mieć ojczyzny zbyt wielkiej. A czyż można nabyć korzenie wiedzy w kraju nieojczystym?

Z tajników ścieżyn i strumieni wychodził na rozkołysane szczyty, łączące się falowo, bez jednej stromizny. I bez jednej barwy jaskrawej albo ponurej. Zielono-złote tony melodii niezachwianej w potędzie i łagodności. U dołu odgródzone puszciami otwierały widok na cały kraj ku stepom, ku Besarabii, ku Dniestrowi. Przypomniał sobie dawniejsze młodzieńcze wędrówki. Myślał wtedy, że te góry nie mogą się skończyć. Rozwachlarzają się bowiem w przestrzeń falami coraz szerszymi, coraz łagodniejszymi. Nie kończą się ani na Podolu ani na Węgrzech, ani na Wołoszczyźnie. Wciąż falują. Nie są granicą. I nie mają granic. Jak nie ma granicy korzeń wciąż przełazący się, sięgający w głąb. I nigdzie tu w górach nie było granicy, chyba śmierć.

Tu przypomniał mu się wszyscy przyjaciele, wszyscy drodzy, których stracił. Nigdzie chyba, tylko tutaj, nie skłoniłby siebie do tego, by ich przeproszać bez poniżenia siebie, by do nich wyciągać ręce nie ze strachu przed osamotnieniem. Wy tłumaczył sobie w końcu i zapisał że: „robił głupstwa”, co chciał być niesobą. I przestał robić głupstwa, bo postanowił być sobą.

Ucieczka od siebie przenosiła go niegdyś w przestrzeń. Odbicie ponowne z oddali ku sobie zawieszało go w pustce. Znów ciskał się w przestrzeń. Zrozumiał w końcu, że nie do tego tęsknił by tam w przestrzeni coś zrobić, uszczęśliwić kogo czy zniszczyć, lecz aby siebie wyłożyć w nie siebie.

Odkrył — Bukowinę. Pan Tytus uśmiechał się. Ktoś by może myślał, że to ma znaczyć: Bukowina ponad świat, ponad wszystko w świecie. Na szczęście tak mała... Bo i cóż to za kraj? Bez morza, bez rzeki wielkiej — toż kącik świata, nie świat. W dodatku tak niejednolita narodowo. Powiedzenie takie mogłoby stanowić chyba ironiczne otrzeźwienie dla innych współczesnych szaleństw i egoizmów. Bukowina co prawda wynikała ze związku kilku klimatów, kilku języków. Nie co innego a tę oto cichą,

malutką prawdę miał pan Tytus dawno dla świata w zanadrzu, jak jaskółkę, co pierwsza się wylęła.

To głośno wypowiedział sobie jako orację na pogrzebie swoich głupstw, gdy wróciły do prochu.

Stanisław VINCENZ

(Z czwartego tomu „Na wysokiej połoninie”
T. IV *Barwinkowy wianek*. Z rozdziału: *Wiatr nad Bukowiną*).



Stanisław Vincenz obchodził niedawno osiemdziesiąte urodziny. *Redakcja i współpracownicy KULTURY składają mu z tej okazji najserdeczniejsze życzenia.*

Drukowany niżej fragment wyjęty jest z rękopisu 4-go tomu „Na wysokiej połoninie”. Pierwszy tom tego dzieła ukazał się przed wojną i był w wyborze przedrukowany w Londynie.

SPECJALNY ZESZYT

« KULTURY »

poświęcony wydarzeniom czechosłowackim

Str. 224.

Cena F. 7,50.

Nietota

Mógłbym to zacząć staromodnie, na przykład tak:

„Wołoczyszcze i okolice należały kiedyś do książąt Zbaraskich, wywodzących się od kniaziów Nieświckich, którzy wywodzili się z kniaziów Pińsko-Turowskich. Wasyl Nieświcki w XV wieku miał trzech synów, Wasyla, Semena i Sołtana. Młodszy Wasyl odziedziczył Zbaraż i trzydzieści innych wsi, Sołtan Wiśniowiec, Dwór, Maniów i inne wsie w powiecie krzemienieckim. Tenże Wasyl miał synów, Michała i Semena, a tego ostatniego córka, Marusza Zbaraska, zmarła w 1620 roku, była zamężna za Wasylem Zahorskim, kasztelanem braclawskim. Jej znowu córka Hanna wyszła za Konstantyna Wiśniowieckiego, którego za jej sprawą, bo była wielką katoliczką, nawrócił na katolicyzm jezuita O. Nahaj. Ich syn Janusz Wiśniowiecki był starostą krzemienieckim. Miał synów, Konstantego, Krzysztofa i Dymitra Jerzego. Córki tego ostatniego to Eugenia Katarzyna Koniecpolska, Zofia Leszczyńska i Salomea. Salomea, obrana ihumeną, ksienią Panien Benedyktynek przemyskich zrzekła się Wołoczyszcza (czyli Wołoczysk z przedmieściem Staromiejszczyzna) i wsiami Wołoczkwce, Dorofiejówka, Korostawa, Balkowce, Januszowce, Manaczyn, Pisarzówka, Zielone, Dederkały, Krzysztofówka, Medwedówka, Broniówka, Kaczorzyńce, Petrykowce, Sarnów, Kurniki, Porochnia, Niemierzynce, Kociary i Hłochwasty, na Potockich, którzy sprzedali je Moszyńskim”.

Cały ten wstęp miałby być o tyle potrzebny, że kiedy Nietota była na pensji w klasztorze Panien Benedyktynek przemyskich to straszyl tam wciąż duch Salomei, chociaż ksieni zmarła jeszcze w roku 1716.

Albo mógłbym to zacząć w stylu ekspresji:

„Taka panna Winslow napisała kiedyś sztukę, z której zrobio-

no także film. Nazywało się to: „Mädchen in Uniform”. We tle pruska pensja dla panienek, z jakimiś tam komplikacjami psychologicznymi, lesbijskimi, atmosferą dosyć jak na ów czas szokującą. Pamiętam z filmu scenę taką że tej jakiejś virago-wychowawczyni, przywołana przez nią pensjonarka, pensjonara, ma się zameldować. Przychodzi, a jakże, z lekcji fechtunku w sali gimnastycznej, ma jeszcze na sobie obcisły kostium szermierczy, pończochy do kolan, pantofle, w obcisłym plastronie fechtunkowym, w lewej ręce trzyma drucianą maskę szermierską, w prawej floret z jego lśniącem koszem, floret giętki jak bicz, z gałką nasadzoną na kolec ostrza”.

Otóż widzę Nietotę, jak to Nietota, w obcisłym plastronie szermierskim, zapiętym wysoko pod szyję, bluza pozapinana na guziczki na ramieniu i piersi ma obcisłe i wysokie pod tą bluzą, strome, a na plastronie, wiadomo, tam gdzie bije serce, ma wyszyte, naszyte, wycerowane serce z czerwonego safianu, czerwone, szkarłatne Coeur. Na „planszy”, zanim pierwsze „En garde!” przeciwnika, wita się salutując floretem, kosz gardy do twarzy i świetnym, jedynym ruchem, skosem, jakby zataczając szarfę ze stali, jednym śmignięciem, paradą, garda od ust, w prawo w dół, i Nietota saltuje tak samo przed ksienią, przywołana do ksieni. A uczył fechtunku sierżant, szermierz, instruktor wychowania fizycznego dziewcząt w szkole klasztornej, sierżant Pierwszego Pułku Czołgów z Żurawicy. Quinta! Tercia! Patinando! Na Patinando! Raz! Dwa! Trzy! szybki posuw do przodu, wypad prawej stopy i ostry okrzyk i szych! i cofnięcie się do tyłu.

Albo mógłbym przepisać to co mam zastenografowane w pamięci, słowo w słowo własne słowa Nietoty. Mówiła mi kiedyś że wybrała się do podmiejskiego parku nad rzeką i tak sobie tam po panięńsku kołowała po trawie na tym welocypedzie, lśnią jego szprychy i koła podskakują na nierównościach i szeleszczą po trawie gumowe opony maszyny. I tu niech już sama opowie własnymi słowami:

„Na skarpie nad brzegiem siedziała para staruszków, takie to zasuszone i powiędłe, twarze w zmarszczkach i przygarbieni i zmęczeni tacy życiem, łagodni i po starczemu zastraszeni tym światem który wokół nich się toczy, przegonił ich czas i już, i zostali w tyle staruszkami, jeszcze zaśluchani w życie, ale dolatuje ich ono jakby z daleka, jak turkot oddalającego się wozu. I wyobraź sobie, nieprawna, niezdara, jadę, koło przednie mi się giba i chwieje i widzę, Boże! widzę że jadę wprost na nich, na ich pochylone, zgarbione plecy i coś mnie pcha i nie mogę się zatrzymać, przeklęty rower... No i wjechałam na tę parę, na tego Filemona i tę Baucis, śmiesznie i niezdarnie, a oni przestraszeni, aż oczy im się porobiły o takie okrągłe, a ja stałam rozkraczona na tym rowerze i wargi

mi się trzęsły od płaczu i przepraszania, głupia niezdara, przestraszyłam tych dwoje, na starość przysporzyłam im upokorzenia i strachu, aż mi było żal, jak żal... Ale takie rzeczy się zdarzają i już, prawda?"

Bo kiedy życie nasze składa się z tryumfów i klęsk to Nietota zawsze o klęskach. Przecież miała swoje tryumfy i radości, ale przez przekorę czy zamiar jej nieznany, niezrozumiany czemuś miały one zawsze domieszkę klęski. Była ogromnie, niebotycznie, cudownie uzdolniona, najtrudniejsze rzeczy przychodziły jej jakże łatwiutko, jakby od niechcienia, jakby bez wysiłku najmniejszego, na marginesie ważniejszych poczynañ. Na pensji, gdy inne kujony pracowicie dorabiały się swych stopni, Nietota chwyciła to wszystko na gorąco, od razu, łapczywie, utrwalała to bez wysiłku w pamięci, mogła recytować po tygodniach zasłyszane zdania, wiersze, ustępy, formuły, a do tego oddawała to wszystko w dwójnasób, upiękshone, przeformowane, zharmonizowane, cudownie skomponowane. A wieńczył to dowcip, humor, bystre podpatrzenie paradoksu sytuacji, udziwnienie, niezwykłość. Najnudniejsze stawało się przez nią najbardziej zajmującym.

Nietota o swoich klęskach. Opowiadała mi jak kiedyś wracała z klasztoru na wakacje do domu, z jakąś znajomą, pociągiem, podmiejską linią ze Lwowa, pociąg chwieje się i stukocze na krzywiznach i rozjazdach, mija i zatrzymuje się na podmiejskich stacyjkach, kręci się za oknami wagonu tamtejszy krajobraz, wzgórza porośłe bukowym lasem, potem pola, chłopskie morgi i łąny, ich pasy i miedze, wierzby nad przeciekającą wodą, dalekie chałupy chłopskie. Wagon jest twardy i kiwają się na ławkach nijacy pasażerowie. To sobie moje panienki pogadywały, co tu mówić, plotkowały sobie niewinnie o małomiasteczkowych wydarzeniach i skandalikach, jak to panny. Nietota śmiała się i była do teraz jeszcze zakłopotana tym co się wtedy wydarzyło. Bo za temat swoich niewinnych, panińskich obgadywań wybrały jakiegoś pana, który niczym się nie odznaczał, pewnie jakiś urzędnik powiatowy, zaharowany tam i dbający o jakieś tam swoje sprawy. Nie mówiła mi o czym mogły to sobie wtedy opowiadać, pewnie w tym było nic szczególnie ciekawego, ale w każdym razie był temat, sądziło się innych, coś może i przy tej okazji się zmyślało, byle tylko językiem obracać. No i nagle siedzący w tym samym przedziale pan przerwał pannom te historie sobie wzajemnie opowiadane, i może nawet zakłopotany, ale i dotknięty, do, jak się to mówi, żywego, powiedział, tak po inteligencku: „Bardzo panie przepraszam, ale panie mówią o mnie i o moich sprawach”. A więc gaffa, mój Boże, niezręcznie i nieprzyjemnie i jak to wtedy krew napływa do policzków, a odrobić się już nie da i nie da. Nawet sobie wyobrażam i zakłopotanie samego tego pana, było mu nie-

przyjemnie, zdaje się że w tym wspomnieniu Nietoty było o tej wyczutej u niego nieprzyjemności, ale ten pan ani nie okazał się ordynarny, ani się nie rzucał, po prostu zareagował przyzwoicie i godnie.

Ten pan z pociągu, którego nigdy nie widziałem i nie znałem jest mi tak dobrze znany jak wnętrze wagonu podmiejskiego pociągu. Należał do klasy ludzi z których sam się wywodzę. Co na nią składało się? Przede wszystkim była to kasta urzędnicza, wszędzie, zawsze autorytety stwarzały sobie systemy, urządzenia z ludzi na żołdzie, płaconych, skąpo bo skąpo, trzymanych w ryzach, w ramach, formach, kierowanych nakazem z góry. W imperium carskim wszystkich przecież robili urzędnikami: arystokrację, szlachtę, kupców, nadawali im rangi, kategorie, kazali im nawet nosić uniformy, mundury, fraki czy jak tam, dawali w nagrodę do noszenia wstęgi, ordery, cóż to czy Puszkina nie nosił kapelusza stosowanego czy takiej czapki z bączkiem na dworskie przyjęcia albo czy gdy trojką wybierał się w odwiedzin. Lubili sobie ci co rządzili i wodzili innych za nos poubierać ich i ponadawać im tytuły takich i owakich radców tajnych i radców dworu i hofratów i counsellorów, geheimratów, bo to i łatwiej utrzymać w szeregu i zidentyfikować. W niektórych historycznych organizacjach, weźmy Bizancjum, to nawet odbierali im męskość, a jakże, kastę urzędniczą najchętniej stwarzano z eunuchów, rzezańców, bezpłciowców, nawet sięgało to i w sfery militarne, czyż Narzes, admirał Justyniana nie był eunuchem? A przedtem pierwszy Rzym miał tych swoich konsulów i prokonsulów, kwestorów, pretorów, cenzorów, prefektów i stamtąd te tytuły do nas przywędrowały. Stąd te setki innych tytułów konsyliarzy, dependentów, referendarzy, profesorów, aplikantów, adiunktów, przewodniczących, asystentów, prałatów, dziekanów, naczelników, dyrektorów, koadiutorów, kierowników, kolaudantów, assesorów, prokuratorów, podsekretarzy, kuratorów, kustoszów, plenipotentów, pryncypałów, hospitantów, prokurentów, szefów, referentów, absolwentów, alumnów, abiturientów, inspektorów, docentów, komisarzy, praktykantów, kierowników resortów, suplentów, i tak dalej, i tak dalej. Wszyscy oni mieli z nadania, z namaszczenia władzę i z tytułu trzymać innych w ryzach, w garści, „za mordę”, w posłuszeństwie. Ci ludzie organizacji mieli z góry patrzeć na innych i pogardzać „pracowitymi” co to w ziemi i błocku grzebią, cioszą, dłubią, paprają się i parają, bez których ani byśmy wyżyli, żyjemy ten chleb co nam wygnietli, żłapiemy co nam przydygowali w beczkach, garnkach i co podają nam na klęczkach w kielichach. Wciągamy na siebie koszule, wzuwamy buty, okrywamy się kozuchami czy futrami co to nam je wyścibali, wyszyli dratwą, wygarbowali, chronimy się pod dach co go nam wyrzuchowali nad głową, huśtamy

się na resorach, włączymy jakby nigdy nic na siedzenia powozów, dla których koła musiał kiedyś zdziałać jakiś kołodziej, koła toczone się po gościńcu który wyścieliły nam kamienie, w znoju rozbijane młotkiem pod bezlitosnym słońcem przez tych co to „kamienie tłuką przy drodze”, i dudnią pod tymi kołami dyle, podłoga mostu jaki nam wymościł (i do tego ukradliśmy im na dobitek ich miano, bo przecież to ten co ten most dla nas kładł kiedyś nazywał się nie inaczej a „pontifex”, a dzisiaj ten pontifex maximus to najwyższy kapłan tych co to sobie rąk nie uwalają). Inteligenci, ci to usadowili się. Żle! Nie usadowili zaraz, bo to po mieszczańsku czy posiedzielsku, a to ani mieszczenie ani posiedziciele. Uplasowali się w takiej warstwie gdzie dziurawo i nędznie, ale fason się trzyma, tych rąk właśnie się nie uwalą, gdzie się jest zawsze przez „pan”, „pani”, gdzie obowiązuje ten specjalny, literacki, inteligentki język, to prawda przeładowany, banałami, komunałami, *dictionnaire des lieux-communs*, elegancja wysłowienia się, osobny dialekt, bez surowizn, ta osobna literacka polszczyzna, wyszlizgana jak wytarte łokcie marynarki, jak leciutko przybrudzony kołnierzyk koszuli i krawata, ale kołnierzyk i krawat muszą być! A do tego śmietnisko drobiazgów, spinek, breloków, owszem i papierosnica którą z trzaskiem zamyka się na preferansowym stole, cygarniczka, takie i owakie getry, kamizelki, pullovery, butonierki, no i oczywiście, jakżeż by bez nich, rękawiczki! szare, zamszowe, z świńskiej skóry, parasol, pilśniowy kapelus, płaszcz raglan czy sakpalto, czy palto „miastowe” z wyleniałym ale futrzanym kołnierzem, a u pań rozmaite fioki, bluzki, kasaki, koroneczki, fastrygi, kroje, rzuciki, kapelusiki, toczki, budki, rajery i inne pierze zdechłych ptaków, bo jakżeż by. Osobna społeczna warstwa czy kasta, inna, hieratyczna, zbalansowana na jednym poziomie, z maturą gimnazjalną czy tytułem doktorskim, a zawsze adresującym się przez trzecią osobę i „pan”, aż wyszło tak jak wyszło koledze Przybosiowi w jego antologii poezji chłopskiej (ach te antologie!) że z tego uroczego, lirycznego zbioru poezji chłopskiej pierwszy nieszczęśliwie i złowieszczo zaczyna się od słów: „Diabli wzięli pana...” No to już nie znęcajmy się nad nimi. Pod tymi tytułami, tak jak pod bindami, pomadą, za szklami okularów i pincenez, pod kresą kapelusza panama, pod kamizelką z łańcuszkiem, pod klapą z wpiętą w nią odznaką, pod przyciskiem na biurku, bibularzem, pod stosami aktów podawczych, jak za parawanikiem w saloniku i za szpalerem krzaków porzeczkowych, za firankami i dziwkim winem oplatającym pokrzywiony ganeczek w miasteczku, czy za portierą straszliwego przedpokoju kamienicznego mieszkania, za tym wszystkim...

Alem się rozpędził, jak ów Szewc Rozpędek z bajki, który smolał dratwę, klepał skórę i tak walił młotkiem że żadne buty

mu nie wychodziły bo się zanadto rozpędzał, a ten rodzaj twórczości pisarskiej nazywa się *fleuve, stream of consciousness*.

.....

Nietota pojechała na wakacje na takie lotnisko nad Dniestrem gdzie to południe, upalne lato, a zieleń tam rozbijała, gęstsze zarośli, wielkie kopuły czereśni, gaje drzew, leszczyna, graby, dęby i pola, ogrody, a w nich aż kotłuje się od tej rozbuchanej zieleni, gęsta dżungla konopi, słoneczniki obracają swe głowy za słońcem, fasola na niebotycznych tykach, słodki groszek jak pachnie, dynie, harbuzy, melony rozwalające się, opasłe, po grzędach, strąki, boby takie jakieś woskowate, maliniaki i porzeczkowe krzaki i agrest włochaty, i ciężkie od zielonych jeszcze jabłek gałęzie jabłoni i cała ta zielenina rozmaitych marchwi i pietruszek i łopianowe cienie u parkanów i winna latorośl, tu przecież wino się udaje, i słodko, sennie, gorąco i jaskrawo od tarniny i jarzębin i dereni i ludzie tamtejsi zachodzeni koło tych swych robót w obejściach, ogrodach i na polach i oczywiście muchy, roje ich, siadają wszędzie i pełno rozmaitych mrówek, pełzających żuków, chrząszczy, liszek, gąsienic, mszyc i paprzę się w kurzu wróble i przelatują ptaki, trzepoczą skrzydłami, fruują, klaskają i pogwizdują, i „ścianki” nad Dniestrem ich płytki, blaszki kamienne sypiące się z urwisk i na zboczach dniestrowych ciężkie, kolebiące się krowy powychodziły stopnie schodząc do wodopoju, a nad tym wszystkim kopuła niebieska, niebieściutka nieba, jak szklany dzwon z niebieskiego szkła.

Otóż w tych cieniach i tym słońcu się przesiaduje, do wody, kąpieliska niedaleko, trawa, ręczniki kąpielowe, jakieś tam chusty, szale, koszyki plecione, dzieci-bobasy, robótki, buteleczki, korki, pieluszki, zabaweczki, łopatki, koneweczki, w ogóle śmieciarnia dziecinno-lotniskowa i towarzystwo rozleniwione. Między taką kompanią letników, inteligentów na lotnisku, zawiązuje się oczywiście komitywa, gra się w bridża, czasem wieczorem szło się na dancing w restauracyje, gdzie i fasony wielkomiejskie, i menu niebyłajkie, z daniami, specjalnościami miejscowymi, pstrągi, góry owoców, przystawek, lodów, gospodarz uwija się i kłania, panie rozszczebiotane, wieczór, kolacja, ale jeszcze z dnia duszno od gorąca, przy pianinie chudy pianista i drugi, skrzypek, co to i do tańca zagrają i „do słuchu”, jakieś tanga albo coś rzewnego ludowego.

Dziela się uwagami na temat nawzajem sobie wypożyczanych książek, powieści, rodzaju sztuki który sobie inteligencja ekskluzywnie przyswoiła, inny gatunek ludzi powieści nie czyta. Będą to nowości jeszcze nierozcięte albo dobrze już zaczytane powieściidla,

teraz nie nazywa się już tego „romanse”. Rzeczy najróżnorodniejszego autoramentu, najnowszych autorów a także klasyków. Dostojewski z jego strasznościami, niesamowitościami i rozhisteryzowanymi i rozgadanyimi, straszliwie rozgadanyimi psychologicznościami, nic tam się u niego nie dzieje, ani też niczego nie widać, ani krajobrazu za oknami wagonów, ani widoków Szwajcarii czy Nadrenii, ani Rosji, ani nie bardzo wiemy jak tam wyglądają twarze i grymasy tych jego bohaterów. Lepiej już u tego zaczytywanego Dickensa, bo ilustrują je sztychy Cruickshanka, panowie we frakach i halsztukach, obciste spodnie ze strzemiączkami i te ich tam bakenbardy przy wygolonych podbródkach i na czoło zwisa im ówczesny lok, a panie w budkach, pasterkach ze wstążką pod brodą albo *follow me*, i spod fałdów spódnic, krynolin wygląda im czubek bucika, pantofelka, przewiązane w kostce, pęcinnie i foryś na siodłowym koniu zaprzęgu dylizansu i wiechy oberż i zajazdów. A znowuż u Schnitzlera to domyślamy się sztafażu wiedeńskiego Prateru, fircyków w waffenrockach, z wąsami usztywnionymi pomadą i dobrze ufryzowanymi przez bindę. To znowu Maupassant i w ogóle francuscy noweliści, takie to u nich wyfajnowane, ciut-ciut, psychologie i perwersje, wysmakowane, „cienkie”, tylko że ówczesne wydania miały psujące wrażenie ilustracje, a na nich piórkiem, koniecznie wyszrafowane, znowuż panowie z wąsami, w wysokich kołnierzykach, a panie z biustami i w długich spódnicach, z włosami poupinanymi niemożliwie, w kapeluszu takimowakim. Już nie mówię o naszych młodopolskich nowelistach, w okładkach z secesyjnymi wywijasami, rozdziały mają szkaradne winiety a ich akapity zaczynają się od dużej litery z wielkimi zakrętasami. Ale już sygnęły się najnowsze wydawnictwa, lepsza czcionka, dobre tytuły. I spoza tego wszystkiego wзира ku nam ten świat wymyślony, nieprawdziwy, imitujący, małpujący życie, fabuły, zawiązki sytuacji, charaktery postaci, bujda na resorach, ale jakże przywykliśmy do tego oszustwa i zmyślania, do poduszki, na wakacje, przydygowane tu z wypożyczalni.

Ależ ta bzdura, popis, udawanie są umową dopuszczalne! Nawet gdy osobiście jesteśmy odstręczający, niegodni, to, jak jest w „Nieboskiej” tego „hrabiego z długim nosem” o poecie: „Ty jesteś ten przez którego płynie strumień piękności — ale sam nie jesteś pięknoscią” to pisze się dla czytelnika, ufa się czytelnikowi że nam pomoże, że nam ułatwi zrozumienie, bo jak powiada Coleridge poeta ma prawo spodziewać się po czytelniku że ufając daruje nam zmyślenie, że „dobrowolnie słumi w sobie niewiarę”.

Wedle reguł poetyki sztuka poważna ma być w założeniu imitacją akcji poważnej, a także winna ona mieć wymiar, ma być całością w sobie i zawierać takie incydenty które winny wzbudzać współczucie i trwogę i wtedy u odbiorcy osiągnie się wyraźne po-

czucie „tragicznej przyjemności wynikłej ze współczucia i trwogi”. Te warunki tragicznej katharsis, „oczyszczenia”, uzyskamy i wtedy gdy bohaterowie tragedii nie są z gruntu ani źli ani dobrzy, nie lepsi ani nie gorsi od innych. Ich nie pycha czyli hubris ale zadufanie w osiągnięte szczęście, „błąd osądu”, sprawi że nie usłyszą przestrogi bogów. A w nas wzbudzi to wtedy tym większe nawet współczucie, bo ich nieszczęście jest niewspółmiernie większe od winy, i wzbudzi w nas tym większą trwogę, bo ukaze nam możliwości naszej własnej klęski.

Historia o Nietocie błąkała mi się po głowie od dawna i nawet myśli które mi jej temat nasuwał notowałem rodzajem półsłów i haseł, i nazbierało mi się tego nawet sporo, ale teraz nieraz sam własnego szyfru nie mogę rozszyfrować. Zaczęło się od imienia które miało pójść na tytuł: Nietota. Wyszukałem w etymologicznym słowniku Brücknera że „Nietota znaczy 'nie to ta', bo to lycopodium, roślina czarownicza, a roślin czarowniczych nie nazywa się po imieniu”. I tamże uzupełniłem Brücknera że nie wymienienia się po imieniu i istot potężnych, budzących w nas trwogę, strasznych, a także i osób nam drogich, by uszły uwagi tamtych zazdrosnych potęg (*phthonos theon* — zawiść bogów). Potem była zaraz uwaga: Nietota pisze lewą ręką. Miała taką przywarę, która w owych czasach u dobrze wychowanych, *bien rangé* panienek była skazą i wadą taką bezlitośnie tępiono u takiej „mańki”, a nie wiedzieli że mogło to się przerzucić, że dziecko które przymuszają by władało prawą ręką może na przykład zacząć się jękać. Dalej: „Gwiazda Syberii” a obok cała trupa z *commedia dell'arte*, Arlecchino, Dottore, Capitano Spavente, Pantalone, Rosalinda, Scaramouche... Skąd to znowu? A no w teatryku pensjonarskim dawały przedstawienia i Nietota (lewą ręką) szyla sobie pstrokate domino Puncinelli. A potem: „Nietoto — co ci oczko podbito!” Czemu? Nie wiem. A potem: Przez Zawrat i Klamry do Morskiego oka. Czemu? Nigdy w Tatrach nie byłem. A potem znów o oczach i ciągle o oczach. „Czy woli pan blondynki czy brunetki?” To wiem, nagle widzę ją jak żywą. Przemyka raz jedno błękitne oko raz drugie i pyta czy wolę blondynki czy brunetki, bo gdzieś usłyszała o osobie o jednym piwnym a drugim modrym oku. Dalej zapisane „Uroczne oczy” i całe wyjaśnienie do tego: Kiedyś na lotnisku wracali spacerem z przechadzki, takiej inteligenckiej przechadzki kiedy idzie się wolno, w kurzu drogi, omijając „placki” krowie, a wszyscy tacy różni od otoczenia, panny w perkalikach, chłopcy w ich koszulach z kołnierzem à la Słowacki, z marynarką przerzuconą przez ramię, a wokół bosonoga wieś, cuchnąca potem, stajnią, chlewem, z jej zapachem ogrodów i sadów, obrazek jak z Moneta czy Podkowińskiego. I na ich nadejście wypada „żinka”, chłopka i porywa bawiące się w kurzu drogi dziecko i przyciska-

jąc je do piersi ucieka do chałupy (próg jej wysoki, przyzba z gliny, pod okapem strzechy zeszłoroczne kaczany kukurydzy i „hładuszczyki” i rozbiegają się spłoszone kury gubiąc pióra i wita cała zgraja kundlów wsiowych obudzonych z pełnego kłapania za muchami snu). A bo puścił ktoś po wsi że błękitne oczy Nietoty rzucają urok, że są uroczone i że niedobrze kiedy padną na dziecko, przesąd, babska złośliwa plotka, kto by pomyślał.

Zapisane tam miałem skrzątnie także i motto. Teraz to już niemodne, nie stawia się go na początku historii. Przepisane z elżbietańskiego dramatu:

„Cover her face... my eyes dazzle... she died young...”

I jeszcze wpośród tego śmietnika słów na końcu zapisane: Pieniążki. Długo się nad tym słowem zastanawiałem aż przypomniałem sobie. Już wiem! Na urocznych oczach położone pieniądze, miedziaki, przyciskające na zawsze zamknięte powieki...

.. .. .

Ileż to można przeżyć w tak krótkim czasie? Co można zamknąć w tak krótkim życiu? Mało tych wiosen, mało tych lat i zim, a przecież świat tak ogromny, czas tak się rozciąga, rozwłócza że jest w tym miejsce na wszystko, na radości, na cierpienia, nudę, ciosy i upokorzenia. Raz dni wydają się mgnieniem oka innym razem wloką nieskończenie, kleją, właśnie wtedy kiedy w nas dygoce od zniecierpliwienia, od gorączki, bo mówią że u gruźlików to całkiem inna fizjologia, że te stany gorączkowe to całkiem tak jakby rausz, jakby pod alkoholem. Jak jej życie mogło się wydać, co potrafiło jej te chwile wypełnić, jakimi obwieszała je sobie welonami marzeń, wspomnień, zamyśleń, w tym dalekim, samotnym domu?...

Zygmunt HAUPT

Siateczka

Konduktor ciągnął za sznur, z pomostów krzyczano, stać! trzymać! Od alarmowego hamowania zatrzęsło wagonem, rzuciło stojącymi do przodu, wyciągali ręce, zakrzywiali palce, podcinali sobie nogi nawzajem jak w beczce śmiechu. Naraz wszystko ucichło, znieruchomiało. Ze stopni podawano: kobieta! I co? I co? Tłum ją otoczył! Ci ze środka jęczeli, cholerowali. Otrzeptywali marynarki, rozcierali kolana ze złością. Zrywali się: stuknąć w czoło takiego motorniczego! Jak hamuje ćwok jakiś! Odstawić go od tej korbki! Do pegeeru! I znowu: ręka jej obsliznęła! Nie umi a się czepia! Świnie!

Ze środka wozu ku wyjściu poczęła przepychać się starsza kobieta. Ten niespodziewany przystanek dobrze dla niej wypadł, do Centralnego Zarządu gdzie robiła jako umysłowy było stąd o dwieście metrów bliżej. Ucieszona zeskoczyła ze stopnia, przepuściła ciężarówkę, dostała się na chodnik. Ostrożnie wyszukiwała miejsca gdzie rzucono trochę piasku albo szklaną skorupę już odbito. — Ślizgawica, gołoledź, skonstatowała. — Łatwo upaść, rękę złamać, nikt człowiekowi za to nie zapłaci. Nagłym ruchem sprawdziła zapięcie torby, spojrzała na czas i przyspieszyła kroku.

Buty od prywatnego szewca a śliskie, medytowała idąc, niebezpieczna to rzecz śliskie buty, niedalej jak wczoraj pisali, człowiek szedł, pośliznął się, dwa zębra i złamanie kości biodrowej... Łachudra szewc, jednak łachudra, upewniała sama siebie ze smutkiem, a tak zachwalał, but na zamówienie to nie kupny, wierzchy da się z rękawiczkowej skóry wyrobionej jak należy, takie wierzchy ani nie rozciągną się jak guma, ani nie pokruszą jak przesuszony szajs z przydziału. Taka skórka, mówił, rzadkość dzisiaj, rarytas, jeszcze tylko parę lewych garbarni w

białostockim ją robi ale i to na wymarcu. Spody, zaklinał, najlepsze co może być, z kradzionych nowych opon! Warstwa płótna, warstwa gumy, warstwa płótna, warstwa gumy... Skóra rozmo-knie, guma naciągnie mrozem a taka mieszanka niezastąpiona... I nie ślizga! Łachudra szewc, jeszcze parę lat temu był uczciwy, o markę firmy dbał, żadnego partactwa, stawiał parę na kontuarze, zaginał trzewik a ten rozprostowywał się sam, powoli... Prima, mówił, buty na życie! I obtańcowywał klienta, i zaglądał mu w oczy. Na życie!

Starsza kobieta zatrzymała się, popatrzyła na nosy, świeciły nowym połyskiem, nie zacięte, nie zarysowane, widać było, ostrożne chodzenie i dbałą rękę. A kosztowały te buty oczy z głowy, mówiło się, byle były mocne, nie przeciekały, nie ślizgały się. A tu ślizgają się. Przyjdą większe mrozy okaże się czy stopa nie marznie, strach pomyśleć gdyby miała marznąć, strach pomyśleć...

Wielki marmurowy gmach, przed nim wijąca się szara ścieżka. — O wysypali! — ucieszyła się starsza kobieta. — Co ja widzę? Zużel! Stanęła przed drzwiami wysokimi na kilka metrów, lśniącymi od złocien jak wrota do cerkwi i zaparła się oboma nogami. Drzwi uchyliły się i zatrzasnęły, szczerknęła tylko w kształcie kłownego liścia klamka. Starsza kobieta uchwyciła ją znowu i ruszyła do natarcia pomagając sobie ramieniem.

Z drugiej strony przez szybę przypatrywał się jej zmaganiom pan Władysław. W mundurze straży przemysłowej, błyszczący od sprzączek i guzików, przed wojną był właścicielem sklepu spożywczego na Żoliborzu. Jak mało kto oddany był wtedy paniom urzędniczym, kupującym u niego nabiął i włoszczyznę, dla ułatwienia życia stałym klientkom codzienne zakupy notował tylko w kajecikach, kredyt dawał łatwo, nie pilił o uiszczenie, nie naga-bywał. Jednak po powstaniu już nie wrócił do interesu, ani lokalu, ani dawnej klienteli, z dostawą ciężko, chłopki rozbisurmaniły się, ser i masło na wagę złota, chociaż na przykład na cielęciny z nielegalnego uboju mogłby jeszcze nieźle zarobić. Wstąpił do straży, bo to robota żadna a ubezpieczenia i sortów odzieżowych tyle że starczało dla syna. Ale czy nie umiał żyć z ludźmi, czy po prostu źle popadł, dość że przydział służbowy bynajmniej go nie zachwycił. Noc w noc wystawanie przed barakiem na peryferiach, nic tam w środku tylko archiwa, korespondencja, śmieć jak mówił i makulatura. Dokuczyło mu to fatalnie, mróz nie mróz, głupiego robota, stękał, a tu jeszcze lotne kontrole, nie daj Bóg nie przypadnie im coś do gustu... Aż kiedyś szczęście uśmiechnęło się do niego. Nocą, zalany facet przywłókł się pod ten barak, polazł za załom siusiać, potem wyciągnął Sporta, jedna zapalka mu zgasała, zapalił drugą, a wtedy pan Władysław, ręce do góry, podpalacz! I ze swoją pepeszą do niego, tamten coś pomamrotał,

a pan Władysław serię w powietrze, ręce do góry, krzyczy, bo ukatrupię! Rzecz jasna facet poszedł siedzieć ale panu Władysławowi polepszyło się wydatnie. Od razu nagroda, awans społeczny, koniec z wystawaniem po nocach ale praca lekka w portierni Centralnego Zarządu. W odprasowanym uniformie, z błyszczącą kłamrą na brzuchu stoi odtąd pan Władysław przy głównych drzwiach wejściowych, czasem zainteresuje się czy ktoś nie wynosi tajnych dokumentów, obcym udzieli informacji, ale zasadniczo przestaje tam do witania się i żegnania z naczałstwem. Przejdzie referent ani na siebie spojrzę ani splunę. Co innego dyrektor, uścisną sobie prawice z Władysławem i gdyby tak więcej czasu a nie tylko te sprawy państwowe, och zakleliby sobie i pogwarzyli... Naczelnicy i kierownicy też cenią sobie dłoń Władysławową, a nawet myśli starsza kobieta, i młodziaki. Starsza kobieta nie dziwi się młodym. Czy po to szkoły kończyli, żeby za tysiąc dwieście przymierać? Już przed wejściem ściągają rękawiczkę, rzucają Władysławowi: Cześć! Jak zdroweczko! Jak żona! A potem całymi dniami nachyleni ku sobie chodzą korytarzami po dwóch po trzech, jakby tu się prawidłowo ustawić, rozważają, ustawienie się, ot co płaci!

Przebiegła korytarzyk wyspany świeżymi trocinami, trzy schodki, pośpieszyła między szeregami kolumn rzymskich zdobiącymi hall główny. Z lewej strony wciśnięto między nie baraczek z płyt pilśniowych, kiosk Ruchu, z prawej blatami od stołów pingpongowych odgrodzono szatnię. Marmurowa posadzka lśniła świeżą floterką, rysowały się na niej cienie przechodzących.

Już przy windzie zrozumiała, że jest późno. Tylko dwie trzy osoby, spojrzała na zegar, dziesięć po. Rękawiczki wcisnęła do kieszeni, szalik i pilotkę do torby. Na czwartym poczęła biec wzdłuż czerwonego chodnika. Niektóre pokoje były otwarte, pracownicy siedzieli już przy biurkach, gawędzili lub szykowali się do pracy. W toalecie damskiej siksy z księgowości cesały się i upinały koki, w męskiej, starsza kobieta zerknęła tam niechcący, Maliniak przykleił twarz do lustra i dwoma palcami wydobywał watkę z zęba mądrości.

Olszewski i Trojniak siedzieli przy oknie, starsza kobieta i Dobrowolska od strony drzwi. Cztery stoły zestawione były razem, okno wychodziło na sąsiedni biurowiec, na jego fasadzie rysował się olbrzymi rdzawy zaciek w kształcie mapy Afryki. Dzień dobry starszej kobiety dosłyszał tylko Olszewski, Dobrowolska i Trojniak harowali, skrzypiały pióra. Starsza kobieta poszukała wzrokiem listy obecności. Jej biurko było puste, stół Dobrowolskiej zarzucony urzędowymi papierami. Na brzegu leżało *Życie Warszawy*, zawahała się, czy je unieść? Kiedyś zrobiła tak i Dobrowolska wyprosiła sobie tykanie jej rzeczy, to przeszką-

dza. Zapytać? Pójść od razu do dyrektora? Wyczekała sposobnej chwili, podniosła brzeg gazety.

— Kronika wypadków na stronie szóstej — powiedział Trojnik nie odrywając wzroku od roboty.

— Panie Jerzy... — zgromiła go Dobrowolska. — Wypadki to męska specjalność. My kobiety szukamy rubryki: Świat mody.

— A, to stronica trzecia u dołu. Przepraszam i o wybaczenie proszę.

Gałki liczydeł trzaskały pod jego ręką, zsumował, zapisał i przeciągnął się. Zawsze w narciarskim stroju Trojnik chętnie wierzył, że było mu do twarzy w białym swetrze z czystej wełny z wyhaftowanymi na piersiach jeleniami. Jedynie spodnie nie dodawały mu szyku, zbyt obcisłe i od ostatniej zapaści nerkowej zbyt nio wypchane barchanami. Z Dobrowolską — rosła blondyna, dwoje dzieci podobno rozwydrzonych, mąż robi w związkach, naganiacz od wydajności pracy, partyjny ale niezbyt mocny — pracowało im się razem nieźle, rozumieli się.

— Ania zabrała już listę — powiedział Olszewski.

— Porządny — pomyślała o nim starsza kobieta śpiesząc do gabinetu dyrektora. Dawny kasjer banku kredytowego w Warszawie, a do tego trzeba było mieć kiedyś i polecenia, i prezencję, i solidność wyniesioną z domu. Tak, upewniała siebie, Olszewski tu się wyróżnia, uprzejmy a nie brat łąta, niezamożny ale na kanty nie pójdzie, gdy coś mówi, dodaje zawsze proszę pani, proszę kolegi, nigdy królu złoty albo kochana. Nic dziwnego że taki nie zaawansuje, przyjdzie do nagród drudzy zgarniają pięćset, siedemset, dla niego sto, góra dwieście, jakby na otarcie łez. A on podejdzie do okienka, ujrzy skromną cyfrę, twarz mu nie drgnie, podpisze, podziękuje, chociaż tam pewnie w domu czekają na ten dzień, liczą że ojcową nagrodą jakąś się dziurę załata, może buty, może gaz lub elektryczność, mężczyzna czterdzieści pięć lat ile to obowiązków, a on wyciągnie ten jeden cienki banknocik, położy na stole, w ciszy nawet dzieciom wydłużą się miny ale zaraz potem nauczone przez matkę gratulują ojcu nagrody.

Ania przyjęła ją życzliwie, coś powiedziała miłego, uśmiechnęła się. To sekretarka dyrektora, swego czasu zdawała na medycynę, nie dostała się, twierdzi, nie miała dojścia. Ładna, zdaje się dyrektor postawił jej swoje warunki, które jeśli tu jest, znaczy przyjęła.

— Pani wchodzi — powiedziała. — Pani powie że tramwaj, albo że kogoś przejechało... On nie jest taki zły, on tak musi...

Starsza kobieta stanęła przed drzwiami krytymi skórą pikowaną jak materac. Nie wiedziała w co pukać, skóra miękka, palec grzął w niej i żadnego dźwięku.

— Pani wchodzi — przynaglała ją Ania.

Dyrektor wertował korespondencje z podległych instytucji, robił znaczki kolorowym ołówkiem, wynotowywał dane. Biurko kryte szkłem, przyciski, dwa telefony. Od drzwi ciągnęła się czteropółkowa biblioteka, Plan, Przepisy, Monitor, Rozporządzenia. Ze ścian spoglądali dostojnicy państwowi, w jednym kącie pleniła się jeszcze z dyrektorskich imienin rozłożysta paproć, w drugim prymulka. Starsza kobieta spojrzała na swoje buty. Oblepione trocinami z hallu głównego nie prezentowały się jak nowe. — To i lepiej — pomyślała. — Przejdą niezauważone.

— Koleżanko, wybaczenie! — wykrzyknął dyrektor. Otwartymi dłońmi jak do wrózenia wskazał na rozłożone papiery. — Te cyfry to wskaźniki wykonania planu, to nasze nadzieje, nasza wiara, nasza odpowiedź dana tym z zachodu!

Na liście obecności przesunął palcem od jej nazwiska w prawo.

— Trzecie spóźnienie w tym miesiącu... Jednak... A mamy dziś piętnasty... Majewski dojeżdża z Siedlec, Grójec ze Skiernewic, Maliniak z Koluszek. Żeby zdążyć biorą pośpieszne pociągi. Taki Maliniak, patrzymy Maliniak, o, niedobrze Maliniak, spóźnienie jest! Usprawiedliwione? Czytamy: niniejszym zaświadcza się, że pociąg pośpieszny nr 1181 z Budapesztu, Pragi Czeskiej przez Katowice, Częstochowę, Koluszki przybył na stację Warszawa Centralna z opóźnieniem czterdziestuśmiu minut. Zawiadowca stacji: Urbański, dyżurny peronowy: Śledź. Na druczku, pieczęć, dwa podpisy. Takie zaświadczenie przemawia do nas koleżanko Matuszewska, akceptujemy je?

Starsza kobieta też się zastanowiła.

— Jak dwa razy dwa! — wybuchnął dyrektor. — Co miał robić ten biedny Maliniak! Spróbujmy wejść w jego skórę... Koluszki, ciemno, ziąb na peronie, przyjeżdża pociąg z nocy, szyby zarosiałe, w przedziałach porozpinani pasażerowie, gdzie Maliniak nie otworzy drzwi, zaduch, klątwy i niechętnie spojrzenia... Tu matka z dzieckiem, tam kochająca się para, młodzież krzyczy, zamknąć, zamknąć, bo się przeziębimy!

— Co trzeba przyznać to trzeba przyznać — zgodziła się starsza kobieta. — Kto tu mówi o przyjemnościach?

Dyrektor rozjaśniony wybiegł zza biurka.

— Wy macie sąd o ludziach! — wykrzyknął. Rozczapierzył jej przed oczami obie dłonie. — Oto wasz sąd o ludziach! Jasny! Otwarty! Bez uprzedzeń! Koleżanko Matuszewska, kontynuujcie!

— Jednak człowiek — pomyślała starsza kobieta, aczkolwiek zdziwiona nieco nagłą życzliwością dyrektora. — Ania z sekretariatu wyczuła go lepiej, nie należy uprzedzać się do ludzi, swoim marnym rozumem nie obejmie się wiele, łatwo komuś przyszpilić łatę, że taki, że siaki a potem już tej opinii nie chce się zmienić, z lenistwa. Zachwyciła ją ta niespodziewana szansa

wyprostowania tego co było zawikłane, rozjaśnienia niejasności, pokazania całej swojej najlepszej woli.

— Dwa tygodnie temu, w środę, pan dyrektor wszedł, pan dyrektor zapytał o pracę z zeszłego miesiąca. Ho, ho, myślimy, pan dyrektor, rzadki gość, co nie znaczy żeby pan dyrektor nie miał kontaktu z pracownikami, o nie, ale rzadki gość. Więc ja: dwa wykazy. Dwa wykazy? zdziwił się pan dyrektor. Miał prawo pan dyrektor się zdziwić, pomyśleć sobie: dwa wykazy, cóż to ta Matuszewska szmelc? Oddać ją do dyspozycji kadr, wyrzucić na śmietnik, dwa wykazy? Ale jeśli kierownik sam ochłap mi dawał? Wyłącznie jakieś przepisywanie, sumowanie nie wymagające kwalifikacji, protokół ze zbiórki złomu, rekuperacji spinaczy? Pan dyrektor wszedł, pan dyrektor zapytał, niestety, kartka z bilansem prac leżała pod suszką, diabeł ją przykrył ogonem i chichotał, i chichotał... Oczywiście, tak jest, pierwsza to przyznam, taki bilans powinno się prowadzić w zeszycie o ponumerowanych kartkach, o sztywnej okładce, inaczej od razu nerwy, przeoczenia, pomyłki, człowiek tyle przeżył, pan dyrektor tego wszystkiego nie pamięta, syn Polski Ludowej, szkoła darmo...

— Też się człowiek namęczył — wtrącił on. — Walczyło się...

— Toteż nie mówię — wykrzyknęła starsza kobieta. — Każdy swoje cięgi oberwał... Nie mówię!

Do gabinetu wsunęła się Ania.

— Herbatki? — zaproponowała. — Świeżutka, pachnąca, Yunan. Do sklepu na Żoliborzu przywieźli dwadzieścia paczek. Dziesięć zdobyłam ja, dziesięć wzięła sobie ekspedientka. Szczęście, co?

— Ulungu nie można porównać z Yunanem — powiedziała starsza kobieta.

— Człowiek taki zajęty... — rzekł dyrektor. — Często nie wie się co się pije. Byle była mocna...

— Właśnie! — podchwyciła Matuszewska. — My kobiety znamy się na tym lepiej. Ulung nigdy tak nie naciągnie jak potrzeba! To świństwo!

— Pani Aniu — powiedział twardo dyrektor — drugą szklanczkę pani poda... Dla koleżanki.

Ciągnął gorący płyn, kapało mu na spodnie. Starszej kobiecie też zrobiło się gorąco. Zauważył to, podniósł słuchawkę, weszła Ania.

— Dziecinko — rzekł — zabierze pani to palko. O, szaliczek upadł... Już w porządku.

— Nie często kumamy się ze sobą, gwarzymy... — mówił. — Może stąd czasem te kwasy między nami, te nieporozumienia, przyznacie, koleżanko, w naszym stosunku była pewna doza nieufności... To mój błąd, nie wciągnąłem was do kolektywu, no,

wybaczcie koleżanko kochana widzicie, dziś, ja tu przed wami, wasz dyrektor, oby się święta ziemia rozpadła pod jego stopami, życzyliście mu nieraz, a tu widzicie, siedzimy sobie, pogadujemy, ja wam o tym wy mi o owym...

— Ależ! — obruszyła się starsza kobieta. — Przed wojną, teraz, czy za sto lat, hierarchia służbowa to świętość, to nasz byt!

— Na przykład Trojniak... — mówił dyrektor w zadumie. — Obijacz? Kierownictwo szkaluje? Rozrabia? Te drzwi, widzicie, obite skórą, w środku wata, mówcie koleżanko Matuszewska, wyrzucicie z siebie wszystko co was gnębi...

Pociągnął łyk Yunanu, zachęcał dłonią aby też piła. Nie nagiął, wyraźnie dawał czas do zastanowienia się i ochłonięcia.

— Przesłodziłam tę herbatkę — pomyślała starsza kobieta. — Był czas kiedy cukru nie starczało, teraz starcza. To było zaraz po wojnie strach panował, ludzie snuli nadzieje, życie to wielka siła, mówili, a natura ludzka niezmienna. We wszystkich prośbach i podaniach, o kąt, o węgiel, o kartofle, pisała wtedy: ja, spalona z Warszawy, w jednej sukience wyszłam z pożarów, mąż rozstrzelany u zbiegu Młynarskiej i Powązkowskiej, nas kobiety trzymali obok i nie wiem czy ten co krzyczał to on czy jaki drugi... I odpowiedź przychodziła wtedy pozytywna, przyznać, pisali, przydziela się, należy wydać... I czy to nie normalne, czy pierwszeństwo nie powinno było należeć do spalonych? Czy nie dla nich największe prawa, czy spalonym nie trzeba było dać żyć? Razu pewnego, a zima była wtedy przykra, nie prosiła a hojną ręką dorzucono jej dwa korce miału! Wieczorem tego dnia komentowały to zdarzenie u sąsiadki, długo nie wychodziły ze zdziwienia, a potem, pamięta, przy gołej żarówce jadły placki kartoflane na rzepakowym oleju. Jakiś wstyd był jeszcze wtedy w ludziach, postawiony żył ale i biednemu też dawał. Wycierała się po poczekalniach więc to zna, wchodził robotnik, mówił, robotnik jestem, wychodzili do niego urzędnicy, mówili, słucham, słuchamy, w jakiej sprawie, czym możemy obywatelowi służyć? Dla dzisiejszych to umarłe sprawy, wszystko ułożyło się naturalnym porządkiem, spaleni też się nie liczą, przez dwadzieścia lat dziesięć razy odkuć się mogli i odbudować... I nagle tyle żalu do siebie o te wszystkie fałszywe kroki i posunięcia, a zwłaszcza o to bielmo na oczach, które przeszkodziło jej co widzieć przewidzieć, bo jednak w najstraszniejszych momentach zawsze znaleźli się mądrzy, ci umieli uchronić swoje dzieci i dobytek, na czas zniknąć na czas wypłynąć, przemilczeć co wadziło, zadeklarować się z chęciami, gdy kto żądał...

...praca zaszczytna — poddawał dyrektor. — A dwulicowość to nasz najgorszy wróg. Dlaczego z otwartą przyłbicą nie staną? Dlaczego?

— Trojniak dojeżdża ze Skierniewic — myślała. — Maliniak z Koluszek. Ta sama linia, jedno towarzystwo. Dobrowolską kryje mąż ze związków... Nieporadny Olszewski?

Przerzucała w myśli twarze i nazwiska, trudno nie zgodzić się z dyrektorem, że owszem pozory często piękne, u każdego robota w centrum zainteresowań, rosnące przywiązanie do instytucji a jednocześnie każdy tajemniczą roślinkę wypieszcza, jakiś wyjazd za granicę, zamianę mieszkania, daleką szansę zaprzyjaźnienia się z sekretarzem, mężczyźni zwłaszcza popadają w takie utopie, tygodniami w dobrych humorach, powiadają coś sami do siebie z chytrym uśmiechem, miny mają: za ten nędzny grosz ja tu przejściowo...

Poczęła mówić szybko jakby wyrzucała z siebie co długo się w niej gromadziło, obfity materiał, może nieco za mało syntetyczny, ale za to naszpikowany konkretnymi przykładami z podaniem dat i osób, nic z gołosłowności, nic z sufitu, zależało jej aby dyrektor o tym wiedział.

— A postawa? — przerywał jej. — Ogólne ustosunkowanie?

W bloczku notował sobie co charakterystyczniejsze słówka, niekiedy całe powiedzonka tego Olszewskiego, pewne rzeczy prosił aby powtórzyć mu dwa razy. Widać było jaka to dla niego tortura, drwinki zwłaszcza i polityczne dowcipy, słuchał ich z musu, siłą wykrzywiały mu twarz, choć przez grzeczność udawał nawet, że go bawią.

— A w robocie też on zmyślny taki? — zapytał na koniec.

— Ależ! — wykrzyknęła starsza kobieta i zaśmieli się razem z dyrektorem serdecznie.

Po raz pierwszy od wielu lat szła do siebie spokojna i dobrej myśli. Mijani koledzy wydawali jej się mniej fałszywi, młodzi nie tak brudni, nie zabiegała spojrzeniem o niczyje dzień dobry. Jeśli jutro się spóźni, to widocznie będzie miała ku temu swój powód. Jeśli poczuje się źle, to tylko zadzwoni, że czuje się źle i zostanie w domu. Ale nie spóźni się, przynajmniej na razie, to w złym stylu nadużywać dyrektorskiej życzliwości, jak to się mówi nie *fair*. Przechodząc koło bufetu wstąpiła na kawę. Dotychczas unikała tego ze względu na złe oko kierownika. Wybrała miejsce jakiegobądź, ani za filarem, ani w głębi, dokupiła sobie napoleonkę. Uśmiechnęła się do bufetowej. Ciastko było duże, krem smaczny. Dość zamartwiania się i niepokoju o jutro. Obiecała sobie pójść wieczorem do kina.

Rozwarła drzwi jak do siebie, aż tamci myśleli że to ktoś inny, spłoszeni poderwali się na swoich krzesłach. Wszyscy troje pili herbatę, przed Trojniakiem leżało dwadzieścia deko kiełbasy i bułka, przed Olszewskim chleb z serem, Dobrowolska jak zwykle gryzła petit Beurre'y i po każdym kęsie wycierała wargi baty-

stową chusteczką. Starsza kobieta przybliżyła się do stołu, z rozmachem uwaliła nań torbę, potem szurnęła liczydłami aż posypały się na podłogę kolorowe ołówki a na parapecie podskoczył stały stołownik gołąb.

— Ptaka koleżanka przestraszyła — zwrócił jej uwagę Olszewski. Trojniak i Dobrowolska gorliwie zaszurali papierami, a ten, pokazując swoją okrągłą twarz w uśmiešku jeszcze coś mamrotał, napomykał...

Starsza kobieta zatrzymała na nim wzrok. Jadł ten swój chleb z serem z miną jakby to były parówki. Z zamkniętymi ustami, bez glamania, nie można powiedzieć czysto jadł, wstręt nie brał kiedy się na niego patrzyło. Siedział wyprostowany, łokcie przy-murowane do boków, wykrawatkowany sztywniutko, ani włoska na kołnierzu, ani pyłka na spodniach, chociaż nad tym co na nim, pożał się Boże, chciałoby się powiedzieć, siateczka...

— Wy, kolego Olszewski — zapytała — tylko ten biały se-rek zawsze?

— Tak — odburknął ponuro. — Dobrze odżywianie mi szkodzi.

Jan WARSKI

Dziewczyna

Olaf był bardzo przesądny. Nie wierzył wprawdzie w czarnego kota ani w rozwartą drabinę, nie przywiązywał również wielkiej wagi do tego, czy ilość kwiatów w bukiecie jest parzysta czy też nie, kiedyś zdziwił się nawet szczerze dowiadując się, że ostry przedmiot, na przykład żyłotka „Blue Blade” ofiarowana bliskiej osobie, może przynieść nieszczęście. Wszelkie także siódemki i trzynastki były mu obojętne, a jednak... A jednak był przesądny i to w znacznie większym stopniu, niż możecie sobie wyobrazić. Pielęgnował własne „tabu”, starannie zresztą skrywane przed otaczającym go światem, własne jakieś „reguły” i zaklęcia, które odpowiednio tłumaczone — na jego prywatny, jak by rzecz można, użytek i w jemu tylko, Olafowi, znany sposób — zapowiadały szczęście lub klęskę. Przewidywanie przyszłości dotyczyło zazwyczaj najbliższych kilku dni, Olaf potrafił jednakże bez większych trudności rozszerzyć zakres swych czarnoksiężniczych operacji i złowieszczych wróżb na całe miesiące a nawet lata.

Spojrzał na nazwisko zapisane w notesie. Kartki notesu były poliniowane, bo właściwie był to mały kalendarzyk kieszonkowy, oprawny w czarny plastik i odstępy między liniami wypełniały nazwy i numery dni tygodnia. Numer telefonu odnalazł w książce telefonicznej. Imienia nie szukał ani w kalendarzyku ani w książce telefonów, miał je w pamięci.

Nie wahał się dłużej. Wykręcił starannie pięciocyfrowy numer i po chwili usłyszał długi, przerywany sygnał, potem krótki brzęk i odezwał się obcy głos. Mówił mężczyzna.

— Dzień dobry — zaczął — czy mógłbym mówić z panią Barbarą? — starał się nadać swemu głosowi normalne, codzienne brzmienie.

Minęła chwila. I wreszcie... tak, to tak się zaczęło:

— Czy pani Barbara?

— Tak, dzień dobry. Nie wiem, kto mówi.

— Mówi Olaf.

— Pierwszy raz w życiu słyszę takie imię — usłyszał. Zignorował to.

— Chciałbym zadać pani jedno pytanie, jeżeli...

— Proszę.

— Czy pani jest właścicielką skórzanej, brązowej torby z frędzelkami, takimi trochę indiańskimi?

— Tak, ale...

Nie pozwolił jej dokończyć. Mówił dalej stanowczo, jak gdyby odgrywał rolę policjanta.

— Czy pani jest może właścicielką jasnego płaszcza w podłużną, szeroką kratę?

— Jestem — odpowiedział głosik bez złości, raczej zaciekawiony — co to ma jednak do rzeczy?

— Bardzo dużo — rzekł z przekonaniem.

Pierwsza rozmowa z Barbarą nie trwała długo. Zaledwie kilka minut. Ale początek, ten prawdziwy, był zrobiony już wcześniej. Zauważył dziewczynę po raz pierwszy, gdy wychodziła z głównego gmachu Wydziału Architektury na Politechnice. Wyjątkowo jakoś znalazł się tam, w tym samym miejscu i w tym samym czasie — biegł schodami do góry, aby zdążyć na seminarium, które nie wiadomo dlaczego przeniesiono tego dnia na Wydział Architektury: miał mówić jakiś Francuz i stąd zapewne te wszystkie niezwykłości.

Biegnąc wymachiwał białym angielskim hełmem, którego używał do jazdy na motorze. „Ciekawe” — przyszło mu do głowy potem — „czy Barbara zauważyła ten hełm? Na pewno jednak nie zauważyła ani mnie ani hełmu”. Chociaż... dziewczyna obdarzyła go wtedy krótkim, dociekliwym spojrzeniem, które trwało sekundę a może pół sekundy, wystarczyło jednak, aby zobaczyć jej oczy. Dziewczyna była wysoka, szczupła. Twarzy Olaf nie potrafiłby opisać, wiedział jednak z całą pewnością, że twarz dziewczyny była piękna. Była przede wszystkim inna. „Inna” — tak, to jest to, co przyszło mu na myśl. Zapamiętał ponadto jej „jasny płaszc w szeroką kratę” — samo rzucało się przecież w oczy — i skórzaną torebkę, tę właśnie z frędzelkami.

Mijał maj. Każdy ranek budził się coraz wcześniej, był coraz bardziej wilgotny, przesycony zapachem tego, co dotychczas spało długo w ukryciu. Pękały świeże grona zieleni, rodziły się i rozkwitały miękkie, lśniące główki kwiatów. Świat stawał się znów piękny — jak gdyby przedtem był inny! — a chłodny powiew poranka niósł w sobie dziką jakąś rozkosz. Był rześki.

Dzień stawał się coraz dłuższy, płytkie kałuże po ulewnym deszczu, który spadł w nocy, wysychały prędko i każdy, kto spojrzał w nachylone niebo, mógł łatwo zrozumieć, że parasol będzie dziś niepotrzebny. Chociaż kto wie.

A rano gruchały gołębie.

Jerzy jest architektem. Olaf przypomniał sobie o tym w samą porę. „On musi znać” — pomyślał szybko — „albo przynajmniej wiedzieć, kto to jest. On ją musi znać”. — Rzecz nie była jednak taka prosta, jak się okazało.

— Jeżeli już nie umiesz powiedzieć, jakie ma oczy — grzmiał tubalny głos Jerzego w słuchawce telefonu — to niech się dowiem przynajmniej tyle: blondynka czy brunetka? Co?! I tego nie wiesz — człowieku, tyś chyba rozum postradał — i to w twoim wieku — zachnął się. — Mam odszukać dla ciebie dziewczynę — spośród kilkunastu, ani nie wiesz, który to jest rok — no nic zupełnie.

Przerwał, a po chwili ciągnął dalej:

— Płaszcz i torebka, to jedyne znaki szczególne, jakie potrafisz wymienić. Śmieszne, gdzie ty wtedy patrzyłeś?

— Słuchaj — odezwał się Olaf — to jest dużo, aż nadto dużo, aby ją odnaleźć. Znasz tam chyba wszystkich, pomyśl tylko chwilę.

Jerzy kłął jeszcze przez pewien czas, zgodził się, że myślenie ma przyszłość, a potem zauważył, że podobne historie „w tym wieku”, co miało oznaczać tych ileś-tam-dzieści-kilka lat Olafa, takie rzeczy nie powinny się zdarzać, bo to źródło publicznego prawie zgorszenia: „człowiek niemal żonaty, a tak niepoważny”, przyznał jednak na koniec — a zrobił to jak by ze złością — „rozumiem, zobaczyłeś, zakochałeś się, O'key. Przyjdź w środę po południu. Może Mariola będzie coś wiedzieć”.

Na tym stanęło — aż do środy.

„O ileż kobiety są bardziej domyślne od mężczyzn” — mógł być potem pomyśleć Olaf i nie bez powodu. Przekonywał się, że tak właśnie jest, już nie pierwszy raz. Istotnie, Mariola zgadła. Płaszcz i torebka wystarczyły jej najzupełniej. Zgadła, że chodzi o Barbarę. Siedziała na miękkim tapczanie, który łagodnie się pod nią ugiął; ręką przesuwając po włosach Jerzego, który był obok i jak by nie zwracał na to uwagi: co więcej — twierdził, że w ogóle nie interesują go kobiety, po prostu nie istnieją dla niego. Oddawał się swej pracy — zresztą, jako architekt i zdolny przy tym rysownik, nie miał nic lepszego do zrobienia. A Mariola? Jej pieszczota i pozorna obojętność Jerzego? Może znaczyło po prostu — jak próbował domyślać się Olaf — że Mariola jest jedyną kobietą w życiu Jerzego, to znaczy: jedyną, która się liczy. I może dlatego właśnie Jerzy miał prawo powiedzieć, że nie

interesują go kobiety — tak może chyba powiedzieć każdy mężczyzna, który ma jedną opiekunkę.

Dziwnym trafem Mariola, która przed chwilą przyznała się, że ukończyła gimnazjum Jotejki, pamiętała Joannę. Tak, tę właśnie Joannę. Olaf drgnął i nastawił ucha. Od tej chwili działał jak czuły, precyzyjnie ustawiony przyrząd pomiarowy o wysokiej klasie dokładności. „Tak, to była dziewczyna” — przyznała obiektywnie, jak to kobiety niekiedy robią — „ale jakoś dziwnie ładna. Barbara jest klasyczna, jest lepsza” — Mariola skrzywiła usta jak smakosz — „Barbara jest znacznie lepsza” — powtórzyła.

Zdumiał się: „a więc jest ktoś, kto sam sobie przyznał prawo porównywania i korzysta z tego prawa — to się nazywa prawo kaduka! Jest również ktoś, kto miałby być „lepszy” od Joanny. Rzecz zupełnie niemożliwa” — rozumował. Nie zaprotestował jednak. Musiałby wówczas zdradzić, że i on znał Joannę. Mało tego, nie tylko znał, to słowo jest śmieszne — ono nic nie oznacza, a Joanna znaczyła kiedyś dla niego wszystko. Absolutnie wszystko. I być może, iż dziś jeszcze — wołał się nad tym teraz nie zastanawiać. Odczuł raczej, niż pomyślał — a cena Barbary wzrosła odtąd dwukrotnie.

„Kości zostały rzucone” — zrozumiał słowa Cezara w tej oto chwili, a nie kiedy indziej. Bo... nie kochał przecież tej dziewczyny o szczupłej twarzy i wysokim czole. Nonsens. Nie mógł jej kochać — choćby tak wyobrażał sobie to Jerzy czy ktoś inny. Postanowił wszakże odszukać Barbarę, usłyszeć jej głos (być może — jej głos mówiący jego imię?), spojrzeć jeszcze raz w jej oczy — i porównać. Czy rzeczywiście, czy prawdą jest to, co mówi ta oto niedbale oparta o ramię Jerzego młoda i pewna siebie niewiasta?

Porównać — oto wszystko, co chciał zrobić.

Ani Jerzy ani Mariola nie znali Barbary na tyle, aby móc przy jakiejś tam zmyślonej okazji przedstawić jej Olafa. „Cóż więc zrobić?” — pomyślał i równocześnie zaobserwował niezwykłą pustkę w głowie. Ze zdziwieniem zauważył, nie pierwszy już raz, że dobra, jasna myśl opuszcza go zazwyczaj wtedy, gdy naprawdę jej potrzebuje. Dla Jerzego rzecz cała była niezmiernie prosta. Powiedział:

— Znasz nazwisko, imię, adres. Znajdziesz jeszcze numer telefonu, dzwonisz do babki i umawiasz się z nią na kawę, proste nie?

Mariola była raczej pesymistką. Wspomniała coś niewyraźnie, że „i tak nic z tego”, że „szkoda czasu” i aby przypieczętować sprawę opowiedziała o Jacku, wysokim podobno drągalu, lekko utykającym na prawą nogę. Był narzeczonym Barbary — należa-

łoby stąd wnioskować, że dziewczyna jest jego własnością. „Nie zawsze jednak rozumowanie jest trafne” — pocieszył się Olaf i z niekłamanym zainteresowaniem wziął się do oglądania ostatnich obrazów Jerzego. Były to przeważnie pejzaże, scenki jakiegoś dziwaczne: „z łona natury”, portrety i rzeczy całkowicie wymykające się kategoriom poznawczym: abstrakcje. Ciekawe, niektóre może i bardzo ciekawe, inne jednak zupełnie od tych, które robił niekiedy Olaf. Zapamiętał ciepłe, pełne nietajonego zachwyty i dumy spojrzenia Marioli, które to spoczywało na oglądanych obrazach, to ześlizgiwało się wzdłuż szerokich barów Jerzego. „Życie może być jednak piękne” — wywnioskował stąd Olaf.

Numer odnalazł bez trudu. Cztery spośród pięciu cyfr jej numeru były identyczne z czterema spośród pięciu cyfr jego numeru, równocześnie aż trzy cyfry były takie same, jak w numerze Joanny. Rzadki traf!

Tak więc, odnalazł był właścicielkę bladej, szczupłej twarzy, wiosennego płaszcza w podłużną kratę i skórzanej, indiańskiej torebki. Barbara. Oto miał ją tuż przy uchu — jeśli tak można powiedzieć o głosie, który dobywa się ze słuchawki telefonicznej. Słyszał jej śmiech. Nie okazała cnotliwego oburzenia — ani nawet śladu tego brzydkiego uczucia; nie zażądała, żeby natychmiast się wyłączył. Była trochę zdziwiona i trochę zaciekawiona, choć zapewne sytuacja podobna do tej trafiała jej się nie pierwszy raz. Olaf przewidział i to. Nie nalegał zbyt mocno. Wiedział z doświadczenia, że ślepym uporem i długim a nudnym namawianiem można wszystko zepsuć. Zbliżała się sesja egzaminacyjna i Barbara niewiele chyba musiała kłamać, aby przekonać go, że nie ma teraz ani odrobiny czasu — by móc się z nim zobaczyć, że musi przedtem zdać pięć okropnych egzaminów i skończyć projekt. No tak, rysunki — to zabiera każdą wolną chwilę. Uległ jej bez większego oporu, żądając jedynie, aby uznała jego prawo — które sam sobie nadał — prawo następnego telefonu. Zgodziła się.

Gdy kilka dni potem dzwonił Jerzy w związku z jakimś drobnym *business'em* i gdy mimochodem zapytał o Barbarę, Olaf odparł bez wahania:

— Tak, umówiłem się z nią.

Nie było to przecież prawdą, objawem męskiej próżności raczej. Nie zdajemy sobie na ogół sprawy, jak bardzo takie drobne kłamstwa pomagają nam żyć. I tak, Olaf sam nie zauważył kiedy począł wierzyć w to, co nie było prawdą: czuł się wesół i lekko a radośnie podniecony, ilekroć przypominał sobie: „umówiłem się z nią przecież”.

W czerwcu rozmawiał z Barbarą kilka razy, zawsze jednak

przez telefon. Był to czas, gdy sesja egzaminacyjna osiągała swą pełnię, a dni miały szybko. Jeszcze szybciej uciekały wstecz krótkie, duszące ciepłem i czerwcowym oparem — noce. Ranki pachniały teraz wysychającym sianem. Gołębie gruchały jednostajnie i przyzwyczajone do tego dźwięku ucho nie chwyciło prze-różnych, tajemniczych odcieni owego gruchania.

Pod koniec miesiąca Olaf wyjechał za granicę — na kilka dni załedwie — ale, gdy wrócił, Barbary nie zastał już w Krakowie. Nie otrzymała także pocztówki, którą był przysłał stamtąd, z czasu swych wojaży i w której zalecał „drogiej pani Barbarze”, aby „nie przejmowała się jego telefonami”. Pocztówkę obiecano przesłać jej z domu w Bieszczady, gdzie teraz bawiła. „Czy pomyśli, że jestem trochę stuknięty?” — rozumował — „jeżeli tak, to nie będzie tak najgorzej”. Zapewne Barbara nie próbowała nawet o tym myśleć.

Były wakacje. Lwią część wolnego czasu Olaf spędził nad jeziorem, w małym, barwnym domku — nazywa się to *camping*, ukrytym na skraju lasu. Mieszkał tam razem z Anną. Anna jest narzeczoną Olafa. Anna o niczym nie wie.

Gdy zadzwonił do Barbary we wrześniu, dowiedział się, że „panna Barbara” przebywa teraz w Sopocie i lada moment ma przyjechać do Krakowa, ale jeszcze jej nie ma. „Nie, proszę pana” — słyszał miły, wysoki głosik, który działał nań jakoś przyjemnie i ośmielająco. Przypuszczał, że to młodsza siostra Barbary, był tego niemal pewien (to była mama Barbary). A kiedy już, po długim pobycie nad morzem, dziewczyna wróciła do domu, zapewne ładnie na brąz opalona, on sam wyjechał. Los chciał tego widocznie. Pojechał do Gdańska, mieszkał we Wrzeszczu i gdy w chłodne, wrześniowe poranki brnął poprzez piaszczyste wydmy plaży w Kamiennym Potoku i kiedy chciwie chwycił ostatki ciepłych, łagodnych promieni wrześniowego słońca, myślał o Barbarze. „Tutaj była, tu leżała na piasku, tu zrzucała swój mokry kostium, tutaj pływała...” Nie wiedział wtenczas o tym, że Barbara jest pletwonurkiem, jeśli więc pływała, to robiła to dobrze. Olaf coraz rzadziej spotykał ludzi, którzy robili coś dobrze i myślał o tym często z rosnącym smutkiem.

Wieczorem morze zasnuwało się mgłą. Szła jesień i zwolna chłód dawał się bardziej we znaki. Nad portem mrugały światła kutrów i światła gwiazd. Słone bryzgi wody leniwie lizały piasek, w nocy zrywał się ostry wiatr i już nad ranem, gdy wstawał nowy dzień słychać było monotony, głuchy łoskot fali. Poranny przybój jest zwykle najsilniejszy. Mewy z głośnym, żarłocznym krzykiem rozpoczynały dzienne łowy. A były ich całe stada.

I stało się na koniec to, co musiało się stać. Spotkał się z Barbarą. Był już wtedy koniec września. Gdyby jednak nie

stało się, oznaczałoby to ni mniej ni więcej jak koniec władzy zabobonu, władzy, której ulegał bez oporu. Nad każdą jego czynnością ciążyło Fatum, a więc i tym razem nie mogło być inaczej.

Spotkali się na ulicy Krupniczej, z racji odbywającego się tam kursu samochodowego, w którym uczestniczyła Barbara, bo — jak mówiła — chciałaby legalnie prowadzić (i rozbijać?) samochód. Miała na myśli Fiata-600, co wolno chyba zdradzić. Był ciepły wieczór i zanosilo się na deszcz. Zaproponował Klub pod Jaszczurami albo Literacką, ale Barbara nie wybrała ani tego ani tamtego. Poszli więc pieszo w kierunku Błoi.

Rozmowa toczyła się chaotycznie. Opowiadali sobie o wszystkim, co tylko można opowiedzieć — poczynając od przepisów ruchu drogowego a kończąc na przywarach swoich najbliższych. Przeważnie jednak opowiadali sobie o „dawnych dobrych czasach”, kiedy to jeżdżiło się do Londynu, Paryża czy też Włoch. Był to ulubiony temat Olafa, a i Barbara najwidoczniej znajdowała w tych opowieściach sporo przyjemnych momentów, o których warto było w ów ciepły, jesienny wieczór mówić. Opowiadał jej dziwne rzeczy o *cadavre’ach*, które podobno musiał nosić na Wojskowym Cmentarzu Amerykańskim w Paryżu, aby zarobić kilkaset franków, opowiadał jej o paryskim Klubie, w którym pracował i spał, i o dziewczętach, które tam poznał; o Morzu Śródziennym, potem o „gaciach pana ambasadora” i wielu, wielu innych rzeczach, które przychodziły mu na myśl i ciągnęły się długim, wielobarwnym korowodem. Niekiedy były to zupełnie niestworzone historie (ile w nich prawdy, Bóg jeden raczy wiedzieć). Barbara słuchała uważnie. Na skrzyżowaniu Alei Trzech Wieszczów z Aleją Trzeciego Maja byli już na „ty”. Zmianę formy zaproponował Olaf, Barbara lekko skinęła głową, uzupełniając swą zgodę komentarzem: „no pewnie, my — tacy światowcy”. Po raz pierwszy chyba uśmiechnęła się przy tym i spojrzała na niego — tak, jak kiedyś spoglądała Joanna.

Zapytał czy umie gotować barszcz — jaki barszcz? — no taki zwykły, czerwony barszcz. Uprowadził ją równocześnie, że: „jeżeli rozmawiam z dziewczyną i mam wobec niej tak zwane poważne zamiary, to zaczynam zawsze od tego barszczu”.

— Ale po co?! — dziwiła się.

Okazało się, że Barbara nie umie gotować barszczu — sprawdził to przy pomocy paru rzeczowych pytań. Ubolewała potem przez kilka minut — rozżalona — nad mężczyznami w ogóle, że są tacy gruboskórni, że wszystko trzeba im dać gotowe, a oni nie zawsze nawet zauważają... — i ubolewała też nad Olafem w szczególności. Jako pojedynczy egzemplarz służył za dobry cel jej obrazoburczych zapędów.

— Więc nie podoba ci się porządek tego świata? — zapytał.

Nic nie odpowiedziała, przekrzywiła tylko głowę, co mogło mieć dwojakie znaczenie, zależnie od interpretacji: można czytać „tak”, można czytać „nie”. Wiedział, że swoim pytaniem wygrywa coś więcej: „bo przecież” — rozumował — „jeżeli mówię 'porządek tego świata' i nikt nie protestuje, to jest to równoważne z niemym uznaniem, że tak właśnie musi być. Nie inaczej”. Olaf nie był taki głupi, a co bardziej niebezpieczne, zdawał sobie z tego sprawę i potrafił we właściwych momentach używać właściwych słów — jak mniemał.

Nie to jest wszakże takie ważne. Zapytał ją o Jacka — był więc na tyle nietaktowny! — ale pytanie to, wbrew temu, czego oczekiwał, nie zrobiło na dziewczynie większego wrażenia. Mówił też coś o Annie, nazywając ją swoją „etadową babką”.

— Co to jest takiego? — zdziwiła się nie na żarty — etatowa babka, to okropne!

— Nic groźnego, po prostu narzeczona — wyjaśnił. I więcej na ten temat nie mówili.

Gdy poprosił „opowiedz coś o sobie”, dowiedział się, w wielkim zresztą skrócie, że Barbara jest jedynaczką (tak jak Joanna!), że nie ma żadnych zasad i że jest egoistką. „Sporo złego” — zgodził się flegmatycznie. Pomyślał równocześnie, że ostatnia spośród wymienionych cech charakteru — egoizm — to było coś, czego należało się spodziewać. Ale nie powiedział jej tego. Gdy doszli do Parku Jordana, namówił ją na chwilę odpoczynku. Z ociąganiem usiadła na ławce, tuż obok niego. Siedzieli tyłem do Błoni. Gdy rozpięła płaszcz — nie, to nie tamten, dziś miała inny — i odrzuciła na bok jego poły, zauważył jasnozieloną, wełnianą suknię o zgnitym kolorze mchu; suknia urywała się tuż nad kolanami, zakończona postrzępionym brzegiem wełnianych nitek.

— O, frędzelki! — powiedział dotykając brzegu sukni.

— Tak, ja cała jestem taka we frędzelkach — zgodziła się Barbara. Obok, na ławce trzymała skórzaną torebkę: tak, to ta sama. Po dłuższej chwili milczenia, które ich wcale nie męczyło, rzekł:

— Nadawałabyś się na żonę dla Indianina.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Tak po prostu przyszło mi do głowy.

Wybrzydzał się jeszcze sporo nad jej imieniem. „Barbara — to ani ładne, ani oryginalne. Takie sobie, pospolite imię”. Nie odpowiedziała nic, chociaż zdawało mu się, że słyszał, jak mruknięła niechętnie „nie każdy może mieć takie jak ty”. Istotnie — Olaf — co to za dziwne imię? „Czy ty pochodzisz może ze Szwecji?” — próbowała odgadnąć. A jednak i tym razem nie

mówił chyba prawdy — w kilka dni potem powiedział jakiejś innej dziewczynie, też Barbarze, że ma ładne imię — ciekawa rzecz — myślał wtedy właśnie o pierwszej, tej prawdziwej Barbarze. Przyjrzał się jej starannie. Była wyższa od Joanny i bardziej może jakaś sztywna. Miała również jaśniejsze włosy, nie były nawet ciemnokasztanowe. O oczach nic więcej nie potrafiłby powiedzieć, jak tylko tyle, że są ciemne — no, ale ostatecznie każde źrenice, u każdej dziewczyny na świecie są ciemne. Mogą być ponadto wilgotne. Powiedział jej o tym:

— Powinnaś być kilka centymetrów niższa i mogłabyś mieć ciemniejsze włosy.

— Uhm — zgodziła się, nie starając się doszukiwać jakiegoś sensu w tym, co mówił.

Nie był pewien, czy mógłby ją pokochać. Wyobrażał sobie, że chce tego, że chciałby tego bardzo. Wydawało mu się, że w takim przypadku, gdy to się już stało, nic nie byłoby w mocy zatrzymać biegu wydarzeń. „Zaślepięncze” — przemawiał do siebie niekiedy — „istniejesz na świecie nie tylko ty, zrozum to przecież”. Ale mowy te nie na wiele się zdały. Był ponad rozumem, ponad zdrowym rozsądkiem, był — jak to się zazwyczaj określa — bardzo pewny siebie Prawda. „Zginałbym, gdybym nie był” — rozumował, a trudno go było pojąć, jeżeli zważyć, że ciągłe przymierze z mocami pozaziemskimi i ślepa wiara w ich nadprzyrodzoną siłę uczyniły go niezdadnym do myślenia normalnymi, ludzkimi kategoriami. I jeżeli bywał czasem — może i z tego właśnie powodu swej „inności” — niezupełnie szczęśliwy, czy też, aby powiedzieć wprost, czuł się tak, że trudno już gorzej — to nawet wówczas wiedział, i wiedział na pewno, że gdy minie określony czas, będzie znów szczęśliwy. Po to był tu na ziemi — on, Olaf, aby być szczęśliwym. Ziemskie zdarzenia, jakie by one nie były, nie mogły przeczyć wyrokom niebios.

Co do Barbary, nie posiadał żadnych dotąd „wyroczeni”, musiał więc tak postępować, aby przygotować dziewczynę na wszelką ewentualność. Dlatego też zaczął o tym barszczu, a potem...

— Popatrz, tu jeździ „siedemnastka” — zauważył wskazując na przejeżdżający tramwaj. — Możesz dojechać wprost do Ronda.

Barbara mieszkała na Osiedlu Oficerskim. Było wciąż ciepło, choć wieczór powoli zamieniał się w noc. Sciemniło się i nawet zachodnia część nieboskłonu, rozpościerająca się ponad lasem bieleńskim i obydwo ma kopcami generałów, była już prawie czarna. Skądś, z daleka dochodził głuchy, groźny podźwięk grzmotu.

— Grzmi.

— Dziwne, prawda? We wrześnie — burza.

Błyskało się. Nad nimi, wysoko, przeciągały niewidzialne w ciemności napęczniałe cielska chmur. Każda z nich była pewnie wydęta jak balon i czekała na spełnienie. Miał spaść deszcz.

Barbara nie chciała jeszcze odjeżdżać. Poszli pieszo w kierunku Cichego Kącika, i nagle zrozumiał, że ta noc dopiero zaczyna swój bieg, że to dopiero początek.

— Poszedłbym jeszcze dalej — powiedział cicho.

Barbara milczała, a później przypomniała mu:

— Idzie burza. Zaraz będzie padać.

W Cichym Kąciku czekał już tramwaj. Barbara wsiadła i wkrótce tramwaj ruszył. Ledwo zdążył powiedzieć „do widzenia” i machnąć ręką na pożegnanie. Za chwilę, gdy wracał ciemną alejką do domu, stawiając duże kroki, zaczął padać deszcz. Spadły najpierw nieśmiało pierwsze zastępy kropel, rzadkie, ciepłe i niegroźne, później było ich coraz więcej. Gdy doszedł do domu, ze sklejonych, mokrych włosów spływały strumyki wody na czoło, na szyję i za kołnierz.

Nad miastem przeciągała burza — ostatni znak umierającego lata. Mijała powoli, nie spiesząc się, tak, jak mija wrześnieja noc.

Październik był w tym roku wyjątkowo pogodny i wszędzie słyszało się narzekania, że ziemia wyschła niby pieprz a deszczu jak nie było tak nie ma. Kilkakrotnie dzwonił do Barbary, najczęściej w poniedziałki wieczorem, gdy był zmęczony pracą i wygłodniały po kilku bitych godzinach uczciwego postu: jak się robi, to się nie je. Wtedy rozmawiało się najprzyjemniej. Dlaczego? Olaf nie wiedział. Być może, właśnie wtedy, w poniedziałki wieczorem czuł się najbardziej osamotniony i najmocniej odczuwał w takiej jak ta chwili potrzebę porozmawiania z kimś, kimkolwiek — byle nie nazbyt głupim, z kimś, kto mógłby zrozumieć „iks” dziwnych, niewiadomych rzeczy i „en” zagmatwanych, złożonych jeden o drugi misternymi więzami — odcieni. Chciałby temu komuś opowiedzieć wszystko, lub prawie wszystko, co odczuwał, co siedziało uwięzione w jego głowie — tak długo — aż przychodził czas wyzwolenia. Właśnie w poniedziałki wieczorem. Chciałby opowiadać i nie musieć pamiętać o tym, że pojemność myślowa rozmówcy jest ograniczona, że kończy się na jakimś brzegu czy też skraju, że istnieje granica, której nie wolno przekroczyć. Chciał zapomnieć wtedy o Annie, która przypominała mu zwykle czasy upadku i nawrotu do dzikiego prymitywu — aby powiedzieć całą prawdę — prymityw na podłożu seksualnym nie jest złą rzeczą. Ale nie zawsze wystarcza. Chciałby wskrzesić dawny, natchniony nastrój, schwycić i połączyć okruchy minionego czasu, spędzonego razem z Joanną, gdy NIC poza nią nie istniało, nie liczyło się.

Tego chciał teraz od Barbary. I to otrzymywał — inaczej niż

kiedys, to prawda, i po części tylko, to też prawda. Jakkolwiek by nie było, poniedziałkowe wieczory posiadały swój własny, niekłamany i nieutracony urok.

Ile razy próbował nakłonić ją na krótki chociażby spacer — było przecież tak piękne słońce, chociaż już październik — tyle razy słyszał stanowcze i krótkie „nie”. Z kobietą nie ma dyskusji, zwłaszcza gdy się uprze. Owszem, można dyskutować, trzeba jednakże mieć do dyspozycji pewne argumenty, których przez telefon wyrazić niesposób. Gdy Barbara wahała się i nie mogła zdecydować, żartował: „ile dni myślisz naprzód? Od poniedziałku do wtorku czy od poniedziałku do soboty?” Wtedy przyznawała, że myśli jeden tylko dzień naprzód — a więc tak, jak „Murzyn”, który myśli „do jutra” i ani cala dalej. „Człowiek nowoczesny” — mawiał Olaf — „przewiduje wydarzenia na rok lub na kilka lat wprzód”. Więc Barbara była Murzynem.

Umówili się przecie na koncert. O pół do ósmej winien już być na ulicy Krupniczej, skąd miał zabrać dziewczynę do Filharmonii. Spóźnił się dwie lub trzy minuty. To wystarczyło. Barbara nigdy nie czekała, zgodnie z zasadą: „przyjdź punktualnie, albo rób co chcesz”. Był wściekły, stracił wieczór i nawet najłagodniejsze słowa, które później usłyszał od niej przez telefon, nie były w stanie przywrócić mu dobrego humoru.

Po raz drugi spotkali się w połowie października. Było chłodno. Ulicę wypełniał gęstawy półmrok rozświetlony tu i ówdzie kulistymi szklami lamp. Na Alejach płonęły ostre, zimne światła neonów. Wręczył Barbarze uroczyste książkę, o którą specjalnie był się dla niej postarał: „Życie we mgle” amerykańskiego pisarza Wilsona. Był fanatykiem Ameryki, sądził, że tylko szczerść i bezwzględna uczciwość plus twarde prawo życia, jednakowe dla wszystkich — może tworzyć jakąś solidną podstawę stosunków między ludźmi. I rzeczy dla innych niezrozumiałe lub zawikłane w absurdalnych rozmiarach — jemu wydawały się proste, gdy pomyślał, jak łatwo można przeciąć najtrudniejszy nawet, nierozwiązalny zda się węzeł — małym, niewiele znaczącym słowem — pod jednym tylko warunkiem: należało mówić prawdę. Czasem, gdy fantazji nie nakładał kagańca, wyobrażał sobie, że to on właśnie jest pierwszym Amerykaninem na polskiej ziemi (dziadek Olafa pochodził chyba z Ameryki). Z zapalem też odszukiwał sobie podobnych, nie zawsze znajdując wśród nich przyjaciół. Gdy Barbara wyczuła jego pro-amerykańskie sympatie, ucięła rzecz krótko: „Amerykanie to ludzie niewychowani, często zwykłe gbury”. Była to myśl typowo angielska i Olaf zdziwił się szczerze, skąd herezja — jak ta oto — załęgła się w głowie tak sympatycznej dziewczyny. „W każdym razie” — powiedział — „weź tę książkę i przeczy-

taj. Zobaczysz". „Dobrze, zobaczę” — zgodziła się. Zanim doszli do Parku Krakowskiego, zauważył, że Barbara ma dosyć długie stopy, dłuższe niż u Anny, nie dość ciemne włosy, jaśniejsze niż u Anny, a ponadto pod lewym okiem zauważył czarny punkcik. „Czy to sadza?” — zapytał. „Nie, to pieprzyk, przejdzie z czasem” — usłyszał. Co więcej: Barbara — wbrew tradycji — nie chciała dziś pójść w kierunku Błot. Bała się „chuliganów”, jak twierdziła (bo w jej dzielnicy — powiada — znają ją mali chuligani i bronią przed tymi dużymi. A tutaj ona nie zna nikogo, ani jej nikt nie zna). „Śmieszna argumentacja” — pomyślał i... ustąpił, bo nic innego nie mógł zrobić. Nie podobala mu się Barbara tego wieczoru, w każdym razie nie tak, jak by tego pragnął. „Czyżby nasze wymagania, gdy poznajemy kogoś bliżej, wzrastały?” — rozumował potem smętnie.

— Czy możesz powiedzieć, do czego służy kobieta? — zapytał. Pytanie to obmyślił już wcześniej i miało ono być „gwoździem” programu dzisiejszego wieczoru.

— Służy?! Jak można to tak określać! — wybrzydzała się rozżłoszczona — co zaobserwował nie bez pewnego zadowolenia. Patrzył na nią dziś tak, jak się patrzy na ciekawy eksponat w muzeum.

— Po prostu jest, do niczego nie służy — powiedziała po chwili zastanowienia.

— Tak sądzisz?

Kilka długich minut czekali na tramwaj na Placu Wolności. Czas mijał przyjemnie. Barbara rozerwała taśmę sklejącą mały pakunek i odwinęła papier. „Życie we mgle” — przeczytała na głos. „Zobacz jeszcze tytuł angielski, ten oryginalny” — powiedział. Chwilę szukali go razem, zbliżając twarz ku twarzy, na koniec trafił palcem w pożądane miejsce. Rzekł: „o, zobacz, to tutaj — „Life with lightning” — zupełnie inaczej niż po polsku, prawda?”

Z daleka widać było nadjeżdżającą „czwórkę”.

— A więc — zreasumował — jesteś egoistką, nie masz żadnych zasad, przypominasz Murzyna, który myśli jeden tylko dzień naprzód, nie umiesz gotować barszczu i... i nie służysz do niczego. Po prostu jesteś.

Uśmiechnęła się jednym ze swych, pełnych zagadkowego powabu uśmiechów — tak rzadkich dzisiejszego wieczoru.

— Tak — powiedziała podając mu rękę na pożegnanie — po prostu jestem. Do widzenia.

Wskoczyła lekko do ruszającego tramwaju.

Październik mijał powoli i niechętnie, wreszcie się skończył. W listopadzie nie widzieli się ani razu i gdyby nie telefon, zapomnieliby chyba zupełnie o sobie. Ale telefon był i działał

bez zarzutu. Znosił cierpliwie trzydziesto-, czterdziesto-kilkuminutowe lub nawet godzinne rozmowy! W niedzielę po południu Barbara wychodziła z domu i szła na basen YMCA, gdzie wprawiała się w pływonurkowaniu (bo i Jacek był pływonurkiem). Spotykała tam jakiegoś faceta „o tubalnym głosie”, który „znał mnóstwo nieprzyzwoitych dowcipów”, ale jemu „to jakoś uchodziło”. Olaf słuchał tych opowieści ze zmarszczonym czołem. „Czyżbym był zazdrosny o tamtego?” — myślał ze zdziwieniem. Powiedział jej o tym, jak zwykle, mówił jej o wszystkim, sam nie wiedząc, czy to dobrze czy źle. Raz nawet, gdy poznał inną Barbarę, niższą i grubszą, ale za to taką, „która idealnie nadawałaby się do łóżka” — jak niechący tę rzecz określił, nawet wtedy lojalnie powiadomił o tym Barbarę. „Bo widzisz, zawsze to konkurencja” — tłumaczył. Śmiała się głośno. Jeżeli już mowa o tym, w jaki sposób można zakochać się, to Barbara twierdziła, i dosyć uparcie, że u niej „wszystko zaczyna się od głowy”.

— Chciałbym w to wierzyć — mruknął. A potem dodał szczerze: „pierwszy raz widzę dziewczynę, która zakochuje się od głowy!” Barbara chichotała cicho, nie był więc pewien, o czym mogła sobie pomyśleć. W czasie owych długich wieczornych rozmów wyszły na jaw pewne inne jeszcze cechy jej charakteru. Gdy kończyła projekt, który *nota-bene* powinna już była oddać jeszcze przed wakacjami, dowiedział się ze zdumieniem, że Barbara w ogóle nie używa tuszu podczas rysowania. „Więc jak ty to robisz?” — dziwił się. „Po prostu” — słyszał — „maluje duże i małe płaszczyzny barw i każda jest dla siebie odrębną plamą”.

— Ale nie obwiedziona czarną kreską?

— Nie, wyobraź sobie, że bez czarnej kreski.

Z trudem mógł w to uwierzyć. Po chwili głębokiego namysłu powiedział z przekonaniem:

— Wiesz, to jednak czegoś dowodzi — dowodzi subtelnej natury i delikatności uczuć.

Uśmiechnęła się. Niestety w słuchawce nie było widać jej twarzy, ani warg — lekko zapewne rozchyłonych, ani też zębów. Obydwoje zgodzili się, że dobrze i przyjemnie rozmawia się przez telefon. Jednak Olaf żądał czegoś więcej, bo od czasu do czasu ponawiał swe propozycje dotyczące spotkania — chciał znów zobaczyć dziewczynę „w naturze”. „Chcę wiedzieć, czy się zmieniłaś” — tłumaczył. Odpowiedziała na to patetycznym, podniosłym tonem:

— Spotkamy się, gdy słońce wszędzie nad górami.

— Idź do diabła! — rzekł ze złością.

— Już idę — odpowiedziała łagodnie. — Do widzenia.

I odłożyła słuchawkę, przerywając połączenie.

Kiedy jednak następnym razem zapytał „czy słońce wzeszło już nad górami?”, nie wiedziała, o co chodzi. „Życie we mgle” nie podobało jej się. Mówiła, że owszem, dosyć niby skomplikowane, ale naiwne i tak jak by dla dzieci... Rozgniewał się na serio a złość jego rosła w miarę, jak usiłował jej wytłumaczyć — bezskutecznie — że się myli, że wcale nie ma racji. Próbował też znaleźć przyczynę jej pomyłki — sięgał przy tym aż po pewne zawiłe twierdzenia znane z psychologii — *à propos* — Barbara twierdziła, że interesuje się absolutnie wszystkim: socjologią, historią i psychologią. Najchętniej psychologią, bo to ciekawe. Mówiła, że zajmuje ją nawet polityka, w co nie mógł uwierzyć, jako że sam uważał tę dziedzinę zainteresowań za idiotyczną i nie dającą najmniejszego pożytku, poza stratą czasu. Mówił:

— Był tu w czasie wakacji pewien profesor z Moskwy. Zwiedzał Kraków. Gdy przypadkiem powiedziałem mu, że nie czytam gazet, a jeżeli, to tylko repertuar kin, umieszczany zwykle na ostatniej stronie, wydawał się bardzo i szczerze zgorzogniony.

Barbara nie zgadzała się z takim postawieniem sprawy. Oponowała:

— Musisz przecież, od czasu do czasu, dowiadywać się, co się na świecie dzieje, bo inaczej możesz nagle nie znaleźć...

— Czego?

— W ogóle niczego. Jak się obudzisz, nie będzie już świata.

Niepogodzeni, zostawili ten temat w spokoju. Raz wszakże Olaf odstąpił od swych zasad, mówiąc:

— Jeżeli chcesz się dobrze ubawić, przeczytaj sobie notę rządu ZSRR do rządu Albanii.

— Czy taka wesoła?

— Przeczytaj, naprawdę warto.

A jednak „Życie we mgle” nie podobało jej się. Przeczytała tylko dwie pierwsze części i zostawiła. Nie rozumiał, dlaczego.

— Bo widzisz — tłumaczył jej — na ciebie te rzeczy nie działają, mimo że są prawdziwe. Chcesz jakichś ekstrawagancji. To nonsens. Poza tym — przerwał na chwilę, szukając właściwego słowa — ludzie dzielą się na wrażliwych, którzy reagują na wszystko, są przejęci każdym drobiazgiem i na gruboskórnych, którzy...

Nie dała mu skończyć. Jej głośny, spazmatyczny nieomal śmiech trząsł słuchawkę — najprawdopodobniej drgała tylko membrana, lecz Olaf odnosił takie właśnie wrażenie: cała słuchawka trzęsła się od śmiechu Barbary.

— I zrozum tu kobietę — powiedział z udaną grozą.

„Dobrze jednak” — rozmyślał — „że ta książka leży u niej”. Zadziałała tu znowuż jego pradawna, wrodzona wiara w zabobon:

„daj dziewczynie jakikolwiek przedmiot, który jest twoją własnością... i czekaj, co przyniesie czas”. Książka była jego własnością. Gdy zdradził kiedyś Barbarze związek ich wspólnego losu (niby Barbary i Olafa) z tajemnymi mocami, w których istnienie niezachwianie wierzył — uchylił co prawda tylko rąbka tajemnicy — wybuchnęła tak niepohamowanym, gwałtownym śmiechem, że długo musiał czekać, aż dziewczyna jako tako przyjdzie do siebie.

— Czy to takie wesołe? — zapytał delikatnie.

Nie odpowiedziała. Śmiała się dalej.

— Czy wiesz, co święty Cyprian mówił o kobietach? — zapytał pewnego listopadowego wieczoru.

— Nie, nie wiem. To może być ciekawe.

— Więc posłuchaj, cytuję z pamięci — wziął głębszy oddech i niskim, symfonicznie nastrojonym głosem obwieścił: „związek z kobietą jest źródłem wszelkiego zła i wszelakiej zbrodni, wolę tedy usłyszeć bazyliśzka, aniżeli śmiech lub śpiew kobiety”.

— Słusznie — przyznała po chwili wahania. — Mówisz to jednak takim tonem, jak gdybyś sam był autorem tych słów. Czy aż tak źle jest z tobą?

— Nie, jeszcze nie „oślico niegodna” — odrzekł bez namysłu.

— A to, co to takiego? — zapytała zdziwiona.

— Też cytat.

Barbara nie chciała pozostać dłużną. Niestety, nie znała Biblii.

— Czy wiesz, co święta Agnieszka mówiła o mężczyznach?

— Nie.

— Bo ja też nie wiem.

— Tym lepiej, będziesz musiała sama zbadać.

Kiedy indziej znów zastanawiali się razem nad pochodzeniem wyrazu „barbara”, krótko mówiąc — zabawiali się w etymologów. Wywodziła, że wyraz ten pochodzi jeszcze z czasów starożytnych. Na dowód przypomniła taki oto łaciński wierszyk: „barbara celarent...” — dalej już nie pamiętała.

— Co to znaczy — zapytał.

— Nie wiem.

Sprawdził rzecz w encyklopedii i po tygodniu powiedział jej:

— Przede wszystkim „barbarus” to znaczy tyle co „barbarzyńca” lub „brodaty”, które więc wolisz — wybieraj. Ponadto ten twój wierszyk nic nie oznacza, jest po prostu schematem możliwych syllogizmów — pamiętasz logikę? Ma więc być:

*„Barbara Celarent primae, Darii Ferioque
Cesare Camestres Festino Baroco secundae...”*

przy czym pierwsze słowo dotyczy zdań mocno twierdzących. Stąd wniosek... — przerwał, aby dać dziewczynie czas do namysłu.

— Stąd wniosek — dokończył — że ty powinnaś być cała mocno twierdząca.

— A tymczasem jestem mocno przecząca — odparła.

— To bardzo źle — stwierdził autorytatywnie, zamykając w ten sposób tę „etymologiczną” dyskusję.

Narzekła niekiedy na niego mówiąc:

— Wszystko pamiętasz tak dokładnie, każde niemal słowo. Muszę uważać, co do ciebie mówię. Jesteś okropnym, wstrętnym pedantem.

Później wymyśliła inny jeszcze przymiotnik: „fatalny”. A więc pogoda była fatalna, czyjś dowcip był fatalny, a najczęściej fatalny był on sam, Olaf. Gdy naliczył kiedyś, podczas jednej tylko rozmowy (telefonicznej) sześć razy użyte to samo słowo, przerwał jej i ostrzegł:

— Barbara, ty wiesz, co to słowo oznacza?

— Czemu?

— Powiadasz, że jestem fatalny, a to słowo ma przecież podwójne znaczenie: fatalny, fatum, los, przeznaczenie... rozumiesz?

Zrozumiała widocznie, co miał na myśli, bo zaczęła się śmiać, jak zazwyczaj w takich momentach.

— Zawsze robi mi się wesoło — przyznawała — gdy ty o sobie w ten sposób mówisz.

— Zarzucałaś mi kiedyś, że jestem zarozumiały, prawda?

— Nieprawda — zaprotestowała — to musiała powiedzieć jakaś inna twoja wielbicielek... jakaś inna dziewczyna — poprawiła się szybko.

To była gafa co się zowie: „Barbara moją wielbicieleką?” — zauważył.

— Jeżeli chcesz wiedzieć — ciągnęła dalej — nie, nie jesteś zarozumiały. Jesteś po prostu dobry, przyznaj, czy nie jesteś?

Uderzyły go jej słowa. Po raz pierwszy chyba w życiu słyszał, aby ktoś o nim mówił w ten sposób. Myślał o tym jeszcze później — nie wiedział właściwie, czy powinien się cieszyć, czy martwić, czy wierzyć, czy nie wierzyć, czy wzruszyć, czy też nie wzruszyć się. Za tydzień, gdy znów do niej dzwonił, nie pamiętała już o tamtych dziwnych słowach. „A więc tak, jak by ich nie było” — pomyślał.

Natrzasali się kiedyś wspólnie z wyrazu „małżonek” i owego dziwnego patosu, jaki w tym wyrazie tkwi. Gdy opowiedział jej historię o zgodliwym małżeństwie, w którym mąż (małżonek?) zajmował się sprawami pierwszorzędnej wagi — jak na przykład:

sprawa rewolucji na Kubie, wyzwolenie kolonii afrykańskich, konferencja na najwyższym szczeblu i tym podobne, a żonie pozostawiał inne, drugorzędne sprawy, o których miała decydować sama — jak na przykład: gdzie wyjechać na wakacje, czy kupić telewizor, do której szkoły posłać dzieci i tak dalej, Barbara ucieszyła się i powiedziała:

— Bo tak powinno być! Mężczyzna jest po to, aby zajmował się polityką i dziewczyną, albo na odwrót.

— Co to znaczy — dziewczyną? — nie zrozumiał.

— Nie rozumiesz? — zdziwiła się z kolei Barbara. — Nie wiesz, co to jest dziewczyna?

Chodziło jej o to, aby żony nie nazywać żoną, bo to zbyt pospolite. Dziwne myśli musiały mieszkać w tej dziewczęcej głowie.

Była zgorszona, gdy powiedział jej, że „lubi, aby jego rozkazy były wykonywane bez zwłoki”.

— Kiedy ty się urodziłeś, w średniowieczu? Nikt nie zechce być twoim niewolnikiem!

Jeszcze gorzej potraktowała jego sposób wyrażania myśli, gdy mówiąc o swej przyszłej żonie (dziewczynie?) użył zwrotu „wygodnie jest mieć ją pod ręką”, tak, jak by miał to być telefon, maszynka do mielenia mięsa, dobry garnek czy też jakakolwiek inna rzecz, od której wymaga się jedynie, aby dobrze działała. Nie widział w tym nic złego, ale Barbara aż kipiała z oburzenia.

— To jest po prostu gburowatość, nic więcej — orzekła.

„Biedne, nieświadome dziewczę” — pomyślał wielkodusznie.

W tym samym czasie doszło do grubszej awantury z Anną. Drobne sprzeczki były na porządku dziennym, bez tego ani Olaf ani Anna nie znaleźliby zapewne wspólnego tematu rozmów. Tym razem poszło o coś ważniejszego. Dostał od Anny po pysku. Nie, nie z powodu Barbary. Anna zabiłaby go chyba za coś takiego — jak sobie wyobrażał i nie bez podstaw — dotychczas jednak nic nie wiedziała. Oddał jej z nawiązką. Uważał za rzecz nadzwyczaj ordynarną, aby dziewczyna, więcej nawet — narzeczona — biła swego oblubieńca po gębie. Prędzej jakoś mógł być sobie wyobrazić sytuację odwrotną, ale to — nie, coś takiego nie mieściło mu się w głowie. Zresztą, nie pierwsza to już tego rodzaju niespodzianka, odkąd poznał Annę. Przedtem jego świat był bardziej ubogi, czysty i schludny.

Telefon — jedyne wyjście z sytuacji, być może nie tyle wyjście ile ucieczka. Jeżeli oczywiście Barbara się zgodzi. Był jej wdzięczny za poniedziałkowe wieczory, które dotąd nie utraciły nic ze swego tajemnego, radosnego uroku. „Nie kochasz przecież tej dziewczyny” — mówił do siebie — „jest płaska jak

deska. Niewiele przypomina Joannę, nie możesz przecież jej kochać". Wtedy jednak, na skraju jego świadomości zjawiała się inna myśl: „czyżby jednak tak?"

Magiczne znaki i symbole nabrały w tym okresie specjalnego jakiego znaczenia. Nigdy chyba jeszcze nie oczekiwał z taką niecierpliwością głosu lub błałego chociażby znaku „stamtąd", tak, aby wiedział, co dalej trzeba robić. Znak nie pojawiał się — ani teraz ani potem. Czyżby siły, których nie godzi się tutaj nazywać pełnym imieniem, zadrwiły sobie tym razem z niego?

Był już listopad. Z Barbarą nie widział się od kilku tygodni — spory kawał czasu. Telefon pracował bez zarzutu. Mieli się zobaczyć, gdy „słońce wszędzie nad górami", ale jakoś na razie nie wschodziło. I wreszcie stało się to, co wcale nie musiało się stać. Mówił zwykle dużo, tym razem wszakże powiedział za dużo. Wrócił do domu zmęczony pracą, jak zawsze w poniedziałek i nie czekając na kolację, zadzwonił do Barbary. Zdziwiła się, że o tej porze jest jeszcze bez kolacji, ale nie to jest takie ważne. Był rozgoryczony, mówił zbyt szczerze: według prawideł amerykańskich (*catch as catch can*) wolno mówić wszystko, ale nie powinien był zdradzać całej prawdy o Annie i części prawdy o Joannie. Nie powiedział nawet tak wiele, ale i to wystarczyło. Barbara w lot domyśliła się reszty. Ucięła rzecz krótko:

— Nie kochasz Anny, to wszystko. Musisz znaleźć sobie inną, ale na litość boską — nie szukaj sobowtóra! — wykrzyknęła. — Szukanie sobowtóra tamtej pierwszej to musi być okropna rzecz. Daj spokój temu.

Później jeszcze dodała:

— Żal mi ciebie. Nie wiedziałam o tym wszystkim. Potrzebna ci jest dziewczyna, może właśnie ja ci ją znajdę.

Gdy tak mówiła, sam nie wiedział, czy litować się nad sobą, czy nad kimś innym — ba, ale kim? Zdumiał się też: „załatwiła to w kilku słowach, czyżby rzecz była aż tak prosta?" Czuł, że Barbara nie mówi, nie rozumie całości. „Kiedyś przecie kochałem Annę" — tłumaczył sobie bezgłośnie — „ma czarne włosy i jest tak bardzo podobna... Żle, że tak się stało. Powinienem być zjeść przedtem kolację" — rozmyślał — „Barbara może teraz pomyśleć, że jest mi potrzebna".

Istotnie, trochę jak gdyby popsuło się między nimi od tamtego poniedziałku. Na pożegnanie poleciła mu przeczytać „Pogardę" Alberto Moravii — nie, nie chciała być przy tym złośliwa, bo książki sama jeszcze nie czytała. „Lepiej jednak trafić nie mogła" — pomyślał kiedyś później. Wnet wszakże zapom-

nieli oboje — świadomie czy też nieświadomie — o tamtym pechowym poniedziałku.

Pogoda utrzymywała się wciąż niezła. W sobotę Barbara wyjechała na wycieczkę, piekli na ogniu ziemniaki — „ach, jak one smakowały”. Opowiedział jej o swojej wyprawie na Turbacz, gdzie był razem z Anną i z rodziną.

— Zawieja, śnieg walił tak gęsty, że z trudem widzieliśmy najbliższe drzewa — malował jej ponury obraz tamtego dnia. — Ogień paliliśmy w szałasie bez dachu. Był tak wielki, że ledwie nie spłonęły ściany. Po obiedzie zażądałem deseru...

— Domyślam się, jesteś przecie wymagający — przerwała mu — pewnie chciałeś pocałunków.

— No, nie zupełnie. To miałem już przed obiadem. Wtedy chciałem ciasta lub w ogóle czegoś słodkiego do herbaty.

— Uhm — odezwało się w słuchawce — jak by ze zrozumieniem.

Czwarty grudzień — imieniny Barbary — wypadł w poniedziałek. Z namaszczeniem wyszukał na tarczy telefonu jej numer. Była w domu i za chwilę usłyszał jej głos. „Nie, nie spodziewała się, że zadzwoni”.

— Jakżeż! — oburzył się umyślnie mocno — to tak łatwo zgadnąć, jest poniedziałek, a do tego twoje imieniny.

Barbara napiła się trochę wina i była w wysmienitym nastroju, gdyby nie lekki smutek, który ją gnębił. Wyobraziła sobie — ni stąd ni zowąd — że tak zwane „życie towarzyskie”, któremu zapewne poświęcała około siedemdziesiąt procent wolnego czasu, okazywało się — na dobrą sprawę — pozbawione sensu i jakby puste. Puste — tak właśnie rzecz określiła. Zmienił temat i opowiedział jej o „Amadeuszu”, którego widział niedawno w „Teatrze 38”, i o tym rosnącym trupie byłego amanta. Trup, który rósł z charakterystycznym trzaskiem i każdego dnia stawał się coraz dłuższy, pod koniec przedstawienia był już tak duży, że nie mieścił się w jednym pokoju i jego chude nogi wystawały aż do połowy sceny. Biedny Amadeusz! — mąż swojej pięknej żony. Ten trup mógł być — i prawdopodobnie był — symbolem wciąż narastającej złości, rosnącego sporu małżeńskiego, sporu który nigdy się nie kończył. Przypominało mu to Annę i jego z nią współżycie. Miał mówić o tym Barbarze, zapytał ją, co sądzi o filmach amerykańskich. „Są naiwne i przeważnie głupie” — oceniła. Zażądał uznania jednego wyjątku: „Garsoniera”. Zgodziła się. A skoro jest już jeden wyjątek, to można by podać i więcej. Opowiedział jej o wspomniałym filmie „The Vikings”, który swojego czasu oglądał w Londynie.

— Najlepsze było jednak to — mówił — że tam, na filmie

wszyscy Anglicy byli zrobieni na kretynów, półidiotów, a w najlepszym razie — zdrajców i tchórów.

— Nie rozumiem — przerwała mu — co ci się w tym tak podoba?

— Widzisz, film robili Amerykanie.

Sądził, że takie wyjaśnienie wystarczy, ale Barbara nie była zupełnie przekonana.

Potem Olaf wymyślił promotora.

— Co to takiego jest?

— Nie wiesz, co to promotor? — zdziwił się, a ponieważ nie wiedziała, lub też udawała, że nie wie, wyjaśnił: — kiedy otwierasz przewód doktorski, to znaczy, kiedy masz zamiar robić pracę doktorską, musisz znaleźć najpierw dobrego promotora, od niego wszystko zależy. Później dopiero troszczysz się o pracę, o recenzentów i całą resztę.

— Ale ja dalej nie wiem, kto to jest — zaoponowała.

— Promotor to jest sprężyna, która na początku wszystko wprawia w ruch. Mogę być twoim promotorem, jeśli chcesz, chyba ci się przydam.

— Dobrze, ale co to znaczy „wszystko” i kiedy był czy też będzie ten „początek”?

Zastanowił się chwilę, a potem odrzekł:

— „Wszystko” to jesteś ty, ty sama. Początek był we wrześniu. Teraz musisz pracować dalej.

Myśl ta spodobała się Barbarze, a może tak tylko sądził Olaf, który, jak każdy człowiek, chętnie karmił się drobnymi kłamstwami z rodzaju tych, jakie można by nazwać „kłamstwem pozytywnym”, to znaczy takim, które sprowadza dobre samopoczucie i lepszy humor. Został więc promotorem. Swe nowe obowiązki wypełniał skrupulatnie i szczegółowo: pedantycznie informował Barbarę, gdzie i co należy przeczytać, z powagą podawał jej odpowiednie pozycje literatury, dotyczące tematu: „kobieta w życiu mężczyzny”. Równie dobrze mógł to być temat: „mężczyzna w życiu kobiety”, ale to już jest rzecz uznania i naukowego wyczucia doktoranta. Literaturę dzielił przy tym na „obowiązkową”, którą Barbara powinna bezwzględnie przerobić, i „uzupełniającą” — traktowaną jako dodatek. Bawili się w ten sposób doskonale. Czasem myślał w cichości ducha: „skoro ma być to nasza wspólna praca, muszą być i wyniki. Będą zapewne i recenzenci, którzy rzecz całą rozpatrzą i ocenią. Co też może być owocem takiej pracy?” Jak dalece sięgały w takich chwilach jego myśli może być dowodem chociażby to, że bał się mówić o nich Barbarze: „dziewczyna nie powinna o wszystkim wiedzieć”.

— Dobry wieczór, mówi promotor — przedstawił się, za-

czynając następną rozmowę. Złościło go wszakże, gdy Barbara zrozumiałwszy dobrze swoją rolę, jaką był jej narzucił, upierała się, że „materiał” do owej „pracy” będzie zbierać samodzielnie, gdzie indziej (a więc nie z nim!), a później zreferuje mu co najwyżej ważniejsze etapy.

— Inaczej nie byłaby to żadna praca — mówiła ucieszona.

— Nie wygłupiaj się — odpowiadał.

W grudniu zdarzył się jeden ciekawy koncert. Dzwonił do niej po koncercie — „żałuj, że nie byłeś” — rzekł.

— Pewnie — zgodziła się — żałuję. — Ale mam ciebie, ty byłeś, słyszałeś a teraz dzwonisz do mnie. Wystarczy za koncert, no nie?

Nie wiedział, czy brać jej słowa za dobrą monetę, czy na odwrót. Na wszelki wypadek zachował właściwą — jak sądził — rezerwę.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Po niedawnym deszczu i ciepłej fali powietrza przyszedł nagły mróz, który skuł ziemię twardą okową. Na szczęście, spadł również śnieg. Sypał długo i bezustannie, pokrywając zmarznięty świat puszystą, szczelną powłoką. Drzewa stały w milczeniu, osypane śniegiem, pochylone w dół, drzemały w spokoju i cierpliwie nosząc zimowe brzemie — nie zrzucały go z siebie. Gdy w dzień wyjrzało na chwil kilka grudniowe słońce, park stawał się roziskrzoną bajką, a każdy maleńki kryształek błyskał lodowym refleksem.

Był mróz.

Obiecała, że spotka się z nim tuż przed świętami.

— Mam teraz jaśniejsze włosy — przyznała się.

— To źle, zmień na ciemniejsze — zażądał.

— Tak jest! — odpowiedziała posłusznie udając wojskowy styl bycia, chociaż Olaf nie był przecie kapralem.

— Podoba mi się to — pochwalił.

W poniedziałek musiał opuścić Kraków udając się do Warszawy — nie na długo — bo we wtorek wieczór powracał. Gdy samolot oderwał się od zasypanej śniegiem ziemi, a następnie tonąc w półmroku przebił się przez gęstą warstwę chmur, aby na wysokości powyżej tysiąca metrów wychynąć na ogromny, słoneczny przestwór pełen nieba i chmur — ten, który jest zawsze tam, w górze, chociaż nawet i nie pomyślimy o tym, poczuł się prawie szczęśliwy. Gdy przypomniał sobie o czekającym go spotkaniu z Barbarą — „prawdopodobnie piątek, lub sobota” — stał się najszczęśliwszym chyba człowiekiem spośród wszystkich ludzi znajdujących się na pokładzie samolotu. W przerwach między jedną a drugą drzemką patrzył ciekawie w dół,

na wełnistą, skotłowaną powierzchnię chmur. Słońce rozświetlało cały ów nierzeczywisty świat, promienie światła padając z ukosa pozwalały widzieć głębokie wąwozy i zapadliska, które ukazywały się to tu to tam, przesuwały nieznacznie w tył, aby za chwilę zniknąć zupełnie z oczu.

— Opowiem o tym Barbarze — postanowił.

Nie było to jedyne jego postanowienie — aby rzec całą prawdę — zbierał wrażenia kilku ostatnich dni starannie, jak gdyby układając drogocenny skarb do skórzanego worka, który chciał zabrać potem ze sobą, gdy „słońce wszędzie nad górami” i kiedy będzie mógł z nią rozmawiać widząc jej oczy i twarz.

Gdy dzwonił do niej w czwartek wieczorem, był pewien, że zastanie ją w domu. Dzwonił dwukrotnie, i to dosyć późno, a jednak nie było jej. Podobno robiła jakieś rysunki — rzecz terminowa. Rano, następnego dnia zepsuł się jego własny telefon. W słuchawce miast sygnału panowała głucha cisza.

— Świnia — pomyślał o telefonie, jak gdyby była to żywa istota.

Zadzwoił skądinąd, wykorzystując przerwę w seminarium, na którym mówiono o bardzo zawiłych przyczynach przypadkowego łańcucha wydarzeń, na przykład: różna wilgotność i różne opady śniegu powodują różny wzrost drzewa. Zabrał wtedy głos i opowiedział szanownym zebrany taką oto historyjkę: „idzie wilk przez las i gryzie go pchła. Wilk ociera się więc o drzewo i drzewo rośnie inaczej”. Skąd należało — jak mówił — wyciągnąć wniosek, że wszechświatem rządzi prawo: „wszystko oddziałuje na wszystko”. Tego dnia nic nie potrafiło zakłócić jego dobrego humoru — umówił się był bowiem z Barbarą. Na dziś wieczór. Ustalili godzinę piątą w Krzysztoforach.

— Powiesz mi więc o tej „niesłuchanie ważnej sprawie”? — pytała.

— Oczywiście.

Robił jej wyrzuty z powodu nocnych wędrówek: „tak późno i nie było cię w domu”. Wyjaśniła, że rysowali jakiś projekt urbanistyczny, który tego samego dnia miał być wysłany na konkurs. Pracowała do godziny czwartej nad ranem. Spała tylko do ósmej, ale czuje się dobrze. Tak, dlatego chyba, że jest mróz. Gdy wracała do domu, zachwycała ją przepiękna, zielona zorza, jaka świeciła na wschodzie. „Zielona zorza” — dziwił się. — „To musiało pewnie tak wyglądać, jak neon w biurach „Aeroflotu” w Warszawie. Ale Barbara nie pamiętała neonu w „Aeroflocie”.

Wszystko układało się pomyślnie aż do godziny piątej po

południu. Potem — już nie. Po pierwsze: Krzysztoforzy były zamknięte, co za niemiła niespodzianka! — czekał więc na ulicy, marznąc na solidnym mrozie. Po drugie: Barbara nie przyszła. Cekał, usiłując zdobyć się na cierpliwość, przez dwadzieścia minut, a następnie zadzwonił do niej. Telefon odebrała mama Barbary. „Umówiła się z kimś i wyszła z domu” — dowiedział się. Nie mieściło mu się w głowie, że Barbara mogłaby nie przyjść. „Czyżby przejechał ją samochód?” — pomyślał z niejakim niepokojem, przypominając sobie przedpołudniowe seminarium na temat zdarzeń przypadkowych.

Nie, nie przejechał jej samochód. Gdy Olaf wrócił do domu, zły i zmarznięty, miętosząc w kieszeni dwa bilety do kina, które był na dzisiaj kupić, spróbował zadzwonić. Korzystał z telefonu u sąsiadów. Wyobraźcie sobie, Barbara była w domu! Owszem, powiada, że była i przy Krzysztoforach — zgodnie z umową, późno jednak wyszła z domu, potem długo nie było tramwaju i na koniec pod Krzysztoforami zjawiła się dokładnie dwadzieścia pięć minut po piątej. A więc właśnie w tym czasie, kiedy on dzwonił do niej. „Gdybym tylko poczekał chwilkę dłużej” — rozmyślał z żalem. Nie, nie chciała wychodzić z domu po raz drugi. Też zmarzła. A więc?

Umówili się na jutro, a Olaf niepotrzebnie może upierał się, aby pójść do kina, że warto, bo film jest bardzo wesoły i można się bez przerwy śmiać. Zgodziła się, ale zażądała aż trzech biletów, ten trzeci miał być dla Joli, osiemnastoletniej kuzynki z Warszawy, która przyjechała tu spędzić święta. „Bo Jola nie może cały czas sama siedzieć w domu”. Przewornie zastrzegł sobie tyle, że po kinie odeśła Jolę do domu.

Nie był to dobry pomysł. Spotkali się wszyscy troje za kwatera przed kinem. O bilety postarał się już wcześniej, ale ludzi było niewielu i przy kasach widniały pustki. Tym bardziej puste rzędy krzeseł na sali kina robiły przygnębiające wrażenie. W tyle siedziało kilkoro młodych ludzi, których Barbara określiła jednym słowem — „chuligani” — miał to być zapewne jakiś skrót myślowy.

W pustawej sali dawał się odczuć dotkliwy chłód, siedzieli więc, nie zdejmując płaszczy. Barbara zajęła miejsce środkowe: „bo nie lubię siedzieć z brzegu”. W ten sposób miała Jolę, nad którą sprawowała troskliwą opiekę, po prawej ręce, Olafa natomiast, o którego nie troszczyła się za bardzo, po lewej.

— Zdaje się, że słyszałem dziś pani głos przez telefon — rzekł w stronę Jolanty. — Brzmi znacznie poważniej od głosu Barbary.

— Tak — przyznała Jola — bo Barbara piszczy.

— Barbara! — rzekł głośno — ty piszczysz, słyszysz.

Nie chciała jednak słyszeć, ignorując jego zaczepki. Gdy zapytał, czy mają w domu choinkę, odrzekła krótko:

— Mamy.

— Kto ją będzie ubierał? — chciał wiedzieć.

— Barbara — rzekła z niejaką dumą Jola.

— Wyobrazam sobie — powiedział — architektci najlepiej się do tego celu nadają.

Zaprotestowała wtedy:

— Ja najbardziej lubię suchą gałąź, na przykład gałąź jemioli — zamiast choinki.

— Po co jemiola? — zdziwił się. — Czyżbyś myślała o całowaniu pod jemiolą? — rzekł, wspominając angielski zwyczaj obowiązujący w czasie świąt Bożego Narodzenia. „Barbara uczy się angielskiego z Eckersley’a, powinna więc wiedzieć” — pomyślał.

Wymamrotała coś niewyraźnie i otuliła się szczelnie w swój brązowy kożuch. Patrząc nań, pomyślał: „jest wspaniały!”.

— Ładny ten twój kożuszek — powiedział.

Nie mrugnęła nawet okiem, nie odrzekła ani słowa. Zwrócił się wtedy do Joli:

— Proszę, jak Barbara reaguje na komplementy — powiedział z wyrzutem.

— Ona nie zauważa — wyjaśniła Jola, patrząc spod oka na swą piękną kuzynkę.

— Przeciwnie — zaprotestował — zauważa, sądzi jednak, że to rzecz normalna, że to jej się zwyczajnie należy.

Barbara nie odwróciła głowy, patrzyła na ekran. Podczas kroniki zwróciła mu uwagę, aby nie trącał jej „co chwila” łokciem, bo „dziwny to jakiś nawyk”. Najpewniej największą zabawę miała w tym czasie panna Jolanta, która uważnie obserwowała rozmowy ich obojga. Przedtem jeszcze wręczył Barbarze stary numer „Magazynu Polskiego”, w którym powinna przeczytać o tym, jaką miłością należy kochać mężczyzn — przedruk artykułu z „Saturday Evening Post” — rzecz należała do literatury „obowiązkowej”. Nie na wiele chyba się zdała. Przestrzegł ją, mówił to umyślnie głośno, aby nie dawała takich rzeczy kuzynce z Warszawy, która „jest jeszcze za młoda”.

Gdy na kronice pokazano Meksyk, Barbara oświadczyła, że chciałaby tam pojechać. Potem zaczął się film — był w miarę głupi i w miarę wesoły. W sumie — nie najgorszy. A do tego — gromada przystojnych Włochów — podczas wycieczki do Włoch Barbara kochała się podobno w co drugim mężczyźnie! — „powinna być więc zadowolona” — myślał. Gruby Mudugno śpiewał swym pięknym, lekko zachrypłym głosem:

*„Guarda che luna, guarda che mare...
in quella notte, una notte senza te
vorrei morire...”*

Olaf rozumiał te słowa.

W ciągu niepełnych dwóch godzin trwania seansu trącił ją kilkakrotnie łokciem w rękę — „rzeczywiście, dziwny jakiś nawyk” — pomyślał. Raz odezwał się — w momencie, gdy na ekranie wynoszono kobietę z trojgiem dzieci z domu na ulicę na jej własnym łóżku, za które nie miała czym zapłacić, a wszystko odbywało się przy dźwiękach triumfalnego marszu, brzmiącego jak hymn narodowy — powiedział wtedy: „popatrz, to jest symbol tamtego systemu. Wygrywa ten, kto mocniejszy”. Barbara skinęła poważnie głową, nie komentując zdarzenia własnymi słowami. Raz natomiast zauważył, jak źle wymówiła wyraz „Chianti” (nazwa wina), mówiąc „czianti” zamiast „kianti”, jak trzeba. Powiedziała to półgłosem — zwracając się w stronę Jolanty — w momencie, gdy facet na filmie wlewał sobie wino do ucha, przez pomyłkę, zamiast do ust. „Zdaje się, że jestem cholernym pedantem” — pomyślał równocześnie.

Po filmie, kiedy wyszli na zaśniewoną ulicę, zapytał, czy zauważyły, jak bardzo główna bohaterka filmu — czarująca dziewczyna nosząca filmowe imię Helena — przypomina... Barbarę. „Nie, nie zauważyły”. „To dziwne” — rozmyślał — „przecież one są podobne jak dwie krople wody”. Barbara uparła się, że zwróci mu pieniądze za dwa bilety i zwróciła je. „Nie jestem z tego powodu tak bardzo niezadowolony” — zaobserwował.

Tramwajem dojechali do centrum. Tu wysiedli i poszli dalej pieszo do Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy.

— Jolanta poczyta sobie na górze tygodniki — zdecydowała Barbara — a my na dole napijemy się kawy.

Myśl była zasadniczo dobra, jakież było ich jednak zdumienie, kiedy Klub okazał się zamknięty. Nie pomogło silne naciskanie stalowej klamki.

— Bogowie widać nie chcą, abyśmy dzisiaj ze sobą rozmawiali — rzekł Olaf, który, jako się rzekło, był zawsze trochę fatalistą. Kłopot był — co zrobić z Jolantą. Barbara przypominała sobie ze śmiechem, jak kiedyś chodziła w ten sposób z ciocią:

— Ciocia umawiała się z jakimiś mężczyznami, a mnie zostawiała gdzie popadło.

— A teraz ty jesteś tą ciocią — rzekł na to Olaf, a w tonie jego głosu zabrzmiały nieskrywane, złośliwe nutki.

Na koniec ulokowali Jolantę w pobliskim „Fotoplastikonie” na Szczepańskiej i obiecali wrócić za kwadrans. Dokładniej:

obiecowała Barbara. Olaf przyglądał się temu wszystkiemu z rosnącą złością przeplataną nieuzasadnionym żalem.

Było coraz zimniej. Na Jana znaleźli jakąś niby „kafejkę”, która okazała się ordynarną knajpą. Zamówił od razu dwie małe kawy, pomógł dziewczynie zdjąć gruby, ciepły kozuch i zawiesił go na przeładowanym paltami stojaku. Zdziwił go nieco automatyczny odruch Barbary, wynikający z absolutnej pewności i przyzwyczajenia: gdyby nie pochwycił w porę kozucha, ten byłby zapewne upadł na ziemię. Nie chcący więc stał się dżentelmem, rzecz u niego raczej niecodzienna. Przyniósł do stolika kawę, rozlewając przy tym część swojej. Jego cierpliwość wyczerpywała się coraz szybciej. Nie widział, w co Barbara była ubrana, nie mógłby nawet powiedzieć, czy miała na sobie suknię. Jedno było pewne: nie była naga.

Od stolika stojącego w kącie, w pobliżu lady, dolatywał zapach alkoholu i gardłowe okrzyki kilku rozbawionych mężczyzn: siedzieli w brudnych płaszczach na filigranowych stołkach i niepewni kiwali się na wszystkie strony.

— A więc — zagadnęła Barbara, łykając kawę — ta „niesłuchanie ważna sprawa”, o czym to jest?

Czuł, że jeżeli powie to teraz, tutaj, w tym pijackim nieomal nastroju, to przegra całą sprawę — bez żadnej szansy, bez nadziei na zmianę. Olaf nie był wszakże człowiekiem rozsądnym: nie potrafił rezygnować, nie potrafił się cofać. Wiadomo, że jest to umiejętność równie ważna i potrzebna jak wytrwała wola posuwania się naprzód.

Opowiedział jej najpierw o tym, co widział z samolotu, gdy leciał do Warszawy.

— Kiedy w pobliżu Okęcia samolot znowu zniżył lot, weszliśmy z powrotem w chmury, było ciemno, padał śnieg i świat był znowu beznadziejnie szary.

Piła małymi łykami kawę, zdawała się tego nie słuchać.

— Pamiętaj więc — zakończył swą opowieść — że jeżeli tutaj jest źle i ciemno, to tam u góry znajdziesz słońce zawsze, ilekroć tylko będziesz chciała.

Milczała. Najprawdopodobniej nie słyszała jego słów. Przygłuszał je syk ekspresu kawowego, gwar anonimowych rozmów i pijackie krzyki. Zresztą, to co mówił bardziej odnosiło się do niego samego niż do niej.

A później przystąpił do rzeczy (więc jednak!), powiedział:

— Mówiłaś mi kiedyś, że przydałaby mi się dziewczyna. Otóż, przemyślałem sobie całą rzecz dokładnie i doszedłem do wniosku, że masz rację. Potrzebna mi jest dziewczyna.

Chwilę panowało milczenie.

— Nie myślę o tobie — ciągnął — chciałbym jednak... —

brakowało mu słów — rozumiesz, muszę się zakochać, bo jeśli tego nie zrobię, jestem zgubiony i...

— Mów ciszej — zwróciła mu rzeczowo uwagę.

— Nie obawiaj się. Mówię na tyle cicho, że słyszysz tylko ty. Zresztą — poruszył się niespokojnie — chodźmy stąd, z tej knajpy! — rzekł sucho.

— Dobrze — zgodziła się.

Wyszli razem. Za skrzyżowaniem Jana z Pijarską skęcili w lewo. Szli Plantami. Z otwartych ust uciekały obłoczki białawej pary. Drzewa wyglądały przesłicznie w swej nowej, zimowej szacie. Śnieg był sypki i prószył chwilami, nie wiadomo skąd, opadając drobnymi jak igiełki płatkami. Światła rozlewały się łagodnie w mroku grudniowej nocy. Jutro wigilia.

Mówili o różnych rzeczach. Tamta, „ważna” sprawa, gdy już powiedziana, zbladła jakoś, straciła jak by swe znaczenie. Barbara orzekła, że „nie przyłoży do tego ręki”. Zdziwił się:

— Przecież to twój pomysł.

Wzruszała ramionami.

— Nie mam tego na taśmie — rzekł — ale to ty mówiłaś. Oczywiście, miał i tym razem rację, ale co z tej racji? Powróciła potem raz jeszcze do owego tematu, twierdząc, że to co najmniej nieporozumienie mówić o tym w ten sposób.

— Jak ty możesz mówić „muszę”, to przecież nie ma sensu — przedkładała — gdy zaczynasz kogoś lubić, gdy rozumiesz, że to się już stało, myśl przychodzi do ciebie jak olśnienie, jak nagle jakieś światło.

— Nie, nie możesz mówić „muszę” — powtórzyła, a potem, zmieniając temat, opowiedziała mu o tamtej „szalonej” nocy, kiedy kończyli projekt na konkurs, rysując plansze aż do białego rana, a w przerwach — zjadając chciwie chleb z musztardą i tańcząc twista w takt muzyki nadawanej przez radio Luksemburg.

— Tak, to musiało być ładne — zgodził się, ale jakoś bez entuzjazmu.

Okrążyli dwukrotnie Plac Szczepański. Dowiedział się wówczas, że nie prędko zobaczą się znowu, bo „do takiego systematycznego spotkania potrzebna jest pewna podstawa”.

— A nie ma jej — oświadczyła ni to smutnie ni wesoło. Bałby się przyznać, że zrobiła to obojętnie. „Szalona głowo” — rozmyślał o sobie — „czy mogłeś się spodziewać, że dziewczyna po kilku telefonach zakocha się w tobie?” — „Oczywiście, że nie” — odpowiadał głos rozsądku. Był w nim wszakże inny jeszcze głos prócz głosu rozsądku. A ten mówił co innego.

Barbara wydała mu się nagle niezmiernie jakoś daleka. Na

Plantach, gdy podbiegła naprzód, okazując w ten sposób jak gdyby wesołość, mimo woli przytrzymał ją za rękaw kożucha.

— Nie uciekaj — rzekł.

— O! — wykrzyknęła rozzłoszczona — jesteś potwornie poważny, ja nie jestem taka, nie jestem przyzwyczajona, nie mogłabym z tobą...

Nie dokończyła.

— Kiedy wyjdę za mąż — powiedziała po chwili namysłu — zrobię sobie osobne drzwi do pokoju. Tak, muszę mieć osobne drzwi!

Klasnęła w dłonie, uderzając miękko rękawiczką o rękawiczkę.

— I osobne łóżko — dodał, po raz drugi już dzisiaj starając się być złośliwym.

— Nie — zaperzyła się — łóżko nie.

Weszli z powrotem na Plac Szczepański.

— Spójrz — zmieniła znów temat — takim autobusem jeździliśmy w plener. — Pokazała na autobus „Orbisu” stojący w rzędzie wraz z innymi na parkingu strzeżonym. Przystanęli na chwilę. Zza któregoś samochodu wychylił się ciekawie stróż w wysokich butach, okutany w wielki, ciepły zapewne kubrak.

— Chodźmy stąd — powiedział, pociągając dziewczynę za rękę — bo dziadek pomyśli sobie, że chcemy mu ukraść autobus.

Poszli więc. Z „Fotoplastikonu” zabrali Jolantę. Na rogu Szczepańskiej i Sławkowskiej, gdzie zaczyna się Rynek, pożegnał obydwie dziewczęta, życząc im wesołych świąt. Zaznaczył, że Barbara powinna dużo jeść — bo jest chuda — Jolancie raczej odradzał.

Mróż narastał. Gdy Olaf wracał do siebie, trząsał się niemal z zimna. Smutny to był wieczór. W nocy zrobiło się jeszcze zimniej. Nad ranem, tuż przed przebudzeniem, śnił o Barbarze. Rzadko kiedy pamiętał jakiś swój sen, ten jednakże pozostał w jego myślach, jak żywy obraz: leciał samolotem, który sam pilotował. Nagle silnik zaczyna dymić, samolot zniża swój lot, pędzi coraz szybciej ku ziemi. Trzask. Maszyna rozbija się, a on wstaje nad usypanymi w stos gruzu szczątkami samolotu — nietknięty. Ni stąd ni zowąd pojawia się na to Barbara, podchodzi bliżej, jest już całkiem blisko. Schyla się, podnosi jedno ze skrzydeł samolotu, spogląda na niego, uśmiecha się najpiękniejszym ze swoich uśmiechów i — odchodzi, zabierając ze sobą urwane skrzydło.

Dzień wigilijny wstał mroźny i zapowiadała się słoneczna, piękna pogoda. Rano trzeba było porzucić łóżko wcześniej, Olaf wybierał się na narty. Cel wyprawy: Magurka. Do Suchej jedzie się pociągiem, a dalej już na własnych nogach. Stamtąd,

ze szczytu widać rozległą krainę: Kiczora, Diablak, Babia Góra, Jałowiec, Krowiarki, Polica, Hala Krupowa...

Był to dlań najszcześniejszy dzień tegorocznych świąt. Następne dni spędził raczej niespokojnie, gnębiony bliżej nieokreślonym uczuciem czegoś niespełnionego, czegoś, w ostatniej chwili przegranego. Ułożył misterny dowód, który miał go przekonać, że wszystko jest dobrze, że wszystko jest w porządku — ale ów dowód nadto nieco śmierdział filozofią. Gdy Nuna, jego znajoma z Warszawy, z którą poprzestawał na stopie koleżeńskej, odwiedziła go, przejeżdżając przez Kraków, rozzalił się, nie panując już więcej nad sobą.

— Ożeniłbym się z pierwszą lepszą dziewczyną, spotkaną na ulicy — powiedział.

Nuna pokiwała tylko głową. Zastanawiał się potem, czy powiedział jej prawdę, czy też może chciał raczej trochę się przed nią popisać — tym swoim niby zdecydowaniem.

— Zależy jak rzecz rozumieć — rzekł sobie — przecież na ulicy nie spotyka się „pierwszej lepszej”.

Tak, o to właśnie chodziło. Wówczas jednak, gdy wspinał się lasem, pokonując strome wzniesienie terenu, przyciskany ku ziemi plecakiem i nartami przerzuconymi przez plecy, ani myślał o wczorajszych zmartwieniach. Słońce wznosiło się leniwie ku górze, przeświecało niemrawo poprzez grubą warstwę zimowej mgły — rozpostartej w dolinie — mróz ciął nielitościwie.

W miarę jak mijał czas, rozmyślał:

— Gdybyś widzieć mogła tę poświatę słoneczną, kładącą się roziskrzonym tabunem blasków i cieni we wszystkie zakamarki i puchowe szczeliny. Słyszeć skrzyp zgniatanego śniegu i upadać, gdy noga wpadnie w zaspę. Nie uwierzyłybyś, jak wyglądają tutaj drzewa, takich jak te — zaczarowanych, milczących, pełnych dostojnego zadumania i królewskiego nieomal majestatu — takich nie znajdziesz nigdzie. Chciałybyś, zadartszy głowę do góry, spoglądać w nieogarniony, przejrzysty, kobaltowy błękit nieba, które tutaj zda się być niebem innej jakiejś, obcej planety. Chciałybyś też zbliżyć twarz do płonącego na śniegu ognia, który z sykiem i trzaskaniem pożera mokre, skwierczące gałązki sosny. I chciałybyś patrzeć, jak topi się garść śniegu rzucona do gorącej, osmolonej dymem menażki, chciałybyś przypiekać w płomieniu kawałek kiełbasy — który trzeba trzymać na zaostrozonym patyku. Szczęśliwa byłabyś, gdybyś mogła napić się parującej warem, gorącej herbaty, zagotowanej w małym czajniczku, dopiero co zdjętym z ogniska i postawionym na śnieg — a potem krajać zmarznąętą pomarańczę. Zwrócić twarz ku słońcu i spożywać błogo, bez ruchu — jak niedźwiedź — w śniegowym legowisku, wyścielonym ciepłym, baranym kozuchem. Oglądać da-

leki, nie mający końca ni początku, krajobraz, w którym więcej nieba, gór i lasu niż ludzkich siedzib. Śledzić splątane ślady zająca, umykającego chyłkiem u brzegu zagajnika. Wsłuchiwać się w lękliwy krzyk zwierzęcia i słuchać zagubionego w leśnej ciszy, dźwięczącego jak najmniejszy spośród wszystkich dzwonów — świergotania ptaka, którego nie widzisz, bo zbyt dobrze ukrył się między gałązkami świerka.

A wieczorem — obserwować wydłużające się cienie drzew, gasnące w łunie pożaru słońce i patrzeć, jak płoną dziko czerwone lasy i ośnieżone wzgórza... To jest świat bajki — równie nierzeczywistej jak prawdziwej — bajki, której ty nie znasz. Czekać później w ciepłej chacie, aż zapalą się pierwsze gwiazdy i wszędzie zimny, nieruchomy księżyc, w którego obliczu nie znajdziesz ani odrobiny litości...

— Widzisz — pomyślał — gdybym się kochał, opowiedziałbym ci to wszystko — i starałbym się mówić takimi właśnie słowami, abyś lepiej mogła zrozumieć i zobaczyć, co ja widziałem.

Znacznie później, bo w kilka dni potem, już po świętach, gdy zanurzony we mgle Kraków rozstawał się z odchodzącym, niepotrzebnym już nikomu — Starym Rokiem, gdy rozbawione miasto witało tańcem, śpiewem i krzykiem pierwszą godzinę nowego czasu, który z hałasem stawał się, wybijany przez wielkie i małe zegary — uświadomił sobie z niejakim przerażeniem:

— Przecież — ja ci to już opowiedziałem. Nie zgubiłem ani jednego słowa.

To, że się o czymś wie, nie zmienia jednak sytuacji, która pozostaje tak samo zawikłana jak przedtem, gdy się nie wiedziało.

Mijały miesiące. Zima, zmęczona ciągłymi mrozami, ustąpiła miejsca wiosnie a ta z kolei, znikając pod koniec maja — pośpiesznie — jak znika strużka wody wessana korzonkami jaśminu, wydawała świat na łaski i niełaski, deszcze i burze czerwcowej, gorącej pory. Noce stawały się znów krótkie, a rano, gdy duszący opar poprzedniego dnia rozwiewał się między blade obłoki a jaśniejące wschodem niebo, dawał się słyszeć gardłowy, niski głos — to gruchały gołębie.

I było jak co roku. Myśl o Barbarze wracała doń od czasu do czasu z uporem ptaka, który zmęczony poszukiwaniem żeru kołuje nad pokładem statku. Czas spędzał samotnie, inaczej więc niż dotychczas. Z Anną nie widział się chyba już z pół roku: trudne zakręty, w jakie układały się ścieżki jego życia, wołał przebywać swobodnie, bez dodatkowego bagażu. Poza tym — tak było uczciwiej.

Telefon został już dawno naprawiony. Milczał jednak przez całe, długie miesiące, jak gdyby do tego tylko został stworzony. Olaf ugasił w sobie gniew, zresztą — na kogo miałby się gnie-

wać? I wtedy właśnie, gdy pogodzony z własnym sumieniem, a przez to, zda się, i z całym otaczającym go światem, wsłuchiwał się w chór świergoczących, piszczących, śmiejących się i pyskujących na dachu wróbli — wtedy — gdy przemijał świeży, czerwcowy poranek, jaki już nie miał się zdarzyć, zadzwonił telefon.

Nie pozwolił mu dzwonić długo — zakłócałby ciszę — tym swoim brzęczącym hałasem. Podniósł słuchawkę.

Tak, to była Barbara.

— Halo? Więc jesteś w domu? — usłyszał jej nieomal zapomniany głos.

— Tak, to ja — powiedział niezbyt mądrze, ale też, jak często w takich momentach, nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

— Mam dla ciebie dziewczynę — oznajmiła. — Znalazłam.

Brzmiało to radośnie — „jak sto diabłów” — pomyślał. Jej głos — drgający jakąś nową, nieznaną dotąd nutką. Czyżby miał jej wierzyć? Udał, że tak, że wierzy.

— Dziś po południu, powiedzmy o czwartej na Placu Wolności — dyktowała termin i miejsce jak by jakaś sekretarka ważnego dyrektora. — Przyjdiesz? — zapytała.

Wahał się i zwlekał z odpowiedzią. „Czy jest się tu nad czym zastanawiać?” — pomyślał wreszcie, spoglądając na zielone pęki liści drzew rosnących przed domem.

— Przyjdę — odparł. — Czy ty będziesz również? Nie? W takim razie — jak mam ją poznać?

— Nie obawiaj się, to ona ciebie pozna. Zwróć uwagę na zielony kapelusik. Specjalnie po to włoży go na głowę, będzie to wasz znak rozpoznawczy, dobrze?

— Dobrze.

— Ale przyznaj — domagała się — że sprytnie wszystko obmyśliłam. Bo to jest mój pomysł — dodała, nie chcąc bynajmniej być skromną.

— Nie doceniałem cię, Barbaro — mruknął.

O czwartej po południu było wciąż jeszcze gorąco, chociaż słońce łagodnym łukiem chyliło się już ku zachodowi. Zauważył ją z daleka.

— To ty? — zdziwił się, poznawszy Barbarę. Nie ukrywał, że to zdziwienie nie sprawia mu smutku.

Podeszła blisko, podała mu rękę na przywitanie, na jedno mgnienie oka spojrzała w jego twarz i opuściła głowę. Wtedy zauważył z gwałtownym, zapierającym oddech zdumieniem.

— Ależ... — wykrztusił z siebie z trudem.

— Tak — szepnęła — to ja jestem tą dziewczyną.

— Masz na głowie zielony kapelusik! — dokończył zaczęte wcześniej zdanie.

— Uhm — przytaknęła, a następnie śmiejąc się, ściągnęła go z głowy i schowała do torebki, tej samej — indiańskiej, z frędzelkami. Jasne kosmyki jej włosów rozsypały się poderwane podmuchem wiatru. — Któż by nosił w czerwcu taki kapelusz?! — wykrzyknęła i spojrzała na Olafa. W jej oczach czał się nie-spotykany dotąd odbłask — bezsłownie prosiła jak by o jego aprobatę.

— Rzeczywiście — zgodził się.

Ujął jej ciepłą dłoń i poszedł, prowadząc dziewczynę obok. Szli w kierunku Parku Krakowskiego, wzdłuż Alei Trzech Wieszczów. Minęli Akademię Górniczo Hutniczą i przed Biblioteką Jagiellońską, nie dochodząc do niej, skęcili w prawo — przeszli mały odcinek Loterańskiej, a później Aleją Trzeciego Maja aż do Cichego Kącika. Stamtąd podmiejski autobus zabrał ich zawożąc do Lasku Wolskiego, skąd tylko krok na Bielany. Gdy mijali Skały Panieńskie, grzęznąc w głębokim, wilgotnym wąwozie, słońce wadziło już o korony najwyższych drzew. Noc, jak to w czerwcu bywa, nie spieszyła ze swym przybyciem i czekał ich długi, ciepły wieczór. W leśnej ciszy dobiegało z niedalekich pól, przesiąkniętych zapachem siana, granie świerszcza, a ponad to wybijał się krzyk wieczerzających ptaków, który dawał się słyszeć wraz z basowym, trochę zachrypłym szumem wiatru wplątanego w gałęzie rosnących na zboczu buków.

T. T. JEŻ

Kazimierz WIERZYŃSKI

CARAVAGGIO

*Diable, dlaczego mnie jesz?
Malowałem Zbawiciela,
Dzieciątka Jezus, Ojca i Syna,
Jak urodził się w stajni,
Jak uczył się chodzić,
Jak zdejmowali go z krzyża,
Dlaczego mnie jesz?*

*Malowałem flagelacje i tortury świętych,
Malowałem Meduzę z węzami,
Dzikie zmysły moje, niepokój,
Gwałtowność, okrucieństwo,
Malowałem Abrahama
Jak z nożem klęka nad Izaakiem
I dusi go,
Malowałem jak obcina się głowy,
Jak strzyka krew z szyi Holofernesa,
Jak Salome patrzy na pełną misę,
Jak Dawid trzyma za włosy
Obcięty łeb Goliata,
Moją głowę,
Mój autoportret,
Który ma usta otwarte i krzyczy
Dlaczego mnie jesz?*

Rzuciłeś w moje serce szaleństwo,
Napętniłeś oczy moje krwią,
Kazałeś mi zamordować człowieka,
Zabić przyjaciela,
I bać się i uciekać
Przez poszarpane życie,
A przecież służyłem wiernie,
Malowałem Pana naszego jedyneho,
Jezusa Chrystusa,
Jak żył i umierał,
Jak zdejmowali go z krzyża
I za nim powtarzałam
Słowa przedśmiertne
Panie, czemuś mnie opuścił.

DZWONY

Nie trzeba mi czasu wiecznego,
Wystarczy mi czas historyczny
Aby oszaleć,
Uciec od deszczów ognistych
Pod jakiś dach zaświatowy
Nie umiem.

Nie mogę się wyzbyc wspólnoty
Ze szczepem człowieczym, z niedolą,
Z jękiem podziemnym,
A czekać aż wyparuje
Epoka jak sezon obmierzły,
To nie mój gust.

Ogłuszony hukiem zegarów
Które biją mi w uszach
Dopadam z trudem
Mojej kamiennej dzwonnicy
Aby jeszcze nadążyć i rozkołysać
Pozarne dzwony.

Ale pierwszy który mnie usłysz
I na alarm mój nawet nie drgnie,
Nie zazna lęku,
To ten czas naddoczesny,
Obojętny na wszystko spokój
Nieludzkiej wieczności.

*I może ją nawet rozumiem
 Gdy szarpie się ze sznurami
 Lecz nic mi po tym,
 Widzę ogień na chmurach, niebieski,
 Jak ciągnie od tamtej strony i muszę,
 Chcę być szalony.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

Wacław IWANIUK

Z MOJEJ KSIĘGI RODZAJU

Motyw strachu powtarza się bezustannie w moich wierszach. Nie jest to strach wielki, strach przed Naturą, Losem, kataklizmem Przyrody lub Śmiercią. Jest to strach zwyczajny i ludzki — strach przed człowiekiem.

*O ile nie zdążymy uciec przed Zegarem
 to nas zmiażdżą stalowe modliszki.
 Czekają ukryte w trawie pod zieloną maską
 a gdy ruszą —
 zazgrzytają jak gąsienice pancernego czołgu.*

*Trzeba chronić się dziś przed każdą latającą ćmą,
 bo nigdy nie wiadomo
 czy zamiast żądła nie ukrywa ona
 ampułki wypełnionej wodorem.
 A pod skrzydłem pięknym jak perska tkanina
 nie czai się karabin maszynowy.*

*Możecie się ze mnie śmiać,
 ale ja boję się podejść do klatki z kanarkiem,
 spojrzeć w jego oczy po tamtej stronie krat —
 Bo wzrok więźnia może nam zatkać gardło
 i udusić.
 Strzeżcie się przeto uwięzionego kanarka.*

*Gdy koliber przelatuje za oknem
 choć zamaskowany, zdradza go szum skrzydeł.
 Czuję się wtedy jak więzień na Łubiance
 którego o północy drżą pytaniami.*

*Dla mnie oczy drobnego kolibra
zawieszonego w gorącym powietrzu (w sierpniowe
popołudnie), przypominają natarczywy wzrok
gestapowca z Enkawude.*

*Za oknem wtedy rozptywa się świat
i staram się uciec przed niewinnym kolibrem.
Jego cień jest jak aparat wmontowany w ścianę
zapisujący moje bolesne westchnienia.*

*I sam nie wiem kiedy, ale wiem że przyjdą
z gotową spowiedzią i każą mi ją podpisać.*

*Uciekajmy przeto przed ich Zegarami
Tam gdzie ludzie są ludźmi i żyją bez strachu.*

Wacław IWANIUK

T. CHARBOWSKI

Z A. M. FREDRY

*Kiedy kaczką gęsieję wyżej fruwa niż bocian
Kiedy skała wietrzeje lżejsza jest niż anioł
Kiedy człowiek rdzewieje zgrzyta bardziej niż żwir
Kiedy Bóg człowieczeje jest bardziej pazurzasty
niż diabeł na tej zasadzie że degradacja się degraduje
a dobro po drodze gubi męstwo i cierpliwość*

S I E D E M

Siedem razy siedem to

*siedem chórów anielskich o kształtach zwierząt
siedem słupów mądrości nad brzegami Czerwonego Morza
siedem krów chudych i siedem pancernych napelzionych benzyną
siedem drapieżnych twarzy w potłuczonych lustrach
siedem żywcom zasypanych wielbłądów na Saharze
siedem rozpędzonych kół Wielkiego i Małego Wozu
siedem białych koszul na zmianę dla umarłych*

*i wszystkiego po siedem pomnożone przez siedem
z północy na zachód ze wschodu na południe*

T. CHABROWSKI

Adam CZERNIAWSKI

LINGUA ADAMICA

*Postanowił stworzyć wreszcie
język bezwzględnie lakoniczny jednoznacznie stalowy
aby usunąć na zawsze
krwawe ambiwalencje i dymne zastony wyobraźni.*

*Lecz słowa
wielostronne a tłuste wulgarne i błabe
nieobliczalne złote pożądliwe uparte i cierpkie
oparty się ostracyzmowi
torturze
systematycznej eliminacji
zmetaforyzowane personifikacje
skryły się w zapomnianych edycjach snów
wyklete porzekadła przelatywały z ust do ust
w ciemnych zaułkach miasteczek
o wysokim procencie bezrobotnych
i niebieskookich dziewcząt.*

*Przetrwawszy epokę ucisku
wróciły w poetyckich obrazach plugawych romansach
procesach pokazowych donosach kazaniach na górze,
znow są bezwstydnym zwierciadłem
naszych przewidzeń, zauroczeń, klątw, obelg, marzeń
i łgarstw.*

SŁUCHAJĄC KTÓREGOŚ KWARTETU
SCHUBERTA

*Dane mi jest słyszeć niestychane zespoły dźwięków
dane mi jest badać strategię broni nuklearnej
dane mi jest pożądać przechodzące dziewczęta;
tysiąc lat temu nie słuchałbym Schuberta
ale wierzyłbym radośnie w świętych obcowanie
zaglądałbym ukradkiem w oczy śmiertelnych czarownic
i znałbym konfiguracje ptolemejskich gwiazd;
w każdej sytuacji w każdej epoce w każdym systemie
czegoś nie można dotknąć ręką
dojrzeć nawet przez mikroskop;
są doświadczenia
których nigdy nie pomieszcze w granicach tego życia*

ŻYCIORYS

*Już oddalił się od kołyski jeszcze nie zbliżył się do śmierci
 rozwija skrzydła
 próbuje sił
 pręży muskuły
 trafia do celu
 robi karierę
 zdobywa nagrody
 orderzy podwiązki
 moja miłość
 moja poezja
 myśl moja
 wąż
 kamień
 dąb stuletni
 wartka rzeka drąży skałę
 lodowce ustępują z Europy Północnej
 jeszcze nie zbliżył się do śmierci*

Adam CZERNIAWSKI

Jan DERĘGOWSKI

SŁONIE

*W przejrzystej zieleni boru mopane, pomiędzy szarymi pniami
 [drzew spotkaliśmy słonie.
 Cztery olbrzymie cienie, cztery cienie olbrzymy, płynęły powoli
 [wiosłując uszami,
 I tylko głos cykady drżał w zielonej ciszy, jak jasny wąski
 [promień.*

PO POŻARZE

*Nie ma poszycia.
 Czarny popiół traw pokrywa glebę koloru zeschłej krwi.
 Obalone pnie drzew tłą się jeszcze pozostawiając w czarnym
 [popiele jaśniejszy ślad*

*Niczym cień dziwny, którego nic nie rzuca
Nie ma zwierzyny.*

*A dwa rzędy zielonych papużek nanizane na gałązki ostrokrzewu
Mienią się w słońcu — celofanowe błyskotki.*

Jan DERĘGOWSKI

Hanka GURR-JAZŁOWIECKA

NA KRAWĘDZI

*Mój adres?
Kochani Moi — nie adresujcie inaczej
jak tylko: Koniec Świata
tuż nad krawędzią Rozpaczy!*

*Co robię?
Niby ślimak co wyrwał się z ukrycia
pełzną niknącym śladem
na marginesie Życia.*

*Czy wróćę?
O Kochani — wracać mi już nie pora.
I tak wciąż jestem z Wami
w wieczystym Wczoraj!*

Hanka GURR-JAZŁOWIECKA

L. RYDZYŃSKA

CIERPIENIE TOBIE

*Skąd jesteś taki,
skąd?
okrutny i mściwy
w marzeniach.*

*A skąd jesteś taki
miękki jak warkocz wierzby*

*zielony i wiosennomłody
Dlaczego jesteś taki
dlaczego dla mnie?*

*Nie chcę być murem bolesnym
twoich uderzeń*

*zbliżaj się do mnie krokiem
rzeźbionym w miękkim drzewie
zbliżaj się do mnie jak ciepły oddech*

*lecz wstecz jestem wobec twoich kroków
choć całując cię
całuję i je.*

Paryż 1965.

ŻYCZENIA

*Jesteś taki, jak chciałam — do bólu uroczy,
gorzko-słodki jak miłość zrodzona niepewnie.
Nigdy nie wiem, gdzie jesteś. Lecz gdy jesteś we mnie
zostają tylko moje wciąż zdziwione oczy.*

W HOTELU DE LUTECE

*... i kroki twoje wchłonął mech dywanów.
Zniknąłeś. Tam, gdzie chciałam, abyś był.
Tu nie odejście twoje. I tylko smutek mój
trwał ze mną w hallu hotelu de Lutece.*

L. RYDZYŃSKA

Arnold SŁUCKI

NOWE WIERSZE

★ ★

*Rąbka morze uchyliło;
białe miejsce końca świata.
Bóg je szczotą snu zamiata,
ni tu barwy, błękit starty*

aż do sedna,
aż do znaku,
myśl tu chodzi
sama jedna,
w piasku brodzi
kość przebrana.

★
★ ★

Widziałem skarpe —
to był Jarkon,
nie Wiśła —
Rzecz niezawista
przyśniła mi się,
powróż
na karku.
Krzyczałem przez
sen,
przez jawę
na milczącą
Warszawę,
i na kilku
przyjaciół,
aż sen mi
się zaciął
pełen piasku,
jak na wojnie
karabin.

★
★ ★

W Jerozolimie
dymię,
granat arabski
we mnie
trafił. —
dym wraca
stąd
do pewnej parafii
między wierzbą
na sąd.

*
* *

Czytaj morze otwarte — jak elementarz,
czytaj wodę zrytą światłami —
jak groby,
powtórz: to fala, to promień,
jak różga w ręku Jehowy.
Jakże wywyższył nas ogromnie,
byliśmy tu
solą w oku słońca.

Aszdod, 8 listopada 1968

MIT WTÓRY

Dawid z kamienia,
Goliat ze światła —
proca z imienia,
które wzywam
długo
po nocach.

Aszdod, 9 listopada 1968

Arnold SŁUCKI

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM 163 — JERZY ANDRZEJEWSKI

APELACJA

Str. 112.

Cena F. 9 (dol. 2,25)



TOM 164 — EUGENIO REALE

RAPORTY

POLSKA 1945-1946

(Seria „Dokumenty”)

Początki Polski Ludowej widziane oczami pierwszego po wojnie
ambasadora włoskiego.

Str. 288.

Cena egz. F. 18,50 (dol. 4,00)



TOM 165 — STANISŁAW WYGODZKI

ZATRZYMANE DO WYJAŚNIENIA

Powieść-dokument obrazująca rzeczywistość Polski Ludowej przed
październikiem 1956, która obecnie nabiera ponurej aktualności.

Str. 208.

Cena egz. F. 16,50 (dol. 3,75)

Rewolucja jedna i niepodzielna

„Niepotrzebnie włącza pan do dyskusji socjologów, naukowców politycznych i Bóg wie kogo. Rosja sowiecka jest problemem politycznym i obowiązkiem polityków jest wypracować na ów problem odpowiedź”.

Przytoczyłem powyżej fragment listu jednego z moich Czytelników.

Gdyby Rosja Sowiecka była istotnie tylko problemem politycznym — obowiązkiem polityków byłoby znaleźć odpowiedź na ten problem. Lecz Rosja jest problemem w pierwszej linii cywilizacyjnym i kulturalnym i dlatego politycy na ów problem nie mają ani rady ani odpowiedzi. Nie zawsze tak było. Dla polityków w cesarskim Wiedniu czy w cesarskim Berlinie — Rosja była tylko problemem politycznym. Ówczesna Rosja była państwem chrześcijańskim — jej struktura społeczna odpowiadała analogicznej strukturze innych państw europejskich i choć istniały wielkie różnice — nie było przepaści pomiędzy Zachodem a carską Rosją.

Polacy są przyzwyczajeni patrzeć na carską Rosję poprzez Grottgera. Jednakże Austria i Prusy mogłyby dostarczyć Grottgrowi równie wstrząsającej tematyki. Do roku 1867 — Austriacy wieszali patriotów węgierskich w nie mniejszej mierze niż Rosjanie patriotów polskich. Trauguttów Węgrom nie brakowało.

Nie odczuwam żadnego sentymentu dla carskiej Rosji, której nie znałem. Z własnych doświadczeń przytoczyć mogę tylko następujący epizod. Pierwszą wojnę światową spędziłem jako dziecko w Limanowej na Podhalu. Limanowa, która była terenem zażartych walk — przechodziła kilkakrotnie z rąk do rąk. Okupację rosyjską wspominaliśmy jako najlepszy okres całej wojny. Żołnierze rosyjscy byli ludzcy i życzliwi a oficerowie posiadali doskonałe formy towarzyskie. W przeciwieństwie do Rosjan — węgierscy Honwedzi zachowywali się jak dzicz. Rabowali sklepy, pili na umór — wreszcie wybrukowali rynek siennikami żydowskimi, polali naftą i podpalili.

Rosja Sowiecka w przeciwieństwie do carskiej — nie jest państwem europejskim w sensie ustroju i cywilizacji. Człowiekiem, który wyprowadził Rosję z europejskiej wspólnoty cywilizacyjnej był Lenin.

W analizie którą podejmuję w tym artykule — jeżeli chodzi o fakty — opieram się na książkach przytoczonych w przypisku. Oczywiście wnioski i sugestie jakie wysuwam są moje i żaden z cytowanych autorów nie ponosi za nie odpowiedzialności.

Rosja przestała być cywilizacyjnie państwem europejskim — rozszerzając równocześnie swoje europejskie imperium. Jak to się stało i dlaczego tak się stało?

Rosjanie uparczywie twierdzą, że to oni wygrali drugą wojnę światową i oni pobili Niemców. W oparciu o badania historyczne należy stwierdzić, że Rosja była o krok od totalnej klęski. Prof. Peter Calvocoressi wyraża pogląd, że w Sowietach zginęło znacznie więcej niż 20 milionów ludzi i że prawdziwych danych cyfrowych Rosjanie nigdy nie ogłaszają. To samo dotyczy strat materialnych poniesionych w przemyśle i rolnictwie.

Niczego nie ujmując ofiarności i wielkiej dzielności żołnierzy sowieckich należy podkreślić, że Rosja okupiła zwycięstwo olbrzymią klęską, która nie przekształciła się w katastrofę tylko dlatego, że hitlerowskie Niemcy poniosły również klęskę.

Jak powszechnie wiadomo, prez. Roosevelt bał się nie imperializmu sowieckiego tylko odrodzenia imperializmu brytyjskiego. Europą zachodnią interesował się niewiele a Europą wschodnią nie interesował się w ogóle.

Lecz założmy, że prezydentem był w owych dniach Amerykanin typu Kennedy'ego a nie Roosevelta. Czy było możliwe rozegrać to inaczej?

Rosjanie dysponują wręcz niewyczerpalnym rezerwuarem ludzkim i pod koniec drugiej wojny światowej posiadali na terenach Europy znaczne armie lądowe. Amerykanie — jeżeli pragnęliby przeciwstawić się Sowietom w Europie — musieliby przekształcić się w mocarstwo europejskie. Musieliby utrzymywać na kontynencie armie, które stanowiłyby równoważnik armii sowieckiej.

Amerykanów interesuje Pacyfik i Azja — lecz nie mieli i nie mają zamiaru przekształcać się w mocarstwo europejskie. Roosevelt nie był wyjątkiem lecz przeciwnie, uosabiał i w pełni ucieleśniał odrazę i niechęć Amerykanów do angażowania Stanów Zjednoczonych w politykę europejską. Gdyby w owych przełomowych latach prezydentem był nie Roosevelt lecz Amerykanin typu Kennedy'ego — prawdopodobnie nic by to nie pomogło, ponieważ naród amerykański nie życzył sobie przekształcenia Stanów Zjednoczonych w mocarstwo europejskie. Ewolucja po tych liniach nie jest wyłączona — lecz za jaką cenę? H. Kahn i A. Wiener w swojej książce „The Year 2000”, którą przed rokiem omówiłem na tych łamach — uważają za prawdopodobne, że gdyby w rezultacie wojny Amerykanie po raz trzeci musieli wyzwać Europę

— wyzwoleńszy ją pozostaliby na stałe, by nie musieć wyzwalać jej po raz czwarty.

Powyższy pogląd jest charakterystyczny nie tyle jako przepowiednia ile jako ocena obecnej sytuacji. Z owego poglądu wynika bowiem, że Amerykanie zdają sobie sprawę, że — być może — kontynent trzeba będzie kiedyś wyzwalać po raz trzeci właśnie dlatego, że Stany Zjednoczone pod koniec drugiej wojny światowej nie stały się mocarstwem europejskim.

Obaj hegemonowie są wyobcowani z Europy, którą się podzieli. Amerykanie są wyobcowani politycznie — Rosjanie cywilizacyjnie. Między nami a Amerykanami zachodzą wielkie różnice, lecz pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi nie ma podstawowego konfliktu cywilizacyjnego.

Rosja Sowiecka jest dziś geograficznie i militarnie mocarstwem europejskim lecz pomiędzy Sowietami a Europą istnieje podstawowy konflikt cywilizacyjny.

Chcąc dotrzeć w sposób obiektywny do źródeł owego konfliktu — musimy odciąć się od propagandy i klisz. To nie Katynie powodują ów konflikt. W Wietnamie działy się również rzeczy, od których bieleje włos — a mimo to — pomiędzy cywilizacją amerykańską a europejską nie ma zasadniczego konfliktu.

Przytoczmy jako wstęp do naszego badania analizę Herberta Marcuse z jego książki pod tytułem „Soviet Marxism”. Nie chodzi mi w tym wypadku o dosłowny przekład tylko o przedstawienie toku myślowego autora.

Jeżeli marksiści sowieccy usprawiedliwiają istnienie i kontynuację aparatu represyjnego nie malejącym zagrożeniem ze strony świata kapitalistycznego — tym samym przyznają, że struktura społeczeństwa sowieckiego jest jeszcze ciągle antagonistyczna. Przyznają również, że likwidacja owego antagonizmu zależy od fundamentalnych zmian w konstelacji międzynarodowej.

W roku 1938 Stalin oświadczył, że wewnętrzne sprzeczności w Związku Sowieckim zostały rozwiązane w wyniku zwycięstwa socjalizmu. Lecz w roku 1952 Stalin powrócił do koncepcji sprzeczności wewnętrznych.

Sytuacja historyczna wzięła górę nad stalinowską koncepcją „socjalizmu w jednym kraju” — według której wewnętrzne sprzeczności w państwie sowieckim mogą być rozwiązane pomimo że zewnętrzne pozostają nadal nierozwiązane. W rzeczywistości jednak zewnętrzne sprzeczności uwarunkowują i umacniają wewnętrzne sprzeczności. Według sowieckiego marksizmu — „otoczenie kapitalistyczne” zmusza władze sowieckie do stałego wzmacniania zarówno aparatu represyjnego jak i maszyny wojennej — co z kolei uniemożliwia podjęcie na większą skalę produkcji dóbr konsumpcyjnych celem zaspokojenia indywidualnych potrzeb obywateli. Lecz stała rozbudowa i wzmacnianie sowieckiego aparatu represyjnego oraz aparatu wojennego niejako uwiecznia istnienie „kapitalistycznego otoczenia” a nawet powoduje, że kapitalistyczne kraje łączą się dla wspólnej obrony. Od czasów Lenina sowieccy marksiści uważali, że Związek Sowiecki nie będzie mógł prze-

trwać jeżeli owego zagrożenia ze strony „kapitalistycznego otoczenia” nie zdoła przezwyciężyć. Miało to nastąpić w konsekwencji załamania w świecie imperialistycznym wywołanego „sprzecznościami właściwymi kapitalizmowi”. Owe sprzeczności zostały obecnie „zamrożone” w ramach zbrojeniowej gospodarki zachodniej. Wskutek tego spowodowanie rozluźnienia zbrojeniowej gospodarki Zachodu winno być naczelnym celem polityki sowieckiej. Przywódcy sowieccy mogą żywić nadzieję osiągnięcia tego celu tylko wówczas, gdy Związek Sowiecki przestanie być wojskowym i politycznym zagrożeniem dla Zachodu.

Innymi słowy, według recepty Marcuse — Sowiety winny przedstawić swą gospodarkę na stopę pokojową i konsumpcyjną. Wówczas Zachód nie czułby się dłużej zagrożony i doszłyby do głosu „wewnętrzne sprzeczności kapitalizmu”, które dziś są zamrożone w ramach programów zbrojeniowych. Gdyby gospodarka sowiecka produkowała „masło” zamiast „armat” — powstałaby możliwość rozluźnienia aparatu represyjnego, co z kolei spowodowałoby rozkwit życia kulturalnego we wszystkich jego dziedzinach. Tylko na tej drodze Związek Sowiecki mógłby wykazać wyższość ustroju socjalistycznego nad kapitalizmem i osiągnąć nad nim zwycięstwo.

Analiza Marcuse’a byłaby stuprocentowo słuszna gdyby stalinowcy byli marksistami. Stalinowcy jednak nie są marksistami i nie dążą do wykazania wyższości swojego ustroju nad jakimkolwiek innym ustrojem. Stalinowcy nie zgodzą się nigdy dobrowolnie na rozluźnienie aparatu represyjnego ponieważ nie przeżyliby tygodnia w takiej sytuacji np. jaka panowała w Czechosłowacji do dnia 21 sierpnia br. Wskutek tego wszystko co usprawiedliwia utrzymanie aparatu represyjnego jest dobre — natomiast wszystko co zmierza do rozluźnienia aparatu terroru jest z definicji złe.

Stalinizm stanowi dokładną odwrotność marksizmu i tym samym socjalizmu. Związek Sowiecki dąży do zabezpieczenia swojego imperium w sensie strategicznym i wojskowym — lecz nie dąży do likwidacji „otoczenia kapitalistycznego”. Sowiety były w przeszłości i są nadal gotowe rzucić cudzoziemskich komunistów na pożarcie kapitalistom ilekroć sowieckie interesy imperialne tego wymagają. Pentagon dla Kremla jest instytucją absolutnie niezbędną — ponieważ Pentagon stanowi oś „teorii permanentnego wroga” — a tylko permanentny wróg dostarcza usprawiedliwienia dla permanentnego aparatu represyjnego.

Gdyby Pentagonu nie było, trzeba by go wymyślić — tak jak wymyślono światowy spisek syjonistyczny.

Pomiędzy socjalizmem a kapitalizmem istnieje sprzeczność. Lecz pomiędzy stalinizmem a kapitalizmem nie ma żadnej sprzeczności. Przeciwnie — istnieje pewna „wspólnota interesów”. Zagrożenie sowieckie (stalinowskie) umożliwia kapitalizmowi rozbudowę gospodarki zbrojeniowej i odłożenie „do lodówki” niewygodnych problemów — równocześnie ta sama kapitalistyczna gospodarka zbrojeniowa dostarcza stalinowcom argumentu do rozbudowy.

dowy sowieckiej maszyny wojennej i utrzymywania aparatu represyjnego.

Stalinizm uwarunkowuje kapitalizm a kapitalizm uwarunkowuje stalinizm — lecz bilans owego uwarunkowania dla Zachodu jest zdecydowanie ujemny. Budujemy bronie atomowe i łodzie podwodne zamiast domów mieszkalnych szkół i szpitali. Zagrożenie zawsze ureakcyjnia — ponieważ liberalizm i demokracja rozwijać się mogą tylko w atmosferze zabezpieczonego pokoju. To wszystko jak najbardziej odpowiada stalinowcom, ponieważ dostarcza argumentu, że Zachód jest reakcyjny, militarystyczny, nieprzejednanie wrogi socjalizmowi — co nakazuje czujność, której wyrazem i instrumentem są wszelkiego typu Bezpieki.

Teoria „convergence” — podtrzymywana przez wielu sowietologów zachodnich — opiera się na przesłance, że rozwój technologiczny i przemysłowy upodabnia stopniowo Sowiety do Zachodu. Trzeba stwierdzić, że nie ma jak dotąd żadnych dowodów, że tak się dzieje. Można natomiast zaryzykować inną teorię „convergence”. Pod wpływem zagrożenia sowieckiego stajemy się na Zachodzie coraz bardziej prawicowi i reakcyjni — równocześnie reżym sowiecki staje się w odpowiedzi również coraz bardziej reakcyjny i konserwatywny.

„Otoczenie kapitalistyczne” z punktu widzenia stalinowców spełnia funkcję pozytywną ponieważ teoria permanentnego wroga stanowi fundament systemu stalinowskiego. Natomiast „otoczenie komunistyczne” znieprawia nas wbrew naszej woli, ponieważ uniemożliwia nam podjęcie programu reform społecznych i prowadzenie racjonalnej gospodarki.

Są mędrcy na Zachodzie, którzy głoszą tezę Marcuse’a *à rebours*. Powinniśmy skasować militarne programy atomowe, powinniśmy przebudowywać „slumsy”, powinniśmy „upełnoćnić” Murzynów i stworzyć dla nich ludzkie warunki rozwojowe — powinniśmy jednym słowem przekształcić ustrój kapitalistyczny, w postępowe, idealne społeczeństwo. Wówczas narody w orbicie sowieckiej patrząc na nasz rozwój i rozkwit — wzięłyby przykład z Zachodu. Ci, którzy głoszą podobne poglądy opierają się na przeświadczeniu, że dobry ustrój wyprze z czasem gorsze ustroje.

Powyższa teoria jest bardzo atrakcyjna lecz całkowicie utopijna. Mamy bowiem do czynienia z bezwzględny imperiaлизmem. Gdybyśmy potęncjały siły zaczęli przekształcać na finansowanie wielkiej rewolucji społecznej — gdybyśmy zamiast się zbroić zaczęli uzdrawiać ustrój kapitalistyczny — Sowiety zaczęłyby krajać Zachód jak salami, po plasterku, podkreślając po każdej inwazji, że dany plasterk jest ostatni.

W sumie wypada stwierdzić, że nie możemy uzdrawiać kapitalizmu i budować na wielką skalę nowego społeczeństwa — ponieważ musimy się zbroić i będziemy musieli się zbroić coraz kosztowniej i z coraz większym wysiłkiem aż do chwili gdy w Rosji nastąpią rewolucyjne zmiany. Jesteśmy w centrum konfliktu cywilizacyjnego i dlatego politycy na ów konflikt nie mają odpowiedzi. Gdy Turcy stali pod Wiedniem — był to w gruncie rzeczy

tylko polityczny problem, ponieważ można go było rozwiązać politycznymi metodami. Wojna jest polityką prowadzoną innymi środkami i tę metodę wówczas z powodzeniem zastosowano.

Zagadnienie polega na tym, że Sowiety można by pobić tylko bronią atomową detonując światową apokalipsę nuklearną — natomiast Sowiety mogą powoli i stopniowo podporządkować sobie kontynentalną Europę bez użycia broni atomowych.

Bezpieczeństwo Europy zależy od odpowiedzi na pytanie: Jak szybko nastąpią w Rosji zasadnicze zmiany?

Za zbrojenia kupujemy tylko czas — nie bezpieczeństwo. Amerykanie nie wykazują chęci zwiększenia swego zaangażowania na kontynencie a NATO w jego europejskiej formie nie da nam nigdy pewnej ochrony przed potęgą Sowietów. Zagrożenie Europy zniknie wówczas, gdy Sowiety z stalinowskiego, imperialnego mocarstwa przekształcą się w federacyjny związek prawdziwie socjalistycznych republik. Z procesem przemian w Rosji związane są bezpośrednio najbardziej istotne interesy Europy — być może jej historyczny byt.

Politycy na całym świecie negocjują nie z ludźmi społecznego protestu — tylko z rządami, które bez względu na ich moralny poziom sprawują władzę na danym terytorium. Polityka koegzystencji w jej rozmaitych formach jest negocjowana z rządem sowieckim, który dławi wolność w całym bloku wschodnim. Polityka koegzystencji może w pewnych okresach wygładzać stosunki pomiędzy Wschodem a Zachodem — nie może jednak spowodować żadnych przemian wewnątrz Rosji.

Sytuacja Europy kontynentalnej u progu 1969 r. — nie przedstawia się korzystnie. Bezpieczeństwo mogłyby nam zapewnić Stany Zjednoczone będące mocarstwem europejskim. Nie można chronić Berlina „parasolem”, którego dysponent mieszka w Waszyngtonie. To nie Ameryka ale Europa znajduje się w zasięgu czołgów sowieckich. Stany Zjednoczone, zaangażowane głównie na Pacyfiku i w Azji, mogą nas po raz trzeci wyzwolić lecz nie ochronią nas przed inwazją.

Owa bezradność, marazm, poczucie fałszywego bezpieczeństwa — wszystko to wypływa z faktu, że rządzą nami politycy i ich wojskowi doradcy — natomiast problem, który wisi nad nami ołowianą chmurą — nie jest problemem ściśle politycznym i w konsekwencji, nie może być rozwiązany ani na drodze politycznej ani na drodze militarnej.

Wchodzimy w okres kiedy w rozwiązaniu centralnego problemu Europy mogliby odegrać czołową rolę intelektualiści i inteligencja — ponieważ Europa kontynentalna jest wielką „Czechosłowacją” — do tej pory nie okupowaną przez Sowiety. Problematyka ruchów społecznych i rewolucyjnych, które władne są przekształcić Rosję — nie może stanowić tematu obrad NATO. Owa tematyka może natomiast wzbudzić w Europie prąd umysłowy, który byłby sojusznikiem nowej Rosji.

Intelektualiści i pisarze rosyjscy, którzy reprezentują protest i ferment — są całkowicie izolowani. Kto jest ich sojusznikiem

na Zachodzie? Teoretycznie wszyscy życzą sobie przemian czy nawet przewrotu w Rosji — lecz w większości wypadków potencjalni zwolennicy przewrotu wysuwają pod adresem nowej Rosji warunki, które dla rewolucjonisty rosyjskiego byłyby nie do przyjęcia.

Wydawałoby się, że ruch protestu i reformy — tak silny w młodym pokoleniu na Zachodzie — winien iść równoległe z ruchem reformy w Europie wschodniej tym bardziej, że dopóki trwa zagrożenie sowieckie i Rosję rządzą stalinowcy — w Europie zachodniej nie mamy żadnej szansy ani podjęcia ani zrealizowania reform ustrojowo gospodarczych.

Zachodnioeuropejski ruch protestu i reformy oddziaływać będzie na ruchy anty-stalinowskie w Europie wschodniej tylko wówczas jeżeli uświadomimy sobie powszechnie następujące punkty:

I. Reformy wymaga zarówno kapitalizm jak i komunizm. Stalinizm wzmacnia pravicową reakcję na Zachodzie — pravicowa reakcja na Zachodzie wzmacnia z kolei stalinizm. Rozbicie tej współzależności powinno stanowić wspólny cel postępowych ruchów tak na wschodzie jak na zachodzie Europy. Jeżeli program radykalnych przemian ustrojowo-gospodarczych określimy jakże wieloznacznym dziś terminem „rewolucji” — to należy stwierdzić, że ich rewolucja nie może się dokonać bez zwycięstwa naszej rewolucji i odwrotnie.

II. Zrozumienie powyższych prostych tez utrudnia nam obciążenie historyczne. Wielu nawet postępowo myślących ludzi w zachodniej Europie — a Polacy w szczególności — przez „rewolucję” rozumieją rozbicie Rosji. W sumie wytworzyła się paradoksalna sytuacja. O problemie narodowościowym w Sowietach zachodnie *establishments* i politycy pravicowi milczą, by nie psuć sobie stosunków z Kremlem. Niepisana „konstytucja” polityki koegzystencji wymaga, by nie mówić nic na temat Ukrainy.

Wśród kół postępowych lecz nie *fellowtraveller*'skich problem narodowościowy uważany jest za nacjonalistyczny dynamit, który w sprzyjających warunkach rozbija cytadelę sowiecką.

Wstawmy się w położenie uczciwego rewolucjonisty rosyjskiego. Z kim ma on rozmawiać na Zachodzie i gdzie ma szukać poparcia?

III. Pierwszeństwo musi być przyznane obaleniu stalinizmu. Celem naczelnym jest reforma ustroju. Rozwiązanie problemu narodowościowego jest jedną z pochodnych tego procesu. Stawiając sprawę w ten sposób możemy liczyć na pozyskanie postępowych kół rosyjskich wykazując im, że istnieje ścisła współzależność pomiędzy naszymi celami.

Walter Kolarz w swojej książce wykazał, że unormowanie problemu narodowościowego musiałoby się zacząć od nawrotu do konstytucji i legalizmu. Gdyby przywrócono wszystkie uprawnienia, które republikom sowieckim gwarantuje konstytucja — Związek Sowiecki przemieniłby się automatycznie w *commonwealth* niezależnych państw i narodów. Doktryna Breżniewa stoi w jawnej sprzeczności z konstytucją sowiecką, która każdemu

państwu — nie tylko socjalistycznemu lecz nawet wchodzącemu w skład Związku Sowieckiego — gwarantuje prawo wystąpienia ze związku, bez względu na to czy taki krok leży w interesie wspólnoty komunistycznej czy nie.

Stalinowcy nie przywrócą legalizmu ani w tej, ani w żadnej innej dziedzinie i dlatego obalenie stalinizmu uznać należy za problem naczelny a sprawy narodowościowe za problem wtórny.

W tych sprawach nie należy niczego przesądzać. Dziś Ukraińcy są niezadowoleni przede wszystkim z powodu bezwzględnej rusyfikacji ich kultury, jak również dlatego, że bardzo znaczny procent ich dochodu narodowego inwestuje się na Syberii zamiast na Ukrainie. Lecz z chwilą gdy Ukraina będzie miała swój niezależny rząd, własne przedstawicielstwa dyplomatyczne zagranicą itp. prawdopodobnie nie zechce wystąpić ze zreformowanego *commonwealth'u*.

Gdyby po wojnie Francuzi dali Wietnamowi szeroką autonomię — nie byłoby tragedii wietnamskiej i Francja miałaby w tej części Azji nie mniejsze wpływy niż Anglicy w Indiach. Rosjanie zatrzymają swój związek państw tylko wówczas — jeżeli państwom członkowskim będzie się opłacało należeć do związku. Autonomia polityczna, kulturalna i gospodarcza oraz decentralizacja władz związkowych — stanowią minimalny program w tej dziedzinie.



Mój artykuł w grudniowym numerze *Kultury* oraz niniejszy artykuł — poświęcone są tylko jednej sprawie. Chciałem uwytklić fakt, że w kontekście europejskim rewolucja jest jedna i niepodzielna. Jeszcze raz podkreślam, że terminem „rewolucja” obejmuję głęboko odczuwaną potrzebę radykalnych zmian i reform — potrzebę równie głęboko odczuwaną w Paryżu, w Pradze w Warszawie i w Moskwie.

Na zachodzie Europy mamy miliony antykomunistów. Ci ludzie w znakomitej większości przez rewolucję (w Rosji) rozumieją kontrrewolucję. Sympatia dla Dubczeka wywodziła się z przesłanki, że wcześniej lub później przekroczy linię oddzielającą rewolucję od kontrrewolucji, linię oddzielającą socjalizm od neokapitalizmu zachodnioeuropejskiego. Z tych przyczyn rewolucjonści typu Dubczeka budzą sympatię, która im więcej szkodzi niż pomaga. W gruncie rzeczy ludzie klasy Dubczeka są całkowicie izolowani i nie mają rzetelnych sojuszników w zachodniej Europie. A przecież wszystkie nasze nadzieje związane są z Dubczekami.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie proponował prem. Wilsonowi, by paktował z rewizjonistami wschodnioeuropejskimi przeciwko Breżniewowi i Kosyginowi. Polityki państwowe skazane są na koegzystencję. Polityka państwowa reprezentuje *establishment*. Istnieje jednak inny typ polityki, która reprezentuje napór i protest. Owa polityka po latach staje się również polityką *establishment*. Wielkość demokracji polega na tym, że umożliwia przeciwnikom *establishment* wykrystalizować swój program i z

czasem stać się nowym *establishment*. Gdyby w Rosji ów proces funkcjonował normalnie — nie byłoby problemu.

Otóż wydaje mi się, że przywódcy ruchów protestu w zachodniej Europie winni sobie wreszcie zdać sprawę, że obalenie stalinizmu jest nie tylko wymogiem bezpieczeństwa lecz również podstawowym warunkiem sukcesu polityki radykalnych reform na Zachodzie.

Wychodząc z powyższego założenia teoretycy i przywódcy zachodnioeuropejskiego ruchu protestu winni wypracować nowy program polityczny w stosunku do Rosji i krajów Europy wschodniej. Program musiałby być tak skonstruowany, by był do przyjęcia dla rewolucjonistów i rewizjonistów rosyjskich i wschodnioeuropejskich. Ów program winien wyrażać solidarność z ludźmi protestu we wschodniej Europie — solidarność nie werbalną lecz opartą na analogicznych założeniach ideowych i społecznych. My potrzebujemy ich a oni potrzebują nas i ten fakt powinien stanowić podstawę sojuszu, pomiędzy młodą Rosją a młodym europejskim Zachodem — podstawę sojuszu pomiędzy ruchami protestu i reformy po obu stronach „żelaznej kurtyny”.

To jest zamówienie społeczne wysokiego rzędu lecz jest na miarę czasu w którym nam żyć wypadło.

Juliusz MIEROSZEWSKI

LEKTURY:

Peter Calvocoressi „International Politics Since 1945”. Praeger University Series (U-632) 1968. U.S.A.

Herbert Marcuse „Soviet Marxism”. A Critical Analysis. Routledge & Kegan Paul, London 1968.

Allen Kassof (Edited by) „Prospect for Soviet Society” — Praeger University Series (U-638) for the Council on Foreign Relations. New York 1968.

Louis Henkin „How Nations Behave”, F. A. Praeger, New York 1968.

Robert Conquest „The Czech Tragedy” — Interplay No. 3. Vol. 2 Oct. 1968.

George Liska „A Broken Record” — Interplay No. 3. Vol. 2. Oct. 1968.

Kronika angielska

Gdy cesarzem był Franciszek Józef — nie było problemu. Jego cesarsko-królewska apostolska Mość był zaborcą wprawdzie lecz i przykładnym katolikiem.

Sprawa się komplikuje gdy „cesarzem” jest Gomułka, który symbolizuje ustrój i ideologię wrogą wszelkiej religii.

Pod zaborem arcy-katolickiej Austrii — śpiewaliśmy każdej niedzieli po sumie: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”.

Dziś w satelickiej Polsce Ludowej, która w wielu dziedzinach posiada

mniejszą autonomię niż b. Galicja — śpiewa się w kościołach: „Ojczyznę wolną zachowaj nam Panie”.

List pasterski biskupów polskich wydany 15. IX. 1968 na Jasnej Górze z okazji 50-ciolecia odzyskania niepodległości kończy się następującymi słowami: „śpiewając nasze Te Deum dziękczynne, włączamy się w potężną pieśń narodu — „przed Twe ołtarze zanosim błaganie: Ojczyznę wolną zachowaj nam Panie”.

W liście pasterskim, który jest oficjalnym dokumentem użycie frazy: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie” — reżym mógł uznać za prowokację. Lecz było proste wyjście z którego nie skorzystano. List pasterski powinien kończyć się zwrotem: „Ojczyznę naszą pobłogosław Panie”. Hymn „Boże coś Polskę” należało zmienić w ten sposób.

Hymn w jego obecnej formie zadekretowany przez hierarchię jest politycznie i semantycznie nie na miejscu. Nie można bowiem prosić o zachowanie czegoś czego nie ma. Wszyscy wiemy, że nasza ojczyzna nie jest wolna i jej wolność musi być wprawdzie odzyskana by mogła być zachowana.

Polscy kardynałowie i biskupi są obywatelami PRL i tym samym rząd Gomułki i Cyrankiewicza uważają za legalne władze kraju. Polacy w b. zaborze austriackim uważali rząd w Wiedniu za legalny — lecz nikt nie twierdził, że Polska jest wolna i niepodległa.

Jest oczywiste, że każdy Polak — świecki czy duchowy — jeżeli pracuje w kraju na oficjalnym stanowisku musi być obywatelem PRL i tym samym uznawać rząd PRL za legalną władzę kraju. Lecz co innego jest uznawać władze PRL za legalne — a co innego jest głosić tezę, że Polska jest wolna. Jeżeli Polska jest wolna — emigracja polityczna nie ma sensu a polityka niepodległościowa jest zbędna.

W sumie należy stwierdzić, że katolicka hierarchia w Kraju dążąc do unormowania stosunków Kościoła z władzami komunistycznymi — nie powinna wydawać deklaracyjnych oświadczeń, że Polska jest wolna. Nie można kupować polepszenia stosunków z władzami komunistycznymi za cenę akceptowania komunistycznych fałszów. To tylko komuniści głoszą, że Polska jest wolna — nikt poza nimi.

Zmianę wspaniałego hymnu „Boże coś Polskę” — zadekretowaną przez hierarchię uznać należy za jeden z błędów Kościoła Katolickiego w Polsce. Ów hymn w oficjalnej redakcji kościelnej brzmi dziś wręcz szyderczo. Kościół niczego za to nie uzyskał — a, wydaje mi się, wiele stracił.

Polacy zagraniczni — a więc zarówno emigracja polityczna jak i Polonia — w 90-ciu procentach nie uznają rządu PRL za legalny rząd polski ani nie uważają, że obecna Polska jest wolna i niepodległa. Polacy na emigracji są skłóceni — lecz idea niepodległościowa jest nam wszystkim wspólna. Rozmaicie wyobrażamy sobie drogi wiodące do niepodległości — rozmaicie wyobrażamy sobie ustrój społeczny przyszłej Polski — lecz wszyscy odrzucamy komunizm w jego obecnej formie i wszyscy pragniemy Polski wolnej i niepodległej. Pod tym względem pomiędzy Polakami zagranicznymi nie ma różnic i dla tego penetracja reżymu nie przyniosła poważniejszych rezultatów.

To są fakty z którymi kościół katolicki musi się liczyć. Polaków zograniczonych jest około 10 milionów. Nie wszyscy z nich zajmują się polityką — lecz niemal wszyscy są katolikami i niemal wszyscy są przeciwnikami obecnego reżymu w Kraju.

Osobiście nie jestem ateistą lecz nie jestem również ortodoksyjnym katolikiem i wskutek tego łatwo pod moim adresem wysunąć zarzut, że w tych sprawach trudno mi się zdobyć na obiektywizm. Postanowiłem przeto przytoczyć w dłuższych fragmentach autentyczny dokument, który nie wyszedł spod pióra publicystów czy socjologów — lecz jest w całości dziełem tzw. ludzi z terenu, społeczników, prawych Polaków i katolików. Pragnę przytoczyć wyjątki z listu otwartego Stowarzyszenia Lotników Polskich w Brazylii. List zaadresowany jest do księdza biskupa Rubina w Rzymie jako „delegata Prymasa Polski dla duszpasterstwa emigracji polskiej”. Cytowany dokument podpisany jest przez prezesa Tomasza Rzyckiego, sekretarza Stowarzyszenia inż. Antoniego Cimoszko i skarbnika Kazimierza Kubalę. List nosi datę: Sao Paulo, 29 lipca 1961 r.

„Istnienie polskich parafii, kapelanii, zgromadzeń zakonnych a także pojedynczych księży obsługujących nawet nieliczne zgrupowania Polaków w rozległej Brazylii, uważamy za sprawę konieczną, pożyteczną i bardzo ważną nie tylko dla pielęgnowania naszej Wiary, ale także dla podtrzymywania języka i ducha narodowego naszej emigracji.

Jednakże zniesienie autonomii polskiego duchowieństwa emigracyjnego i uzależnienie go od władz kościelnych w Kraju, zależnych z kolei pod wieloma względami od komunistycznego rządu PRL, od ciągłych nacisków a nawet prześladowań, wydaje się nam tragicznym przeszczepieniem polskiego Kościoła Milczenia poza żelazną kurtynę, co przynosi nie tylko naszej emigracji, ale także Polsce i Narodowi nieobliczalne szkody. W konsekwencji takiej struktury organizacyjnej zostaje często wypaczona ideologiczna postawa Kościoła w stosunku do komunizmu i naszej walki o niepodległość. Wywołuje to także szkodziwe, ale nie do uniknięcia konflikty między częścią kleru lojalnego reżymowi, a niepodległościową naszą emigracją. W praktyce bowiem, jak to można stwierdzić w tak odległej od czerwonego terroru Brazylii, większość księży polskich od szeregu już lat nie tylko konkretnie zamilkła w sprawach niepodległości Polski, ale niektórzy posunęli się do skrajności, bo zajęli gorszącą i poniżającą pozycję kolaborantów...

Wydaje się nam zatem daleko posuniętym absurdem, by do wolnej Brazylii przyjeżdżali, przebywając tysiące kilometrów polscy księża aby tu bojkotować nasze niepodległościowe wystąpienia i aby z takich czy innych powodów milczeniem pokrywać prawdę historyczną o bolszewickim zaborze Polski, lub nawet otwarcie pracować na rzecz obcego nam reżymu...

Jako przykład, zresztą nie odizolowany, takiego naruszania zadania kapłana polskiego, pragniemy podać W. Ekscelecji, że np. Stowarzyszenie nasze boleśnie odczuło, gdy miejscowy proboszcz parafii polskiej w Sao Paulo, stanowczo odmówił w marcu br. swego udziału w organizowanym przez nas nabożeństwie w intencji pomordowanych żołnierzy polskich w Katyniu i Ofiar reżymu komunistycznego. Wobec tak jawnego bojkotu, uroczystość ta musiała się odbyć poza polskim kościołem, gdzie Mszę Św. celebrował ksiądz brazylijski, znany przyjaciel Polski, Mons. Dr Benedito Ulhoa Viera...

Szczególnie się nam wydaje ważne przestudiowanie ideologicznej pozycji tutejszego jedynego tygodnika polskiego „Lud”, wydawanego

i redagowanego przez OO. Misjonarzy w Kurytybie. Księża Misjonarze broniąc swych zakonnych posiadłości w Polsce, jeszcze nie skonfiskowanych, starają się wykazać swoją lojalność wobec władz reżymowych...

Wykrętne przy tym tłumaczenia niektórych księży, że wołanie o wolność i niepodległość Polski jest „polityką”, do której w myśl uchwał Soboru Vaticanum II księża nie mogą się mieszać, jest według naszej opinii sofizmatem zaprzeczeniem naturalnych praw człowieka do wolności, wielokrotnie ogłaszanych przez Kościół Katolicki”.

Nie twierdzę, że stosunki w innych krajach polskiego osiedlenia układają się identycznie jak w Brazylii. Twierdzę natomiast, że układają się podobnie, bo zasadniczy schemat jest wszędzie ten sam.

Czy jest możliwe wyjście z tej sytuacji?

Wydaje mi się, że kościołowi na emigracji musi być przyznana pewna autonomia. Jest nie do pomyślenia by Watykan zamianował biskupem Melbourne Anglika z metropolii. Analogicznie biskupami na emigracji powinni być emigranci a nie duchowni z reżymowymi paszportami.

Na dłuższą metę kościół nie może drenować finansowo emigracji i równocześnie zajmować stanowiska neutralne, jeśli nie więcej, w stosunku do polityki niepodległościowej, reprezentowanej przez emigrację. To jest sytuacja absurda, która musi być zmieniona.

Nie wszystkie posunięcia Kardynała Wyszyńskiego wydają się szczęśliwe, lecz niewątpliwie jego pozycja jest niezmiernie trudna. Rozumiemy sytuację kardynała Prymasa, ale równocześnie oczekujemy, że Prymas zrozumie naszą sytuację, która również nie jest łatwa. Nie możemy zaakceptować polityki, której manifestacją jest zmiana hymnu „Boże coś Polskę” ponieważ musieliśmy zdradzić ideę, dla której pozostaliśmy na obczyźnie. Emigracja ma moralne prawo domagać się by nasi biskupi i prałaci byli nie tylko Polakami lecz i niepodległościowcami. Polityka niepodległościowa nie jest sprzeczna z nauką kościoła, ani z nauką żadnej innej religii.

Kościół na emigracji, który w pełni solidaryzowałby się z ideą niepodległościową — mógłby stanowić polityczne obciążenie dla Kardynała Prymasa.

To są ważne sprawy bo jeżeli kiedykolwiek dojdzie do układu czy umowy pomiędzy hierarchią a reżymem — reżym z całą pewnością zażąda by katolicka hierarchia w Kraju wpływała w określony sposób na emigrację. Dlatego jest rzeczą bardzo istotną aby biskup — duchowny opiekun emigracji — nie był delegatem Kardynała Prymasa i nie podlegał bezpośrednio jego władzy zwierzchniej, oraz nie posiadał reżymowego paszportu*.

Celem tego artykułu nie jest proponowanie gotowych rozwiązań. Pragnąłbym natomiast wywołać dyskusję i ufam, że na poruszone tutaj tematy wypowiedzą się ludzie niepomniernie bardziej do tego powołani niż piszący te słowa.

* Niestety, kościołem na emigracji ma się zajmować dotychczasowy sekretarz Ks. Bpa Rubina, ks. dr Szczepan Wesoły, kapłan diecezji katowickiej, mianowany ostatnio przez Papieża, na wniosek kard. Wyszyńskiego, biskupem sufraganem gnieźnieńskim.

Z A A N G A Ż O W A N I E

Na mój artykuł w listopadowym numerze „Kultury” pt. „Poeci i Publicyści” — odpowiedział Czesław Miłosz, którego list zamieściliśmy w grudniowym zeszycie naszego pisma. Przedmiotem sporu była sprawa zaangażowania. List Miłosza w całej rozciągłości potwierdza moją opinię, że nie jest poetą zaangażowanym. Każdemu wolno być pisarzem nie zaangażowanym — lecz jest rzeczą niepoważną gdy pisarz nie zaangażowany stroi fochy jeżeli mu się powie, że jest nie zaangażowany.

Jerzy Pietrkiewicz niemal co roku ogłasza książkę w języku angielskim. Jego dorobek jest imponujący. Powieści Pietrkiewicza mają nie tylko doskonałą prasę lecz są masowo czytane i poszukiwane, co łatwo stwierdzić w bibliotekach publicznych. Pietrkiewicz pośrednio wyświadcza wielkie usługi imieniu polskiemu. Na obwołucie każdej jego książki jest powiedziane, że jest Polakiem, porównuje się go z Conradem itp. itd. Nie zatarł za sobą śladów, nie przyjął pseudonimu John Smith — przeciwnie zawsze podkreśla swoją polskość. Niemniej Pietrkiewicz nie jest w polskim sensie pisarzem zaangażowanym i z całą pewnością nie obrazi się za to stwierdzenie. Przez zaangażowanie nie rozumiemy bowiem oddziaływania pośredniego, które — jak w wypadku Pietrkiewicza — może być bardzo wysokiej klasy. Przez zaangażowanie rozumiemy akcję bezpośrednią — to znaczy — walkę.

Albo jeszcze inaczej. Na miłość boską — naród polski znajduje się w sytuacji bez przykładu w naszych dziejach. Zabór austriacki to był raj na ziemi w porównaniu z PRL. Mnie, laikowi, wydaje się dziwne, żeby poeta przynajmniej nie jęknął nad losem swojego narodu. Lecz ja nie jestem poetą ani międzynarodowym intelektualnym oficjalistą i sprawy polskie nie wydają mi się nigdy nudne i parafiańskie.

Zaangażowanie daje rezultaty. Przed kilku tygodniami w Kraju ukazała się książka pt. „Teorie i praktyki paryskiej Kultury”. Autorem jest Witold Filler — wydawcą Ministerstwo Obrony Narodowej. To nie jest pierwsza książka jaka ukazała się w Kraju o *Kulturze* i na pewno nie ostatnia.

Czytając książkę Fillera zdałem sobie nagle sprawę, że *de facto* nie doceniamy broni jaką mamy w ręku. Na Zachodzie wychodzą setki miesięczników — jedne lepsze drugie gorsze — i paryska *Kultura* jest jednym z nich. Wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do wolności słowa i uważamy ów stan rzeczy za oczywisty i zwyczajny. W poważnej prasie i w periodykach zachodnioeuropejskich toczy się dziesiątki dyskusji na dziesiątki tematów. Słowo na Zachodzie w znacznie większej mierze informuje i oświeca niż dynamizuje. Intelektualnie jesteśmy rozproszkowani — jesteśmy przytłoczeni bogactwem myśli i brakiem idei.

Z tych przyczyn Polakowi w Londynie, w Paryżu czy w Nowym Jorku — trudno jest sobie uzmysłowić, że *Kultura* — miesięcznik jakich wiele — może odgrywać specjalną rolę, zwłaszcza, że periodyki znacznie od nas zasobniejsze zarówno w środki materialne jak i w talenty nie odgrywają żadnej specjalnej roli.

Zeszyt *Kultury* w „Ognisku” czy u „Kombatantów” w Londynie nie przypomina w niczym zeszytu *Kultury* w Warszawie. Wolne słowo w kraju w którym nie ma wolności słowa — ulega sprzężeniu. Tysiękrotnie porówny-

wano wolne słowo do dynamitu itd. itp. Nie w tym rzecz. Zeszyt *Kultury* w Polsce jest realizacją zasadniczego postulatu politycznego i na tym polega jego znaczenie. Realizujemy głęboko i powszechnie odczuwany postulat polityczny i kulturalny, którego reżym Gomułki boi się zrealizować. To jest wielkie osiągnięcie którego wielkość nie wywodzi się z naszej wielkości, lecz z małości reżymu Gomułki. W wolnej Polsce zredukowano by nas do normalnych proporcji. Bylibyśmy jednym z wielu dobrych periodyków i na tym kropka.

Choć śmiesznie to pomyśleć a coś dopiero napisać — reżym boi się *Kultury*. Lęk przed *Kulturą* wyziera z każdej stronicy książki Fillera. W pewnej mierze jest to lęk usprawiedliwiony. Dopóki wychodzi *Kultura* Polacy w Kraju nie przestaną zastanawiać się — dlaczego pismo tego typu może ukazywać się w Paryżu a nie w Warszawie. Reżym wobec nas jest w gruncie rzeczy bezbronny ponieważ dobre pismo można zwalczać skutecznie tylko drugim dobrym pismem. *Kulturze* trzeba by przeciwstawić periodyk, który robiłby wszystko to, co my robimy — tylko lepiej. W Kraju, w którym obowiązuje ścisła cenzura, to nie jest po prostu możliwe. Mówię w tym wypadku nie jako polityk tylko jako zawodowy dziennikarz o czterdziestoletnim doświadczeniu. Pismo, które wychodzi bez cenzury będzie zawsze nieporównanie lepsze od najlepszego pisma, które podlega cenzurze.

W kraju totalnie rządzonej można mieć wielki przemysł, można ludzi wysyłać na księżyc — lecz nie można mieć dobrej prasy. Dobra, wolna prasa jest podstawowym instrumentem zaangażowania. Jak można z Polaków wykrzesać zaangażowanie dla budowy socjalizmu, skoro nie ma dobrej prasy socjalistycznej? Dobra prasa jest niczym nie do zastąpienia. Wolne słowo bywa czasem dla polityków przy władzy niewygodne — lecz polityka nie może się bez niego obejść, ponieważ tylko wolnym słowem i argumentem można ludzi przekonać co stanowi istotę zaangażowania.

SŁOWNIK REALIÓW DRUGIEJ RZECZPOSPOLITEJ

Co roku — zwłaszcza w sezonie letnim — odwiedzają mnie młodzi ludzie z Kraju. Rozmawiamy nie tylko o literaturze i polityce lecz również o sprawach „bytowych”. W czasie jednej z takich rozmów dwudziestolatek z Kraju zapytała mnie ile zarabiałem przed wojną? Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że w ostatnich latach niepodległości mój dochód wynosił około 1500 zł. miesięcznie. Na to składała się moja pensja w IKC oraz dochód z kamienicy przy ulicy Krupniczej 11. Młodzieniec spojrzał na mnie ze zdumieniem: „Pan był w nędzy” — odezwał się ze współczuciem. Musiałem długo tłumaczyć mojemu gościowi, że z owych „nędznych” zł. 1500 utrzymywałem żonę, siebie, dziecko, dwoje służby i dwa psy — wszystko w pięciopokojowym mieszkaniu. O nędzy nie było mowy.

Wyobraźmy sobie, że mój młodziutki gość za rok czy za dwa zechce napisać powieść, której akcja toczyłaby się w przedwojennej Polsce. Autor musiałby unikać realiów drugiej Rzeczypospolitej jak diabeł święconej wody. Nie umiałby napisać ile bohater jego powieści zarabiał, jakiej nazwy palił papierosy, do jakich barów w rynku krakowskim chodził na wódkę, jakimi numerami tramwajów jeździł do pracy i jakiej marki czekoladki kupował swej dziewczynie.

Piętnaście lat temu w jednej z eleganckich restauracji na West-Endzie, w wigilię Bożego Narodzenia, odbyła się ostatnia w dziejach tradycyjna „rybka” IKC. W owych czasach w Londynie było nas jeszcze sporo — Zygmunt Nowakowski, Ludwik Rubel, Wacław Szperber, Stanisław Faecher, Antoni Wasilewski, Zbigniew Grabowski, Jola FuchsoŹna i Londyńczyk. Gospodarz lokalu, p. Konopka, zaofiarował butelkę szampana dla uczestnika „rybki”, który potrafi wymienić po kolei wszystkie bary jakie istniały na rynku krakowskim do dnia 1 września 1939 r. Bezbłędną listę barów sporządził tylko Zygmunt Nowakowski i obawiam się, że wraz z nim zeszła do grobu ta cenna wiedza.

To są sprawy wielkiej wagi. Kultura materialna uwarunkowuje ludzi. Bez znajomości realiów danej epoki nie można zrozumieć człowieka historycznego — jego psychiki i reakcji. Wartość „Trzy po Trzy” w przeciwieństwie do „Trylogii” Sienkiewicza — polega na tym, że Fredro daje drobiazgowo narysowane tło kultury materialnej wielkiej armii. U Żeromskiego lansjerzy to są „małowane dzieci”. Z pamiętników Fredry wiemy natomiast, że za ową kawaleryjską romantyką ciągnął się często tuman nieopisanego smrodu. Konie były odparzone, owrzdzone, złe podkute — ponieważ nie było felcerów, ani nawet kuźni polowej. Jeżeli ktoś nie umiał zdobyć podkowy i nie umiał sam podkuć konia — jeżeli ktoś nie umiał konia wyleczyć z owrzdzeń i odparzeń — produkował smród nie romantykę.

W ukochanej „Trylogii” Sienkiewicz skrętnie unika wszelkich realiów. „Uczta się rozpoczęła i trwała długo”. Co na tej uczcie ludzie jedli — nie wiemy. Tam gdzie Sienkiewicz stara się być bardziej konkretny popełnia fatalne błędy. W kryjówce Kiemliczów, wśród nieprzebytych lasów, którą zajęł Soroka wioząc rannego Kmicica — żołnierze znaleźli na kominie „obszerny sagan bigosu”. Bigos jak wiadomo robi się z kiszzonej kapusty. Każdy człowiek wychowany na wsi wie, że na beczkę kiszzonej kapusty trzeba furę świeżej kapusty. Jest oczywiście ponad wszelką wątpliwość, że w leśnej sadybie Kiemliczów nie mogło być bigosu — bo nie było roli uprawnej, a tym samym nie było kapusty. Pomijam fakt, że kapusta w owych czasach nie była tak popularna jak dzisiaj. Do kryjówki Kiemliczów prowadziła jedna „sekretna” ścieżka przez bagna i przetransportowanie beczki kiszzonej kapusty przedstawiałoby w owych warunkach niepokonalne trudności.

W niniejszej notatce chciałem zwrócić uwagę na kilka faktów. Druga Rzeczpospolita była ojczyzną większości emigrantów. Dokumentacja drugiej Rzeczpospolitej w olbrzymim procencie uległa zniszczeniu. Wraz z naszym pokoleniem zejdzie do grobu intymna znajomość realiów Polski przedwrześniowej. Druga Rzeczpospolita to nie tylko polityka i gospodarka — lecz również ramy życia zwyczajnych obywateli, ramy codzienności, nazwy i ceny artykułów codziennego użytku, potrawy, zwyczaje, mody strojów itp. Kto z nas pamięta nazwy tutek do robienia papierosów? Kto potrafi wymienić gatunki wyrobów Polskiego Monopolu Tytoniowego? Kto wie co to była „maczanka” — jedna z najtańszych i najpopularniejszych potraw w Krakowie — dziś nieznana.

Pamięć ludzka, zwłaszcza niekontrolowana, jest zwodnicza. Pamiętników jest bardzo mało natomiast jest w nich mnóstwo błędów.

Powinniśmy — póki czas — powołać na emigracji komitet do opracowania encyklopedycznego słownika realiów drugiej Rzeczpospolitej. Oczywiście słownik musiałby być selektywny, lecz sądzę, że w dwóch tomach można by

pomieścić tysiące informacji. Słownik byłby z całą pewnością iniejaytą kasową bo kupiłby go biblioteki i wszyscy obywatele drugiej Rzeczypospolitej, których byłoby stać na ów wydatek. To byłby bowiem w pewnym sensie nasz wspólny i zbiorowy pamiętnik.

Obraz drugiej Rzeczypospolitej już się zaciera w pamięci pokoleń. Filmy, fotografie — mówią znacznie mniej niż się przypuszcza. Literatura dwudziestolecia nie stanowi również wyczerpującego źródła realiów drugiej Rzeczypospolitej — ponieważ nikt nie wysiła się na opis powszedniości, którą wszyscy znają.

Dokładne opracowanie słownika byłoby benedyktyńską pracą i musiałoby potrwać kilka lat. Lecz byłoby to osiągnięcie trwałe i wartościowe. Słownik wykazałby również, że choć nie wszystkim warstwom społecznym drugiej Rzeczypospolitej powodziło się dobrze — to jednak materialna oprawa życia była niepomrotnie bogatsza i różnorodniejsza niż w Polsce gomułkowskiej. Trzeba było długo jeździć po Europie by znaleźć materiał na ubranie równie gustowny i wysoko gatunkowy jak materiały leszczykowskie. U Grabowskiego na Szewskiej w Krakowie klient miał do wyboru dziesiątki rodzajów znakomych wędlin, jakich nie znalazłby ani w Paryżu ani w Berlinie ani w Londynie.

Jest dużą zasługą historyków marksistowskich, że odkryli znaczenie stosunków gospodarczych w procesie dziejowym. To była dziedzina analizy historycznej lekceważona w Polsce przedwojennej. Podobnie jak nie można zrozumieć danego układu społecznego bez znajomości stosunków gospodarczych — tak nie można w pełni zrozumieć psychiki człowieka danej epoki nie znając jego bazy, którą jest kultura materialna. Można całe życie studiować Szekspira w Samarkandzie — lecz jeżeli ktoś nigdy nie pił *whisky and soda*, nie zjadł porcji *Fish and chips* i nie spędził kilku godzin w londyńskim „pubie” — ten o Anglikach nie wie nic.

Jeżeli nie utrwalimy obrazu kultury materialnej drugiej Rzeczypospolitej — pokolenia następne będą o nas czytać, lecz nie będą nas ani znać ani rozumieć.

LONDYŃCZYK

Korespondencja z Kraju

Warszawa, 13 listopada 1968 r.

Do niedawna po Warszawie krążyło powiedzenie, że należy się spieszyć z leczeniem zębów, bo po Zjeździe nikt nie otworzy ust. Obecnie mówi się, że przyszły rok będzie miał 9 miesięcy, bo nie będzie marca, wrzesień już nam nie grozi, a październik się nie powtórzy.

Przygotowania do Zjazdu toczyły się na wielu płaszczyznach. Te najmniej ciekawe znajdowały swój wyraz na łamach prasy, których nie szczędzono, by zanudzić społeczeństwo tak, aby w czasie Zjazdu było senne i odrętwiałe. Ciekawsze rzeczy działy się w ukryciu, ale o tym niestety nic nie wiadomo pewnego. Pewne jest to, że z redakcji *Przyjaciółki* wyrzucono z dnia na dzień 2 panów (towarzyszy) Nagłowskiego i Bazylko „za brak dyscypliny pracy”. Panowie ci od marca byli inicjatorami „antysjonyistycznej” kampanii, która zakończyła się usunięciem z redakcji 9 osób, które przyjęto z powrotem do pracy po osobistej interwencji Gomułki (w sierpniu?). Osoby obecnie wyrzucone, uważane za „moczarowców”, miały dobre stosunki w Komitecie Dzielnicowym, co świadczy o tym, że zmiana wiatru nastąpić musiała wyżej.

W październiku w gmachu MSW pojawiły się ulotki atakujące całe prawie kierownictwo partyjne (Szyr, Kliszko, Jędrychowski, Starewicz, Cyrankiewicz), mieszanina ohydnych insynuacji (Cyrankiewicz-Cymmerman, gwałciciel) i rzeczowych obserwacji świadczących o znajomości przedmiotu (Starewicz-Żyd, jeden z inteligentniejszych ludzi w kierownictwie, piszący przemówienia dla pierwszego sekretarza). Tow. Wiesław nie był osobiście atakowany. W kołach zbliżonych do Rakowieckiej mówi się o aresztowaniu w związku z tą sprawą 16 osób z MSW. W czasie przemówienia w Płocku Strzelecki zaatakował Milicję za brak operatywności i złą wydajność, wywołując rozgoryczenie stróżów po-

rzędu publicznego. Nie przypuszcza się, aby jakiekolwiek echa tych rozgrywek odezwały się na Zjeździe. Co prawda kursuje hasło Zjazdowe brzmiące: „Kto nie z Miciem tego zmiciem”, jednakże zwolennicy Szefa odpowiadają na to, że „Kto nie z Władziem, tego zgładzimy!”. Z ciekawostek przedzjazdowych można jeszcze dodać, że w końcu lata rozesłany został okólnik do instancji partyjnych, zawiadamiający, że „Dozwolone są szczere dyskusje, zaś dyskutanci za wygłaszane w ich trakcie poglądy nie będą pociągani do odpowiedzialności”. (Sic!). Można powiedzieć złoty wiek demokracji. Nie wiadomo czy pomogło.

Sprawy studenckie

Intensywna działalność organów bezpieczeństwa po marcu poza aresztowaniami w samej Warszawie stukilkudziesięciu studentów, miała również ten skutek, że z biegiem czasu utrudniła rozprzestrzenianie się informacji na temat dokonywanych represji. Tymczasem aresztowania — na mniejszą skalę — trwały stale aż do listopada. Pierwsza seria rozpraw odbyła się nazajutrz po 8-mym marca w trybie przyspieszonym i wiadomość o tym ukazała się w prasie. Skazano szereg osób za chuligaństwo. „Przestępcy” bardziej niebezpieczni przesłuchiwani byli w areszcie przez kilka miesięcy; procesy ich prawdopodobnie rozpoczną się zaraz po Zjeździe.

W końcu sierpnia ilość przebywających w areszcie śledczym studentów oceniało się w Warszawie na 47 osób. Część z nich wypuszczono we wrześniu i październiku; obecnie czekają na rozprawy: Kuroń, Modzelewski, Michnik, Szlajfer, Antoni Zambrowski, Wiktor Górecki, Barbara Toruńczyk (ta siódemka stanowi grupę głównych oskarżonych i prawdopodobnie proces ich odbędzie się jednocześnie z art. 174 Dużego Kodeksu art. 105 (?) — przekazywanie informacji art. 36 M.K.K.). Poza tym czekają na rozprawy: Jadwiga Lewicka, Ewa Puchalska, Aleksander Smolar, Marek Rygier, Jan Lityński, Seweryn Blumsztajn, Sławomir Kretkowski*, Marian Dąbrowski (ten ostatni aresztowany w sierpniu w Pradze i oddany polskim władzom). Dotychczas odbyło się kilka mniej ważnych procesów, ale dwa dość znaczące Daniel Baumritter — 8 miesięcy, Julia Juryś — 8 miesięcy, Topolski — półtora roku, — Dusza, Zaklika, Zarychta po jednym roku. Ostatnio też pojawiło się nieznane szerszemu ogółowi nazwisko studenta prawa Zbigniewa Kosta, który odsiaduje w Olsztynie (?), karę trzech lat więzienia, ale brak jakichkolwiek szczegółów na temat jego procesu i zarzucanych mu czynów.

Ważniejsze procesy to zakończone w pierwszych dnia listopada procesy: Duracza (Andrzeja), który został uniewinniony z braku dowodów. Jeden ze świadków (Wojtas) w zeznaniach swych przyjął na siebie winę przypisywaną oskarżonemu (sprawa zwią-

* Blumsztajn, Kretkowski i Lityński zostali już w międzyczasie sądzeni i skazani (Red.).

zana była z rezolucją uchwaloną na wiecu 28 marca), inny (Andrzej Mencwel) odwołał częściowo złożone w śledztwie zeznania, twierdząc że znajdował się w stanie depresji psychicznej (obecnie przebywa w szpitalu dla nerwowo chorych w Tworkach).

Józef Dajczgewand student studium dziennikarskiego skazany na 2 i pół roku więzienia. Zarzucano mu tworzenie nielegalnej organizacji, organizowanie nielegalnych zebrań. Wyrok uważa się za łagodny, bowiem prokurator żądał 5 lat. Na razie brak bliższych szczegółów na temat przebiegu rozprawy. Sprawa Duracza (syn i wnuk znanych działaczy lewicowych) odbywała się przy drzwiach zamkniętych, zaś sprawa Dajczgewanda przy drzwiach otwartych, ale w bardzo małej sali. Tymczasem w dniu 1 listopada dokonano aresztowań około 10 osób, młodych studentów, a wśród nich: Sylwii Poleskiej, Krystiany Robb-Narbutt (ASP), Bogusławy Blejfer, Eugeniusza Smolara (brak Aleksandra, student ekonomii — wyrzucony), Żebrunia i Zdradzieckiego. Osobom tym zarzuca się rzekomo czyny prowadzące do „zakłócenia porządku publicznego”, jednakże charakter tych czynów jest nieznany.

Przeciwko Grażynie Kuroń otwarto śledztwo w sprawie „składania świadków oskarżenia do składania fałszywych zeznań”. Prawdopodobnie ma to być jedynie formą szantażu przed i w czasie procesu męża i nie przypuszcza się, aby wytoczono jej sprawę.

W związku z Czechosłowacją mówi się, że pewnego razu wybrali się z wizytą do króliczka tchórz i śmierdziel. Kiedy wizyta zaczęła się przedłużać, króliczek początkowo próbował dać swym gościom do zrozumienia, że czas już by sobie poszli, lecz gdy to nie pomogło zaproponował im to wprost. Niestety, nie możemy odejść — powiedzieli tchórz i śmierdziel — bo musimy tu zostać tak długo aż sprawdzimy co tu tak śmierdzi.

Liczbę emigrantów ocenia się na szereg tysięcy (około 10 tys. według pewnych informacji). Obserwuje się także, dość masową tendencję do pozostawiania turystów polskich zagranicą. W środowisku studenckim panuje nastrój przygnębienia i frustracji. I strach. Rozpoczął się okres neo-miniony.

Sukcesy i porażki Mieczysława Moczara

Rzecz działa się zaledwie parę tygodni przedtem, zanim V Zjazd PZPR zamknął kolejny etap walk frakcyjnych w polskiej partii komunistycznej i uroczyście orzekł, że partia jest już znowu, jak za najlepszych czasów, monolitem.

4 listopada 1968 r., na budowie fabryki metalurgicznej w niedużym miasteczku, w Końskich na Kielecczyźnie odbył się wiec z udziałem tysiąca osób przybyłych z całego powiatu. Nic w tym nie było nadzwyczajnego, po prostu jeden z tysięcy wieców, jakie organizowano w całym kraju w związku z V Zjazdem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zgodnie ze zwyczajem, zebrani uchwalili tekst listu do I Sekretarza Komitetu Centralnego, Władysława Gomułki, w którym zapewniali go o swoim niezmiennym poparciu „słusznej polityki Partii i Rządu”.

Głównym mówcą na tym wiecu był przybyły z Warszawy wieoletni minister spraw wewnętrznych, podówczas od kilku miesięcy zastępca członka Biura Politycznego oraz sekretarz Komitetu Centralnego, gen. Mieczysław Moczar. Przywódca wewnątrzpartyjnej frakcji nacjonalistyczno-stalinowskiej, główny krytyk Gomułki i kandydat na stanowisko jego zastępcy, poświęcił swoje przemówienie wychwalaniu kierowanej przez tegoż Gomułkę „słusznej polityki partii i rządu”.

Kilka zaś tygodni wcześniej, na innym zebraniu, tym razem w Warszawie, ludzie Moczara w sposób niemal ostentacyjny dezawuowali szefa partii, krytykowali go za słabość, brak zdecydowania, niekonsekwencję.

Dobry minister bezpieczeństwa

Warszawiacy, dorocznym zwyczajem manifestujący w dniu 1 maja przed najwyższym kierownictwem politycznym kraju, gdy mrużąc oczy przed promieniami słońca zadzierali głowy w górę, mogli tam zobaczyć, kilka metrów ponad sobą, rząd uśmiechniętych postaci, w sposób ostentacyjnie przyjazny kiwających do nich rękami. Byli to, uszeregowani według aktualnej urzędowej hierarchii, członkowie Biura Politycznego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, członkowie Komitetu Centralnego, inni najwyżsi dygnitarze, czasem honorowy gość zagraniczny. O ich zaproszeniu na tę trybunę i zajmowanym przez nich miejscu decydował ponoć sam Zenon Kliszko, naczelnny ideolog i prawa ręka szefa partii, Władysława Gomułki.

Wszyscy na trybunie usilnie starali się sprawiać wrażenie ludzi radosnych, z okazji święta nawet rozbawionych i beztroskich. Tylko jeden ze stojących tam mężczyzn, dość daleko od Gomułki, choć też skinieniem ręki lud pozdrowiał, nie ukrywał, że i w ten dzień święta mas pracujących on jest „na służbie”. Patrzył nie na twarze defilującego tłumu, lecz na ręce, tam gdzie mógł kryć się granat, lub jeszcze niebezpieczniejszy odeń plik ulotek. Demonstrował tę samą czujność, jaką nakazał stojącym na chodniku tajniakom, długim łańcuchem odgradzającym tłum od trybuny.

Ale aspiracje Mieczysława Moczara, od 1964 r. ministra spraw wewnętrznych w rządzie premiera Cyrankiewicza, już w chwili jego nominacji wykraczały daleko poza ramy resortu bezpieczeń-

stwa publicznego. Nie tylko w Polsce, także w żadnym bodaj innym kraju szef służby bezpieczeństwa nie zabiegał tak usilnie o popularność wśród społeczeństwa, jak to czynił Moczar.

Terror fizyczny, za czasów stalinowskich szeroko w więzieniach polskich i w Urzędach Bezpieczeństwa stosowany, zniesiony dopiero w 1955 r., w obliczu nadciągającego „polskiego Października”, był za czasów Moczara złagodzony, choć nie rzadko zdarzały się wypadki pobicia przez policję w czasie przesłuchania.

Swoich zabiegów w celu zdobycia popularności w społeczeństwie minister Moczar nie ograniczał jednak do spraw własnego resortu. W kraju, w którym wszystkie wydawnictwa podlegają jednemu ośrodkowi dyspozycyjnemu, nie trudno mu było postarać się o to, by jego książka o polskim ruchu partyzanckim w okresie okupacji hitlerowskiej, którego on był tylko jednym z dowódców, osiągnęła niewiarygodnie wysokie nakłady. Ministerstwo oświaty zaleciło ją jako lekturę szkolną. Na jej podstawie nakręcono film, którego kopie rozesłano do wszystkich niemal kin w kraju.

W umyśle przeciętnego Polaka miało się utrwalić przeświadczenie, że wyzwolenie spod okupacji hitlerowskiej Polska zawdzięcza nie tyle Armii Radzieckiej i nie utworzonemu w ZSSR Wojsku Polskiemu, co jemu, generałowi Moczarowi i jego partyzantom.

W odróżnieniu od polityków stalinowskich starego chowu, którzy w praktyce nie doceniali znaczenia inteligencji twórczej i zwyczajnie nią pogardzali, i w odróżnieniu od samego Gomułki, który pod tym względem nie wiele się od swoich poprzedników różni, Moczar nie bagatelizował roli intelektualistów w prowadzonej przez niego grze. W kawiarniach literackich Warszawy głośno były wydawane przez niego obiady, na których stale bywała gromadka drugorzędnych na ogół pisarzy, dziennikarzy, filmowców; na pozyskanie czołówki intelektualnej nie mógł liczyć.

W prasie i w radio, zwłaszcza w okresie po wydarzeniach marcowych, coraz częściej pojawiały się teksty jego publicznych wystąpień, wywiadów. I coraz częściej publikacje te wkraczały w dziedzinę problemów politycznych pierwszorzędnej rangi.

Jednym z takich pierwszorzędnych problemów polskiej polityki wewnętrznej jest sprawa stosunków między państwem a Kościołem. Toteż w kancelariach poszczególnych biskupów jęli pojawiać się wysłannicy Moczara. Tylko ich szef — zapewniali ci niecodzienni w biskupich pałacach goście — rzecznik narodowego komunizmu, będzie w stanie zagwarantować Kościołowi rzeczywiste skuteczną opiekę.

Robił wszystko, by pozyskać sobie sympatię społeczeństwa. Wiedział, jak niełatwą jest w Polsce rzeczą przesiąść się z fotela ministra bezpieczeństwa na miejsce pierwszego sternika polityki polskiej. A właśnie przejęcie władzy z rąk starzejącego się Gomułki było jego obsesyjnym celem. Celem tym trudniejszym do osiągnięcia, że podejrzliwy i ostrożny Gomułka w trosce o utrzymanie równowagi między obydwojma zwalczającymi się skrzyd-

łami w kierownictwie partii, uporczywie barykadował przed Moczarem wrota partyjnego Olimpu: Biura Politycznego.

Postanowił je więc wziąć szturmem, zgrupowawszy jednak uprzednio swoje siły.

„Partyzanci” wystawiają rachunek

Jeszcze przed przełomowym rokiem 1968 armie te były wcale pokaźne: niesamowicie rozbudowany aparat służby bezpieczeństwa; policja zawodowa; oddziały ochotniczej milicji robotniczej; potężny 800-tysięczny związek kombatanatów (ZBoWiD), w którego szeregach udało się Moczarowi zgrupować byłych żołnierzy i partyzantów nie tylko komunistycznych formacji (ZBoWiD rozprowadził wśród swoich członków miliony złotych, przydziela kioski itp., nadaje wysokie odznaczenia państwowe, uprawniające do podwyższonej renty). Główną przy tym rolę miała do spełnienia moczarowa „V kolumna”, której zadaniem było oprowadzanie i podważenie od wewnątrz gomułkowskiego aparatu władzy partyjnej i państwowej metodami „pokojoyej walki partyzanckiej”.

Tak właśnie mówią o nich w Polsce: partyzanci. 55-letni dziś Mieczysław Moczar (jego prawdziwe nazwisko brzmi Mikołaj Demko), w odróżnieniu od wielu innych starszych komunistów polskich, podczas II wojny światowej walczył przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcom nie w szeregach Armii Sowieckiej czy też utworzonego w ZSSR Wojska Polskiego, lecz w leśnych oddziałach partyzanckich komunistycznej Armii Ludowej (AL), gdzie dowodził jednym z ugrupowań. Żołnierze Armii Krajowej są dziś ze strony Moczara obiektem „narodowego” flirtu i zajmują w jego Związku kombatanatów dość poczesne miejsce.

Nie zapomniał natomiast Moczar urazy do tych Polaków (wśród których wielu było pochodzenia żydowskiego; w latach 1939 lub 1941 szukali w ZSSR schronienia przed zagładą z rąk hitlerowców), którzy w 1945 roku powrócili „u boku Armii Radzieckiej w oficerskich płaszczach”, by za aprobatą Moskwy objąć kierownicze stanowiska w wyzwolonej Polsce i którzy w latach terroru stalinowskiego odgrywali ważką rolę we wszystkich węzłowych dziedzinach życia społeczno-politycznego kraju.

Sam zresztą Moczar, w odróżnieniu od setek innych przywódców partyzanckich, stosunkowo niewiele ucierpiał w okresie stalinowskich czystek w polskiej partii komunistycznej. Mianowany w 1945 r. członkiem Komitetu Centralnego oraz szefem wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Łodzi, gdzie podobnie jak jego koledzy z innych województw bez skrupułów stosował torturowanie więźniów, trzy lata później został objęty wszczętą na polecenie Moskwy kampanią przeciwko gomułkowskiemu „prawicowo-nacjonalistycznemu odchyleniu”. Widocznie jednak musiał jego ówczesny nacjonalizm nie być zbyt groźny, skoro w otaczanej

przez Stalina największą troską polskiej hierarchii partyjnej zdegradowany został zaledwie o jeden stopień: do rangi zastępcy członka Komitetu Centralnego.

Do najostrzejszych jego w owym okresie krytyków należał członek Biura Politycznego, Roman Zambrowski. Z wystawieniem rachunku temu „synkowi rabina” (jak chętnie określa dzisiejszego emeryta Zambrowskiego) musiał Moczar czekać całych piętnaście lat; dopiero w 1963 r. mógł dołożyć ręki do usunięcia Zambrowskiego ze składu Biura Politycznego. Zaś po upływie dalszych pięciu lat wybiła godzina zemsty rodowej: wiosną 1968 roku po wybuchu krótkotrwałej, brutalnie stłumionej rebelii studenckiej w Polsce tajniacy ministra Moczara wprowadzili do celi więziennej Zambrowskiego — juniora. pod konwencjonalnie podwójnym zarzutem: syjonizmu i rewizjonizmu. Równocześnie Zambrowski-senior, ponieważ m.in. niewłaściwie wychował syna, usunięty został z ostatniej już, całkowicie zresztą drugorzędnej funkcji — tak samo, jak setki innych działaczy, urzędników, innych pracowników „niearyjskiego” pochodzenia.

Tym, który tę antysemicką kampanię zaplanował i przygotował, był Mieczysław Moczar. Przywrócony w 1956 roku przez Gomułkę do łask i mianowany wiceministrem spraw wewnętrznych, Moczar już wtedy miał sposobność przekonać się, że w walkach wewnątrzpartyjnych o władzę, hasła antysemickie odznaczają się pewną chwytliwością. Chodziło mianowicie o to, że po październikowym obaleniu stalinizmu w Polsce szczególnie skompromitowani w minionym okresie działacze usiłowali ratować swoje zagrożone fotele zwalając całą, a więc i własną winę na współtowarzyszy z kierownictwa pochodzenia żydowskiego. Dzisiejsze moczarowe „wszystkiemu winni syjoniści” zrodziło się zapewne w owym jeszcze okresie, jeśli nie sięgać, już do stalinowskich czystek antysemickich.

Grubym jednak uproszczeniem byłoby sprowadzanie forsowanej przez Moczara rasistowskiej polityki personalnej do jego osobistych antysemickich emocji czy też nawet przypisywanie im decydującej roli. Dla polityka jego rządu antysemityzm, jak wszelka odmiana ksenofobii, jest przede wszystkim taktycznym środkiem walki o władzę.

Mit o liberalnym Gomułce

Od 1956 roku sprawuje tę władzę 63-letni dziś Władysław Gomułka, ostatnio reprezentujący tak zwane Centrum w kierownictwie polskiej partii i odgrywający niejako rolę „języczka u wagi” między dwoma ścierającymi się skrzydłami: „liberałami” i „partyzantami” generała Moczara.

W dwanaście lat, jakie upłynęły od „październikowej wiosny” 1956 roku, obywatele tego kraju nie mają już żadnych złudzeń: z wolnościowych haseł polskiego Paździelnika nie pozostało nic, jeśli nie liczyć zniesienia przymusu kolektywizacji gospodarstw

rolnych, pewnej tolerancji religijnej i nieznacznego, coraz bardziej zresztą zawężanego marginesu wolności kultury. Gospodarka kraju znajduje się w stanie krytycznym.

W tej sytuacji musi wzrastać niezadowolenie ludności. Rozczarowanie z powodu niespełnienia przez Gomułkę jego obietnic z 1956 roku jest powszechne. Wprawdzie robotnicy jeszcze milczą, lecz jest to milczenie ludzi oszukanych. Wprawdzie inteligencja techniczna, w obawie przed utratą źródeł utrzymania, sarka tylko półgłosem, ale sarkanie to słyszać w całym kraju. Wprawdzie najjawniej buntująca się młodzież nie może jeszcze na razie liczyć na żadne poważniejsze poparcie — ale jej bunt musi narastać.

W czasie jednego z wielu wieców studenckich na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego w marcu br. wszedł na trybunę młody człowiek, wyjął z kieszeni kilka kartek zadrukowanego papieru i bez jednego słowa komentarza odczytał zamieszczony na nich tekst. Gdy następnie zszedł z mównicy, zbliżyło się do niego dwóch tajniaków i uprowadziło do czekającego na ulicy samochodu policyjnego.

Antyrządowym, kontrrewolucyjnym tekstem, który ów student odczytał, było przemówienie Władysława Gomułki z 1956 roku.

Czy to symptomatyczne aresztowanie studenta, jedno z tysięcy w owym okresie, dokonane zostało przez ludzi Moczara przeciwko Gomułce? Czy też Gomułka z roku 1968 sam występuje przeciwko Gomułce z roku 1956?

Wydaje się, że na obydwie te pytania należy udzielić odpowiedzi twierdzącej.

Obydwie szale wagi, u której rolę języczka stara się odgrywać Gomułka, to, jak się rzekło, „liberałowie” i „partyzanci”. Obydwie te nazwy niewiele mówią, raczej wprowadzają w błąd; to samo dotyczy epitetów, jakimi rywale nawzajem się obdarzają: „Moskale” (to o „liberałach”) i „nacionaliści” (to o „partyzantach” gen. Moczara).

Faktem jest, że wielu spośród działaczy komunistycznych, którzy 2 wojnę światową spędzili w Związku Sowieckim a następnie, w okresie stalinowskim, zajmowali w Polsce kierownicze stanowiska, przeszło po 1956 roku na pozycje bardziej liberalne, antystalinowskie i stało się rzecznikami mniej lub bardziej ograniczonej demokratyzacji systemu. Taktyczna koalicja z częścią kół rewizjonistycznych, do której w napiętej sytuacji Października 1956 poczuł się zmuszeni, pozostała nie bez wpływu na ich postawę. W każdym razie, jeśli abstrahować od skomplikowanego podłoża psychologiczno-politycznego tego procesu, można zaryzykować twierdzenie, że styczniowy program komunistów czechosłowackich spotkał się ze strony tej grupy polskich działaczy komunistycznych ze stosunkowo najbardziej przychylnym przyjęciem. Jakkolwiek również ta grupa jest wewnętrznie dość silnie zróżnicowana, to jednak w stosunku do jej reprezentantów można mówić o pewnych wspólnych właściwościach: kategoryczny sprzeciw wobec nawrotu do stalinizmu w polityce zwłaszcza wewnętrznej, ale także i zagranicznej; żądanie większej, w miarę istnie-

jących możliwości, samodzielności względem Moskwy; dążenie do rozsądnych, pragmatycznych i konstruktywnych reform na polu gospodarki, kultury i prawodawstwa.

Niektórzy przedstawiciele tej grupy, którzy w październiku 1956 wynieśli Gomułkę do władzy, np. Stefan Staszewski czy Jerzy Morawski, zostali niedługo po tym przez tegoż Gomułkę odsunięci od władzy. Wczorajszy rzekomy przywódca „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego”, Gomułka, nienawidził swoich niedawnych oskarżycieli, którzy wtrącili go, niewinnego, do socjalistycznego więzienia, bądź też fakt ten bez szemrania zaaprobowali, teraz zaś nagle stali się tacy liberalni. Poza tym grupa ta wydawała się traktować program październikowy całkiem serio. Zaś komunista starej szkoły, Gomułka, nie chciał żadnych poważniejszych reform, bał się ich, niczym przysłowiowy diabeł święconej wody. Inteligencja nigdy nie była jego najwybitniejszą cechą. W warszawskich kawiarniach drwiono, że można go spokojnie pozostawić przy otwartym oknie: nie orzeł, nie wyleci. Rewizjonizm identyfikował w wszelkim dążeniem do jakichkolwiek poważniejszych zmian, których to zmian, ani ich potrzeby, nie pojmując, przeto bojąc się ich, traktował je jako grzech śmiertelny. Zniesienie przymusu kolektywizacji w rolnictwie i pomoc inwestycyjna dla rolników — to było właściwie wszystko, co z programu październikowego gotów był zrealizować i co rzeczywiście zrealizował. Tu zaś nagle pojawiło się wiosną 1968 najniebezpieczniejsze spośród wszystkich niebezpieczeństw: żądanie wolności słowa, żądanie zniesienia cenzury!

Niebezpieczeństwo to i lęk przed nim były jednakowo duże w oczach Gomułki, jak i Moczara. Hasła wznoszone przez demonstrujących studentów w marcu 1968 musiały żywo kojarzyć się w pamięci z hasłami październikowymi z 1956 r., ale także z ową enigmatyczną grupą „ludzi Października”, następnie przechrzczoną na jeszcze bardziej enigmatyczne „liberalne skrzydło”.

Nie było też rzeczą przypadku, że po wydarzeniach marcowych 1968 r. najbardziej eksponowani rzecznicy tej grupy, jak np. przewodniczący Rady Państwa Ochab, członek Biura Politycznego, minister spraw zagranicznych Rapacki, minister finansów Albrecht, minister zdrowia Sztachelski, członkowie Komitetu Centralnego, profesorowie Schaff i Żółkiewski, poszli w odставку. Jakkolwiek ludzie usunięci w ostatnich miesiącach od wpływów różnili się pod względem politycznym także pomiędzy sobą i aczkolwiek większość spośród nich obawiała się szerokiej demokracji socjalistycznej w niewiele mniejszym stopniu niż Gomułka i Moczar, to jednak wspólny był dla nich protest przeciwko marcowej masakrze studentów, przeciwko rozpętanej przez Moczara i przynajmniej przez pewien czas popieranej przez Gomułkę rasistowskiej kampanii, i przede wszystkim przeciwko reprezentowanemu najdrastyczniej przez grupę Moczara neostalinizmowi w nacjonalistycznej otoczce.

Tak oto gomułkowski „języczek u wagi” ponownie przechylił się na korzyść Moczara. A przecież i sekretarz PZPR nie mógł

mieć wątpliwości co do tego, że każde z czynionych przezeń tego rodzaju ustępstw było koncesją na rzecz jego rywala i potencjalnego następcy. Równocześnie zaś dopuścił do tego, że latem 1968 roku rywal ten uczynił kolejny ważki krok na drodze do pełnego zagospodarowania się w „Białym Domu”: Mieczysław Moczar przekazał ministerstwo spraw wewnętrznych swemu zastępcy, Kazimierzowi Świtale, by samemu objąć stanowiska sekretarza KC i zastępcy członka Biura Politycznego, gdzie od lat już zasiadał jego główny partner, czołowy rzecznik krańcowego neostalinizmu, Ryszard Strzelecki.

Oczywiste jest, że obecny szef partii polskiej od dawna już zdawał sobie sprawę ze zmian, do jakich dążą jego rywale. Najpoważniejsze, niejako pokazowe ostrzeżenie otrzymał wiosną 1968 r., kiedy to podczas jego wielkiego przemówienia w warszawskim Pałacu Kultury, w którym gromił rewizjonistów i syjonistów, zorganizowana grupa aktywu jęła głośno skandować nazwisko... innego przywódcy: sekretarza potężnej organizacji partyjnej województwa katowickiego, Edwarda Gierka. To stamtąd właśnie najdonośniej rozlegają się krytyczne głosy inteligencji technicznej, tzw. technokratów, najbardziej katerygoryczne żądania reform gospodarczych.

Potrzeba, konieczność reform, nie połowicznych, pozornych, lecz prawdziwych, zasadniczych przemian nabrzmiewa w Polsce coraz bardziej, nie może być jednak mowy o poważniejszych reformach, dopóki zależność od Związku Sowieckiego zespala się z panicznym, obustronnym, w Warszawie i w Moskwie, lękiem przed tendencjami do zbliżenia z Zachodem, przed rewizjonizmem we własnych szeregach, przed widmem socjaldemokratyzmu.

Ta odraza do rewizjonizmu wspólna jest też dla nich obydwóch: dla starzejącego się Gomułki i dla prężnego, dynamicznego Moczara. Z tym jednak, że Moczar wierzy, iż zdoła mu stawić czoła z pozycji tzw. narodowego komunizmu. Pojęcia tego nie należy jednak identyfikować z jego zachodnią wykładnią: suwerennego, niezależnego od Moskwy państwa komunistycznego. Mieczysław Moczar nie wierzy w możliwość powodzenia takiej polityki. Ale wie, że bezkompromisowemu rzecznikowi jedności bloku wschodniego, Gomułce, można się w Polsce skutecznie przeciwstawić tylko robiąc do społeczeństwa nacjonalistyczne oko. Od lat praktykowali jego najbliżsi współpracownicy systematyczne wyjazdy w teren; prowincjonalny średni aparat partyjny, owi partyjni „sierżanci”, niezbyt szczerze opłacani i u siebie na miejscu szczególnie dotkliwie odczuwający następstwa biurokracyjnej centralizacji, z rosnącym niezadowoleniem spoglądają w stronę Warszawy, ku owym partyjnym „pułkownikom” i „generałom”, co to — psia krew! — rozjeżdżają się mercedesami i swoim rodzinom fundują wakacje na Wyspach Kanaryjskich.

Kraj — mówili temu aktywowi ludzie Moczara — potrzebuje kogoś, kto wreszcie zaprowadzi porządek. Na spotkaniach z młodzieżą uderzali już całkiem głośno w narodowy bęben: ostatecz-

nie Piłsudski, odsądzony od czci i wiary przez Moskwę i polsko-żydowskich stalinowców, jednak był szczerym patriotą i budowniczym niepodległości Polski. Jeżeli gospodarka polska znajduje się obecnie w opłakanym stanie — tłumaczyli w środowiskach inteligencji technicznej — to dlatego, że „tam na górze” siedzą ludzie konserwatywni, niekompetentni, że kierownicze stanowiska opalowali syjoniści, którym bliższe są sprawy Izraela niż Polski Ludowej. A przecież wiadomo, kto tych ludzi mianował i dotychczas chronił: Gomułka, Ochab, którzy mają żony Żydówki, no i Kliszko, najbliższy współpracownik Gomułki. Trzeba odżydzić ośrodki naukowe, te siedliska rewizjonizmu i syjonizmu, tak samo prasę, radio i telewizję, trzeba otworzyć patriotycznej młodej kadrze dostęp do kierowniczych stanowisk!

Trzeźwy taktyk, Moczar, nie zamierzał jednak poprzestawać na demagogii, dla podbudowania swojej racji przygotowywał także bataliony. Jak wspomnieliśmy powyżej, już przed rokiem 1967 w jego rękach znajdowała się służba bezpieczeństwa, policja zawodowa, wielosettysięczne oddziały milicji ochotniczej, węzłowe stanowiska dowódcze w wojsku (nad którym zresztą, jak i nad całym wewnętrznym aparatem przymusu, obejmie rok później, jako odpowiedzialny za ten resort sekretarz KC i członek Biura Politycznego, także nadzór polityczny). Następnie przyszła kolej na obsadzenie swoimi ludźmi ministerstwa spraw zagranicznych i zwłaszcza jego placówek zagranicznych, ministerstwa handlu zagranicznego, telewizji, radia, większości redakcji gazet i czasopism, wydawnictw książkowych, jak również poszczególnych szczebli aparatu partyjnego. Wszędzie tam mocno usadowili się ludzie „nowej fali”, tzw. „twardzi”.

O tej warstwie ludzi można na ogół powiedzieć, że jest ona specyficznym produktem rządów popaździernikowych w Polsce, nie wyłączając takich aspektów aktualnej sytuacji, jak bezrobocie. Intratna posada, wysokie odznaczenie państwowe, przydział samochodu z importu po zaniżonej cenie, atrakcyjne służbowe wyjazdy zagraniczne — są dla tych ludzi celem nadrzędnym. Na miejsce fanatyzmu, cechującego znaczną część starej kadry stalinowskiej, ci 30-to i 40-letni przynieśli ze sobą bezgraniczny cynizm. Podczas gdy dla tamtych właściwa była ślepa, bezkrytyczna wiara w słuszność zarządzeń „góry” partyjnej, ci poprzestają na ślepym posłuszeństwie wobec swoich mocodawców. Na miejsce dawnej nadrzędnej tezy o partii-monolocie, gdzie wszelka frakcyjność była grzechem głównym, ci mieli za zadanie „oczyszczenie” życia partyjnego i państwowego — przede wszystkim w drodze walki frakcyjnej. I zadanie to spełniali z całą energią młodych karierowiczów, pozbawionych zarówno skrupułów ideologicznych, jak i etycznych, natomiast objętych żelazną partyzancką dyscypliną i sprężystym kierownictwem. Wiosną 1968 na zebraniach partyjnych aparatczycy niższych szczebli atakowali na polecenie Moczara członków pełnoprawnych KC (co to „wykonują tylko dyrektywy Międzynarodowej Rady Rabinów”), członków Biura Politycznego.

W sojuszu z faszystami

Swej wielkiej gry nie prowadził Moczar samopas, za dobrym jest na to strategiem. Jak już wspomnieliśmy, wkrótce po Październikowym przełomie Gomułka zaczął odsuwać od władzy ludzi, których podejrzewał o zbyt poważne traktowanie hasel odnośy socjalistycznej i którzy przewyciężając (rzetelnie, bądź też z pobudek konformistycznych) własną stalinowską przeszłość, teraz niemalże skłaniali się w stronę rewizjonizmu. Ich stanowiska, celem zachowania równowagi w kierownictwie partyjnym, Gomułka poobsadzał ich antagonistami: konsekwentnymi stalinowcami z tzw. grupy natolińskiej.

Drugim sojusznikiem „partyzantów” stało się Stowarzyszenie „PAX”. Kierowany przez Bolesława Piaseckiego, byłego założyciela i przywódcę „Falangi”, organizacji faszystowskiej w przedwojennej Polsce, „PAX”, dzięki nadanym mu przez władze oficjalnym i nieoficjalnym przywilejom, stał się w komunistycznej Polsce jedyną w swoim rodzaju potęgą finansową, z szeregiem własnych fabryczek, wydawnictwem książkowym i wytwórnią płyt gramofonowych, z własnymi gazetami i z siecią własnych sklepów.

Z tymi oto dwoma sprzymierzeńcami, przedwojennymi faszystami i powojennymi stalinowcami u boku, toczyli „partyzanci” Moczara swoją walkę o posady — przeciwko „kosmopolitom”, „rewizjonistom”, „syjonistom”. Trzeci potencjalny sojusznik, najbardziej pożądany, bo najpotężniejszy, mianowicie „technokraci”, za których reprezentanta zwykło się uważać górnośląskiego sekretarza partii, Edwarda Gierka, zachowywał się powściągliwie. Wprawdzie w gorących dniach marcowych, kiedy to zdawało się, że „twardzi” lada dzień mogą ustanowić dyktatorskie rządy, Gierek jako pierwszy spośród członków Biura Politycznego zadeklarował się po ich stronie przeciwko „syjonistom, rewizjonistom i innym kontrewolucyjnym elementom”. Równocześnie jednak podkreślał przezornie swą lojalność wobec Gomułki.

Ważkie placet szefa partii

Rok wcześniej, na wiosnę 1967, Gomułka stał jeszcze wobec rzeczywistej możliwości wyboru: albo pozbawić Moczara jego dotychczasowej władzy, albo też uutorować mu drogę do dalszego rozszerzenia swoich wpływów. Trudno powiedzieć, co by wybrał, gdyby nie dwa wydarzenia, które wkrótce nastąpiły.

Pierwszym z nich był wybuch konfliktu zbrojnego na Bliskim Wschodzie. Ludzie Moczara zaczęli podsuwać Gomułce tajne sprawozdania o proizraelskich nastrojach społeczeństwa polskiego, o „libacjach na cześć izraelskiego agresora”, jakie miały rzekomo odbywać się w redakcjach gazet partyjnych, o członkach partii żydowskiego pochodzenia, składających jakoby wyrazy solidarności w ambasadzie izraelskiej.

Porywczy szef partii wpadł w wściekłość: nastroje proizraelskie = nastroje antyarabskie = antyradzieckie! Za żadną cenę nie wolno dopuścić, by w polskim, dotychczas tak niezawodnym ogniwie jedności obozu socjalistycznego powstała najmniejsza bodaj szczelina! Zaś generał Moczar, jako odpowiedzialny za bezpieczeństwo wewnętrzne, a więc i za nastroje ludności, pośpieszył do szefa partii z komentarzem: on przecież dawno już wskazywał na konieczność oczyszczenia aparatu partyjno-państwowego z elementów narodowo obcych.

I Gomułka dał znowu placet. Jego znane oświadczenie na kongresie związków zawodowych, że „obywatel polski może mieć tylko jedną ojczyznę” (na co ulica warszawska: „dobrze, tylko dlaczego ma nią być akurat Egipt?”), ludzie generała rozwinęli następnie w duchu jeszcze bardziej narodowym; obywatele polscy pochodzenia żydowskiego — twierdzili w prywatnych rozmowach komunistyczni narodowcy — mają właściwie aż trzy ojczyzny: Izrael, Związek Sowiecki i Polskę, na ostatnim oczywiście miejscu.

Niedługo po tym w sukurs Moczarowi przyszło następne wydarzenie: marcowe demonstracje młodzieży studenckiej w obronie wolności kultury i wolności słowa. I znowu tajnej policji politycznej nie trudno było dowiedzieć, że większość „prowodyrów tych kontrrewolucyjnych i antyradzieckich zajęć” była pochodzenia żydowskiego.

W toku bezprzykładnej w dziejach Polski nagonki antysemitkiej, prowadzonej przez partyjno-rządowe środki masowego przekazu oraz przez organizacje partyjne wszystkich szczebli, zwolniono z pracy setki osób, setki osób wykluczono z partii. Inni sami składali legitymacje partyjne i podawali się do dymisji. Jeszcze inni robili użytek z oficjalnie zaoferowanego im przez Gomułkę możliwości wyjazdu do Izraela i decydowali się na los emigrantów. Ich stanowiska w pracy (i mieszkania) przejmowała „patriotyczna młoda kadra” generała Moczara.

Cele aresztów śledczych i więzień jęły się szybko zapełniać.

O rzeczywiste autorstwo marcowych demonstracji studenckich, poprzedzonych przez głośny zjazd nadzwyczajny Związku Literatów Polskich w obronie wolności kultury, Moczar oskarżył przedstawicieli „liberalnego” skrzydła w Komitecie Centralnym, jak również odsuniętych już uprzednio od władzy polityków poprzedniego okresu. Wzmogły się ataki „twardych” na Gomułkę, Zenona Kliszkę; w sposób coraz mniej zawoalowany dawano społeczeństwu do zrozumienia, że to właśnie Gomułka i jego najbliżsi współpracownicy, tolerując przez tak długi czas syjonistów i rewizjonistów, spowodowali te wszystkie kłopoty, z jakimi boryka się obecnie kraj.

Za pięć dwunasta

Szef partii zdał sobie w całej rozciągłości sprawę z niebezpieczeństwa, jakie zawisło, tym razem nad jego własnym już fote-

lem. Zatrąbił do odwrotu. W kilku wygłoszonych po kolei przemówieniach poirytowanym głosem wyjaśniał, że Żydów jest w Polsce tylko trzydzieści tysięcy (w tym czasie agenci ministerstwa spraw wewnętrznych szerzyli wśród ludności pogłoski o rzekomych 300 tysiącach Żydów, którzy opanowali niemal wszystkie urzędy w kraju), że syjonizm nie jest głównym niebezpieczeństwem, że instancje partyjne powinny zaprzestać uprawianych pod płaszczykiem walki ze syjonizmem antysemitkich praktyk, że wreszcie tym, co na prawdę zagraża socjalizmowi w Polsce, jest rewizjonizm.

Ale było na odwrót wtedy już niemal za późno. W wyniku swoich dotychczasowych ustępstw na rzecz „partyzantów” Gomułka stał się ich więźniem. Mógł się o tym w sposób dotkliwy przekonać między innymi podczas zebrania w warszawskiej fabryce samochodów, której organizacji partyjnej od lat jest członkiem.

W toku dyskusji jeden z obecnych na sali ludzi Moczała zadał I sekretarzowi KC PZPR starannie, zapewne nie przez niego samemu, przygotowane pytanie: jak długo jeszcze kierownictwo partyjne zamierza tolerować na odpowiedzialnych stanowiskach ludzi, którzy mają za żony Żydówki? Gomułka wybuchnął: tyle razy już przecież tłumaczył, że to nie syjonizm jest głównym niebezpieczeństwem! W końcu on sam także ma żonę żydowskiego pochodzenia, czy znaczy to więc, że i on, Władysław Gomułka, winien wyemigrować do Izraela?!

Przeciągły okrzyk: ta-a-ak i huczne oklaski były odpowiedzią na to pytanie.

Czego generał nie przewidział

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Wprawdzie gomułkowskie „centrum” nadal miało przewagę w Komitecie Centralnym, wprawdzie Gomułka miał po swojej stronie niemal wszystkich (z wyjątkiem Strzeleckiego) członków Biura Politycznego, nie mniej od niego przerażonych ofensywą „twardego skrzydła”.

Jednakże Moczała zdołał już do tego czasu rozszerzyć swoje wpływy w średnim aparacie partyjnym, niemal całkowicie już miał w swoim ręku prasę, radio, telewizję. Sekretarze organizacji partyjnych przekazując swoim członkom aktualne instrukcje szefa partii wkładali w jego usta to, czego nie powiedział. Wbrew ostrzeżeniom Gomułki kontynuowano antysemitką czystkę na wyższych uczelniach, w instytutach naukowych, urzędach, w prasie radio i telewizji. Redakcje, jawnie ignorując zalecenia szefa partii, wykonując natomiast polecenia zaufanego człowieka Moczała, szefa biura prasy KC PZPR, Olszowskiego (który na V Zjeździe PZPR zaawansował do rangi sekretarza KC), kontynuowały antysemitką nagonkę. Coraz donośniej i coraz mniej dwuznacznie rozlegało się żądanie zrobienia „generalnych porządków”.

Zadanie to adresowane było do Gomułki i stanowiło swego rodzaju ultimatum: albo szef partii całkowicie zidentyfikuje się

z linią „partyzantów” i zgodzi się ją firmować bez zastrzeżeń, albo też zmuszony zostanie przez nich do ustąpienia.

Tym, czego socjalistyczni narodowcy nie przewidzieli, był rozwój wydarzeń w Czechosłowacji. Układ Warszawski znalazł się w niebezpieczeństwie. Hasła narodowo-komunistyczne, nawet używane w celach wyłącznie taktycznych, urosły do rangi grzechu śmiertelnego, znalazły się na tej samej ławie oskarżonych, na której dawniej już osadzony został rewizjonizm. Jedność państw Układu Warszawskiego, której warunki określać ma moskiewski ośrodek kierowniczy, stała się najwyższym i bezwzględny nakazem.

Były orędownik „własnej, polskiej drogi do socjalizmu”, Władysław Gomułka, mógł potem, na V Zjeździe PZPR oświadczyć, że interesy poszczególnych partii i państw komunistycznych muszą być podporządkowane „celom socjalizmu w skali międzynarodowej”. Które to cele, rzecz jasna, ustalać będzie Związek Sowiecki.

Druzgocąca, jak się już wydawało, przewaga skrzydła „narodowego” nagle jak gdyby przestała istnieć; w przeddzień V Zjazdu PZPR gomułkowskie „internacjonalistyczne” centrum mogło znowu przemówić pełnym głosem, podczas gdy przywódca radykałów poczuł się zmuszony przyciszyć swoje nacjonalistyczne tony. Zaznaczający się odwrót Moskwy od tez XX Zjazdu KPZS, postępująca — aczkolwiek jeszcze oficjalnie nie zadeklarowana rehabilitacja stalinowskiej polityki zagranicznej z jej wykładnią „internacjonalizmu” — wszystko to sprawiło, że w przeddzień zjazdu polskiej partii przywódca radykalnego skrzydła narodowego poczuł się zmuszony z tego ostatniego przymiotnika zrezygnować.

Zjazd — wbrew rozpowszechnionym uprzednio prognozom — nie powołał go na pełnoprawnego członka Biura Politycznego. Tym, co mu w tej sytuacji pozostało, jest zgodne współdziałanie w prowadzeniu kraju po „własnej, polskiej drodze” powrotnej do... stalinizmu.

Wraz z Władysławem Gomułką i jego „centrystami”.

I wraz z „młodoturkami”, technokratami Edwarda Gierka.

I wraz z Ryszardem Strzeleckim.

Każdy z nich będzie czekał na wybiecie swej godziny.

I każdy z nich będzie z niepokojem przyglądał się dorastającej młodzieży. Ci młodzi poczuwają się do duchowego członkostwa Międzynarodówki Jutra — Międzynarodówki Młodzieży Rewolucyjnej. Wiedzą, że ich nieistniejąca organizacja działa i wzmacnia swą działalność także w granicach sowieckiego mocarstwa. Pogarda, jaką ci jutrzejsi gospodarze kraju żywią dla frakcyjnych walk o władzę i taktycznych kompromisów, ich zafascynowanie ludzkim komunizmem, którego wizję ukazali im na krótko ich czechosłowaccy sąsiedzi — oto, co może rozstrzygnąć o jutrze Polski.

Leon SZULCZYŃSKI

Notatnik z podróży po Polsce

Na wstępie kilka uwag natury ogólnej. Gdy mnie, lat temu 25, wywożono z Polski, byłem zaledwie człowiekiem stojącym na progu życia. Cały mój okres „męski i kłęski” przeżyłem na Zachodzie. To co zostało za mną, przesłoniła mgła tęsknoty, ocieniło zapomnienie. Zarazem potrzeba utrzymania się na powierzchni życia w społeczeństwach o maksymalnych zasobach cywilizacyjnych zmieniła, czego sam nie byłem dostatecznie świadomy, moją strukturę wewnętrzną tak zasadniczo, iż ktoś całkowicie inny wjeżdżał po ćwierćwieczu do swego rodzinnego kraju, ktoś posiadający odmienne zgoła oceny, inny wzrok, inne serce.

Nie umiem odpowiedzieć na pytanie czy jechałem do Polski jako turysta czy jako pielgrzym. Obawiam się, rzecz prosta, wywołania złej opinii o wartości mego patriotyzmu, u nas dość łatwo operuje się sloganami i feruje wyroki. Poczucie jednak prawdy wymaga stwierdzenia iż z sentymentem dalekim od uniesienia ustawiałem auto w rodzinnym bajorze i wybojach (po niemal 2000 km. autostrady Francji, Belgii, oraz obu państw niemieckich, przecinającej całą Europę), przekroczywszy koło Frankfurtu nad Odrą granicę Polski. Grubemu celnikowi, który mi z dość odstręcającą jowialnością insynuował uczucie radości przy, po tylu latach, pierwszym dotknięciu rodzinnej ziemi, odpowiedziałem szczerze „iż jest to coś więcej i mniej zarazem niż radość”. Ale byłbym w kłopotcie gdybym musiał dokładniej sprecyzować doznawane w tym momencie uczucia.

Notatki poniższe nie mają żadnej pretensji do oceny i do osądu. Zbyt krótko byłem w Polsce i w zbyt wielu dziedzinach życia jestem dyletantem aby uzurpować przeświadczenie iż byłyby one słuszne. Miesięczny pobyt nie daje mi żadnego prawa do ferowania wyroków o rzeczywistości tak odmiennej od tej którą opuściłem przed ćwierćwieczem. Jak również od tej, z którą żyłem się na Zachodzie. Będą więc to zupełnie proste impresje, nie dążące do jakichkolwiek uogólnień, najbardziej prymitywne spostrzeżenia przechodnia, często zbyt spieszącego się aby mógł dłużej pochylić się nad tą czy inną sprawą, nad tym czy innym zdarzeniem, nad takim czy innym uczuciem. Będą one natomiast całkowicie szczerze. I, poza ogólnymi elementami humanizmu i humanitaryzmu które mi są niezbędne do życia, jak rybie jest potrzebna woda, bez tak zwanych uprzedzeń czy też *parti pris*.

Konsulat w Paryżu

Włóczęga z zawodu, w życiu mym odwiedziłem wiele mniej lub więcej egzotycznych biur konsularnych. Nigdzie jednak od razu na wstępie nie spotkałem się z woźnym o tak wyraźnym

i otwartym charakterze Pochronia. Stałem przy okienku, czekając na możliwość zapytania, woźny zaś rozmawiał przez telefon z kimś kto na pewno był jego socjuszem od serca, kieliszka i „dziewczynek”. Gdyż właśnie o tych sprawach ciągnęła się rozmowa, pełna niedyskretnych zachwyków nad kwalifikacjami „pań” i pijackimi zdolnościami „kumpli”. Wszystko podane głośno i w języku polskim, nie mającym naprawdę nic wspólnego z literaturą. Chyba z literaturą apaszków.

Brak żenady graniczył, zważywszy kilku czekających cierpliwie petentów, z nieświadomością człowieka dopiero co urodzonego w raju. A może była to instynktowna potrzeba afiszowania się swą „światowością”? Bo przecież można było zamknąć okienko. I można było mówić ciszej.

Poinformowany wreszcie że biuro dla wiz znajduje się obok, dostałem się do sali dusznej i zadymionej gdzie ogon ludzki zakręcony kilkakrotnie, czekał cierpliwie przed okienkiem... zamkniętym. Po poczekalni włóczył się, siadał przy stolikach, rozmawiał z ludźmi, wypełniał jakieś papiery rodzaj pokątnego doradcy, który zresztą co pewien czas zniknął za uchylanymi, prowadzącymi do biur konsulatów drzwiami. Wreszcie okienko otwarto i po dwugodzinny stan do urzędnika (o zażywności, ubraniu i twarzy chytrego organisty) i podałem mu paszport. Wziął go do ręki, przyjrzał się uważnie fotografii, przyjrzał się mnie.

— Dawno pan wyjechał z kraju?

— Pojęcie czasu jest względne — odrzekłem. — Zresztą ja nie „wyjechałem”, mnie „wywieziono”.

— Aha... A od kiedy ma pan obywatelstwo francuskie?

— Przyszedłem tu po wizę...

— Tak, tak. Oczywiście. Będzie to trwało dwa tygodnie. Przed terminem niech pan uda się do biura podróży... „Wieluń” i wykupi bony.

— Bony? — Zdziwiłem się. — Jakie bony i na co mi one?

— Na hotele.

— Moje auto jest dla mnie wystarczającym hotelem — rzekłem.

— To już niech pan rozmówi się z „Wieluniem”.

— To znaczy iż mogę uważać że wiza została mi przyznana?

— „Trzeba” do nas uprzednio zadzwonić po upływie dwu tygodni.

— Aha. Dziękuję.

Zadzwoń.

— Jeszcze nie mamy w sprawie pana decyzji — brzmiała odpowiedź.

— Więc co mam robić?

— „Trzeba” czekać.

— Właśnie że nie „trzeba” czekać.

Udałem się do konsulatów i poprosiłem o zwrot paszportu. Odano mi go z wielkim zdziwieniem.

Tak więc zrezygnowałem z wyjazdu do Polski. Aby po upływie dwu miesięcy dowiedzieć się że te sprawy, w ciągu 24 godzin, załatwiane są przez specjalnie w tym celu wytresowanych oso-

bników. Różnica w opłacie wizy, *nota-bene* dwukrotnie droższej od najdroższej ze znanych mi na świecie, wyniosła 10,— fr., dobrowolnego datku. Bonów nie wykupiłem.

Granice

Miałem przed sobą długą podróż. Z Paryża na Lille, na Brukselę, na Liège, Akwizgran, potem Kolonię, Hanower, Brunswik, Helmstedt, Magdeburg, Brandenburg, Frankfurt, przez Poznań do Warszawy. O szybkim załatwianiu formalności granicznych niech świadczy fakt że odbyłem ją w półtora dnia. Oprócz dowodów osobistych oraz tak zwanej *carte verte* dla wozu, nie pytano mnie o nic ni we Francji, ni w Belgii, ni w Niemczech Zachodnich. Sytuacja zmieniła się dopiero w Niemczech Wschodnich, gdzie polecono mi, za każdym razem gdy mijałem granicę, otwierać kufer. Jak się potem dowiedziałem, Niemcy Wschodnie obawiają się przemytu ludzi, polecają więc otwierać kufry wszystkich większych aut. Dla celów nadzoru mają również odpowiednio spreparowane lustra wsuwane pod podwozie. Jedynym incydentem granicznym, z mojej winy, była kwestia maszyny do pisania. Będąc w Polsce, skorzystałem z okazji by kupić tam maszynę do pisania z polskimi czcionkami, gdyż moja jest już w stanie mało nadającym się do pracy. Okazało się jednak, wbrew informacjom sprzedającej, że wywóz maszyn do pisania jest z Polski zabroniony, celnik poradził mi więc abym powrócił do miasta i tam wysłał maszynę pocztą do kogoś ze swych przyjaciół. Oczywiście w Polsce. Cała rozmowa odbyła się zresztą w tonie bardzo kulturalnym i po powtórnym ukazaniu się na granicy nie czyniono żadnej w wozie rewizji.

Z wyjątkiem Niemiec Wschodnich (zawsze) i Polski (przy wjeździe) kwestia dewiz nigdzie nie była poruszana. Pomimo częściowego zakazu wywozu ich z Francji.

Pierwsze wrażenia

Wjeżdżam w kraj gęsto pokryty lasami, o polach oblanych przedwieczornym słońcem. Niebieskie mgły zwolna gromadzą się w dolinach. Domy murowane. Przypominam sobie, że przecież to jest kraj zdobyty na Niemczech. Droga kręta, wąska, nie pozwalająca rozwinąć szybkości. Trzeba bardzo uważać, bo niespodziewanie dużo spotyka się pieszych spacerujących po jezdni. Widocznie tu taki obyczaj, że w niedzielę szosa jest miejscem klubowego zgromadzenia młodych i starych. Ciekawe że większość ludzi jest głucha. Z zasady nie reagują na sygnał samochodu, co w pierwszych momentach spowodowało kilka dość napiętych sytuacji. Często, chyba swoiste poczucie heroizmu, skłania co młodszych do ostentacyjnego ignorowania jadącego, to znaczy w mo-

mencie krytycznym występowania właśnie na środek jezdni. Pojąłem dlaczego bywalcy w Polsce ostrzegali mnie przed specyficznymi trudnościami tamtejszych dróg. Na odcinku 200 km. do Poznania spotkałem również kilku motocyklistów uważających że cała szerokość szosy należy się im z prawa i równie głuchych na wszystkie sygnały. Jakiego rodzaju kompleksy dochodzą tu do głosu u młodych i starych?

Miasta przez które na tej trasie przejeżdżałem robiły wrażenie ostatecznego spustoszenia. Zaniedbane domy, odrapane i z opadającymi tynkami, brak budynków o jakimś stylu i charakterze, kocie łby jako bruk, doły i zapadnie, wiele objazdów prowizorycznych przez miejskie wertepy, od których gorsze widywałem tylko na odcinku Namur, Charleroi, Mons — w Belgii, no i oczywiście w Hiszpanii. Ludzie sprawiają wrażenie schludnych choć ubogich, dziewczęta ubrane kolorowo i z pewnym rozeznaniem we współczesnej modzie, mężczyźni z reguły na czarno. Zapytywani odpowiadali chętnie, nawet wtedy gdy podawane informacje okazywały się błędne. Lubili okazywać że wiedzą, że się orientują. Rzuciła się w oczy niezwykła jasność włosów, szczególnie silna u dzieci i młodzieży. Ten zachód Polski typami ludzi przypominał mi, w sposób zastanawiający, Polesie i Wołyń. Byłaby to kwestia przesiedleń?

Poznań

Rzecz prosta o Poznaniu ani o żadnym z następnych miast nie będę mógł powiedzieć nic co by wykraczało poza naskórkowe wrażenie przypadkowego zupełnie zetknięcia. Wrażenia te mogą być mylne, byłem jedynie obserwatorem, nie mającym istotnego kontaktu z życiem ni z ludnością, nie biorącym udziału w jej codziennej walce o egzystencję. Miasto Poznań pamiętam z czasów dzieciństwa. Wtedy uczyniło ono na mnie duże wrażenie swą solidnością, świadomą pełnią egzystencji mieszkańców, materialną kulturą obywateli. Tym razem miałem wrażenie że przyjechałem do obozowiska, do zgrupowania będącego chwilowo bez ruchu, do konglomeratu w stanie przemiany. Wrażenie to będzie się utrzymywało przy każdym nowym kontakcie z miastami, przez które prowadzi mnie droga. Jak należy to wrażenie rozumieć?

Zniszczenie Poznania było wielkie w czasie ostatniej wojny. Planu odbudowy uwzględniły je chyba, zamieniając wiele zburzonych budowli na skwery lub wznosząc elementy o charakterze prowizorycznym, o typie pawilonu, rozszerzając place, mnożąc architektoniczne rozwiązania przestrzeni. Zarazem konieczność pośpiechu obdarzyła miasto wielką ilością budek (prym dzierży tu „Ruch”), jakie zazwyczaj związane są z koncepcją jarmarku, wystawy, targów. Bieżący ruch budowlany (nie umiem nic powiedzieć o jego nasileniu) obdarza miasto pewną ilością budynków dopiero zaczętych, powiązanych samą cechą swego jeszcze nie-istnienia z ogromną ilością budynków ponad miarę zniszczo-

nych, których wygląd zewnętrzny świadczy o opuszczeniu, o niedbałości, o braku elementarnej troski o estetyzm. Tu i ówdzie jeszcze szczerzy zęby ruina. Zaniedbane chodniki nie ułatwiają spacerów. Dychawiczne tramwaje, nadrabiające lamentem krzyku swą powolność, kolebią się niezdarnie po szynach, przeszkadzając sobie i ludziom. Jakiś ogólny smutny nastrój vegetacji, dojutrze, skłopotania, monotonii, rezygnacji, szarzyzny w stroju i koncepcji życiowej, powszechnego zubożnienia panuje na ulicy, którą „rozświeca” od czasu do czasu ponura sylwetka i dowcip pijanego.

Jeżeli do tego dodać szokujący widza, smutny handel uliczny, z koszyków, z kobiałek, w takiej Warszawie na przykład istniejący nie tylko na pryncypalnych ulicach ale sąsiedztwem konkurujący z wielkimi magazynami państwowymi, można sobie wyobrazić inność miast Polski. Okutane, oberwane, zastygłe w bezruchu kobiety stoją: ta z pękiem kwiatów, owa z trzykilogramowym zapasem jabłek, inna wreszcie z kilku główkami kapusty. Stoją jakby miały czas wieczności oddany do swej wyłącznej dyspozycji. Jakby sama kwestia sprzedaży była drugorzędna, a liczył się jedynie fakt stania, zawierający kwintesencję życia i jego filozofii. Widziałem kobietę sprzedającą kilka astrów, inna trzymała w ręku biały ser, jeszcze inna pęczek marchwi. Marnotrawstwo czasu staje się tu zagadnieniem o wadze narodowej.

Pijacy

Ponieważ o tym zacząłem... W czasie mego trzydziestodniowego pobytu w Polsce dostrzegłem, nie szukając bynajmniej, około 50-ciu wypadków pijaństwa publicznego. Po doświadczeniu w Poznaniu postanowiłem liczyć spotykanych wokół mnie ludzi nietrzeźwych. Widziałem ich wszędzie, w tramwajach, w sklepach, w urzędach, zwłaszcza na ulicach. Groteskowo rozbawieni, gadający, przeklinający, kochający świat, umizgający się do kobiet, zaczepiający ludzi, ponurzy, prowadzeni pod pachy, obezwładnieni umysłowo, towarzyscy, filozofujący, coś za kalejdoskop ludzkiego nieszczęścia. Musi być wielką krzywdą ludzka, jeśli ucieka się ona do tak masowego znieczulania bólu trucizną. Ludzie szczęśliwi piją, ale się nie upijają.

Bolesny nad wyraz jest widok ulicznych budek sprzedaży piwa, już o wczesnej godzinie porannej otoczonych mężczyznami i kobietami, biednie ubranymi, a którzy ciągną i ciągną z butelek płyn, wprost na ulicy, jakby gasili pragnienie którego niesposób ugasić...

Ciastkarnie oraz inne sklepy

Jest to zjawisko zdumiewające owa ilość ciastkarni w Polsce, kraju zdecydowanie ubogim. A może to właśnie wpływ owego ubóstwa, chęć za tanią cenę zaznania przyjemności, drobnej lecz

w zasięgu możliwości każdej niemal kieszeni? Przyjemności natchmiaszowej, łatwej do zrealizowania. W każdym, najbardziej nawet podłym mieście, gdziekolwiek zajeżdżałem, miałem możliwość kupienia tego przysmaku o jakości wielokrotnie zastanawiającej, nawet w porównaniu z Paryżem. W takich sklepach strucle, babki, makowce płynęły jak woda, tworzone w oczekiwaniu na nie ogonki, wydatek kilkudziesięciu złotych nie przestraszał kupującego. Ciastkarnie są z reguły przedsiębiorstwem państwowym, często rozbudowanym, zazwyczaj połączonym ze sprzedażą chleba i lokalem kawiarnianym.

Ponieważ mówię już o sklepach... Uderzyła mnie wielka ilość (i to we wszystkich miastach) drobnych inicjatyw prywatnych, z reguły bazujących na współpracy jednej rodziny. Nieprawdopodobnie wielka ilość usług zegarmistrzowskich (w kraju gdzie z reguły wszyscy spóźniają się na spotkanie), szewskich, zduńskich, malarskich, skupu rozmaitych odpadków itd. itd., daje możliwość wędrówki wzdłuż całych kilometrów zaniedbanych, pustych niemal witryn, zakurzonych szybek, na głucho zamkniętych drzwi, ciemnych cuchnących nor, pozbawionych powietrza. Na dużym ciele państwa przypominają one huby rosnące na dębie. Czy jest to samoobrona państwa nie potrafiącego sobie dać rady w wielu dziedzinach usług? Czy jest to samoobrona człowieka, chcącego posiadać trochę więcej inicjatywy i, kto wie, złudzenie lepszego startu w życiu? Być może jedno i drugie. Nie wiem.

Stacje benzynowe

Opuściłem Poznań by ruszyć na północ w Bory Tucholskie. I od razu nastręczyła się kwestia która nie istnieje gdzie indziej. Stacje benzynowe są niezmiernie rzadkie, nie zawsze posiadają benzynę tej jakości, jakiej wymagałem dla mego wozu. Mają one jednak jeszcze jedną cechę, całkiem już niezrozumiałą. Oto kryją się przed klientem. Czyżby to była skromność kopciuszków? Żarty na stronę. Stacje benzynowe są małe, redukując się w bardzo wielu wypadkach do jednej lub dwu pomp, bez właściwego obudowania, bez możliwości umycia wozu, uczynienia drobnej reparacji, zakupu, sprawdzenia gum, umycia się itp. Ich kierownicy (dzierżawcy?) o wyglądzie zewnętrznym, często nieprawdopodobnie zaniedbanym, nie mają żadnego sensu reklamy, ograniczają się (i to nie zawsze) do ustawienia przy drodze małego znaku z wizerunkiem pompy. Skrywanie stacyj ma w sobie coś z perfidii. Są one często z dala od głównej drogi, bywają całkowicie zasłaniane drzewami, osłonięte ścianą, przybierają barwy ochronne. Trzeba je dosłownie wydłubywać w przestrzeni, wypytując o nie miejscowych ludzi. Gdy wskazówka zegara spadała poniżej 20 litrów, wskazówka napięcia nerwowego wzrastała u mnie w tym samym stopniu. Może nie dojadę, może nie starczy, myślałem. Jakakolwiek poważniejsza akcja turystyczna nie jest

możliwa bez ogromnego, ilościowo i jakościowo, powiększenia sieci stacyj obsługi samochodowej. Nie mówiąc już oczywiście o sprawności samej obsługi. Człowiekowi przyzwyczajonemu na Zachodzie do wymagań, w głowie się nie mieści by musiał sam otwierać z klucza bak, by nie miał prawa zażądać wytarcia szyb, nie miał prawa prosić o sprawdzenie poziomu wody w chłodnicy czy poziomu oliwy w motorze. Wszystko to, oczywiście, bez dodatkowej obowiązkowej zapłaty.

Brak wreszcie, co nie jest do pojęcia na Zachodzie, garaży jako koncepcji usługi zarobkowej. Zważywszy że już we Francji ostrzegano mnie przed dalekowzroczną inicjatywą prywatną zawodowych amatorów wycieraczek szyb i kolekcjonerów oprawek do reflektorów i gum samochodowych (połowa wozów jeździ bez wycieraczek), wybudowanie takich garaży jest rzeczą bardziej niż pilną jeśli się chce poważnie myśleć o rozwoju turystycznego ruchu.

Wieczory i noce

Spokój, ciszę i piękno lasów tucholskich zostawiwszy za sobą ruszyłem po odpoczynku w świat, zahaczając o dwa miasta, zagubione w swej przeszłości, Świecie i Chełmno. Droga prowadzi na Tczew i Gdańsk. Chciałem mieć jak największy kontakt osobisty z ludnością, korzystałem więc w czasie podróży i później, na odcinku Elbląg - Warszawa - Kalisz z instytucji, może słusznie pomyślanej, mianowicie z pośrednictwa hotelowego przy zdobywaniu noclegu. Rzecz sama w sobie jest prosta. Przed wieczorem należy udać się do hotelu i prosić o przydział prywatnego pokoju. Po załatwieniu wszystkich formalności paszportowych i ściągnięciu należnych kubanów (niecałe sto złotych) otrzymuje się adres mieszkania, do którego należy się udać. Wynajmuje się pokój „na niewidziane”, tak że procent niespodzianki jest duży. Niemal zawsze warunki higieniczne pozostawiały, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia. W zasadzie było wszystko i łazienka i ubikacja, ale... albo nie było wody gorącej, albo łazienka nie działała i należało ją reperować, albo też stan zewnętrzny skłaniał do jak najdalszej ostrożności przy jej używaniu. Niemal w każdym wypadku była to raczej dekoracja i to niedoskonała, mająca za zadanie podwyższyć wartość wynajmu pokoju. Rzecz prosta nie mówię już nic o jej wyglądzie estetycznym, o chromach, kafelkach itp. W każdym wypadku było to wnętrze odrapane, z instalacjami prowizorycznymi, zawsze bardziej niż podejrzanej czystości i w którym z tych czy innych powodów nie można było się izolować.

Lecz straszliwą naprawdę instytucją jest dopiero dueña, pani domu. Poza rzadkimi wyjątkami jest to osoba całkiem dla mnie niezrozumiała. Osoba chcąca na siłę uczestniczyć w prywatnym życiu najemcy. W klasycznym przykładzie, w jednym z miast,

odnajemczyni weszła do pokoju 10 razy w ciągu pół godziny. Weszła, często nie pukając nawet, nie czekając na zezwolenie, gdy pukała. W sprawach tak niecierpiących zwłoki jak: brzmienie mego nazwiska mało wyraźnie napisanego na kwicie, potrzeba zabrania kwiatków z okna, bym miał lepszy widok na miasto, przyniesienia mi pantofli męża (?) abym mymi butami nie niszczył podłogi, zapytaniem czy mi już ślać łóżko, z zapytaniem czy wychodzę na spacer i kiedy powrócę, z zapytaniem czy czego nie potrzebuję, z zapytaniem o której godzinie następnego dnia wyjeżdżam, z zapytaniem czy czasem nie chciałbym posłuchać informacji o kościele widocznym naprzeciw, ponieważ mąż jej... Podobnie bywało w innych miastach. Preteksty tych napaści bywały nieraz tak absurdalne, tak nierzeczowe, że do dzisiejszego dnia nie umiem określić co się za nimi kryło. Chęć zysku, ciekawość? Wiadomo że wszyscy *concièrges* w Paryżu są zaufanymi policji, może więc tam... Doprawdy, nie wiem.

Gdańsk

Kochałem kiedyś Gdańsk za jego krwistą kulturę mieszczańską, może nie w najlepszym smaku, ale przecież tu i ówdzie wykwitającą cudami architektury i ową pełnią życia zazdrośnie zamkniętego w murach i gromadzącego z pokolenia na pokolenie dostatek i swoiste poczucie szczęścia.

Teraz po 25 latach jechałem do Gdańska ze świadomością że miasto, zniszczone w czasie wojny, zostało z wielką troską odbudowane. Jak? To właśnie ciekawy byłem zobaczyć.

Wrażenie było wstrząsające. To co później napiszę nie będzie miało charakteru krytyki. Być może iż zrobiono jak tylko się dało najlepiej, być może iż dokonano cudu. Podobno jednak Łazarz, wskrzeszony, powróciwszy ze świata umarłych, nigdy nie mógł już odnaleźć się między żyjącymi. To co widziałem, co zdołałem w ciągu dwu dni obejrzeć, było takim właśnie przywróceniem umarłego do życia. Gdańsk żyje, ale żyje życiem upióra. Wydobytego z trumny trupa zgalwanizowano tak iż się porusza, a dla tym większego złudzenia pomalowano mu twarz wszytkimi kolorami barwiczki, na czaszkę wepchnięto perukę, przyobleczono truchło w kolorowe łachmany i całość poddano silnym operacjom reflektorów. Włóczęga po znanym ongi mieście była koszmarem, jaki czasem męczy nas we śnie. Niby dekoracja teatralna która ulega zniszczeniu, odślaniały się domy, ulice, martwa pozbawiona ruchu Motława, sławny dźwig zabytkowy, kościół Marii Panny, wszystko w surrealistycznej atmosferze ni prawdy ni kłamstwa, torturujące oczy, torturujące serce. Pustka. I wszechobecna, brutalna głupota wesołych turystów, zwożonych tu stadami z całego kraju, patrzących a nie widzących, mieszających piwo z wódką i kupujących co ohydniejsze „pamiątki”.

Późnym wieczorem szedłem do mego wynajętego pokoju z

uczuciem iż wracam z pogrzebu. Dopiero tego dnia umarł dla mnie naprawdę Gdańsk.

Nad morzem

Wąska droga prowadząca z Gdańska na Hel, utrudniona na skutek ilości pojazdów, między innymi autobusów i ciężarówek, małą zwracających uwagę na przepisy, wiedzie wokół Gdyni i Wejherowa. Pejzaż ten sam co przed laty, szczególnie gdy wjechałem na półwysep którego rozbudowa i zaludnienie przypomina czasy przedwojenne. Jak zwykle ludzie spacerują po szosie, pełni butnej rezolucji nie ustępowania za żadną cenę autom. Narastało u mnie wrażenie (nie tylko tam) że są osobiście dotknięci widokiem ludzi za kierownicą. Że manifestują przeciw nie wyjaśnionej złośliwości losu. Podejrzewam, że w Polsce auto stanowi kwestię prestiżu, nie zaś po prostu konieczności szybkiego i stosunkowo niezależnego przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Widzę szarą falę zatoki, później w Juracie oglądam przybój dość tego dnia wzburzonego morza. Grzywacz załamują się o piaszczysty brzeg. Jak temu lat 25. Ciągłe te same. I zawsze nowe. Wydmy jurackie uwiecznione są bardziej niż ongiś. Dawniej porastały trawą, dziś wiążą je karłowate sosny.

Dziwne spotkanie z osobą po osiemdziesiątce. Z pochodzenia Żydówka, przed laty może milionerka. Inteligentna na pewno, z takimi czy innymi ciągotami do literatury. Nie pytałem ją o nic. Sama powiedziała mi że choć zubożała całkowicie, za żadne skarby świata nie wyjechałaby z Polski. Że tu jej dobrze. Że jest wielbicielką nowych rządów. Że w nowych warunkach czuje się najlepiej. Przez chwilę zastanawiałem się ile w tej nieoczekiwanej wypowiedzi jest prawdy. Ile ostrożności. I, jeśli tak, z jakiego powodu owa nadmierna ostrożność.

Warszawa

Od północy wjeżdża się do Warszawy przelotową ulicą dzielącą właściwie stolicę na dwie części. Nazywa się ona rozmaicie, a w swej części środkowej zachowała dawną swą nazwę Marszałkowskiej. Wjazd ten jest wygodny i w miarę imponujący, pozwalający na złudzenie iż przyjeżdża się do wielkiej metropolii europejskiej. Złudzenie to rozwiewa się w miarę bliższego kontaktu ze stolicą.

Długie lata przeżywałem w Warszawie przed wojną, znałem ją dobrze, wiele pozostawiłem w niej wspomnień. Chciałem więc odwiedzić miejsca związane ongi z moim życiem. Włócząc się po ulicach mogłem przekonać się o ile mylne było me pierwsze wrażenie. Gdy tylko odchodzi się od śródmieścia, od Marszałkowskiej, od Nowego Świata w bok, natychmiast ukazują się rzeczy budzą-

ce smutek. Obszarpana skóra tynków nie ruszanych od czasu króla Cwiczka, wyżarte mięso cegieł, prowizorka załatań murów, nawet okien, straszliwe wnętrza klatek schodowych, chwiejne poręcze, łaty dykt tam gdzie powinny być drzwi, ogólna atmosfera brudu i zaniedbania, często zaniedbania kryminalnego, zupełnej obojętności dla murów w których się żyje — oto obraz stolicy z dala od głównych arterij przelotowych. Ale i w śródmieściu... Pamiętam dom przy Al. Ujazdowskich, gdzie niepewność solidności balkonów zlikwidowano bardzo prosto: likwidacją tychże balkonów. Przy czym nawet nie postarano się zatrzeć śladów tej roboty. Pozostawiono dziury w ceglach i zabito otwory wyjść deskami. A wnętrza mieszkań! Te ludzkie skupiska w izbach pozasłanianych łąkami, przegrodzonych parawanami, przeżartych wzajemną nienawiścią, permanencją wojny wszystkich ze wszystkimi, o lada kąt, o lada metr kwadratowy przestrzeni. Te zajazdy obliczone na długie miesiące przed ich skutecznieniem, wzajemne wygryzanie się, walka nerwów, zwycięstwa brutalności, podstęp. Piekło. Piekło tym większe że powszednie.

Oczywiście oglądałem i inne mieszkania, dwa trzy pokoje o pewnym standingu. Lecz nie potrafiły mi one zatrzeć w pamięci tych innych, odczuwających ludzi, doprowadzających ich do stanu półobłąkania, lub gorszej jeszcze od każdej formy protestu, rezygnacji.

Nie będę tu mówił o sławnym pałacu Kultury, bardzo niekulturalnym w swej koncepcji architektonicznej, ani o MDM, dzielniczy mieszkaniowej przy Marszałkowskiej, ciężkości stylu przypominającej raczej wzory petersburskie, obce duchowi Warszawy. W pałacu Kultury kupiłem kilka książek i miałem krótką rozmowę z panią z informacji przy wejściu. Chciałem zwiedzić wystawę sztuki rosyjskiej a posiadając francuskie *laissez-passer* dające mi zwyczajowe prawo, jako artyście, wolnego wstępu na wystawy wszędzie, dokąd mnie tylko zagna ma ciekawość włóczęgi, na wszelki wypadek zwróciłem się z zapytaniem do okienka „informacja” w którym siedząca ładna panią z całym zapałem poświęcała się pracy nad szlifowaniem paznokci.

— Czy tutaj honoruje się ten papier? — rzekłem, podając me *laissez-passer*.

— My nic nie honorujemy — odpowiedziała mi panią, zastrzygłszy ładnie podmalowanym oczkiem w stronę mej przepustki.

W jedno z pogodnych popołudni zwiedziłem Łazienki, które dziś, bardziej niż kiedykolwiek, są pięknym kwiatem, raczej pięknym bukietem na zgrzebnej siermiedze stolicy. Zwiedziłem również Wilanów, w który włożono naprawdę wiele wysiłku by mógł stanowić *curiosum* dla przybysza z Zachodu czy Wschodu. Zwiedziłem, dzięki uprzejmości dyrektora Lorentza, zamknięte na czas reorganizacji Muzeum Narodowe i mogłem podziwiać ogrom a przede wszystkim zuchwałość prac dokonywanych w tamtejszym atelier konserwacji. I bywałem, niestety, codziennym

gościem MDM, gdzie znajduje się bodaj jeden z pięciu strzeżonych w mieście parkingów.

Teatry

W dwu miastach, w których przebywałem dłużej, chciałem zobaczyć teatr polski po wojnie. W Poznaniu, mimo usiłowań, nie udało mi się widzieć aktorów, zważywszy sezon letni i rodzaj spektakli związanych raczej z nadscenką niż z koturnem. W Warszawie również sezon ogórkowy kwitł w pełni. Grano „Ciężkie Czasy” Bałuckiego i „Damę od Maxima” Feydeau. Jak za dawnych dobrych czasów przed 25 laty. Zdecydowałem się wreszcie pójść na „Damy i Huzary” Fredry do teatru na Pradze. Teatr skromny, publiczność jeszcze bardziej skromna, łatwa do rozbawienia, mało żądająca, ciesząca się tym co dawano. A dawano szopkę, farsę, z wstawkami tanecznymi, baletem, z kupletami i nawet ze strażakiem na scenie. Dawano rozrywkę popularną. Afisze zapowiadały wznowienie „Sułkowskiego” i „Horsztyńskiego”, niestety w terminie zbyt odległym dla moich możliwości.

Konto czekowe

Tak się stało, że do tej pory zachował się w Karpatach mój mały plac, ot kilkaset metrów ziemi pod budowę, na której przed wojną postawiłem dla siebie pracownię-salę wystawową. Dom diabli wzięli, rozebrano go po wojnie na cegłę. Został plac. Rozmawiając ze znajomymi o możliwościach upłynnienia tego czego mi los nie zabrał z mej heroicznej młodości, kiedy to chciałem pracować dla siebie z dala od świata i ludzi, rzuciłem myśl że muszę otworzyć konto czekowe, na które wpłacę sumę otrzymaną ze sprzedaży, by potem korzystać z niej w czasie mych ewentualnych przyjazdów do Polski. Dziwiono się, kręcono głowami. Ja również się dziwiłem. Co tu może być trudnego? pytałem. Idzie się do banku i prosi się o otworenie konta. Cóż to komu może zaszkodzić? Zaciekawiał mnie pesymizm interlokutorów, postanowiłem więc zbadać o co tu chodzi.

Żeby zacząć możliwie najprościej, udałem się na najbliższą pocztę i poprosiłem o widzenie się z kierownikiem. Zaprowadzono mnie do biura.

— Proszę pana — rzekłem — chciałbym otworzyć konto pocztowe, oszczędnościowe.

— Tu jest poczta — rzekł, patrząc na mnie uważnie.

— Właśnie — odpowiedziałem. — Chodzi o konto pocztowe.

— My takich spraw nie załatwiamy.

— A któż je w takim razie załatwia?

— Gdzie pan pracuje, gdzie pan mieszka, jakie ma pan przy sobie dowody?

— Ja jestem obcokrajowcem, mieszkam i pracuję w Paryżu, ale chciałbym mieć konto oszczędnościowe lub czekowe w Polsce.

— Tu wchodzi kwestia dewiz...

— Ależ nie — rzekłem. — Chciałbym sprzedać plac i pieniądze umieścić na koncie. Cóż mogę innego z nimi uczynić?

— Niech pan idzie do PKO... Tam może panu doradzą.

Poszedłem do ładnie urządzonego pawilonu PKO blisko Marszałkowskiej.

— Chciałbym otworzyć konto oszczędnościowe, ale z góry uprzedzam że jestem obcokrajowcem.

— Ma pan u nas kontrakt pracy?

— Nie, ale przypuszczam że będę posiadał trochę pieniędzy.

— Jest to kwestia dewiz...

— Broń Boże — rzekłem. — Dewizy mam w Paryżu, tu chcę mieć polskie złote.

Kiwano głowami.

— Tak czy owak będzie to kwestia dewiz. Niech pan się uda do banku emisyjnego... Znajduje się on...

W banku emisyjnym przyjęto mnie z otwartymi szeroko ze zdziwienia oczami.

— Ależ nie, my nie zajmujemy się tego rodzaju sprawami. Niech pan będzie łaskaw udać się do Głównego Zarządu PKO. Wie pan gdzie znajduje się ulica Sienkiewicza... Ale to będzie kwestia dewiz...

Już nie zaprzeczałem.

W centrali PKO wyjaśniłem dokładnie o co mi chodzi, nadmieniając zarazem iż nie opuszczę ich lokalu póki mi nie dadzą konkretnej i wystarczająco jasnej odpowiedzi. Wtedy weszła znowu na stół kwestia dewiz. Zaprzeczyłem gorąco. Ostatecznie chodzi tylko o sprzedaż kilkuset metrów ziemi, kupionej kiedyś za ciężko zarobione pieniądze. A teraz przy pomocy tych pieniędzy chcę mieć ułatwioną możliwość odwiedzania Polski. *C'est tout.*

Kiwano głowami. Rozmawiano. Radzono. Telefonowano. Wreszcie odpowiadano:

— My tu nic nie możemy zrobić, ponieważ pan jest obcokrajowcem.

— Przecież tu nie chodzi o mnie, lecz o moje pieniądze — odpowiedziałem. — Co możecie na tej transakcji stracić? Z tą chwilą gdy uda mi się sprzedać plac, cóż mogę uczynić z pieniędzmi? Zostawić je u przyjaciela? Zawsze jest możliwy wypadek, nieszczęście. Wszyscy jesteśmy śmiertelni. Zostawię więc pieniądze u was, gdzie będą pewniejsze. Gdy znajdę się w Polsce, będę je podejmował z mego konta. Gdybym nigdy już nie przyjechał, gdybym umarł, pieniądze staną się waszą własnością. Jakie ponosicie ryzyko? I co może być złego w całej tej transakcji?

Kręcono głowami. Nie umiano mi odpowiedzieć. Wysuwano jako argument nieodparty sprawę dewiz. Upierałem się. Po kilku jeszcze telefonach odpowiadano mi:

— Możemy panu dać radę, aby udał się pan do Polskiego Banku Narodowego, przy ulicy Nowogrodzkiej, naprzeciw kina

Roma. Tam zwróci się pan do wydziału dziewiątego, który jedyny jest w mocy załatwić pana prośbę. Ale będzie to kwestia dewiz i konta zablokowanego...

— W żadnym wypadku — odpowiedziałem. — Dewiz nie potrzebuję, a konto zablokowane nie jest mi potrzebne także. Jakże mógłby z niego podejmować pieniądze?

Na Nowogrodzkiej przywitał mnie znany mi sprzed wojny gmach, bodaj Banku Rolnego. Wszedłem do hallu i zobaczywszy grubą jejmość siedzącą przy stoliku, podszedłem do niej.

— Oddział kont czekowych? — spytałem.

Wskazała mi ręką drzwi.

Wszedłem i zwróciłem się do najbliższej urzędniczki.

— Proszę pani, chciałbym otworzyć w waszym banku konto czekowe.

— My się nie zajmujemy tutaj takimi sprawami — odpowiedziała, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

— Jakto? Przed chwilą wasza informacja w hallu wskazała mi te drzwi...

— To nie jest nasza informacja...

— Ależ tak. Nawet ze zdziwieniem ujrzałem na jej stoliku wielką ilość pocztówek z wizerunkami kotów...

Uśmiechnęła się pobłażliwie.

— To jest pracownik spółdzielni... My wynajmujemy tylko ten dom od spółdzielni...

— Ah, przepraszam... — i zacząłem do nowa wyjaśniać sprawę.

— Niech pan idzie tam i tam, oddział jedenasty...

— Może jednak dziewiąty — podsunąłem. — Taką dano mi informację w PKO.

— Jedenasty.

Poszedłem. Gruby i zamaszysty milicjant-szwajcar zapytał mnie czego sobie życzę.

— To będzie rzecz wydziału dziewiątego.

— Ależ nie — odrzekłem. — Skierowano mnie tutaj. Chciałbym mówić z szefem sekcji.

Za chwilę podszedł do mnie starszy, chudy pan o nienagannych formach towarzyskich. Wysłuchał mnie z uwagą.

— To będzie jednak sprawa wydziału dziewiątego. Niech mi pan wierzy — pośpiesznie dodał, widząc że chcę protestować. — Ja nie wiem czy wydział ten załatwi panu sprawę, ale on jest jedynie kompetentny do jej załatwienia. Niech mi pan zaufa. Pozwoli pan, że będę mu towarzyszył.

Uległem nienagannej formie nacisku i razem udaliśmy się do innego skrzydła gmachu, gdzie mój przewodnik wskazał mi okienko 15.

— O tu, ale będzie pan musiał poczekać — rzekł, wskazując kilka stojących przede mną osób.

Młoda, bystra urzędniczka szybko i sprawnie załatwiała pententów. Przyszła wreszcie kolejka na mnie. Wyjaśniłem sprawę.

— Wie pan już kto będzie kupującym?

— Nie.

— Gdy będzie miał pan chętnego na teren kupca, zgłosi się pan do nas z prośbą o zezwolenie sprzedaży placu. Po otrzymaniu pieniędzy otworzymy konto zablokowane, do użytku jedynie na terenie Polski.

Proszę pani — rzekłem — ja jutro rano wyjeżdżam do Paryża. Sprawę sprzedaży mogę załatwić na odległość, pisemnie. Natomiast konto czekowe muszę otworzyć osobiście. Przecież wystarczy kilka złotych lub dolarów, by mieć u was konto, a ja korzystam z mej tu obecności.

— Nie możemy postąpić inaczej.

— Czy może mi pani dać logiczne wyjaśnienie tej odmowy? Zaciśnięcie ust.

Odchodząc rzuciłem okiem na wywieszkę określającą pracę okienka 15. „Przyjmowanie wniosków i wydawanie decyzji dewizowych w sprawach kupna, wywozu i przekazania zagranicę środków płatniczych”. W konsekwencji skierowano mnie tam dokąd właśnie iść nie chciałem.

— Już wiem — rzuciłem urzędnicze. — Tu jest kino Roma, a naprzeciwko jest bank.

Trzy noce

Przypadkowa zbieżność okoliczności połączyła owe trzy noce, ustawiając je obok siebie tak że, słusznie czy niesłusznie, ze spojrzenia na nie wykwitło owo uczucie, mimowoli zaszeregowujące każdą z nich do pewnej kategorii wspomnienia, określającego sobą (potwarzam jeszcze raz: słusznie lub niesłusznie) większą psychiczną całość.

Owa zbieżność to fakt, za każdym razem, przebudzenia mnie ze snu, przywrócenia światu zatopionemu, za każdym razem, w spokój księżycowego światła, jednako niemal, pod niebem Hiszpanii, Niemiec i Polski błyszczącego swym srebrnym i zielonym blaskiem.

Chronologicznie, pierwsza z tych nocy, w Granadzie, pozwoliła mi, gdy otworzyłem oczy, dojrzeć natychmiast pięknie rzeźbioną kratę patia i poczuć zapach przychodzący z Generalife, kwiatów pomarańcz i cytryn. Jednocześnie, załała mnie, dosłownie, fala muzyki o niesłychanej słodczy tonów. W pobliżu, na ulicy, ktoś grał na gitarze oszałamiającą od liryzmu melodię, unoszącą się jak dym z kadzielnicy ku niebu. Słuchałem w milczeniu owego stawania się cudu, tak ogromnego iż serce odmawiało mi posłuszeństwa. Strumień srebrnej księżycowej kipieli lał się przez otwarte okno, wonie z Alhambry gęstniały i muzyka stawiała się ciągle słodsza i słodsza, aż bolesna w swej piękności, aż nie do zniesienia w swym urocznym szale.

O poranku spytałem „Mosquito” czy słyszała nocy tej muzykę. Uśmiechnęła się. „W pobliżu nas mieszka piękna dziewczyna. To „novio” jej urządził pod balkonem serenadę”.

Druga z tych nocy... Nazwa miejscowości wypadła mi już z pamięci. Tego wieczoru zjechałem z „Autobahn” by znaleźć dobrze zasłużony odpoczynek po przebyciu jednym ciągiem tysiąca niemal kilometrów. Było to, pamiętam, przed Kolonią, w pobliżu kuracyjnej miejscowości Oyenhausen. Przystanąłem w ładnym i zamożnie wyglądającym osiedlu. W pierwszym hotelu nie było ani jednego pokoju, ze względu na wesele. Szczęściem dzień metrów dalej inny hotel znalazł jeszcze jeden pokój wolny, tak że, po zjedzeniu kolacji, znużony, położyłem się spać, nie zwracając uwagi na wyjątkowo pięknie wśród obłoków zachodzące słońce.

Obudziła mnie pieśń, zgodnym chórem głosów męskich i kobiecych niosąca się przez ciszę nocy. W okno zaglądał granat nieba oraz czarna sylweta drzewa. Uniosłem się na pościeli i słuchałem. Potężna fala rytmicznej radości wchodziła do mego pokoju. Niosła ze sobą poczucie siły, poczucie szczęścia. Kadencja jej trochę przyspieszona, posiadała energię pobudzającą tętno krwi. Był to chyba weselny marsz, wspaniały niby głos wielkiego, odświętnego dzwonu. Uroczysty a jednocześnie niemal skoczny. Poważny a jednocześnie radosny ufnością swą w wartość jutra.

To było w Warszawie, w roku 1968. Pierwszy mój pobyt w Polsce od czasu wojny. Więc po mniej więcej ćwierćwieczu. Mieszkałem u przyjaciół w jednym z nowych drapaczy nieba, przy Puławskiej. Pierwsza moja noc warszawska. Mały pokój był schludny, pachnący świeżością, biały. Z okna widać było aż po horyzont, zieleń pól, punktowanych różnymi kształtami drzew, coraz bliższych w miarę oddalenia. Potem na ogromne niebo wstąpił księżyc i zaczął wędrować, nieustrudzony pielgrzym, po drodze wyznaczonej od początku świata.

Obudziły mnie nieskoordynowane wrzaski, słabo imitujące piosenkę. Nade mną fetowano jakąś uroczystością. Głosy były gęste, bełkotliwe, przepojone alkoholem. Ktoś chciał zarywać tenorem, bez przerwy próbując przebrnąć przez pierwsze słowa popularnego przed 30 laty „Śniegu”. I ustawał. By za chwilę od nowa podjąć usiłowanie przebrnięcia przez tę zaspę.

Histeryczny pisk kobiecych głosów... Górował on nad męskimi i nasycił atmosferę posmakiem sabatu czarownic.

By wzmocnić siłę głosów, ktoś uderzał przedmiotem o przedmiot, ktoś inny z całym uporem walił obcasem w podłogę.

Chaotyczne skrawki słów, melodij przetaczały się po dużej przestrzeni lat, czerpiąc motywy z pieśni legionowych, modnych ongi szlagierów, współczesnych przebojów partyzanckich i powstania w Warszawie, by wpadać co chwila w mniej lub więcej sprośne ich warianty.

Wreszcie najbardziej bawoli bas zaintonował „Sto lat”. I zbożne to życzenie ciągniono i przeciągano, rycząc na całe gardło. Gdy wreszcie zbiorowym wysiłkiem doprowadzono je z trudem do końca, ów basista z uporem pijanego zaczynał je od początku. „Jeszcze raz, jeszcze raz...” trzaskały ściany, leciał tynk.

Wielki księżyc stał prosto w oknie, oślepiał, siny... Bezsenna

noc krok za krokiem przetaczała się ku poblądnemu od mgieł porankowi.

Pożywienie turysty

Sprawa ta jest niesłychanie uproszczona. W każdym mieście i miasteczku, o niemal każdej porze (z wyjątkiem nocy) można znaleźć bar mleczny, jadłodajnię czy restaurację gdzie za niewielką opłatą otrzymuje się proste, obfite potrawy. Usługa wprowadzona jest do minimum, nakrycia również. To co w takiej np. Francji opłacane jest specjalnie jako tak zwane *couvert*, redukuje się w Polsce do talerza, noża, widelca i łyżki i, oczywiście, nic nie kosztuje. Napiwek nie jest w zwyczaju. Nikt nie namawia (przynajmniej w moim doświadczeniu) do picia, jak to zdradziecko czynią Francuzi, by potem fantastyczne sumy liczyć za butelkę wina. Nie można kaprysić, potrawy są przygotowane a wybór ich jest mały. Ale głodny nie będzie nikt. W barze mlecznym dostanie się jajecznicę, zupę mleczną, różnego rodzaju kluseczki, w jadłodajni duży kotlet wieprzowy, bigos czy flaki, w restauracji befszytk. Do tego rodzaju instytucyj zazwyczaj wchodzi ludzie rzeczywiście głodni, ogromna część je i, zapłaciwszy, zaraz wychodzi. Nie ma celebrowania jedzenia, co, dla mnie przynajmniej, jest tak niemiłe na Zachodzie. Oczywiście widywałem pijących i pijanych, ale była to zawsze kwestia kilku mniej lub więcej kieliszków (butelek?) wódki. *En général* koncepcja smakoszostwa i wykintu chyba nie istnieje.

Kontakty z ludźmi

Były one, samo przez się zrozumiałe, bardzo powierzchowne, odpowiadające warunkom mego życia w Polsce. Wydaje mi się jednak że dostrzegłem w psychice żyjących tam ludzi pewne przemiany które należałoby ujawnić. Pierwszą z tych cech jest rodzaj rozpanoszonego mentorstwa, chęci pouczania, często nawet dobrotliwego i pełnego wyrozumienia, zawsze jednak płynącego z uczucia nieokreślonej bliżej wyższości. Jest oczywiste, że każdy kto chce jechać windą musi być zaopatrzony w klucz do jej użytku, jest oczywiste, że winda staje między piętrami ponieważ nie jest dostatecznie dotarta. Jest oczywiste, że pasażer w taksówce nie ma prawa otworzyć okna gdy jest mu zbyt gorąco. Jest oczywiste, że nie ma się prawa wejść do otwartej restauracji gdy we drzwiach ustawiono krzesło. Jest oczywiste, że kartka z liczbą przypięta do półki stanowi cenę towaru. Z uśmiechem pobłażania, *ex cathedra* mówi się: znajdzie to pan tam, niech pan idzie ówdzie, to będzie otwarte dopiero o tej godzinie, to się sprzedaje w takiej instytucji. A potem okazuje się że tego się tam nie znajduje, nie tam właśnie należało się udać, to bywa otwarte o innej godzinie, tego się właśnie w tej instytucji nie sprzedaje... Ale

informator jest już daleko. Obsługujący posiadają również swoiste obyczaje. Wszedłem do sklepu zapytując czy mają pewien towar na składzie. Odpowiedzią siedzącej za ladą ekspedientki było zaprzeczenie głową. Zapytałem o coś zastępczego. Odpowiedzią również było milczące zaprzeczenie głową. Musiałem tę rzecz kupić, zapytałem więc gdzie mogę ją dostać. Odpowiedzią było wzruszenie ramion. Ekspedientka była młoda, masywna, kwitnąca zdrowiem. Skąd ta niechęć do wysiłku? W innym sklepie spytałem o cenę leżących na półce ręczników. — Czy pan nie widzi? — odpowiedziała ekspedientka. Nie, nie widziałem. I byłem tak mądry po tej odpowiedzi jak przedtem. Stwierdziłem że, nawet gdy towar jest, ekspedientki łatwo odpowiadają „nie ma”, ponieważ połączone to jest z mniejszym wysiłkiem. W wielu wypadkach czułem iż sprzedawcy, przejmując się swą rolą, czują się istotami wyższymi, posiadającymi w swych rękach dystrybucję dóbr ziemskich i ludzkiego szczęścia. Istnieje ogólna tendencja do przemieniania się w kacyków, szastających się niby szare gęsi na własnych śmieciach, rządzących się według własnych przepisów, to znaczy według fantazji i humoru. Sławne pod tym względem są tak zwane remanenty lub odbieranie towaru, automatycznie powodujące zamykanie drzwi w najbardziej nieoczekiwanych porach.

Z drugiej strony klienci mają żywiołowy pociąg żeby, nawet na skutek istotnie drobnych przyczyn, żądać natychmiast książek, zażaleń, znajdujących się w każdej handlowej i usługowej instytucji.

Kilka osób (ja również) zwróciło mi w Polsce uwagę na pewną, rozwijającą się wciąż cechę, którą nazwałbym „właściwościami bożej krówki”. W dzieciństwie zauważyłem, iż boża krówka, dotknięta palcem lub żdźbłem trawy pozornie martwieje. Jest to oczywiście refleks samoobrony, jedynie możliwej dla tego pięknego stworzenia. Otóż w Polsce pewien procent ludzi, gdy się ich interpeluje kłopotliwym pytaniem czy uwagą, martwieje jak owe boże krówki. Nie słyszą. Nie rozumieją. Zwolna wyrabia się w społeczeństwie głuchota na wszystkie zagadnienia natury szerszej. Głuchota która ustaje tylko wtedy, gdy w grę wchodzi kwestia indywidualnego, najbardziej wąsko pojętego interesu. Interesu którego ramy obejmują jedynie zagadnienia dojrzałej spokojnej vegetacji. Nie egzystencji. Nie życia. Vegetacji. To maksymalne życzenie ludzi zrezygnowanych świadczy o jakiejś ogromnej goryczy doświadczenia, świadczy o jakimś ogromnym znużeniu ducha. O jego śmierci nawet. Lub o jego głębokim śnie.

Pisze się w prasie zachodniej o wielkich przemianach językowych dokonanych w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Jest to prawda. Dostrzegłem również mocne jego zwulgaryzowanie. Pierwszym słowem jakim mnie poczęstowała Polska gdy tylko przejechałem szlaban graniczny było „łacińskie” słowo k..... Dwaj przejeżdżający obok mnie motocykliści przerzucali się uwagami, w ten sposób je ozdabiając. Słowo to później szło za mną, w towarzystwie innych, niemniej soczystych, wiernie jak pies. Słyszałem

je na ulicach, w tramwaju, w urzędach, w sklepach, słowem wszędzie. To i inne słowa tego samego „łacińskiego” obrządku. Razem z przemianą socjalną zyskały one swą nobilitację. Czyżby to był symptom czasu?

Post Scriptum

Granicy państwa wschodnioniemieckiego strzeże, prócz szlabanów, celników, żandarmów, mityczna trochę dla mnie postać rosyjskiego „mołodca” w rubaszce i fioletowych epoletach. „Mołodiec” ów, przystojny, różowy i postawny wojskowy, o uwodziecielsko błyszczących butach z cholewami, stoi z boku, przypatrując się dokonywanej kontroli ludzi i samochodów. Stoi bez ruchu, w pozycji wdzięcznej, oparty zgrabnie o żelazo bariery. Stoi i nawet nie pluje „siemiaczkami”. Nie chce mi się wierzyć, że stał tak przez miesiąc cały, chociaż widziałem go za każdym razem gdy przebijałem się przez państwo pana Ulbrichta. Jakże można by w ten sposób marnować czas?

Mieczysław LURCZYŃSKI

1.000.000

GILLETTE super silver
wysłał w bieżącym
roku do Kraju
T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Od 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „Życie Warszawy” z 19 lipca: ... „za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów” otrzymywało się w Kraju do 280 złotych”.
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie NAJKORZYSTNIEJSZEJ pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych ILUSTROWANYCH KATALOGACH T A Z A B A ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB and C^o., Tazab House

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.

16, STUYVESANT STR., NEW YORK, N.Y. 10003,

Tel.: ALgonquin 4-4161

20, RUE LEGENDRE, PARIS 17^e, Tel.: 924-0045

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

CZARNY POLONEZ

Poezje

WYDANIE DRUGIE

Rozmowy z bpem Rusnakiem i St. Romanem

POŁOŻENIE KOŚCIOŁA GREKO-KATOLICKIEGO W SŁOWACJI

Wypadki w Czechosłowacji śledzili ze szczególnym zainteresowaniem Czesi i Słowacy w Kanadzie. Ale Słowacy niewątpliwie nie tylko z największym zainteresowaniem, ale i z napięciem. Fakt iż motorem działania w kierunku liberalizacji i demokratyzacji jest Aleksander Dubczek, Słowak, byłby już dostatecznym uzasadnieniem i wytłumaczeniem, ale z tym wiązała się nadzieja na głębokie, poważne zmiany w Słowacji, w dotychczasowym nastawieniu centralnej administracji państwowej i partyjnej.

Rejestr wypaczeń i błędów, by użyć najostrożniejszych i najdelikatniejszych określeń, jaki Słowacy gotowi są przedstawić przywódcom czeskich komunistów „minionego okresu” jest długi i wręcz ponury. To jeszcze jeden powód dla którego przyjęli z ulgą, otuchą i nadzieją klęskę Novotnego i zwycięstwo Dubczeka. Zarówno w Słowacji jak i zagranicą.

Największe skupisko Słowaków poza granicami kraju znajduje się oczywiście — jakżeby mogło być inaczej? — w Stanach Zjednoczonych. Z danymi statystycznymi należy jednak być ostrożnym, gdyż różni różnorako nimi się posługują. Wysoce patriotyczne nastrojeni wymieniają w zaufaniu liczbę 3.000.000 Słowaków w USA, dyskretnie dodając iż część z nich nie przynależy się jednak do pochodzenia słowackiego. Jeśli tę liczbę przepołowimy to zapewne znajdziemy się w pobliżu realnego stanu, z tym zastrzeżeniem oczywiście iż w przytłaczającej większości są to już w drugim i trzecim pokoleniu rdzenni Amerykanie, potomkowie słowackich imigrantów.

Fałszywy jest pogląd, rozpowszechniany świadomie przez niektórych, jakoby wszyscy greko-katolicy byli Ukraińcami, i że w związku z tym ten obrządek stanowi niejako właściwość ukraińską. Niewątpliwie wierni narodowości ukraińskiej tu przeważają,

ale nie są jedynymi. Na obszarze wschodniej Słowacji było 241 greko-katolickich parafii do których należało około 240.000 Słowaków. Są to dane oficjalne z 1948 r. mają więc raczej charakter informacyjny. Na obszarze Stanów Zjedn. Słowaków wyznania greko-katolickiego (względnie Amerykanów pochodzenia słowackiego) jest około 500.000. W Kanadzie, gdzie Słowacy należą do jednej z najmniejszych grup etnicznych a greko-katolicy są wśród nich w mniejszości, posiadają od października 1964 r. własnego biskupa. Jest nim ks. Michał Rusnak. Słowacy greko-katolicy nie mają ordynariusza w kraju, bo Kościół od 1948 r. przestał tam praktycznie istnieć.

Skąd można uzyskać najbardziej autorytatywne informacje o stanie kościoła greko-katolickiego w Słowacji jeśli nie od ks. biskupa Rusnaka? Ustosunkował się wysoce życzliwie do prośby o rozmowę — niewątpliwie zawdzięczam to dr. Józefowi Kirschbaumowi, przewodniczącemu Słowackiej Rady Narodowej — i wyznaczył spotkanie w swoim mieszkaniu.

Przyjął nas Biskup, pełen prostoty i skromności. Stwierdzamy wprawdzie, że język słowacki jest najbardziej zbliżony do polskiego i możemy się doskonale porozumiewać, każdy używając swojego języka, ale dla pewności przechodzimy na język angielski. Pozwoli to na uniknięcie nieporozumień.

Nasze pytania zmierzają do ustalenia aktualnej sytuacji obrządku greko-katolickiego w Słowacji. Formułujemy je ostrożnie ze względu na osobę rozmówcy, który ani chce ani nie może być politykiem. Odpowiada bardzo spokojnie i to na wszystkie pytania.

— Naturalnie ma Pan rację zakładając iż z radością i nadzieją śledzimy rozwój wydarzeń w Słowacji. Na odcinku wyznaniowym odprężenie nastąpiło — albo ściślej, pierwsze jego oznaki ujawniły się — jeszcze w grudniu ubiegłego roku. Była to zasługa p. Stefana Romana, naszego parafianina. Nie wiem czy powinienem o tym mówić właśnie ze względu na niego. Proszę się upewnić czy zgodzi się na wymienienie swego nazwiska. Otóż p. Roman przeprowadzając rozmowy z członkami rządu czechosłowackiego w sprawach wymiany handlowej z Kanadą oświadczył, iż jako warunek *sine qua non* uwzględnienia postulatów Czechosłowacji stawia przywrócenie wolności obrządkowi greko-katolickiemu.

— Kościół nasz został przez administrację komunistyczną zlikwidowany. Pełnomocnik rządu dla spraw religijnych zwoływał zebrania — niekoniecznie nawet z udziałem greko-katolików — zapytując obecnych czy zgadzają się na wcielenie kościoła greko-katolickiego do prawosławnego. Padała naturalnie odpowiedź twierdząca. Następnego dnia ukazywało się rozporządzenie o likwidacji naszego kościoła. W niektórych wsiach dochodziło do krwawych starć. Ponad 600 księży, w tym trochę rzymsko-katolickich, aresztowano i wywieziono. Część z nas znalazła się w obozach koncentracyjnych, część w więzieniach.

— Parafie oddano prawosławnym popom, sprowadzonym z

dawnego obszaru Przykarpackiej Rusi oraz z Ukrainy. Komuniści za jednym zamachem uderzyli w kościół oraz w uczucia narodowe naszej ludności. Popi bowiem skrzętnie ukrainizowali, albo raczej usiłovali ukrainizować, naszą ludność. Pod tym względem zresztą kroczyli po starym szlaku szowinistów ukraińskich, którzy nasze określenie wyznaniowe „rusnak” chcieli kapitalizować na polu narodowościowo-politycznym, uznając nas „łaskawie” za Ukraińców a terytorium wsch. Słowacji za część Ukrainy.

— Zapewniam Pana, że na całym terytorium Słowacji żyje najwyżej 20.000 Ukraińców, ale nie potrafiłbym powiedzieć czy należą do kościoła greko-katolickiego. Istniała u nas tylko jedna parafia prawosławna, która swoje powstanie i byt zawdzięczała pewnemu reemigrantowi ze Stanów Zjednoczonych. Powstała na tle personalnym a nie religijnym.

— Z prawdziwą przykrością wypada stwierdzić, że w dziele zniszczenia naszego kościoła w Słowacji wielką rolę odegrała Ukraińska Narodowa Rada, jedna z partyjnych komunistycznych organizacji w Słowacji.

— Pytał Pan na czym polega zmiana i jak się ujawnia w praktyce. Wkrótce po interwencji p. Romana po prostu zelżał nacisk administracyjny a po dojściu do władzy Dubczeka pozostawiono ludności inicjatywę w odzyskiwaniu kościołów. Władze partyjne i państwowe — co pragnę z naciskiem podkreślić — nie udzielają wiernym żadnej pomocy, nie prowadzą akcji rewindykacyjnej. Proces przebiega następująco: odbywają się zebrania ludności, na których zapada decyzja w sprawie powrotu na łono kościoła greko-katolickiego. Na podstawie najbardziej autorytatywnych danych, pod koniec września 1968, 205 parafii zostało rewindykowanych i w kościołach odbywają się nabożeństwa według obrządku greko-katolickiego. Ludność trzech parafii pozostała przy kościele prawosławnym. Stało się to ze względów osobistych. Wierni są zadowoleni z obecnych duchownych i nie chcieli powrotu poprzednich księży. Ordynariusza nie ma. Powrócił z zsyłki, schorowany i wycieńczony 70-letni sufragan ale mam poważne wątpliwości czy jest w stanie podołać swoim obowiązkom. Oczywiście zabiegamy w Watykanie o nominację biskupów.

— Nie! Nie mamy dostatecznej ilości księży dla obsadzenia rewindykowanych parafii a przecież proces ten nie został zakończony. Odpowiadając na Pańskie pytanie czy w ostatnich tygodniach zaszły jakieś zmiany w tej mierze, pragnę zaznaczyć, iż nastąpiło pewne zahamowanie procesu rewindykacyjnego, ale nie powstrzymanie. Oczywiście jesteśmy tym zaniepokojeni. Wiadomo nam np., że popi usiłują stawiać opór, nie chcą opuszczać parafii a niektórzy nawet próbują do nich powrócić.

— Wolność religii, przywrócona przez Dubczeka, oznaczała dla greko-katolickich Słowaków ożywienie zdławionego kościoła. Stąd też nasza radość i nasz niepokój. Pytał Pan skąd weźmiemy księży, skoro nie mieliśmy od lat młodego narybku. To bardzo poważny problem, ale nie wątpię iż z Bożą pomocą zostanie rozwiązany. Powrócili wszyscy żyjący dawni księża i... zgłosiło się

— i przyjęto ich — 40 młodych duchownych prawosławnych. Naturalnie przeszli na łono naszego kościoła. Przypuszczam iż w ciągu 3-5 lat uzupełnimy braki. Wiadomo nam iż sporo osób nie mogąc ukończyć teologii skończyło inne fakultety i obecnie idąc za głosem powołania zgłosili się na studia teologiczne.

— Zasadniczy problem sprowadza się do zachowania wolności religijnej. Jeśli reformy Dubczeka nie zostaną cofnięte, to nasz obrządek odżyje i odzyska swoje siły. W moim przekonaniu będzie to również proces odrodzenia narodowego. Tylko słowacki ksiądz greko-katolicki odbuduje i wzmocni świadomość narodową swoich wiernych.

— Odpowiedziałem jak tylko mogłem najdokładniej na Pańskie pytania. Nie wiem oczywiście czy zadowolilem Pana, ale pragnę Panu i *Kulturze* podziękować za zainteresowanie naszymi sprawami. Cenimy sobie wysoko przyjaźń Polaków. Dziękuję Panu za wizytę.

ROZMOWA Z P. S. ROMANEM

Żadna, ale to absolutnie żadna — grupa etniczna w Kanadzie nie może się poszczycić takim atutem jaki posiadają Słowacy w osobie p. Stefana Romana. Do Kanady przybył w 1937 r. w wieku lat 16 z rodzinnej wsi we wschodniej Słowacji i rozpoczął pracę jako robotnik rolny. Po demobilizacji z kanadyjskich sił zbrojnych w okresie największego powojennego rozkwitu zaczyna operować na giełdzie, w sferach finansowych, by w błyskawiczny sposób niemal wspiąć się po drabinie finansowej. Jest dziś jednym z najbogatszych ludzi w Kanadzie; jego osobisty majątek jest wielomilionowy. Głównym polem jego działania jest górnictwo, dokładnie górnictwo uranowe, ale obok tego prowadzi wiele innych przedsiębiorstw, w tym również finansowe, ubezpieczeniowe itp.

Romana, magnata finansowego i przemysłowego, odróżnia od innych bogaczy przede wszystkim jego stosunek do rodaków. Jest całkowicie wrośnięty w życie kanadyjskie, ale nie stracił świadomości swego pochodzenia i przywiązania do Słowacji.

Jest hojny nie tylko wobec spraw słowackich. Dzięki jego pomocy finansowej publikuje się m.in. „Canadian Slavonic Papers”, odbyły się konferencje slawistyczne itp. Za tę swoją działalność otrzymał już doktoraty honorowe dwóch uniwersytetów.

W jednym tygodniu podpisuje umowy biegnące w setki milionów dolarów w Tokio, w następnym tygodniu w Paryżu, to znów w Rzymie itp. Podróżuje własnym samolotem i nie ominął w swej trasie Bratysławy.

Stefan Roman przyjmuje nas w swoim gabinecie prezesa Denison Mines Corporation, największego ze swych przedsiębiorstw.

— Skończyłem właśnie rozmowę ze świeżo przybyłymi Słowakami — zagaja spotkanie p. Roman. — Nie łatwo im będzie. System komunistyczny wyjąłowił ich. Nie mają żadnej inicjatywy, chcą by wszystko im dać, załatwić. Są zbyt wielkiego mnie-

mania o sobie, nie rozumiejąc iż nawet ich wysokie kwalifikacje nie muszą być tutaj przydatne, ze względu na całkowicie odmienne warunki. Trudno jednak pozostawić ich na pastwę losu.

Dr Józef Kirschbaum, prezes Słowackiej Rady Narodowej, który mi towarzyszy, relacjonuje o mojej wizycie u ks. bpa Rusnaka, podkreślając iż interesuję się w szczególności sytuacją kościoła greko-katolickiego w Słowacji.

— Na wstępie chciałbym sprostować — mówi p. Roman — pewne cytowane przez Pana informacje ks. bpa Rusnaka. Przypuszczam, że musiało zajść jakieś nieporozumienie.

— Pytał Pan kiedy rozpocząłem rozmowy z przedstawicielami władz czechosłowackich na temat położenia kościoła greko-katolickiego w Słowacji? Odpowiadam w 1963 r. Były to rozmowy korespondencyjne z udziałem ambasadora czechosłowackiego w Ottawie. Starałem się tym panom wyjaśnić, że prześladowania religijne na pewno nie ułatwią stosunków gospodarczych. Wskazywałem na konieczność przywrócenia swobód religijnych wszystkim wyznaniom. Ale naturalnie nie formułowałem ultimatum. Dopiero we wrześniu 1966 r. odbyłem pierwsze rozmowy z oficjalnym przedstawicielem władz państwowych. W Bratysławie przez 3 godziny rozmawiałem z wiceprzewodniczącym Słowackiej Rady Narodowej, Kriszem, do którego kompetencji należały właśnie sprawy wyznaniowe. Dalsze rozmowy były prowadzone za pośrednictwem ambasadora czechosłowackiego w Ottawie.

Pewien postęp zanotowałem dopiero w 1967 r. kiedy to przybyli w charakterze kierowników pawilonu czechosłowackiego na EXPO-67 dr Galuszka i dr Koutsky. Pierwszy został ministrem kultury w marcu 1968 r.

— Moi rozmówcy — niektórzy z oporem — zrozumieli, iż stosunek do kościoła greko-katolickiego musi być radykalnie zmieniony. W rzeczywistości kościół nasz został zlikwidowany w 1950 roku i to przy wydatnej pomocy Ukraińskiej Rady Narodowej w Słowacji. Muszę stwierdzić, iż nie pozostało to po dziś dzień bez śladu w stosunkach Słowaków do Ukraińców. To smutna prawda, ale nie należy jej ukrywać, właśnie w imię lepszej przyszłości.

— Wraz z likwidacją kościoła greko-katolickiego wzmocniła się akcja ukrainizowania ludności.

— Czy była to akcja władz słowackich? — pytam.

— Widzę, że Pan jest zdumiony, zaskoczony i chyba również nieco sceptycznie nastrojony. Otóż stwierdzam z pełnym poczuciem odpowiedzialności za słowa, że rząd czechosłowacki w Pradze świadomie i wszystkimi środkami zmierzał do osłabienia elementu słowackiego. We wschodniej Słowacji prowadził tę akcję i przy pomocy takiego Słowaka pochodzenia ukraińskiego jak Biłak. Kościół prawosławny zorganizowany w Słowacji składał się niemal wyłącznie z ukraińskiego kleru, w ślad za popami przybyli ukraińscy nauczyciele. W różnych wsiach likwidowano naukę w języku słowackim na rzecz ukraińskiego. Nasi chłopci nieraz wiele kilometrów wozili dzieci do sąsiedniej wsi, gdzie naukę pro-

wadzono w języku słowackim. Zapewne mógłbym jeszcze mówić o przesiedlaniu ludności słowackiej, o sztucznym wykrojeniu granicy na Podkarpackiej Rusi, ale roztropnie nie wracać do tego.

— Istotne jest, że wśród komunistów nastąpiło otrzeźwienie. Mówię naturalnie wyłącznie o sprawie kościoła greko-katolickiego. Pytał Pan com zrobił w tej mierze.

— Ks. bp Rusnak — jak wynika z Pańskich słów — był bardzo wielkoduszny w ocenie moich wysiłków. Moje rokowania z władzami czechosłowackimi toczyły się na platformie handlowej. Doskonale wiedziałem, że zależy im, bym właśnie u nich nabył urządzenia kopalniane, a oni rozumieli iż przywiązują wielką wagę do zasadniczej zmiany nastawienia władz wobec religii, w szczególności wobec kościoła greko-katolickiego w Słowacji. Jest to zarówno problem narodowy jak i wyznaniowy.

— Istotnie nabyłem tam maszyny kopalniane, są one doskonałe. A wobec tego, że kopalnie nasze, jak Panu wiadomo, cieszą się doskonałą opinią w górnictwie, wielu specjalistów je odwiedza i w ten sposób poznają również sprzęt z Czechosłowacji. Podkreślam jeszcze raz: sprzęt bardzo dobry. W ten sposób sprzęt ten znalazł się niejako na bardzo uczęszczanej wystawie na kontynencie pñ.amerykańskim.

— W toku ostatnich rozmów z władzami słowackimi dyskutowaliśmy na temat inwestycji turystycznych. Moim zdaniem istnieją możliwości rozbudowy turystyki, ale trzeba zbudować szereg obiektów. Myślę, że do tych spraw jeszcze powrócimy.

— Pytał Pan czy oczekuję zmian w położeniu kościoła, po inwazji Czechosłowacji? Nie sądzę. Osobiście wydaje mi się, że należy rozpatrywać sytuację bardzo ostrożnie. Nie uważam procesu, który doprowadził do upadku Novotnego i do dalszych wypadków, za zakończony. Sądzę, że nastąpił ogromny wstrząs w całym obozie komunistycznym. Wypadki w Czechosłowacji są tylko jednym z objawów tego właśnie wstrząsu. Dlatego właśnie powstrzymałbym się przed stawianiem prognoz. Pozwolę sobie natomiast przytoczyć Panu pewne słowackie przysłowie: zdychający koń najmocniej kopie!

— Jeszcze jedno pytanie: W tygodniku *Kanadsky Slovak* ogłosił Pan artykuł na temat narodowości greko-katolików we wsch. Słowacji. Była to polemika z dwoma pisarzami ukraińskimi, dowodzącymi, że ludność ta jest ukraińska. Czy dysponuje Pan nowymi danymi liczbowymi w tej materii?

— Według ostatnich najbardziej autorytatywnych danych na obszarze całej Czechosłowacji mieszka 38.000 Ukraińców, z tego około 10.000 w Pradze. Grekokatolików we wsch. Słowacji jest 320.000. Myślę, że to wcale wymowne. Przykro mi ogromnie jest stwierdzić, że odpowiedzialne czynniki w Watykanie zupełnie nie rozumieją narodowościowego aspektu i milcząco akceptują polityczno-nacjonalistyczną wykładnię Ukraińców. Niestety, dzieje się to nie bez udziału części kleru ukraińskiego. Obserwujemy to również na obszarze Stanów Zjednoczonych, gdzie żyje 500.000 greko-katolików i prawosławnych (mała grupa) Słowaków.

— Jestem optymistą a wobec tego nie wątpię, iż omawiane zagadnienia zostaną załatwione pomyślnie — kończę swoje wywiady przez Romana.

Wywiady przeprowadził Benedykt HEYDENKORN

Znad Wełtawy nad Pacyfik

Z Bratysławy do Wiednia jest tylko pięćdziesiąt kilometrów, a przed stosunkowo niewielu laty chodził tędy tramwaj łączący Wienervorstadt Pressburg z habsburską metropolią. Potem była tzw. rewolucja 1948 roku i słowackie wybrzeża Dunaju zarastały drutami kolczastymi, a Wiedeń stał się daleki jak Paryż.

Stara K.u.K. trasa ożyła latem 1968 roku, stała się szlakiem czechosłowackiego exodusu, na której wietrzała panslawizm i więdły resztki ideałów obywateli socjalistycznej republiki czechosłowackiej.

Kilkadziesiąt tysięcy Czechów i Słowaków zagaściło starą austro-węgierską emigrację Wiednia, czekając na imigrację za morza, byle jak najdalej od Sowietów, od socjalizmu, od norm, nędzy, zobowiązań dla uczczenia byle czego przy byle okazji. Wybierali Stany, Kanadę, Australię.

Boeing 707, start, dwa lądowania w Karaczi i Singapore, i wreszcie Sydney, kwiaty, przemówienia, cały Mascott trzeszczący czeskim i słowackim, telewizja, radio, fotoreporterzy, „beczki śmiechu” imigracyjnych hosteli w Villawood, Matraville, Cabramatta, Bonegilla. Codzienność początków emigracyjnego życia, pierwsze rozczarowania, trudności nie zawsze przewidywane, brak języka, inność świata tego „pod spodem” nie tylko od Europy, ale przede wszystkim od żałelaznokurtynowych warunków.

Przyjechało ich już parę tysięcy, następne tysiące płyną, jeszcze dalsze czekają w Wiedniu czy Szwajcarii na wizy, na transport. Przez jeden tylko Villawood przeszło ich ponad ośmiuset — osiemset ludzkich historii.

Większość z nich to ludzie młodzi, niektórzy prawie tuż po szkołach średnich, po przemysłówkach, studenci, technicy, inteligencja z wolnych zawodów. Ciekawe jak bardzo podobni są do polskiej młodzieży, tak samo jak oni wychowanej już przez obecny ustrój — tak samo pogardzający Sowietami, tak samo zupełnie niesocjalistyczni, jakby ustrój istniał obok nich ale na innej długości fali.

Jedni wyjeżdżali legalnie z paszportem, inni wylądowali w Australii z kostiumami kąpielowymi w walizkach w drodze z wakacji nad Adriatykiem i Morzem Czarnym. Przyjechali z rodzina-

mi, żonami, dziećmi, wnukami, inni zostawili bliskich w Pradze i ciułąją dolary na ich sprowadzenie.

Kartoteka imigracyjna objaśnia, że jest tu reprezentowana cała Czechosłowacja od Koszyc do Pilzna, wszystkie fabryki, wszystkie przedsiębiorstwa socjalistycznej republiki, wszystkie zawody od tokarzy, elektryków, drukarzy, po architektów, jubilerów, reżyserów, elektroników, grafików, lekarzy.

Z całej imigacyjnej fali ledwie kilku nie ma określonego zawodu i ledwie kilku włada angielskim. Kursy angielskie w hostelu są obliczone na długi okres czasu, ale oni czasu nie mają, jeśli chcą zacząć pracować w swym zawodzie. Muszą znać język. Nie wszyscy przyjmują to spokojnie do wiadomości, bo też i nie zawsze takie żądanie australijskiego pracodawcy jest w pełni uzasadnione. Działa mała wyobraźnia tubylców, z których nie wszyscy potrafią zrozumieć, że technik najszybciej nauczy się języka zawodowego pracując w tym zawodzie, a nie zamiatając fabrykę. Jeszcze gorzej jest jeśli żaden uniwersytet nie chce zaryzykować zapłacenia błyskawicznego kursu angielskiego specjaliście od pamięci elektronicznej maszyn matematycznych, by jak najszybciej go zatrudnić, zanim przerwa w kontakcie z zawodem postawi go poza przydatnością.

Przybysze z kraju, gdzie wszystko robi się z wiedzą i za zgodą państwa i partii, z trudem rozumieją, że są absolutnie wolni i mogą szukać pracy na własną rękę, nie czekając na wprowadzenie przez rządowe biuro zatrudnienia. To znaczy niby już o tym wiedzą, już zdają się to rozumieć, ale inercja, nawyki, warunkowe odruchy innego systemu, hamują ich inicjatywę. Nie wszystkich: znany praski architekt-wnętrzarz, mówiący zresztą po angielsku, już czwartego dnia znał połowę kolegów po fachu z sydneyńskiego podwórka, szóstego dnia miał już pracę, wynajął mieszkanie, znalazł pracę żonie, obu synom, a w drugim tygodniu jeździł już samochodem. Trzech innych: monter, kierowca buldożera i elektryk, nie znając angielskiego wykupiło licencję na założenie własnego *business'u*: mycie okien. Łażą już z drabinami, ajaxem i zamierzają kupić *pick-up*, nauczyć się angielskiego i nie wracać do swych pierwotnych zawodów. Projektant i wykonawca instrumentów chirurgicznych wziął byle jaką pracę, uczy się języka, ma zamiar pracować dla chirurgii eksperymentalnej szpitali i wrócić do swego *hobby*, które wpłynęło na jego wybór Australii jako miejsca emigracji: hodowli orchidei. Z niezdrowym błyskiem w oczach mówił mi, że już w drodze z lotniska do Villawood widział dziko rosnące strelitie.

Szlifierz kryształów robi karierę wprowadzając na rynek australijski nowe kształty i wzory naturalnie zgodnie z historycznym zapotrzebowaniem okresu na wklęsłorzeźby okrętów Cooka. Inni marzą o życiu w bushu tropikalnym na gigantycznych farmach północy, w odkrywkowych kopalniach zachodu, marzą o egzotycznej Australii zamiast fałszywej europejsko-amerykańskości Sydney.

Australia przy okazji masowego exodusu czechosłowackiego podjęła decyzje, które mogą stać się początkiem przełomu w sprawie dla imigrantów najważniejszej: uznawania wykształcenia na obcych uniwersytetach. Lekarze otrzymują pracę w swoim zawodzie nawet z bardzo kiepską znajomością języka, geodeci już szwendają się z teodolitami po pustyniach środka, a ogromna organizacja studiów i badań rolnictwa CSIRO przysięga, że przyjmie wszystkich agronomów i chemików, jeśli tylko będą znali więcej niż dwieście angielskich słów.

Nie wszystko jednak idzie tak jak powinno i niejeden wartościowy fachowiec pozostaje poza swoim zawodem ze szkodą dla gospodarki australijskiej cierpiącej na brak wykształconych pracowników, i ze szkodą dla samego delinkwenta i dla sprawy imigracji w ogóle, bo facet nie trzyma swego rozgoryczenia w tajemnicy.

Australijczykom i włos się lekko jeżył na głowach i gęby krzywiły w uśmiechu na widok kobiet-dźwigowych, kobiet-ślusarzy, kobiet-tokarzy rewolwerowych, kobiet-kierowców buldożerów. W Australii kobieta takich zawodów nie tylko nie wykonuje, ale i pewnie nie wie co one oznaczają. I trudności dla tych Czechosłowaczek wyglądają groźnie. Ale cała prasa przyniosła pewnego dnia zdjęcia młodej Czeszki, która razem ze swoim mężem pracuje wreszcie jako spawacz elektryczny, a w parlamencie nawet ktoś powiedział, że nie widzi nic zdrożnego w tym jeśli kobieta chce poświęcić się takiemu zawodowi, co zostało przyjęte skąpyimi oklaskami.

Znalazło się w Villawood kilku takich, którzy natrafiwszy na zbyt wiele przeszkód na drodze do raj, postanowili wrócić do domu i poszli skomleć do konsulatu o przetransportowanie ich do Pragi. NB doszło do mnie, że jeden z drugim facet wykorzystał tę drogę tylko częściowo, to znaczy wysiadł w Europie Zachodniej i do Pragi wracać nie myśli.

Minęło już parę miesięcy od wyładowania pierwszego transportu na sydneyjskim lotnisku i w hostelach pozostały już tylko niedobitki: ci, którzy chcą jak najdłużej korzystać z bardzo taniego zakwaterowania zanim będą mogli sobie pozwolić na własne mieszkanie albo dom, tacy, którzy nie potrafią znaleźć sobie miejsca w nowych warunkach nowego kraju, tacy, którzy swą życiową niezaradność mogli przenieść cało tylko w ustroju, w którym praca jest obowiązkiem, wreszcie paru takich, którzy uważają, że tak jak jest nie jest źle, bo dostają zasiłek dla bezrobotnych, mieszkają w związku z tym bezpłatnie i bezpłatnie jedzą co hostel nawarzy.

Przeszło ich ponad ośmiuset przez Villawood, zostało niewielu, bez pracy nie ma prawie nikogo, i hostel czeka na nowych.

Na King's Crossie (taka strip teasowa dzielnica), gdzie najczęściej słyszało się do niedawna serbo-chorwackiego, coraz częściej rozbrzmiewa czeski. Pełno ich wszędzie: opalają się na plaży Bondi, patrzą na daleki horyzont Pacyfiku z Heads u wejścia

do Jackson Portu. Może widzą gdzieś daleko wieże Malej Strany i Hradczański zamek.

Czasem emigranci miewają bardzo dobry wzrok.

G. J. FLEMMING

Dwa procesy

Przemycony ostatnio z Rosji dokument zapowiada dwa nowe procesy. W pierwszym na ławie oskarżonych zasiadą: trzydziestotrzyletni prawnik Jurij Gendler, trzydziestoletni inżynier chemik Lew Kwaczewskij, trzydziestoletni inżynier Anatolij Studentkow, wszyscy trzej z Leningradu. Aresztowano ich 1 sierpnia za zbieranie podpisów pod protestem przeciw *groźbie* interwencji sowieckiej w Czechosłowacji. Dokument określa ich jako „marksistów-dubczekistów”, co zdawałoby się wskazywać na spory oddźwięk „nowego kursu” czechosłowackiego w kołach inteligencji rosyjskiej. Po przemówieniu Kiriły Mazurowa na obchodzie 51 rocznicy rewolucji grozi im wysoki wymiar kary. Jak wiadomo, Mazurow wprowadził nowe pojęcie „pokojoyej kontrrewolucji”, w którym dokument dopatruje się pretekstu do zmiany paragrafu w aktach oskarżenia przeciw opozycjonistom: ma być porzucony art. 190, mówiący ogólnikowo o „działalności antysowieckiej”, na rzecz art. 70 który „działalność antysowiecką” wiąże z bardziej konkretnym „zamiarem obalenia rządu sowieckiego”. Gendlera obciąża dodatkowo fakt, że podczas rewizji znaleziono u niego trzynaście książek „zakazanych” w odpisach i fotokopiach (m.inn. Sołżenicyna, Bierdajewa i Bułgakowa). Przy okazji, dla uprzytomnienia jak rozpowszechniona jest w ZSSR ta forma kolportażu literatury „zakazanej”, dokument przytacza krążący w Moskwie żart. W biurze przepisywania na maszynie zjawia się jakaś starsza kobieta, prosząc o przepisanie czterech tomów *Wojny i pokoju*. Urzędniczka zwraca jej uwagę, że powieść Tołstoja można przecież kupić w każdej księgarni. „To prawda — odpowiada kobieta, — ale w normalnym wydaniu moje dzieci nigdy jej nie przeczytają”.

Samizdat — dodaje dokument — jest teraz ścigany i tępiiony bezlitośnie. Kilka miesięcy temu zbierano w Moskwie podpisy pod protestem przeciw aresztowaniu i zesłaniu do łagrów robotnika Marcenki. Anatolij Marcenko spędził sześć lat w łagrach. Zwolniono go w roku 1966, z okazji 49 rocznicy rewolucji. Przyjechał do Moskwy i napisał książkę *Obozy pracy w naszych czasach: moje świadectwo*. Wydalono go natychmiast z Moskwy, a potem aresztowano i skazano za „naruszenie nakazu przymusowego osiedlenia”. Chodziło naturalnie o coś zupełnie innego: o obawę że maszynopis jego książki wejdzie w podziemny obieg *samizdatu*.

Drugim z zapowiadanych przez dokument procesów będzie proces dziesięciu Tatarów, oskarżonych o wydawanie tajnego pisma. Trudno je właściwie nazwać „tajnym”, skoro wychodzi od dłuższego już czasu i jest regularnie rozsyłane członkom Komitetu Centralnego partii. Ale w ostatnim numerze do uprawianej dotąd przez pismo informacji o życiu Tatarów w ZSSR wkradł się ton oskarżycielski: „Rząd sowiecki okazał się całkowicie niezdolny do rozwiązania problemu narodu tatarskiego”. To wystarczy by dziesięciu Tatarów postawić przed sąd z art. 70 w imię niebezpieczeństwa „pokojoyej kontrrewolucji”.

Muzeum Polonii w Chicago

Z nazwy jest to Muzeum Polskie, albo Muzeum Polonii w Chicago. Założone zostało w 1935 r. przez zasłużoną i starą organizację polonijną, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie (ZPRK) i przezeń jest dotowane. Intencją założycieli było, aby powstała „skarbnica pamiątek z przeszłości Polonii amerykańskiej”.

Po 33 latach istnienia zbiorów trudno właściwie dać temu odpowiednią nazwę. Muzeum? Antykwariat? Archiwum? Kolekcja hobbisty? Wystawa pamiątek czy skarbnica „kultury polonijnej”? Wszystkiego jest tam po trosze. Obok cennych archiwalii i dzieł sztuki, mieszczą się przedmioty o znikomej wartości artystycznej, bądź historycznej, nieraz całkowicie pozbawione walorów wymaganych od eksponatu muzealnego.

Inicjatorem i pełnym poświęcenia organizatorem tego Muzeum był pisarz i działacz polonijny Mieczysław Haiman, który postawił za cel swojego życia zbierać wszystko co się da z poloniców a później... zobaczymy co z tego wyjdzie? Przedwczesna śmierć nie pozwoliła Haimanowi dokończyć zaczętego dzieła. Zdołał wiele nagromadzić, ale już nie zdążył opracować i sklasyfikować zbiorów, by stanowiły jakąś całość odpowiadającą założeniom i randze Muzeum Polonii. Powstał więc przypadkowy zbiór poloniców, wymagający naukowego opracowania, na co nowemu kustoszowi p. J. Walterowi nigdy nie dano potrzebnych funduszy. Potrzebna była także odwaga dokonania selekcji, aby ten zbiór zamienić na Muzeum Polonii. Nie wykazano jej m.in. z winy środowiska tutejszego, które — generalnie biorąc — reprezentuje kulturowe aspiracje i tradycje Polski zaściankowej.

Muzeum Polonii nigdy nie miało dostatecznych środków na zdobywanie cenniejszych poloniców na rynku amerykańskim. Wiele razy wartościowe zbiory (jak np. zbiory I. Paderewskiego z Morges) przechodziły na licytacjach w ręce prywatnych zbieraczy, bo Muzeum Polonii nie miało pieniędzy. Zjednoczenie Polskie Rz.-Katolickie wyasygnowało na potrzeby Muzeum w ciągu 15 lat od 1935 do 1950 r. 133.800 dol., czyli mniej niż po 9 tys. dol. rocz-

nie, co na stosunki amerykańskie jest bez mała niczym. Po 1950 r. dotacje te jeszcze zmalały.

Z tych więcej niż skromnych funduszków utrzymywało się Muzeum i zakupywało to, co się dało nabyć. Największym jednorazowym wydatkiem był zakup w 1941 r. za 24.000 dol. części eksponatów z pawilonu polskiego na nowojorskiej Wystawie 1939 r. Drugim co do wielkości, było kupno za 10.000 dol. zbioru 500 manuskryptów, litografii, obrazów i materiałów kościuszkowskich. Jest to bodaj najcenniejsza pozycja Muzeum Polonii, która ciągle oczekuje opracowania naukowego.

Prócz nabytków, Muzeum bogaciło się otrzymując dary. Wartościowa jest stara Biblioteka i Archiwum Z.P.R.K. ofiarowane Muzeum przez tę organizację. Ciekawy jest zbiór pamiątek po Kazimierzu Pułaskim, Helenie Modrzejewskiej i Ignacym Paderewskim — wszystko cenne przyczynki do historii kultury polskiej w diasporze.

Skromna kolekcja rzeźb i malarstwa polskiego stanowi raczej motyw dekoracyjny, niż przedmiot opracowanej ekspozycji muzealnej. Jest nadto niewielki gabinet polskiej numizmatyki, jest kolekcja strojów ludowych i ilościowo pokaźny dział militariów, dotyczący polskiego wojska na obczyźnie w latach I i II wojny światowej.

I wreszcie, sporo miejsca zajmują różne dary mające upamiętniać zdarzenia z przeszłości, często dary mało wartościowe i zdarzenia mało ważne. Nazwałbym to działem prywatnych pamiątek w Muzeum Polonii. Dla przykładu — wycieczka marynarzy polskich odwiedza Muzeum i na pamiątkę tej wizyty ofiarowuje stare koło ratunkowe z ich statku (*nota-bene* produkcji niemieckiej) które awansuje do rangi eksponatu muzealnego. Eksponatów tego typu można znaleźć sporo. Rozumiem, że zbiera się np. zdjęcia grupowe z wycieczek polonijnych do Polski, bo to jakoś świadczy o łączności Polonii z Polską. Ale nie rozumiem po co wystawia się prymitywny szkolny mikroskop, a obok groszową lupkę, i umieszcza się na tej gablocie dumny napis — „Wyroby polskiego przemysłu precyzyjnego”. Albo wystawia się kilka pustych próbek i tytułuje: „Przemysł chemiczny w Polsce”. Podobne eksponaty mogą tylko budzić współczucie dla ekonomicznego zacofania Polski.

Drugi etap Muzeum Polonii

Mecenat Z.P.R.K. nie zadawała żadnej ze stron. Muzeum nie mogło rozwijać się mając zbyt skromne dotacje a Zjednoczenie nie mogło więcej łożyć i doszło wreszcie do słusznego przekonania, że ciężar utrzymywania Muzeum Polonii powinien być rozłożony na wszystkie organizacje polonijne, na całą Polonię.

Powstaje więc samodzielna placówka (tzw. Korporacja) pn. Muzeum Polskie w Chicago, do której zgłaszają udział ważniejsze organizacje polonijne, desygnując swoich przedstawicieli do Zarządu i Dyrekcji Muzeum. Na czele Komitetu budowy gmachu

dla Muzeum Polonii staje dr A. Rytel, prezes Zw. Lekarzy Polskich w U.S.A. i działacz społeczny przerastający chicagowski partykularz. Jego kilkoletnie wysiłki, aby zachęcić Polonię do zainteresowania się losem Muzeum spełzły na niczym. Wprawdzie Zarząd powołał Komitet Zbiórki na budowę gmachu dla Muzeum, ale Komitet nie spisał się najlepiej wykazując, po paru latach, że zbiórka wśród całej Polonii dała zaledwie 30.000 dol. a koszty zbiórki wyniosły... 32.000 dol., słowem skonsumowano z nadwyżką całą ofiarność społeczną.

W tych warunkach trudno dziwić się oświadczeniu złożonemu prasie przez dra A. Rytle, jakiś rok temu, w którym dał wyraz swojemu rozczarowaniu w następujących słowach: — „Pomyślana teoretycznie prawidłowo, koncepcja Muzeum nie zdała praktycznego egzaminu. Okazało się bowiem, że nadal prawie cały ciężar opiekowania się Muzeum spada na Zjednoczenie, zaś owa okrzyczana jako siła tyłu a tyłu milionów obywateli Polonia nie rozumie, nie docenia i nie martwi się o przyszłość zbiorów. Piękny i szlachetny gest działaczy Zjednoczenia, aby Muzeum przekazać Polonii trafił raczej w próżnię” (*Dziennik Chicagowski* 27. I. 68).

Tyle dr A. Rytel. *Dziennik Chicagowski* od siebie dodaje: — „Zabiegi dra Rytle to przysłowiowe walenie głową o ścianę. Polonia chętnie włączyła się w gadanie i nie skąpiła pochwał dla projektu (budowy gmachu Muzeum), ale nie ruszyła palcem, aby przyczynić się choćby do wstępnych rozwiązań”.

Posłuchajmy teraz przebiegu ostatniej konferencji poświęconej zagadnieniom Muzeum, która odbyła się w 1968 r. Oto co zanotowała prasa z wystąpień przybyłych na tę Konferencję działaczy, polonijnych: — „Prezes Zw. Narodowego Polskiego mec. A. Mazewski mówił o własnych troskach Z.N.P., o wydatkach na Kolegium Związkowe i stwierdził, że Muzeum jest potrzebne, ale nie może nic konkretnego powiedzieć w jakiej formie Z.N.P. będzie mógł pomagać”. Prezeska Zw. Polek — osobiście b. oddana sprawie Muzeum — „powiedziała, że jej organizacja ma swoje problemy socjalne”. Podobnie mówili inni przedstawiciele organizacji chicagowskich.

Po tych mało zachęcających oświadczeniach z Chicago, zabrał głos sekretarz generalny Zjednoczenia Polsko-Narodowego w Brooklynie J. Głowacki i powiedział — cytuję — „Czas jest najwyższy, aby nie zadawała się uchwałami, ale pomagać finansowo. Nasza organizacja nie bogata, ale przeznaczyła na budowę nowego gmachu dla Muzeum 25.000 dolarów i prócz tego można będzie otrzymać i dalszą pomoc”. To było jedyne konkretne oświadczenie.

Konkluzja? — Chicago — tak zwana stolica Polonii — uchyla się od konkretnych zobowiązań a organizacja działająca na wschodzie, w stanie New York daje dużo, jak na swoje możliwości. Również nowojorska Fundacja Kościuszkowska zgodziła się przyznać całoroczne stypendium dla historyka sztuki z Polski, który przybyłby do Chicago i podjął się uporządkować oraz skatalogować cenniejsze zbiory Muzeum Polonii. Wybrany już, z pomocą prof. Lorentza, muzeolog z Warszawy nie mógł dojechać do

Chicago wskutek zawieszenia pod koniec 1968 r. wymiany kulturalnej z Polską.

Uporządkowanie zbiorów Muzeum wydaje się zagadnieniem pilniejszym aniżeli sprawa budowy gmachu dla Muzeum, ponieważ wizualna strona zbiorów nie jest zbyt imponująca a najcenniejszymi pozycjami są kolekcje dokumentów, które — dopiero po uporządkowaniu i skatalogowaniu — staną się przystępne dla amerykańskich naukowców, interesujących się polonicami, a to jest chyba dla nas bardzo ważne.

Natomiast, odpowiedni gmach dla Muzeum — sprawa prestiżowa dla całej Polonii amerykańskiej — to problem ciągle wymagający rozważenia gdzie takie Muzeum powinno stanąć? Czy w Chicago, gdzie Polonia pobudowała 52 duże kościoły, ale nie wysiliła się nawet na jeden porządny Dom Kultury Polskiej, — czy może w innym mieście?

Podobnie traktowana jest w Chicago, istniejąca już blisko 80 lat, Biblioteka Polska Zw. Narodowego Polskiego. Posiada ona (w katalogach) wiele cennych i rzadkich publikacji z końca XVIII wieku, bogaty zbiór poloników z czasów Wielkiej Emigracji, dużo „białych kruków” sprzed pierwszej wojny światowej. Są to kolumby polskich książek, do których prawie nikt nie zagląda a choćby chciał zajrzeć, to nie może. Bowiem katalogi są prawie nie ruszane od 50 lat, zaś cenniejszych i starszych książek, które figurują w katalogach, nie można latami doszukać się na półkach, ani nie wiadomo kiedy i dokąd wywędrowały? Nikogo to nie interesuje. Na przeinwentaryzowanie Biblioteki ani na zakup nowych książek Z.N.P. nie ma pieniędzy. Z.N.P. mający — jak sam podaje — 130 milionów dol. w majątku, preliniuje zaledwie 500 dolarów rocznie na zakup nowych książek i na wydatki materiałowe dla Biblioteki. Jest to kulturowa martwica. Bibliotekę odwiedza w ciągu dnia paru starsuszków-emerytów (którzy nigdy w życiu nie parali się książką) aby w ciepłym pomieszczeniu zdrzemnąć się nad gazetką z ubiegłego tygodnia.

Przypomniałem smutny los Biblioteki Polskiej Z.N.P. bo to jest pokrewna dla Muzeum placówka kulturalna.

Chicago nazywamy chętnie stolicą Polonii Amerykańskiej. Mówimy, że jest to drugie co do wielkości, po Warszawie, miasto polskie na świecie, w którym mieszka od 700 do 800 tysięcy osób polskiego pochodzenia. Moglibyśmy to potwierdzić chicagowską książką telefoniczną w której figuruje około 200 tysięcy polskich nazwisk, albo spisem hipotecznym z którego wynika, że blisko 100 tysięcy właścicieli domów w Chicago nosi polskie nazwiska. Moglibyśmy powołać się na to, że w Chicago mieszczą się największe polonijne organizacje społeczno-ubezpieczeniowe, że w tym mieście ukazują się polskie pisma i że stąd rozchodzą się na całą Amerykę polskie ogórki i wędliny.

Jednakże, czy to są wystarczające kwalifikacje do miana Stolicy Polonii amerykańskiej?

Jeśli stolicą nie jest centrum administracyjne, to powinno być centrum życia kulturalnego i ośrodek oddziaływania na grupę

etniczną. Natomiast tytuł liczebności (legitymowany li-tylko książką telefoniczną) do takiego miana, czy rangi nie upoważnia. Łódź jest o wiele większym miastem niż Kraków, lecz nigdy nie uchodziła za centrum życia kulturalnego kraju. Owszem, Łódź może być stolicą polskiego przemysłu włókienniczego, podobnie jak Chicago może być stolicą polskich instytucji ubezpieczeniowych i chyba niewiele więcej, przynajmniej współcześnie.

O miejsce dla Muzeum Polonii

Jeden z promotorów Muzeum Polonii, red. Z. Stefanowicz, pisał że w U.S.A. jest obecnie 25 znanych prywatnych kolekcji poloników amerykańskich. Ale nie tylko osoby prywatne tym się interesują. Z prasy polonijnej wiemy, że w różnych aktywniejszych skupiskach wysuwane są projekty zakładania muzeów polonijnych. Rozważana jest sprawa utworzenia muzeum polonijnego w Detroit, w New Jersey, w New Yorku, w Pittsburghu, w Doylestown (Pennsylvania), w Filadelfii i w San Antonio w Texasie. Niektórzy projektodawcy pozyskali już protektorów i zapewnili sobie poparcie prywatnych zbieraczy poloników. W tym roku jesteśmy świadkami zabiegów z różnych stron o pozyskanie dużej kolekcji obrazów polskich malarzy (m.in. Jana Matejki, J. Styki) należących do p. P. Michałowskiego, a ocenianych na 80 tys. dolarów, oraz kolekcji monet polskich z Cleveland.

Protektorzy Muzeum Polonii w Chicago są zdania, że te plany świadczą o „nieuzasadnionym lokalnym separatyzmie”.

Niewątpliwie, rozdrabnianie inicjatyw nie jest pożądane, bo za mało jest środków społecznych na popieranie tego rodzaju instytucji i za mało jest poloników w Ameryce. Mimo to, nie można całego zagadnienia sprowadzać do „nieuzasadnionego separatyzmu” jest on bowiem jak najbardziej uzasadniony kulturalną martwością środowiska Polonii chicagowskiej i niewykonywaniem przezeń funkcji ośrodka wiodącego.

Stojąc wobec alternatywy — zrezygnować z aspiracji, które wyjałowiły się, albo reaktywować stołeczną rolę ośrodka polonijnego w Chicago, wybrano to drugie rozwiązanie. Słusznie z ich stanowiska, ale bezowocnie. Zorganizowana w początkach 1968 r. narada 15 czołowych organizacji z różnych skupisk polonijnych, która odbyła się w Cambridge Spring (Pa.) zakończyła się niczym. Konwencja Kongresu Polonii Amerykańskiej zwołana do Cleveland w jesieni 1968 r. dokonała zmian w zarządzie KPA, które wzbudziły nadzieje, że ta — rzekomo — naczelna organizacja wielomilionowej Polonii amerykańskiej wreszcie ożyje, ale ostatnie zebranie nowych naczelnych władz KPA, które odbyło się w Chicago w grudniu 1968 r. nadzieje te rozproszyło. Po pierwsze okazało się, że jest to tylko zespół działaczy chicagowskich, bo z innych terenów prawie nikt nie przyjechał i nie ma po co przyjeżdżać, bo uchwalono budżet na 2 lata pracy KPA (1969-70) w sumie zaledwie 70 tys. dol., tj. po 35 tys. dol. rocznie, i co więcej, jest to budżet defi-

cytowy, bo na ten preliminarz na razie nie ma pokrycia. Po drugie, obrady nowych władz KPA w dalszym ciągu nie rozstrzygnęły czym KPA ma się zajmować a co do niego nie należy.

Wreszcie, z myślą o wzmocnieniu „stolicy” chicagowskiej, doszło w grudniu 1968 r. do reaktywowania Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Stanach Zjednoczonych, który od 10 lat nie dawał żadnych oznak życia, ale mało przemawia za tym, że ta galwanizacja coś pomoże. Jak na razie reaktywizacja odbyła się bez udziału dziennikarzy spoza Chicago.

Wszystkie więc wysiłki w kierunku ożywienia przodującej roli ośrodka chicagowskiego odbywają się bez, albo przy minimalnym, formalnym tylko, udziale przedstawicieli poważnych skupisk polonijnych z terenów wschodnich i zachodnich Stanów Zjednoczonych A.P.

Wychodząc z tych generalnych założeń, postuluję, aby inicjując budowę gmachu dla Muzeum Polonii, czy Domu Kultury Polskiej, czy też Biblioteki Polskiej, albo jakiegokolwiek innego ośrodka kulturalnego o szerszym zasięgu oddziaływania niż lokalne zgromadzenie Polonii, kierować się nie tylko przesłankami historycznymi, lecz również brać pod uwagę dzisiejsze interesy i aspiracje Polonii amerykańskiej.

W odniesieniu do Muzeum Polonii wymagałoby to porozumienia wszystkich ośrodków, które planują — w oparciu o jakieś realia — zakładanie u siebie polonijnej placówki muzealnej. Wątpię, by tym sposobem polonica z całej Ameryki napłynęły do Muzeum Polonii w Chicago, lub by inne ośrodki złożyły się na budowę nowego gmachu dla Muzeum w Chicago. Porozumienie może mieć na celu pozyskanie zgody na stworzenie Muzeum Polonii w Waszyngtonie albo w Nowym Jorku a może w San Francisco, w każdym razie tam gdzie są Uniwersytety i biblioteki zasobne w siły naukowe i materiały do studiów polonistycznych. Jeśli nie osiągnie się tego, pożyteczną będzie współpraca pomiędzy lokalnymi placówkami muzealnymi Polonii, które w dalszej przyszłości mogą się sfuzjonować. Z.P.R.K. ofiarowało swoje Muzeum, całej Polonii, niechże więc cała Polonia zdecyduje gdzie ma stanąć gmach dla tego Muzeum, by mogło ono — ukazując kulturę polską i jej dorobek — służyć całemu społeczeństwu amerykańskiemu a Polonii Amerykańskiej, w jej walce o awans społeczny, przede wszystkim*.

Edward PUACZ

* A może Fundacja Kościuszkowska lub Polski Instytut Naukowy mogłyby przejąć zarówno Muzeum jak i Bibliotekę Z.N.P.? Chętnie zamieścimy wypowiedzi na ten temat przedstawicieli tych Instytucji (Przyp. Redakcji).

O zmianie nazwisk

Ze zjawiskiem zmiany nazwisk spotykamy się wszędzie, szczególnie na emigracji. To sprawa stara jak świat i dotyczy wszystkich narodowości, zwłaszcza w obcym środowisku i kraju. Choć, o ile wiem, socjologowie jeszcze na ten temat nie pisali, dostrzega się pewne niepisane reguły, według których ten proces zachodzi i choć nikt się z góry nie umawiał, ani tych reguł nie klasyfikował, w każdym środowisku są takie same. Wpływa to najwidoczniej już z samej natury ludzkiej i tożsamości pobudek. Dopiero masowość emigracji proces ten zaakcentowała.

Pierwszym, choć różnym w natężeniu zależnie od czasów i warunków, powodem do zmiany nazwisk to mimikra, zewnętrzne upodobnienie się do środowiska w którym przyszło żyć. Już niewolnicy czy wyzwolenicy greccy w Rzymie dodawali sobie końcówki łacińskie, a na pewno nie byli oni pierwsi, którzy tak czynili.

Jeśli szlachcic polski w czasach Odrodzenia jechał do Padwy czy Rzymu — a wtedy była ważna raczej przynależność do klasy niż narodowości, która nie była jeszcze tak skryształizowana jak dziś — dodawał sobie końcówkę międzynarodowej łaciny. Wszędzie wtedy było mniej cudzoziemców, a tym samym dzisiejszej ksenofobii, obcość raczej pociągała, bo było jej mało, zaś przyjezdny rzadko konkurował z tubylcem w walce o chleb, jako że na wojaże mógł sobie pozwolić tylko człowiek zamożny. Ale i wtedy Stwosz stawiał się Stossem (czy na odwrót) by się upodobnić do otoczenia.

Do XIX wieku zjawisko zmiany nazwisk — by się zawęzić tylko do Polaków — było prawie nieznane. Kościuszko został Kościuszką w Ameryce, tak samo Pułaski, Krzyżanowski czy Strzelecki, Palewski i inni w innych krajach. Sadyk-Pasza był raczej zjawiskiem wyjątkowym. W czasach Wielkiej Emigracji — ilościowo niedużej — snobizm pochodzeniowy, czy warstwowy grał o tyle, że dodanie sobie „de” przed nazwiskiem, czy urojonego albo prawdziwego tytułu hrabiowskiego — od razu cudzoziemca umiejscawiało w pewnej grupie społecznej. Wyjątki mogły być i były wszędzie, ale dopiero natężenie emigracyjnych ruchów w połowie XIX wieku i najazd tzw. „ludzi prostych” do wielu krajów, nadał zjawisku zmiany nazwiska cech, może nie masowych, ale ilościowo zaakcentowanych. I to nie od razu, a dopiero z biegiem czasu, gdy do głosu dochodziła powoli ksenofobia tubylców i walka o chleb, które do tego nakłaniały. Antagonizmy i nacjonalizmy, kryzysy gospodarcze, tempo i styl życia, a nawet coraz częstsze zaburzenia społeczne i psychiczne — wszystko to razem sprawało że proporcje i kształty zagadnienia stawały się coraz wyrazistsze.

Jeśli chodzi o polskie podwórko to warto dodać, że pierwszym zjawiskiem masowego zmieniania nazwisk było, już za czasów Marii Teresy i potem Józefa II, ziemczanie na rozkaz władz austriackich w Galicji nazwisk polskich Żydów. Od tego czasu datują się owe — humorystyczne w pojęciu austriackich urzędników — Liebeskindy, Sussmanny, Pommeranze i Aprikosenkranze.

Jakie są linie po których dziś, w krajach anglosaskich, odbywa się zmienianie nazwisk polskich na angielskie, amerykańskie, australijskie i kanadyjskie?

Jeżeli Jan Krawiec zmienił nazwisko na John Taylor, a Paweł Kowal na Paul Smith, to ma tu się do czynienia z jakąś prostą logiką. Taki osobnik przetłumaczył sobie nazwisko i imię i dalej może być czymś czym był, tyle że w innym języku.

Jeżeli jednak Przemysław Szczepczyński — a te dane są prawdziwe — zmienił nazwisko na Percy Stebbins, to od razu widać, że zatrzymał inicjały, bo ma poznaną bieliznę, walizki, czy inne rzeczy monogramami i tak mu łatwiej pamiętać. Jasne też, że jego nawet ładne nazwisko po polsku, po angielsku jest cholernie trudne i dziesiątki kangurów łamały sobie sztuczne zęby przy „spelowaniu” tego „dziwolągu”.

Często też spotykamy się ze skracaniem długich nazwisk Paździerzynski, lub Pawłowski na Pasky; Kruszyński, albo Kruczkiewicz obcinają sobie większość liter z końca nazwiska na Kru, Crush, Crutch.

Znam wypadek że znany architekt postanowił zmienić nazwisko, bo jego własne długie i szeleszczące, nie nadawało się na krótką wywieszkę. A że nie miał w rodzinie — matki, teściowej, czy innych powinowatych, albo babek o nazwisku brzmiącym z cudzoziemska (zmiany nazwisk na takie, trochę rodzinne, też się praktykuje), przeto poprosił do siebie kolegów i przy wódce wybrano kilka nazwisk z książki telefonicznej; o drugiej nad ranem pani domu wyciągnęła z kapelusza jedną kartkę z nazwiskiem i tak już zostało.

Poza tłumaczeniami znaczeniowo (Piechotka — Walker, Morgenstern — Morley, Wilczyński — Wolfman itp.) spotykamy się z ze zmianą pisowni, szczególnie gdy idzie o nazwiska niemieckie: Frei — to Fry, Stein — to Stone, Szmidt — to Smith itd.).

Często w niektórych firmach i stanach były tego rodzaju naciski, aby ludzie na wysokich stanowiskach zmieniali nazwiska na angielskie. W kołach jednak swoich, polskich czy żydowskich, dalej istnieją oni pod swymi dawnymi nazwiskami, co nieraz prowadzi do zabawnych nieporozumień. Częściej jednak zmieniano nazwisko z własnej woli, dla wygody, lub z przeświadczenia, iż tak będzie lepiej. Nieraz też — nie śmiecie się — zmieniano nazwisko dwa razy, by na nierzadkie pytanie: *a jak się pan nazywał przedtem?* — móc odpowiedzieć: *Chester*. Wszystko to samo widzi się również u emigrantów z innych krajów.

Procent zmieniających nazwisko na angielskie wśród tak zwanych „ludzi prostych” jest minimalny, bo każdy woli już umrzeć

tym czym był; dużo częściej spotyka się to zjawisko wśród inteligencji pracującej, wolnych zawodów i na wyższych stanowiskach. Ale były wypadki powrotu do dawnych nazwisk: ludzie źle się czuli w cudzych piórkach, lub napotykali na kpiny własnego środowiska, albo nawet mieli patriotyczne wyrzuty sumienia czy zaburzenia psychiczne. Tym bardziej, że ksenofobia u Australijczyków (w tym wypadku) w niektórych stanach zanika z dużym napływem emigrantów innych narodowości. Nowokreowany Smith, gdy miał pralnię, znosił swe nazwisko dobrze, ale gdy otworzył sklep z delikatesami, nazwisko Smith było mu zawadą. Dziś nazywa się Zabrzeski (ciągoty do szlacheckich nazwisk nie zanikły i równe Kurki i Ptaszki zmieniają nazwiska na kończące się na *ski*, czy *wicz*) bowiem nazwisko Zabrzeski jest dla klientów gwarancją, że na kontynentalnych delikatesach, ogórkach, wędlinach i serach zna się on lepiej niż tutejszy Smith. Warto dodać, że podobnie jak po Legionach zachowuje się dziś jako nazwisko dużo pseudonimów powstańczych i partyzantycznych. Tak samo większość Żydów, przechowywanych na aryjskich papierach zachowała — często nawet z dumą — polskie nazwiska z fałszywych metryk i Kennkart.

Podobnie jest z imionami. To że Jan został Johnem, a Andrzej Andrew — to proste i codzienne i logiczne. Gorzej było z niezwykłymi dla Anglosasa imionami jak Władysław (samorzutnie prawie zawsze Walter, rzadziej Warwick), Czesław (Chester, lub Chris), lecz co zrobić z takimi imionami jak Przemysław, Zenon, Wiesław, Zbyszek itp.? I znowu samorzutnie wyklarował się ciekawy i niewytłumaczalny schemat: po jakich drogach idzie ludzka pomysłowość. Bo choć nikt o tym nie pisał, ani się nie umawiał, Wiesław prawie zawsze będzie Vic. (Szczególnie że Australijczycy lubią skróty imion), Wojtek prawie zawsze Barry (choć Adalbert lub Albert byłoby logiczniejsze), to samo jest ze Zbyszkami, Zenkami i Zdziškami — wszyscy na Z — to Barry. Że Stanisław to Stanley, a Tadeusz to Teddy — to jasne. Kazimierz to rzadko Casimir, częściej natomiast będzie skrótowo Chris, lub Kaz.

Mój znajomy Gidek Czarny jest Żydem i zawsze to z dumą podkreśla, tak samo jak i to że pochodzi z Polski. Gidek (z Gideona zrobił tylko Leona, ale nazwiska nie zmienił ani na Schwarz ani na Black) ma fabrykę swetrów, czyli pracuje w dziale przemysłu, jaki tu po angielsku dziś nazywa się *szmates*. Współpracuje od lat z pewną wielką bawełnianą firmą australijską i zawsze z jej manadżerem kredytowym rozmawiał po angielsku. Nazwisko tej szyszki było bardzo angielskie, coś w rodzaju Wigglesworth, czy Kinsburgh. Kiedyś Gidek miał jakieś trudności i prosił o kredyt, a tam mu odmówiono. Więc Gidek, nieodrodny syn polskiej, ziemi zaklął po polsku, co w rodzaju: a szlag by was trafił, kangury, cholera, bo musiał sobie ulżyć. Na to ów manadżer kredytowy: To pan z Polski? Ja też, byłem lotnikiem polskim w Anglii.

— I pan ma takie angielskie nazwisko?

— A, bo zmieniłem — odparła szyszka.

— A widzi pan, zaśmiał się Gidek, a ja choć Żyd, to nie zmieniłem polskiego nazwiska.

Zawstydzony facet od razu dał mu większy kredyt niż Gidek o to prosił.

Zawodowy oficer armii australijskiej, por. Cieśniewski, kiedy go władze zwierzchnie próbowały namówić na zmianę nazwiska, odparł z uśmiechem: „Było w armii amerykańskiej kilku generałów z polskimi nazwiskami, to może być i w armii australijskiej porucznik, zresztą o łatwiejszym dla was do wymówienia nazwisku niż Kościuszko. Zwierzchników aż zatkało i powiedzieli: „Sorry!”

„Latający Doktor” Wilczyński z Flying Doctor Service, oblatający samolotem północno-zachodnie połacie pustynnej Zachodniej Australii, na pytanie czy Australijczycy nie łamią sobie języka przy wymawianiu jego nazwiska, odparł: „Jeśli sobie złamię, to im zeszyję, bom lekarz!”

Ogólnie biorąc największe natężenie zmiany nazwisk już przeszło, bo i ksenofobia zelżała w dobrobycie, a usługi lekarza, kupca, czy architekta o obcym nazwisku często są gwarancją jego lepszości, czy większej wiedzy.

Gdy jest dobrobyt, tolerancja i wolność — zmiany nazwisk nie ma. Istnieje ona głównie w warunkach trudności gospodarczych, czy politycznych i pierwszego aklimatyzowania się w nowe życie. A potem wszystko — jak zawsze — rozchodzi się po kościach. Z biegiem lat znowu tylko nowoprzybyli myślą czasem o zmianie nazwiska, z tych samych powodów, co dawniej tu osiadli.

Andrzej CHCIUK

Sprawy Polaków

Krajowiec wśród emigrantów

25 lat upływa od czasu kiedy to Polacy rozpoczęli wypatrywać na zachodniej granicy białego konia na którym na czele swych oddziałów wkroczyć miał Generał. Wtedy byli to „nasi” w przeciwieństwie do „nich”, którzy z Lublina przenosili się do Warszawy. Również ci, którzy znaleźli się po drugiej stronie z dnia na dzień czekali na powrót „do siebie”. Historia jednak potoczyła się odmiennie. Po kilku latach ruchu w obie strony żelazna kurtyna zapadła ostatecznie. Ci, którzy znaleźli się po stronie wschodniej stworzyli (czy też im stworzono) Polską Rzeczpospolitą Ludową, ci z drugiej strony pogodzić się musieli ze statusem politycznych emigrantów.

Historie obu społeczeństw potoczyły się odmiennie. Jak obecnie, anno domini 1968, wygląda stosunek obu tych społeczeństw? Co jedni o drugich sądzą? Czego się spodziewają?

Jako ten, który w chwili zapadania kurtyny znalazł się po stronie wschodniej pokusić się mogę o odpowiedź wyłącznie na pierwsze z postawionych tu pytań. Mówiąc o kraju mam na myśli ludzi w pobliżu mego pokolenia, tych których świadomość kształtował byt w Polsce Ludowej. Ponieważ jednak jest to grupa wśród mieszkańców Polski obecnie najliczniejsza, będąca za parę lat o losach Polski decydować, sądzę, że generalizacja taka nie stanowi wielkiego błędu zwłaszcza, że świadomość tej grupy pokoleniowej (w sensie dosłownym są to już dziś dwa pokolenia — 40-latki i 20-latki) jako podstawowej, wpływa również zdecydowanie na poglądy starszej generacji.

Mówiąc o emigracji mam na myśli emigrację polityczną nie zaś ogół Polonii, przy czym kryterium jest nie tyle status formalny, paszport bezpieczeństwa czy obywatelstwo obcego kraju, co raczej stosunek do kwestii politycznych i zaangażowania w sprawy Polski.

Emigracja, co często uchodzi jej uwadze, traktowana jest przez większość „krajowców” jako monolityczna jedność. Wieści, że na emigracji istnieją poważne rozbieżności i spory polityczne traktowane są nie tyle z niedowierzaniem, co raczej jako dowcip.

Nic w tym dziwnego. Dla ludzi ukształtowanych w atmosferze „jeden naród, jeden rząd, jedna partia” możliwości głębszych podziałów wśród tych których przecież łączy wspólna szczerza niechęć do obecnych władców Polski, wydają się nieprawdopodobne. W tym też kierunku działa cała propaganda, uchwycenie zaś różnic możliwe by było tylko przy bardziej wnikliwej obserwacji, co z przyczyn oczywistych jest niemożliwe.

Trudno by pan Kowalski, przyjeżdżający na dwutygodniowe odwiedziny do krewnych do Londynu, zorientował się natychmiast w skomplikowanej mozaice emigracyjnej polityki. Myślenie kategoriami politycznymi obce jest Polakom *a priori* a co dopiero Polakom mieszkającym w kraju, w którym samo takie myślenie uważane jest jeśli nie za przestępstwo to w każdym razie za dowód „politycznej naiwności”.

Owszem, przy pewnej dozie wnikliwości ów pan Kowalski zauważyć może różnice w nasileniu ataków na obecne kierownictwo, zauważyć może różne strony skąd ataki te padają, jednak będą to zawsze różnice ilościowe nie jakościowe.

Wolna Europa, jedyna emigracyjna instytucja mająca szerszy wpływ na kraj, stara się również wszystkimi siłami całą emigrację i to z Polonią włącznie przedstawić jako połączoną wspólną do komunistów niechęcią, zjednoczoną całość. Nic więc dziwnego że odium poglądów czy działania jednej czy kilku emigracyjnych grup spada w opinii krajowej na całość emigracji, podobnie jak np. antysemicka afery w oczach społeczeństw zachodnich obciąża Polaków, a nie tylko znajdujący się u władzy aparat, choć przecież podział na władców i poddanych w krajach na wschód od Łaby daleko jest silniejszy niż najdalej nawet idące rozbieżności wśród politycznych działaczy emigracyjnych.

Między ogółem emigracji a krajem powstała bardzo głęboka przepaść. Przepaść dużo głębsza niż ta, która powstać musiałaby w sposób naturalny, obiektywny, w wyniku upływu 25 lat życia w odmiennych warunkach. Emigracja i kraj są to dwa pokolenia, lecz znów różnice dzielące te pokolenia są dużo głębsze niż te, które dzieli francuskiego *bourgeois* i jego syna wymachującego książeczką Mao czy portretem Che Guevary. Tamci dwaj, jak dalece ich poglądy byłyby rozbieżne, żyją w tej samej strefie kulturowej, ich obraz świata ukształtowany został na podstawie tych samych, choć nieraz diametralnie rozbieżnie interpretowanych informacji.

W przypadku emigracji i kraju rzecz ma się odmiennie. Istnieje ponadto, może nie zawsze uświadomiona, jednak głęboko tkwiąca w podskórnych warstwach świadomości zawiść, wynikająca z różnic w poziomie życia. W tym miejscu wielu emigrantów, z trudem na *Assistance Board* wiążących koniec z końcem, może

się oburzyć czyszcząc jednak zęby pastą colgate czy goląc się żyłkami silver nie zdają sobie sprawy, że te drobne przedmioty to w Polsce synonimy jeśli nie luksusu, to w każdym razie możliwości. No a do tego dochodzi tak normalny na Zachodzie, a w Polsce zaś otoczony tak wielopiętrowo rozbudowaną mitologią przedmiot jak samochód, nie mówiąc już o własnym domku czy kilkupokojowym mieszkaniu.

Wszystko to jednak, z wyjątkiem może ostatniego, są to czynniki obiektywne, które gdy obie strony są ich świadome i wykazują dobrą wolę nie powinny stanowić trudności nie do pokonania w znalezieniu jeśli nie wspólnego to w każdym razie zbliżonego języka. Niestety ze świadomością tą nie jest najlepiej, a narastające w konsekwencji urazy powodują, że w wielu wypadkach już nie wspólny język ale nawet dialog nie jest możliwy.

Przykładem najbardziej typowym jest tu „Londyn”. Polak przyjeżdżający z kraju do stolicy Wielkiej Brytanii i obserwujący środowisko emigracyjne chociażby przez lekturę *Dziennika Polskiego* czuje się jakby w wehikule czasu przeniesiony został do Polski lat 30-tych.

Panowie rozważający ze śmiertelną powagą przyszłe losy Lwowa czy Wilna, czy planujący — co podają na odpowiedzialność przyjaciela, który właśnie z Londynu powrócił — przebudowę Pałacu Kultury na... kościół N.M.P., muszą wydać mu się takim samym zabytkiem jak dagerotypy panów w encyklopediach czy w daimlerowskich samochodach. Dobrze jeszcze jeśli pomyśli o nich z sentymentem, jak starzy górale o cysorzu...

Gdy jednak panowie ci usiłują go przekonać a bezowocność swych wysiłków kładą na karb „komunistycznej indoktrynacji” jakikolwiek dialog przestaje być możliwy.

Wracają więc rodacy do kraju i opowiadają, że ta emigracja, heroiczna we wspomnieniach z dzieciństwa czy opowiadaniach rodziców (biały koń!), to jeden wielki cyrk. Kilka co smaczniejszych wyjątków z wypowiedzi londyńskich polityków wystarcza za dowód.

W tej sytuacji propaganda krajowa nie ma zbyt wiele do roboty nic więc dziwnego, że tzw. emigracji londyńskiej poświęca bardzo niewiele uwagi, a nawet zdobywa się na większą wyrozumiałość niż *vox populi*. W walce o rząd dusz nie jest to już żaden przeciwnik.

Londyn nie jest więc na ogół atakowany; nie ma tu z kim walczyć, a ataki rozdrażnić by mogły ogromne masy Polonii, które choć bardziej ideowo związane z Londynem niż z Warszawą, dla tej ostatniej stanowią czynnik niezmiernie ważny, choćby ze względu na płynący do kraju potok „cennych dewiz”.

Ale również i na emigracji są groźni politycznie przeciwnicy i na nich skupia się wysiłek walki propagandowej. Myślę tu przede wszystkim o radiostacji „Wolna Europa”.

Znaczenie monachijskiej rozgłośni jako źródła informacji jest bez wątpienia ogromne. Już samo jej istnienie wywiera presję na krajowe środki masowego przekazu, dysponenci ich bowiem

muszą się liczyć z tym, że każdy podany fakt może być z łatwością zweryfikowany. Ponadto Free Europe tworzy namiastkę wolnego obiegu informacji, swobodnej prezentacji różnorodnych poglądów i w ten sposób pobudza naród, a w każdym razie co bardziej świadome odłamy narodu, do myślenia.

I to właśnie jest dla rządzących Polską najgroźniejsze. Nie reakcyjne instytucje czy spiski a swobodna wymiana informacji i poglądów stanowią dla rządzącego aparatu największe niebezpieczeństwo. Rumunia mogła bezkarnie nawiązywać stosunki z N.R.F. i prowadzić bez przeszkód politykę *enfant terrible*; w Pradze, gdy tylko zniesiono cenzurę natychmiast pojawiły się opancerzone transportery.

A jednak roli Wolnej Europy nie można porównać, jeśli jesteśmy już przy Czechosłowacji, do tej jaką odegrały np. *Literarni Listy*.

I to nie ze względu na zasięg, radiostacja bowiem ma zawsze o wiele więcej potencjalnych słuchaczy niż jakiekolwiek pismo, nie mówiąc już o niskonakładowych tygodnikach. Grają tu rolę czynniki psychologiczne z których, obawiam się, monachijscy redaktorzy nie zawsze zdają sobie sprawę.

Pierwszy z tych czynników starałem się wyłożyć powyżej. Wolna Europa to emigracja, a emigracja to „oni”, tacy sami oni jak ci, którzy podnoszą ceny mięsa, czy wysyłają wspomniane już opancerzone transportery do Czechosłowacji. Jednak z tymi drugimi mieszkańców Polski łączy bardzo wiele, z pierwszymi poza ciekawością nic, a wręcz przeciwnie, wiele dzieli.

Oburzyć się może ktoś — no tak, ale „oni” z Polski opowiadają bzdury, prowadzą już nie głupią ale wręcz zbrodniczą politykę, a w dodatku są marionetkami w ręku Rosji. Być może, na co dzień się jednak o tym nie pamięta, bo nie może się pamiętać z higienicznych wręcz pobudek, zaś najprzeróżniejsze drobne sprawy łączą silniej niż największe nawet słowa.

20 lat obcowania z krajową prasą, z jednym krótkim październikowym interludium, wyrobiło w polskim czytelniku głęboki sceptycyzm do wszystkiego co oficjalnie podawane jest do wiary, i każde zdanie, choćby z lekka trącające ideologią, przyjmowane jest *a priori* z głęboką podejrzliwością.

W tym stanie rzeczy opakowanie podawanych treści jest równie ważne jak ich jakość. Przyznać trzeba, że wiele w tej dziedzinie w Radio Wolna Europa uczyniono i zewnętrznie audycje różnią się dość znacznie od tych, które podawano w czasach „wiadomości dobrych czy złych ale zawsze prawdziwych”.

Jednak owe zmiany nie objęły wszystkich audycji, a ponadto w wielu wypadkach zbyt są powierzchowne. Gra tu rolę również sama jakość audycji. Jak wszędzie, są tu fragmenty lepsze i gorsze, przy czym, co najzabawniejsze, stricte polityczne audycje są dużo lepsze niż te które z polityką czy ideologią nie mają nic wspólnego, a stanowić właśnie mają owo opakowanie. Zresztą różnice jakościowe wynikają z prostej zależności statystycznej ilości ludzi parających się ideologią po obu stronach barykady

(przy czym nie zawsze ci po stronie wschodniej myślą to co piszą, ale to już inna sprawa).

Na tym jednak trudności w zdobyciu krajowego słuchacza się nie kończą. Rozbieżności sięgają głębiej niż używanie słowa radziecki czy sowiecki na określenie naszego wschodniego sąsiada. Ogólne rozeznanie sytuacji w kraju jest wśród pracowników radia Wolna Europa dość dalekie od rzeczywistości.

Sądząc z audycji Polacy jawią im się jako społeczeństwo dycho tonicznie podzielone na bliżej nieokreślony, pełen cnót i zalet „naród” oraz siedlisko wszelkiego zła, rakową tkankę na ciele tegoż narodu — partię.

Jest to projekcja stanu rzeczy sprzed lat dwudziestu kilku, w roku 1968 niemająca wiele wspólnego z rzeczywistością.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, cokolwiek byśmy o niej nie myśleli, jest w przeciwieństwie do powojennej PPR, organiczną częścią społeczeństwa. Jest rzeczą naturalną, że w ciągu tak długiego okresu czasu, z pałdziernikiem włącznie, aparat władzy zrósł się z całym społeczeństwem taką ilością powiązań, że tak prosty podział nie jest możliwy. Co trzydziesty, a z ZMS'em licząc co dwudziesty Polak jest członkiem owej Partii, ponadto owe nici powiązań tak są splątane, że taki podział nie jest przydatny nawet jako model.

I wreszcie pojawiający się od czasu do czasu ton mentorski — „my wiemy lepiej” — jest dla wielu denerwujący, a „rewelacje” uciekinierów z kraju, nie mających na ogół nic do powiedzenia, nie mających pojęcia o tym jak należy mówić a starających się ze wszystkich sił dostosować do światopoglądu swych nowych mocodawców, są wręcz nie do strawienia. I wreszcie *last but not least* — siedziba.

Jest to czynnik bodaj najważniejszy, najczęściej przez propagandę krajową eksponowany i najczęściej też trafiający do przekonania. Wielu wybaczyłoby Wolnej Europie amerykańskie pieniądze, nie zwracałoby uwagi na cytowane wyżej, trudne nieraz do strawienia cechy programów, nie wybacza jednak faktu, że rozgłośnia ta działa w Niemczech. Antyniemiecki szowinizm w Polsce, jak każdy szowinizm, jest rzeczą wstrętną, jest jednak rzeczywistością polityczną z którą trzeba się liczyć, o czym tak doskonale wiedzą obecni władcy Polski zaprzęgający ów szowinizm na swą służbę z zadziwiająco dobrymi skutkami.

Niemiecki adres Wolnej Europy nie tylko zraża wielu potencjalnych słuchaczy lecz wzbudza podejrzliwość do podawanych wiadomości, podświadomą niechęć przez którą niejednokrotnie filtrowana jest treść audycji. Iluż jest takich, którzy po wysłuchaniu wiadomości przekreślają gałkę odbiornika gdy tylko rozpoczyna się komentarz. Wiadomości Wolnej Europy często krążą po kraju w zmienionej wersji i podawane jako przecieki „z góry” przyjmowane są z większym zaufaniem niż, gdyby podano ich pochodzenie. „Warszawy Zachodniej” słucha się zwłaszcza w momentach kryzysowych (których to w ostatnim roku było aż nad-

to); odgrywa ona rolę ogromną, jest to jednak raczej działanie *à rebours*, o rzeczywistym dialogu, o tym by mogła ona być partnerem do dyskusji, trudno mówić, w każdym razie w kręgu inteligenckiej młodzieży.

Jedynym środowiskiem emigracyjnym, które taki dialog mogłoby z powodzeniem nawiązać, zarówno z racji swych ideologicznych poglądów jak i sposobu myślenia, jest Paryska *Kultura*. Dzięki niezwykle wysokiemu poziomowi, takim piórom jak Gombrowicz (tak doskonale w kraju rozumiany!) Grudziński czy Miłosz, dzięki licznym kontaktom osobistym, zdobyła sobie *Kultura* w pewnych intelektualnych kręgach znaczny autorytet. Jednak krąg ten, choć nie bez znaczenia, jest bardzo wąski, na szerszą skalę mówić można raczej o potencjalnych szansach dialogu niż o sytuacji realnie istniejącej.

Nie można bowiem zapominać o owej tendencji traktowania całej emigracji *en bloc*.

Sytuacja Instytutu Literackiego jest niezwykle trudna. Instytucja skierowana na kraj, działa na emigracji i od tejże emigracji zależy jej byt materialny. Zresztą *Kultura*, mimo swego zainteresowania sprawami krajowymi, uważa się jednak za organ emigracji, stąd też wiele treści dla czytelnika krajowego egzotycznych, nieraz wręcz nie do przełknięcia. Sądzę, że podobnie jest w wypadku wielu czytelników emigracyjnych, przy czym dotyczy to nie tylko fragmentów „wewnątrz krajowych”, lecz również i innych działów pisma. Nie bardzo bowiem mogę sobie wyobrazić godzenia lektury „Dziennika” Gombrowicza i londyńskiego *Dziennika Polskiego*. Tylko wyjątkowej zdolności redaktorów przypisać można fakt, że te sprzeczne tendencje w ogóle są godzone na łamach tego pisma. Ogólna, i powiedzmy historyczna rola *Kultury* jest bezwątpienia ogromna. Jednak jej doraźne wpływy, choć na pewno istnieją, wydaje mi się, przeceniane i to zarówno w Maisons-Laffitte jak i w Białym Domu na rogu Alei i Nowego Świata. Przyczyny tego błędu tkwią w tym, że zarówno w jednej jak i w drugiej instytucji dostęp do wszystkiego co Instytut Literacki wydaje zaciemnia fakt, że dla szerszej opinii możliwości te są niezwykle utrudnione.

Władysław Gomułka czy też Walery Namiotkiewicz, który za niego myśli w sprawach bardziej skomplikowanych, widząc zbieżność między tezami manifestujących studentów a poglądami Juliusza Mieroszewskiego, połączył ich w jedno towarzystwo. Zdziwiłby się jednak gdyby wiedział, że większość manifestantów jeżeli wie o istnieniu, to w każdym razie o poglądach Mieroszewskiego dowiedziała się po raz pierwszy z jego ust. No bo i skąd mogli je znać?

Egzemplarze wydawnictw paryskich zgromadzone w polskich bibliotekach są dla szerszego ogółu niedostępne, podobnie jak inne egzemplarze, docierające drogą oficjalną.

Pozostaje przemyt, ale na to jednak, mimo że książki *Kultury* w Paryżu czy Londynie otrzymać można bez trudu, decyduje się niewielu. Już to, że procent mieszkańców Polski bywających w

tych stolicach jest niewielki, ale nawet ci, którzy bywają, tak są wyczerpani walkami o paszport i tak są z niego dumni, że o każdej czynności mogącej ich go pozbawić myślą jak diabeł o święconej wodzie; jedyną koncesją bywają płaszcze ortalionowe czy swetry-bliźniaki.

Wokół czytania wydawnictw *Kultury* powstała atmosfera ciężkiego przestępstwa i mimo, że nie oparta na żadnych realnych faktach, zapadła głęboko w świadomość podróżujących z Polski rodaków.

Owszem, były już procesy o *Kulturę*, jednak w każdym z tych wypadków chodziło o coś zupełnie innego, a doświadczenia uczą że wielu takich, którym kilkakrotnie „bibułę” skonfiskowano, podróżuje swobodnie, inni zaś, bojący się nawet wejścia do polskiej biblioteki zadawałać się muszą Mazurami czy Sopotem.

Jednak atmosfera ta, umiejętnie przez propagandę krajową hołubiona powoduje, że szmuglując bibułę strzec się trzeba nie tylko celników-ubeków lecz także niejednokrotnie współtowarzyszy podróży.

Atmosfera ta również jest powodem, dość ograniczonego kolportażu tych egzemplarzy, które zabrane z Paryża czy Londynu nie wylądowały w bibliotekach MSW (a tych jest co najmniej 50 procent).

I tu rozpoczyna się błędne koło. Czytając *Kulturę* sporadycznie, od przypadku do przypadku, czytelnik krajowy nie może rozróżnić, że „oni” w Paryżu to jednak nie to samo co „oni” w Londynie czy w Monachium i że Juliusz Mieroszewski równie daleki jest od myśli o przeróbce Pałacu Kultury co każdy czytelnik *Przekroju* czy *Polityki*. Podświadoma niechęć i sceptycyzm działają, choć może nie w tym stopniu co w wypadku Wolnej Europy, a stałe łączenie tych dwu instytucji w jednym zdaniu przez krajową propagandę też nie jest bez znaczenia.

Do tego wszystkiego dochodzi czynnik, który nazwałbym podświadomą samoobroną, higieną psychiczną. Kontakt z emigracyjną publicystyką myślę tu oczywiście wyłącznie o publicystyce z pozycji *Kultury*, narusza ustalony i z trudem wypracowany porządek myślenia. Ukazuje polską rzeczywistość w nowym świetle, wydobywa szereg cech, które, jako że obcuje się z nimi na co dzień, przestały rzucać się w oczy i usunięte zostały z „codziennych” warstw świadomości. Podobnie jak marcowe demonstracje studentów, czy czołgi na ulicach Pragi, burzą z trudem w ciągu lat wypracowaną ideologię przystosowania.

Nic dziwnego, że wielu pacjentów broni się przed taką kuracją. Czytelnik taki, nawet jeśli *Kulturę* do ręki weźmie (co *Oni* tam piszą?) podatny jest w tym stanie ducha na niechęć i krytykę. Wyszukuje tezy i sformułowania nie do przyjęcia, od których *Kultura* także nie jest wolna i z nutą ulgi a nawet triumfu wyczytuje a nawet, jako wtajemniczony, kolportuje zdania „taka sama propaganda jak nasza, tylko z drugiej strony” lub „siedzą zagranicą i opluwają”. Oczywiście natężenie tego typu reakcji jest różne, a podane tu przykłady reprezentują skrzydło skraj-

ne, jednak owa niechęć w połączeniu z tym wszystkim o czym mówiłem na początku o emigracji jako takiej, istnieje.

Oczywiście wszystkie omówione tu trudności nie są nie do pokonania czego najlepszym dowodem jest choćby ten artykuł, jednak sądzę, że uświadomienie sobie tych kompleksów, uraz i niechęci, może być bardzo pomocne w dalszych stosunkach na linii kraj-emigracja, do czasu, gdy *Kulturę* kupować się będzie w kioskach Ruchu, a Wolna Europa przestanie być potrzebna.

Jan MATIS

Ostatnio nabrzmiewa szereg problemów, których przedyskutowanie wydaje się sprawą i ważną i pilną. W pierwszym rzędzie do takich zagadnień należy zaliczyć: rolę polityczną emigracji i stosunek emigracja-kraj, literaturę i politykę czy rolę Kościoła w życiu polskim (na emigracji i w kraju). W tym celu artykułem Jana Matisa otwieramy w Kulturze nowy dział pt. „Sprawy Polaków”.

Inne sprawy są szkicowo poruszone w bieżącej Kronice Angielskiej oraz w liście do redakcji Czesława Miłosza, zamieszczonym w nrze 255-tym z grudnia ub. roku.

Rocznica Odrodzenia Polski w Radio Francuskim

Przyjęta przez kulturalny program francuskiego radia (*France Culture*) zasada uświetniania ważnych rocznic całodziennymi programami monograficznymi jest z pewnością pomysłem nader szczęśliwym.

Spośród ostatnich realizacji tego rodzaju program poświęcony pamięci Guillaume Apollinaire'a (10. XI. 68) w pięćdziesiątą rocznicę śmierci poety był niewątpliwym wydarzeniem. Zdołał on mimo znacznej odległości czasu bardziej przybliżyć nam jego postać niż zdołałaby tego dokonać choćby najlepsza, jeszcze jedna publikacja tekstów krytycznych i wspomnień.

Podobnie program *journée*, poświęcony 30 listopada 1968 r. pięćdziesięcioleciu odrodzenia Polski niepodległej, w pełni chyba zdołał podkreślić wagę tego wydarzenia dla najnowszej historii Europy.

Program ten opracowany przez Bronisława Horowicza, jednego z najwybitniejszych działających we Francji reżyserów radiowych i teatralnych, wydaje się być oparty na trafnej równowadze tematów historycznej i politycznej publicystyki oraz panoramy polskiej kultury. Uniknięto też szczęśliwie zwykłej w takich okazjach „klęski nadmiaru” opierając kulturalną część programu na wartościach tych sztuk, które można bezpośrednio przekazać środkami radiowymi, unikając jednocześnie mówienia o rzeczach i sprawach których opis musiałby zastąpić kontakt z oryginałem. Tak więc jedynie teatr, proza i poezja oraz muzyka w różnych postaciach przedstawione zostały w szerokiej panoramie.

Jeśli do tego dodamy staranność realizacji większości audycji, wypełniających w sumie całodzienny program od godz. 9-tej do 24-ej, całość przedsięwzięcia daleka była z pewnością od tych bez przekonania celebrowanych, oficjalnych „galówek” z okazji tej czy innej rocznicy.

Wszystko to oczywiście nie znaczy, że omawiany program był pod każdym względem idealny i że nie pozostawiał niczego do

zyczenia. Wydaje się jedynie, że wysiłek i dobra wola realizatorów są tu poza wszelką dyskusją.

Ze względu na realia polityczne ostatnich miesięcy zrezygnowano też z bardziej bezpośredniego udziału polskich instytucji oficjalnych, na czym zresztą chyba program skorzystał. Sądząc bowiem z tych elementów w których ów udział został bezpośrednio zaakcentowany, efekty nie byłyby budujące.

Próbę tego dał pierwszy program publicystyczny „Le monde contemporain”, prowadzony przez francuskich dziennikarzy radiowych; J. de Beer i F. Crémieux, a w którym wzięła też udział kilkusobowa grupa polskich publicystów i działaczy.

Wprawdzie nieobecni byli między nimi czołowi przedstawiciele sfer „partyjno-rządowych” tym niemniej jednak toczona dyskusja dawała doskonały obraz stosunków. Dłuższe kwestie ekonomisty, prof. Rączkowskiego z warszawskiej SGPiS czy J. Dziubińskiego, specjalisty od zagadnień handlu zagranicznego z krajami Zachodu, mimo pozorowanej rzeczowości miały na celu udowodnienie „bezbłędnej prawidłowości” polityki gospodarczej PRL, której rzekome trudności to jedynie wynik ogromnego tempa wzrostu.

Żałosne natomiast wrażenie sprawiały tezy J. Lipskiego, członka władz naczelnych ZSL. Zaproszony najwyraźniej aby świadczyć przed zagranicą o „nieantagonistycznej wielopartyjności” polskiego systemu politycznego, robił co mógł aby wobec słuchaczy odżegnać się od jakichkolwiek ambicji politycznych, które mogłyby być przypisane jego stronnictwu.

Nie pozostawił wątpliwości, że ZSL mimo przeszło stuletnich tradycji ruchu ludowego w Polsce pełni dziś jedynie funkcję chłopskiej organizacji, która chociaż od swych członków nie wymaga marksistowskiego światopoglądu (zostało to zaakcentowane) to jednak uznaje bez zastrzeżeń polityczną nadrzędność PZPR i jej doktryny. W sumie jest więc to jedynie rodzaj „transmisji w teren”, choć o kierunku niejako dwustronnym, gdyż posiadającej też głos konsultatywny w ustalaniu rozwiązań polityki rolnej.

Oczywiście przy takim założeniu ogólnym nie mogło być odpowiedzi na szereg kwestii dotyczących rosnących w ostatnich latach „trudności” poddających w wątpliwość trafność owych rozwiązań. Tym niemniej we wszystkich wymienionych głosach znalazło się nieco danych informacyjnych o statystycznym charakterze, rzecz w końcu o pewnym znaczeniu wobec znanych, rażących niedostatków podstawowej wiedzy francuskiej powszechnej opinii o sprawach nie dotyczących jej bezpośrednio...

O swej dawnej roli propagandzisty przypominał sobie Jerzy Putrament czyniący (w *katastrofalnej francuszczyźnie*) wykład na temat racji polskiej polityki zagranicznej, a szczególnie kwestii niemieckiej. Gdyby jego tezy uznano za wyraz stanowiska oficjalnego jedynym chyba wnioskiem dla rządów zachodnioeuropejskich musiałoby być stwierdzenie, że kwalifikowanym rozmówcą w sprawach Polski jest — Moskwa.

Prawdziwy natomiast popis „transmisyjnych” funkcji dziennikarstwa dali czołowi dziś w Warszawie komentatorzy polityczno-

ideologiczni: Ignacy Krasicki i Ryszard Wojna. Z niemałym dowcipem potrafili wyminąć wszelkie pytania swych francuskich interlokutorów wymagające wypowiedzenia jeśli już nie nieuzgodnionej opinii to w każdym razie nieuzgodnionego słowa.

Jedyną chyba samodzielną inicjatywą był tu iście dworski komplement Ignacego Krasickiego (czyżby zagrał atawizm nazwiska), kiedy to mówiąc o „międzynarodówce partyzantów” nie zawahał się obok Tito i de Gaulle’a umieścić gen. Moczara. Nie trzeba wątpić, że zostało mu to policzone...

Znacznie poważniejszy charakter miały audycje historyczne J. Le Goff'a: „Polska zmartwychwstała (1918-21)”, „Polska bohaterska i męczeńska” (1939-45) oraz „Polska na drogach przyszłości” (1945-56).

Nie rezygnując z elementów reportażowych i nie ograniczając się do suchej relacji historycznej zdołał autor dać żywą i barwną analizę nie tylko przebiegu wydarzeń, ale i ich klimatu emocjonalnego. Dawne pieśni żołnierskie, wspomnienia jednego z francuskich weteranów armii Hallera, a następnie, w odniesieniu do późniejszych wydarzeń przemówienia Paderewskiego, Becka, przemówienia Hitlera oznajmiającego w Reichstagu początek wojny, zdołały stworzyć wrażenie bezpośredniości, sugestywne także dla tych wszystkich (a stanowiących dziś ogromną większość) którzy mogą widzieć owe czasy jedynie oczyma wyobraźni.

Komentarz historyczny wiążący relację owych wydarzeń był niewątpliwie obiektywny. Podkreślano zarówno ogromne, obiektywne przeszkody polityczne na drodze odrodzenia Polski niepodległej, jak i ogrom wysiłku całego jej społeczeństwa dla osiągnięcia tego zasadniczego celu. Wydobyty został w pełni i właściwie uwypuklony podstawowy element jakim była dojrzałość przywódców politycznych, reprezentujących diametralnie różne orientacje. Podkreślano zarówno wysiłek Dmowskiego i Paderewskiego w trudnych negocjacjach wersalskich, jak Piłsudskiego i ludzi jego obozu wewnątrz kraju, czy wreszcie rolę ruchu socjalistycznego i ludowego w stworzeniu podstaw ustrojowych możliwych do powszechnego zaakceptowania w społeczeństwie, a co następnie umożliwiło zwycięskie przejście najcięższej próby — sowieckiej inwazji roku 1920.

Jakkolwiek silnie zostało podkreślone poparcie Francji tak wobec szlachetnego ale nieco abstrakcyjnego programu Wilsona, jak przeciwdziałania Anglii, która nie mogąc nie dopuścić do odrodzenia Polski, starała się wszelkimi siłami o nadanie jej kształtu państwa kadłubowego bez większego znaczenia politycznego (granice zawarte między „linią Curzon'a a nieznacznie tylko zmienioną w stosunku do roku 1914-go linią granicy z Niemcami) uwypuklony został zasadniczy fakt, że ostateczne rozwiązanie osiągnięte zostało w pierwszym rządzie własnym wysiłkiem i umiejętnościami polskiego społeczeństwa.

Szczęśliwie pominięto tu legendy, jak np. rolę deklaracji Lenina w sprawie unieważnienia aktu rozbiorów, czy też dotyczące roli gen. Weygand w wojnie roku 1920. Zwłaszcza drugi z tych mitów

mimo systematycznego dementowania go za życia przez samego Weygand'a* mocno na ogół ogruntował się we francuskiej politycznej publicystyce, a także jest dogmatem w sowieckich i pochodnych opracowaniach historii „wojny interwencyjnej”.

W podobnej mierze trafna była charakterystyka Polski okresu międzywojennego, dokonana na szerokim tle owej niełatwej epoki historycznej, co przyczyniło się do uchwycenia trafnych proporcji w ocenie tak sukcesów jak niepowodzeń. Podkreślono zwłaszcza pluralizm tendencji politycznych w kraju, który mimo szczególnego nagromadzenia społecznych dysproporcji od początku swego odrodzonego istnienia, posiadał też jedno z najbardziej w ówczesnej Europie zaawansowanych ustawodawstw socjalnych.

Być może perspektywy i pogłębionego spojrzenia najbardziej zabrakło w charakterystyce spraw bezpośrednio poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej, choć i tu brak było punktów styecznych z propagandą uprawianą tak w Moskwie jak Warszawie.

Zwłaszcza zasadnicza rola paktu Mołotow-Ribbentrop dla przebiegu pierwszego etapu wojny, jak i jego historyczne korzenie nie zostały przez francuskiego publicystę należycie uwypuklone. Potraktował on to wydarzenie jako epizod o podłożu koniunkturalnym, wiążąc go bezpośrednio z odmową zgody Polski na wkroczenie Armii Czerwonej na jej terytorium w wypadku konfliktu z Niemcami. A przecież posiadana dziś wiedza historyczna na temat leninowskiego dogmatu politycznego o odbudowie za wszelką cenę „Świętego Przymierza”, dogmatu realizowanego z uporem i wiadomym skutkiem przez Stalina aż do 1941 r. pozwala dziś widzieć owe sprawy jako dwa warianty planu tej samej akcji — nowego rozbioru... Program polityczno-państwowy KPP tamtych lat też rzuca na to dostateczny snop światła.

Udział Polaków w wojnie i tragizm powojennej sytuacji zostały przedstawione bez przemilczeń i ozdobników. Tu jednak słuchacz pozostał niewątpliwie pod fałszywym wrażeniem pozytywnego akcentu. Audycja „Polska na drodze przyszłości” kończy się relacją wydarzeń „października” niczym nie mówiąc, że ten moment nadziei pogrzebał rozwój wydarzeń późniejszych lat i że dziś stoi- my niemal w punkcie wyjścia — jak w roku 1945.



Z pewnością jednak większe znaczenie, w sensie siły i trwałości oddziaływania przypisać można kulturalnej części programu „polskiego dnia”.

Złożyły się na nią panoramy: polskiej prozy współczesnej (J. Bourilly), polskiej współczesnej poezji (J. Błński) oraz dwa pełne przedstawienia teatralne i trzy koncerty muzyki polskiej dawnej i współczesnej. Prócz tego retransmisja z Teatru Wielkiego w Warszawie opery „Król Roger” Karola Szymanowskiego (w

* Bardzo ciekawe a nieopublikowane dotąd relacje dotyczące tego problemu zawiązuje znakomitemu historykowi, prof. Pierre Mesnard.

reżyserii B. Horowicza) i niejako uzupełniające je półgodzinne przeglądy polskiego jazzu i polskiej piosenki.

W sumie więc zestaw imponujący i z pewnością komuś kto chciał go wysłuchać choćby w znacznej tylko części, dający dosyć pełny obraz tendencji stylistycznych polskiej sztuki współczesnej. Zaczniemy od niewątpliwych pozytywów. Największym z nich był program teatralny, złożony z „Dwu Teatrów” Jerzego Szaniawskiego oraz „Matki” Witkacego powiązanych tekstem wprowadzającym J. Błońskiego. Tekst ten miał niewątpliwie walory informacyjne. Przeprowadzając paralełę między rozwojem polskiej dramaturgii i teatru od czasów romantyzmu, paralełę biegnącą jak wiemy przez wiele dziesięcioleci zgoła rozbieżnymi torami, dał Błoński trafną ocenę syntezy tych dwu wartości dokonaną w polskim teatrze naszego stulecia.

Wybór natomiast dramatów dokonany przez Horowicza nosił poważne ryzyko. Dotyczyło to szczególnie „Dwu Teatrów”, sztuki powstałej w pierwszym powojennym okresie i będącej odpowiedzią na podstawowe problemy stosunku do wydarzeń dopiero co przeżytej, najnowszej historii.

Sztuka ta, transponująca pozorny, drobiazgowy realizm Szaniawskiego na wartości symboliczne, stwarzała największe ryzyko niedotarcia do niepolskiego słuchacza jej tych właśnie, zasadniczych treści i znaczeń. Na szczęście jednak obawy okazały się płonne. Zaważyła na tym trafna realizacja reżysera, dla którego właśnie alegoryczna warstwa sztuki stała się punktem wyjścia, oraz świetna obsada aktorska (M. Bozuffi, J.-R. Caussimon, L. Bellon, E. Hirt), i wreszcie bardzo wierny, trafny językowo, przekład.

Szaniawski ujawnił i tu swą zadziwiającą właściwość tworzenia sugestywnego „teatru wyobraźni” dzięki czemu jest on nie tylko jednym z pierwszych autorów radiowych w dziejach polskiej literatury, ale także jego sztuki pisane z myślą o rzeczywistej scenie stają się często klasycznymi pozycjami radiowego teatru w Polsce.

Podobnymi walorami wykonania odznaczała się realizacja „Matki” z kapitalnie wykonaną przez Germaine Montero rolą tytułową. (W pozostałych rolach J. Rochefort, J. Fontaine, G. Pierauld). Wybór jednak sztuki wydaje się wątpliwy. Najwyraźniej zatrzymano się wpół drogi między obawą niekomunikatywności Witkacego w jego „teatrze czystej formy” a chęcią pokazania tej fascynującej dramaturgii. Rozwiązanie takie — pozornie „dla wszystkich” — jest przeważnie dla nikogo. „*Matka — niesmaczna sztuka w dwu aktach z epilogiem*” ukazała Witkacego jako prekursora Beckett’a czy Ionesco, ale jednocześnie tworzącego co najwyżej embrionalne twory dramaturgii naszych czasów, podczas gdy jego sztuki pierwszoplanowe („Oni”, „Szewcy”, „Kurka Wodna”, „Mątwą”) cechuje nie tylko wirtuozeria formy teatralnej, ale atakują one podstawowe problemy filozoficzne wciąż aktualnej współczesności. „*Matka*” na ich tle jest rodzajem niemal dramatu obyczajowego, gdzie dopiero w epilogu docho-

dążą w większej mierze do głosu efekty przewrotnej, witkacjańskiej dramaturgii.

Panoramę polskiej prozy przedstawił najwybitniejszy dziś chyba przedstawiciel francuskiej polonistyki prof. J. Bourilly z Sorbony. Wykład jego nie ograniczał się do przedstawienia kierunków stylistycznych polskiej powieści od jej dziewiętnastowiecznych początków aż po Andrzejewskiego i Gombrowicza, ale z dużą wnikliwością podkreślił szczególnie polski fenomen jakim była polityczna rola literatury epoki porzobiorowej.

Być może wynikiem tej zasadniczej orientacji wykładu była pewna dysproporcja między szczególnym akcentem położonym na nurcie tradycyjnym, a brakiem szerszej analizy nurtu awangardowego i uniwersalistycznego tworzącego logiczny ciąg od powieści Witkacego z końca lat 20-tych („Pożegnanie Jesieni”, „Nienasyce nie”) do fantasmagorii Brunona Schultza i twórczości Gombrowicza. Jest to jednak w ostatecznym rachunku sposób widzenia proporcji, do którego własnej wizji każdy historyk literatury ma pełne prawo. Wykład prof. Bourilly zilustrowany został fragmentami przekładów prozy Zeromskiego, Marii Dąbrowskiej, Gombrowicza i Andrzejewskiego.

Niestety „panorama polskiej poezji” J. Błońskiego nie osiągnęła poziomu ani „panoramy prozy”, ani też wspomnianej poprzednio „Panoramy dramaturgii i teatru”.

Dominował tu ton encyklopedyczno-informacyjny, słabo wiążący wzajemnie zjawiska orientacji stylistycznych i ich kontrpunkty tak w okresie przed jak powojennym. Dobór ilustrujących tekst przekładów poezji dosyć niefortunnie akcentował jej związki z poezją francuską, w końcu ani chyba dla polskiej poezji istotne, ani nie prowadzące do szczególnie cennych osiągnięć artystycznych.

I wreszcie muzyka, której tak ze względu na pozycję polskiej współczesnej twórczości jak na „radiofoniczność” natury tej sztuki poświęcono najwięcej miejsca w programie (łącznie przeszło cztery godziny)...

Tutaj tę wyjątkową okazję „polskiego dnia” wykorzystano w najmniejszym stopniu. Zabrakło wprowadzającego tekstu historycznego, podobnego tym jakie poświęcono literaturze czy teatrowi, zaś sam dobór programu, a w jeszcze większej mierze wykonania, budzić musiał zasadnicze wątpliwości.

Pomysł poświęcenia półtorej godziny „Królowi Rogerowi” był chyba niefortunny. Jest to dzieło bardzo nierówne, gdzie owe typowe dla Szymanowskiego „rozsiane perły” choć częste, zatopione są w tekście muzycznym obfitującym we fragmenty jałowe, pozbawione siły działania na słuchacza. Ostatni sukces teatralny „Króla Rogera”* został osiągnięty przez Horowicza środkami scenicznymi, zastosowanymi na bogatej w możliwości techniczne scenie Teatru Wielkiego. Pozwalają one przejść nad wieloma mie-

* Przedstawieniem tym otworzono pierwszy sezon odbudowanego „Teatru Wielkiego” w Warszawie.

liznami muzycznymi, ale radio właśnie je bezlitośnie ujawnia. A przecież układający program polskiej muzyki dawnej czy współczesnej stoi raczej wobec „klęski” nadmiaru niż braku.

Innym elementem, który w dużej mierze także jest odpowiedzialny za niedostatki muzycznych audycji było przygotowanie ich przez „Polskie Radio”. Dział muzyczny tej instytucji — pod kierunkiem superserwilisty, Romana Jasińskiego — praktykuje politykę „minimum kosztów i wysiłku”. Odzwierciedliło się to w pełni w omawianych audycjach.

Już choćby rozpoczynający je koncert dawnej muzyki polskiej skomponowano chyba wyłącznie na zasadzie „minutowej”, gdyż tak jakość większości wykonania jak i nagrań daleka była od niezbędnego minimum. Koncert ten złożony z dawnych tańców (z tabatury Jana z Lublina XVI w.) w bardzo złym wykonaniu „Cappella Bydgostiensis” oraz Psalmów Mikołaja Gomółki w równie stylistycznie chybionym nagraniu chóru Rozgłośni Wrocławskiej (dyr. E. Kajdasz), musiałyby przekonać słuchacza jeśli nie o nijakości dawnej polskiej muzyki, to w każdym razie o nieumiejętności jej wykonywania.

Honor jej uratowały trzy mistrzowskie wykonania „koncertów” Adama Jarzębskiego (XVI/XVII w.) w nagraniu „Musicae Antiquae Collegium Varsoviense”. A przecież w Polsce nie brak ani naprawdę znakomitych specjalistycznych zespołów, ani ich nagrań w taśmotece „Polskiego Radia”...

Także w koncertach polskiej muzyki współczesnej dominowała przypadkowość, jeśli nie liczyć prymitywno-propagandowego dążenia do ukazania wszelkimi sposobami jej związków z Francją. W ten sposób trafiły tu młodzieńcze kompozycje niezbyt reprezentatywnych kompozytorów („Riff” W. Kilara) na zasadzie dedykowania ich Nadii Boulanger, lub raczej marginesowe kompozycje wybitnych twórców skomponowane do francuskiego tekstu („Paroles tissées” — W. Lutosławskiego).

Nie trzeba dodawać, że całkowicie pominięto twórczość kompozytorów działających na emigracji, z których przynajmniej R. Palester i A. Panufnik należą do niewątpliwiej czołówki polskiej twórczości.

Tak więc polska muzyka, choć ukazana pozornie w szerokim wachlarzu swych gatunków i tendencji stylistycznych, dała słuchaczowi mocno zniekształcony obraz swych wartości.

Niejako jej marginesem były półgodzinne programy polskiej piosenki i jazzu, komentowane przez stałych redaktorów tych działów we francuskim radio. Audycja poświęcona jazzowi, choć zabrakło w niej bardziej interesujących nagrań dała w końcu dosyć wiarygodny obraz tej szczególnej postaci „muzycznego kultu”, a przypomnijmy, będącego długo wyrazem politycznego non-konformizmu. Zresztą „światowe” sukcesy kilku polskich jazzmanów, jak choćby Komedy-Trzcńskiego, czy Namysłowskiego są próbą nie tylko talentów, ale i dynamizmu tego szczególnego środowiska w Polsce.

Piosenka natomiast wypadła zdecydowanie nieprzekonywują-

co. Przysłane z Warszawy ostatnie nowości zdradzały w pierwszym rzędzie niedostatki głosowe wykonawców i całkowitą amator-szczyzną kompozytorów. Walory natomiast finezyjnych i wieloznacznych (także ideologicznie) tekstów Wojciecha Młynarskiego musiał francuski słuchacz przyjąć na odpowiedzialność komentatora.

„Dzień Polski” był więc sukcesem w najlepszym razie połowicznym, ale fakt że do takiej inicjatywy doszło dowodzi, że polska kultura uznana tu została za zjawisko godne uwagi.

Adam SUTKOWSKI

Sima i Cremonini

Nous perirons par l'encombrement, napisał kiedyś Chardonne. Sto wystaw.

Dobrych, złych, świetnych i haniebnych. Chcę pisać o dwóch tylko: o retrospektywie J. Simy i o Cremoninim. Dlaczego o nich właśnie? Ich *miara* oraz *sprzeczność* ich widzenia wydały mi się znaczące.

Sima. Długą drogę zrobił ten malarz — od pejzaży z lat trzydziestych malowanych w Czechach, od portretów jeszcze wcześniejszych, gdzie dominowały ostre kontrasty, czernie, czerwienie i gdzie jeszcze były czytelne początkowe drogi artysty, poprzez kubizm, Braque'a oraz powiązania z surrealizmem, długą drogę nawet od chwili gdy ponad 15 lat temu zobaczyłem pierwsze jego płótna w jego paryskiej pracowni.

Im dalej w głąb posuwa się ten artysta i człowiek, im bardziej dociera do istoty swych przeżyć i wyrazu tych przeżyć, tym bardziej odrywa się, jakby odkleja przedmiot przedstawiony — z roku na rok — nawet kolor intensywniejszy, bogatszy, gwałtowniejszy, ginie i równolegle narasta światło nikłe, rozproszone, ale do tego stopnia natarczywe, że drobną plamą najdelikatniejszego błękitu czy szarość o cień jaśniejsza — to krzyk.

Ostatnie płótna są prawie białe, gra kontrastów najsubtelniejszych, bieli najlżej zabarwionej ugiem, do szarości, gdzie jedna plama o cień cienia jaśniejsza — oślepia.

Cóż tu mówić o malarstwie figuratywnym? Abstrakcyjnym? Wszystkie płótna mają konkretny punkt wyjścia: błądy akt kobiecy, śnieg czeskiego pejzażu z szarą chmurą na gładkim niebie, fale blado zielone w przełamujących tę zielen białych grzywach, ale w miarę pracy temat do którego latami powraca traci wszelką rzeczową konsystencję.

Pamiętam obrazy Simy widziane przed laty, jeden z wielkim odartym z liści drzewem, inny z domem i chyba mostem nad kolejką paryską. Patrząc na te płótna ogarnęło mnie wówczas uczucie: po co to drzewo, po co ten dom? Obciążają obraz, przeszkadzają. W miarę lat te motywy konkretne giną, śledzimy ich ewaporację. Śnieg, fale, w miarę lat zatracają wszelką materialność, to może białe arkusze papieru, może delikatne znaki gór i rzek na białej mapie ziemi? Bo już ten obraz „ze srebra i kryształu” żyje swoim własnym życiem i jest już tak daleki od ciężaru ziemi od chłodu i ruchu śnieżnych grzbietów fal.

„Stać się przezroczystym coraz bardziej — i zginąć”.

Podejrzewam artystę o miłość do Odilon Rodon, do jego czarnych jak aksamit, białych jak śnieg tajemniczych akwafort. Jak pisać o tej muzyce na granicy milczenia, o tym malarstwie na granicy czystej kontemplacji, o przeżyciu, które temu malarzowi zawdzięczamy.



Tego lata Sima miał wystawę w Pradze. Jej otwarcie stało się świętem narodowym. (Sima jest od wielu lat emigrantem). Tłumy młodzieży, artyści, a z nimi razem działacze polityczni zarwani pracą, po nieprzespanych nocach zapełniali sale wystawowe. Cisar pokazywał z dumą listy otrzymane od Simy z Paryża. Opowiada o tym Gaetan Picon w *Le Monde* (z 4. 12. 68); nie zdążywszy na wernisaż do Pragi zwiedził ją w Bratysławie w lipcu — tej „wiosny” czeskiej i słowackiej, w tym kraju wszystkich przeciągów, w tych miastach, które dla Francuza są już bramą Wschodu. Picon wspomina w swym artykule te przeciągi którymi młody Sima w Pradze oddychał. Munch i Cézanne, die Brücke i kubizm, Kafka i Rilke. Ten malarz srebrny i mglisty, te obrazy narzmiące ileż znaczącym milczeniem, zdały mu się tam, w jego wówczas mglistej i dżdżystej ojczyźnie, tam właśnie, a nie w Musée de l'Art Moderne w Paryżu, w swej własnej ramie, czytelne i najbardziej godne zachwyty.



Cremonini. Nie umiem sobie wyobrazić malarza, który by w samym kierunku swych poszukiwań, w swym rozpędzie, był bardziej przeciwnastawny Simie. Jak patrzeć po tamtych białych płótnach Simy na Cremoniniego? Jakbyśmy wychodząc od trapisty wpadli nagle na plażę luksusową, lotnisko ogromne czy transatlantyk dla milionerów, nie omijając po drodze erotyzmem nasyconych dziwnych wnętrz o secesyjnych meblach i obiciach.

Bogactwo form, kontrastów, ich gwałtowność, wzrasta od wystawy do wystawy, wzrasta wirtuozja, zatykająca widza. Nawet te tak częste w dzisiejszych płótnach „wypadki” (w cudzysłowie i bez cudzysłowu) nabierają nowego charakteru. Na przykład te strużki kolorów ściekających z płótna, (bo farba zbyt płynna użyta została zbyt obficie), i które malarz pozostawił z pośpiechu

czy wyrachowania, jako świadectwo, że obraz jest malowany na gorąco, z natchnieniem, w nabożeństwie dla własnego gestu malarzkiego, dla jego temperatury. Cremonini przemienia ten już nadużyty efekt przeobrażając go jawnie w umyślny i wyrachowany. Łzy barwne płyną w równej od siebie odległości na tle koloru zaledwie cieplejszego, czy chłodniejszego. Pierwszy odruch widza: ależ to trick, jeszcze jeden chwyt malarzki. Reakcja niesłuszna, to modne lekceważenie rzemiosła, wprost umiejętności i wirtuozyi rzemiosła malarzkiego. Malarz ma prawo posługiwać się wszystkim co pogłębia czy zaostża malarzkie działanie obrazu.

Jedno jest widoczne Cremonini nie przeżył nigdy naprawdę Cézanne'a jak wewnętrznego, na całe życie znaczącego doświadczenia, całkowicie jest mu obce malarstwo budowane tylko plamą kolorową, obcy obraz gdzie nie istnieje linia, tak jak tego chciał, jak to głosił Frenhoffer Balzaca.

Je suis Frenhoffer — miał powiedzieć Cézanne ze łzami po przeczytaniu „*Chef-d'œuvre inconnu*”.

Siatka linii to geometrycznych, to płynnych, rani kolor przez odgraniczanie, odrywanie jednej formy od drugiej, jednej plamy od drugiej. Zresztą ta siatka graficzna robi coraz to wrażenie technicznego rysunku architekta. Za to kolor Cremoniniego, który krzyczy, miesza chwilami tę linearną konstrukcję, gasi ją, aby własną pełnię wyrazu osiągnąć. Na ostatniej wystawie malarz wprowadza jeszcze efekty Op-artu. Geometryczne formy, kreślone najintensywniejszymi kolorami, bez jakiegokolwiek związku z trzecim wymiarem, tak w obrazach Cremoniniego zaakcentowanym, rozłamują obraz! Te obrazy pełne fragmentów skrajnie naturalistycznych (niektóre skróty ludzi na plaży, przypominają Malczewskiego z pierwszej epoki) są coraz to gwałtownie ekspresjonistyczne. Kobiety tłuste w kostiumach kąpielowych, w podwójnym i potrójnym świetle, głowy dzieci-potworków wynurzające się spod pokręconych mebli, czy dywanów o krzykliwym, skomplikowanym deseniu, a w lustrach parokrotnie odbite piersi kobiece a obok tego lustro kawałek bosej męskiej nogi na łożku. Obrazy mówiące się od przeróżnych efektów trudno jest nieraz przeżyć całościowo.

Chciałbym znać genealogię tego artysty. Mantegna? Ale i Klimt i Leonor Fini.

Jeżeli szczytem Simy jest szept coraz pełniejszy na granicy milczenia autentycznej sublimacji, Cremonini to gwałtowność w kagańcu precyzyjnego, prawie że bezosobistego rysunku. W tym świecie form nieoczekiwanych, gdzie klasyczna perspektywa jest to przekreślana, to gwałtownie zaakcentowana, chciałbym wyróżnić jedno płótno — białoniebieskie-liliowe z fragmentem wanny i srebrnym kranem, wyrysowanym jak anons w żurnalu. Kolor tu spływa strumykami deszczu w równiutkich odstępach, poprzez które widzimy te przedmioty już tak dla nas „uświęcone” przez Degasa i Bonnarda; biel wanny na białym tle i kran srebrzysty, urok tych przedmiotów na nowo, na świeżo zobaczonych. Gama tego

obrazu tak delikatna wiąże się harmonijnie z chłodnym, obiektywnym rysunkiem.

Cremonini na skrzyżowaniu dróg? Rozerwany? Mimo woli przychodzi mi na myśl Degas, który do śmierci pozostał wierny dwom jakby się wykluczającym nurtom Ingres'a i Delacroix. Jeżeli rozerwanie, to *nasze* rozerwanie, nigdy nie zamazane, ale wirtuozją podkreślone.

Malarstwo Cremoniniego zdaje mi się w pełnym ruchu; kryje ono w sobie jeszcze niejedną niespodziankę.

Józef CZAPSKI

Komunikaty

KOMUNIKAT FUNDACJI IM. KOŚCIELSKICH

Rada Fundacji imienia Kościelskich zebrana w Genewie w dniu 3 grudnia 1968 r. uchwaliła jednomyślnie, głosami obecnych na zebraniu członków, przyznać na rok 1968 następujące nagrody literackie:

Jan Błński za studium „Mikołaj Sęp Szarzyński a początki polskiego baroku”	F. 3.500
Konstanty Jeleński za owocną pracę dla krzewienia znajomości literatury polskiej zagranicą	F. 3.500
Marek Nowakowski za poszukiwanie nowych możliwości dla prozy polskiej	F. 2.500
Ryszard Przybylski za twórcze naświetlanie literatury światowej a szczególnie rosyjskiej	F. 2.500
Marek Skwarnicki za publicystyczne i literackie wnikanie w polskie życie społeczne	F. 2.500

Przebywający w Stanach Zjednoczonych i nieobecny na zebraniu Rady p. Konstanty Jeleński przeznaczył sumę F. 3.500 na Fundusz pomocy uchodźcom Międzynarodowego Stowarzyszenia Wolności Kultury w Paryżu („Association Internationale pour la Liberté de la Culture”).



OŚRODEK POLSKI WSPÓLNYM WYSIŁKIEM

Nabycie obiektów przy King Street W.6. przez Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny jest zakończeniem pierwszego etapu wysiłków zdążających do realizacji głównego celu P.O.S.K. tj. stworzenia trwałej siedziby dla bibliotek, klubu młodzieży, biur własnych i wielu innych organizacji, które korzystają obecnie z lokali Ośrodka.

Drugi etap to okres przystosowania już nabytych obiektów dla celów jak wyżej oraz ewentualne nabycie i przystosowanie do użytku ustalonego sąsiedniego Kościoła wraz z budynkami przykościelnymi.

Zakończenie tego drugiego etapu prac przewiduje się w okresie do końca roku 1970.

Realizacja tego planu wymaga dużych wydatków gotówkowych w następnych dwu latach (około £ 52.000 w 1969 i £ 60.000 w roku 1970), których poniesienie tylko przez P.O.S.K. wymagałoby zdobycia płynnej gotówki w drodze sprzedaży niektórych nieruchomości w posiadaniu P.O.S.K. Byłoby to ze szkodą dla stanu posiadania społeczeństwa emigracyjnego nie mówiąc już o obniżeniu dochodów bieżących P.O.S.K., co z kolei musiałoby spowodować obniżenie obecnych świadczeń Ośrodka na rzecz różnych organizacji i instytucji naukowych.

Chcąc temu zaradzić, władze Ośrodka zdecydowały uruchomić akcję rozprawdzenia obligacji wśród społeczeństwa emigracyjnego i organizacji społecznych.

Obligacje w wysokości £ 20 są bezprocentowe i mogą być nabywane przez osoby fizyczne, prawne i inne organizacje w dowolnej ilości w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym, 9, Princes Gardens S.W.7. London.

Co roku, poczynając od jesieni 1970 będzie wykupionych 50 obligacji, wylosowanych spośród wszystkich obligacji sprzedanych. Ponadto corocznie wylosowana będzie spośród wszystkich posiadaczy obligacji jedna premia w wysokości £ 25. Niewylosowane obligacje będą wykupione przez Ośrodek nie później niż w pięć lat od daty sprzedania, gwarancją zwrotu udzielonej pożyczki jest majątek Ośrodka.

Kwota, którą tą drogą Ośrodek spodziewa się uzyskać w formie pożyczki od społeczeństwa i od organizacji społecznych, powinna być w proporcji do zamierzenia i spodziewanych wydatków.

Przy zamożności polskiego społeczeństwa w W. Brytanii jest to zupełnie możliwe i władze Ośrodka spodziewają się, że akcja ta będzie jak najmocniej poparta przez ogół społeczeństwa i organizacje społeczne.



K O M U N I K A T

Zarząd ADAM GAC FOUNDATION, INC. w Nowym Jorku, N.Y., U.S.A., podaje do wiadomości, że posiada jeszcze kilka stypendiów habilitacyjnych lub doktoranckich w zakresie filozofii, nauk historycznych, politycznych, społecznych i gospodarczych.

Warunki: narodowość polska, rejestracja lub zamiar rejestracji w jednym z uniwersytetów zachodnioeuropejskich lub amerykańskich z wyjątkiem uniwersytetów obszaru języka angielskiego.

W razie braku kandydatów z poziomu habilitacyjnego lub doktoranckiego stypendia mogą być udzielone słuchaczom ostatnich dwóch lat studiów na stopień magistra lub równoważny.

Zgłoszenia po formularze stypendialne prosimy kierować na adres:

ADAM GAC FOUNDATION, INC.
226 West 97th street
New York, N.Y., 10025, U.S.A.



KOMUNIKAT POLSKIEGO TWA HISTORYCZNEGO

Dnia 29 listopada 1968 r. doroczne walne zebranie Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii pod przewodnictwem prof. Henryka Paszkiewicza powzięło na wniosek Zarządu, przedstawiony przez prezesa gen. prof. Mariana Kukiela, następującą uchwałę:

W związku z XIII Kongresem Międzynarodowym Nauk Historycznych mającym się odbyć w Moskwie w roku 1970, Brytyjski Komitet Narodowy Nauk Historycznych reprezentujący ogół historyków brytyjskich w organizującym Kongres Komitecie Międzynarodowym, zawiadomił go uchwałą prawie jednomyślnie podjętą, że powstrzymuje się od udziału w tym Kongresie. Odmowa ta ma być „stanowczym protestem” przeciw zgnębieniu Czechosłowacji niesprobowaną agresją i to skierowaną głównie przeciw wolności słowa i twórczości pisarskiej; bez nich zaś narady historyków nie mogą być owocne; korzystanie zaś z gościnności państwa, które tego dokonało, staje się niemożliwe.

Uchwałę tę podał Komitet Brytyjski do wiadomości 41 komitetów narodowych, choć nie żąda od nich solidarności i samym brytyjskim historykom zostawia swobodę postępowania, jak każdemu każe sumienie.

„Nasz głos — piszą — jest sprawą naszego własnego sumienia”.

Podając powyższe do wiadomości historyków polskich w wolnym świecie, Polskie Towarzystwo Historyczne na Obczyźnie wyraża nadzieję, że każdy z tych, którzy mieliby wziąć w Kongresie udział z ramienia instytucji naukowych krajów zamieszkania, postąpi zgodnie z własnym sumieniem i tę kwestię sumienia postawi przed swymi kolegami z innych narodów, z pamięcią o wzmożonym nacisku na ludzi nauki i pióra i na nauki historyczne w Polsce zniewolonej.



Z DZIAŁALNOŚCI INSTYTUTU POLSKIEGO W LONDYNIE

Instytut Polski przy 20 Princes Gate, London S.W.7. zorganizował w tym roku już dwie wystawy z których pierwsza otwarta była 5 lipca przez b. premiera brytyjskiego Harolda Macmillana, poświęcona pamięci gen. W. Sikorskiego w 25 rocznicę jego zgonu. Obok tych pamiątek w sali sztandarowej umieszczone zostały gablotki z cennymi starodrukami z biblioteki Instytutu.

Druga wystawa otwarta 11 listopada to rzut oka na polski wysiłek wojсковy i polityczny w okresie niepodległości i w czasie drugiej wojny światowej. Są tam historyczne dokumenty takie jak pierwszy meldunek o przekroczeniu przez wojska hitlerowskie granicy polskiej 1 września 1939 r. i świadectwa walki Armii Krajowej, jej bojowników i kurierów.



2 grudnia znalazł się na półkach księgarni II tom wydawnictwa „Documents on Polish-Soviet Relations” 1939-1945, opracowany przez Instytut i wydany u Heinemana, cena £ 5.5.0. Pojawienie się tego cennego dzieła liczącego blisko 900 stron znalazło wyjątkowo duży oddźwięk także w opinii brytyjskiej. Czołowe organy prasowe jak *The Times*, *The Daily Telegraph*, *The Sunday Times*, *The Sunday Telegraph* poświęciły mu obszernie i przychylnie sprawozdania.

NAGRODY INSTYTUTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W AMERYCE

Dla uczczenia 25-lecia istnienia Instytutu powołała jego Rada jury, mające przyznać dwie równorzędne nagrody żyjącemu atorowi, Polakowi lub cudzoziemcowi, przebywającemu poza granicami Polski, za pracę z dziedziny najnowszej historii Polski, w języku polskim lub obcym, która ukazała się drukiem w okresie ostatnich lat dziesięciu. (1959-1968).

Skład jury był następujący: Dr Jan FRYLING, prof. Tadeusz GROMADA, prof. Oskar HALECKI, prof. W. JĘDRZEJEWICZ, prof. A. KORCZYŃSKI i dr Jan LIBRACH.

Jury rozpatrzyło 28 prac, a następnie zaproponowało Radzie przyznanie nagrody imienia Henryka KORAB-JANIEWICZA w wysokości 500 dolarów prof. *Annie M. CIENCIAŁA* z University of KANSAS za książkę „Poland and the Western Powers, 1938-1939”, wydaną przez Toronto University Press w roku 1968, oraz nagrodę imienia dr. Henryka GRUBERA w wysokości 500 dolarów prof. Josephowi ROTSCILDOWI z Columbia University za książkę „PIŁSUDSKI'S Coup d'Etat”, wydaną w roku 1966 przez Columbia University Press.

Ogłoszenie nagród nastąpiło 16 listopada 1968, w Nowym Jorku, podczas uroczystości 25-lecia Instytutu.

HENRYK GRUBER

WSPOMNIENIA I UWAGI

1892 — 1942

Trzy części:

- I. BUG WPADA DO WISŁY — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt we Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.
- II. ANATOMIA POCZĄTKÓW — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.
- III. CZART PROWADZI BAL — przejścia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!

Ilustracje!

Cena: £3.0.0 plus koszt przesyłki!

WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

SKŁAD GŁÓWNY:

KSIEGARNIA KOMBATANCKA

20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7.

Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

Sienkiewicz, Homer i Gnębון Puczymorda

Proszono mnie już dawno żebym napisał recenzję z tej książki*. Wzbraniałem się, bo kiedy zaczyna się mówić o Sienkiewiczu, niesposób nie poruszyć pewnych spraw zasadniczych. Natomiast sprawy zasadnicze warto poruszać tylko jeżeli ma się nadzieję kogoś przekonać, co, zważywszy na obecny stan polskich zawężeń i urazów, nie wydaje się możliwe. Przewyciężyłem jednak wreszcie ten wewnętrzny opór to znaczy piszę bez zamiaru żeby być szczególnie przekonywującym.

Jest to sympatyczna książka, napisana ładną i czytelną polszczyzną przez piętnastu autorów (plus przełożony artykuł Francuza), szósta z cyklu podobnych tomów zbiorowych wydanych przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, po tomach poświęconych Mickiewiczowi, Krasińskiemu, Norwidowi, Conradowi, Wyspiańskiemu. Lektura jej daje dużo przyjemności bo wprowadza nas pomiędzy postacie literackie znane nam od dzieciństwa, a bogactwo danych i serdeczny stosunek do przedmiotu czynią z tej pracy jakąś swojską summę. Trzeba pewnego wysiłku żeby oderwać się od tych uroków i dopiero wtedy spostrzega się, że przecież książka nadal, tak jak cała dotychczasowa masa przyczynków i rozpraw polonistycznych, nie odpowiada na dwa pytania: kim był Sienkiewicz jako człowiek, kim był jako pisarz.

Dokoła każdego wsławionego swoją twórczością człowieka owija się siatka faktów z jego biografii, zmyśleń, legend, tak że wyobraźnia nasza, wspomagana zresztą fotografiami, nazwisko łączy z jakimś obrazem. Ten obraz, jeżeli chodzi o Sienkiewicza, jest dziwnie anemiczny. Cokolwiek o nim wiemy, nie wykracza poza poprawność, jaka spogląda na nas z jego podobizn. Tyle

* *Sienkiewicz żywy*. Redakcja: Władysław Günther. Gryf Printers Ltd. Londyn, 1967.

tylko da się powiedzieć, że był to pan z dobrego towarzystwa, o gustach w dobrym towarzystwie przyjętych, do lekkiego arystokratycznego snobizmu, do podróży i polowań. Na próżno, pamiętając o tatarskim pochodzeniu jego rodziny, szukalibyśmy w jego twarzy jednego rysu który by zastanawiał i przynajmniej trochę urozmaicał inteligencją przeciętność. Nie łatwo też jest przekonać siebie, że Sienkiewicz nie urodził się od razu w kamaszkach czy nawet w korkowym hełmie. Jest zawsze, fizycznie i psychicznie, ubrany. Czy był kiedykolwiek goły? Czy kiedykolwiek zaryczał, zaszlochał, narozrabiał po pijanemu? Nic nam o tym nie wiadomo. Ale przecież ludzką jest rzeczą błdzić, popadać w błazeństwa, żałować, ryczeć, szlochać? Być może zepsuci jesteśmy przez barwność biografii romantyków, nawet jeżeli pominiemy Mickiewicza, którego żywot dostarcza przykładów skandalu, awanturnictwa, zgryzoty, jakich dusza zapragnie. Ale i współcześni autora „Trylogii”, Prus, Orzeszkowa, są dramatyczni, błędzący, wewnętrznie sprzeczni, pogmatwani, jakoś ciepli i ludzcy w swoich porażkach i pościgach. Otwierający książkę szkic Marii Danilewiczowej nosi tytuł: „Maska człowieka szczęśliwego” czyli zamierza dać do zrozumienia, że pod maską kryło się mniej niż szczęście, ale zajmuje się wyłącznie maską.

Pan z dobrego towarzystwa był dziennikarzem. I sprawnym dziennikarzem. Jego korespondencje z Ameryki przynoszą zaszczyt prasie epoki pozytywizmu i mogą służyć za dowód szczególnej polskiej zdolności do szybkiej regeneracji, skoro zważymy, że były pisane i drukowane w dziesięć lat po hekatombie 1863 r., która zniszczyła najzdolniejszych, najbardziej obiecujących całego pokolenia. Przez swoją bystrość obserwacji, ironię, umiar w sądach, wrażliwość na tragiczne aspekty amerykańskiego pochodzenia na zachód, „Listy z podróży po Ameryce” są jednym z ciekawszych świadectw o dziewiętnastowiecznej Ameryce zostawionych przez Europejczyków. Jeżeli dzisiejszy mieszkaniec Kalifornii, stanu który najbardziej Sienkiewicza pociągał, nie zawsze odnajduje w tych korespondencjach Kalifornię lat siedemdziesiątych, taką jaką sobie staramy się przedstawić, słuszność jest zwykle po stronie reportera. Tak np. Michał K. Pawlikowski w szkicu „Zakochany w Kalifornii” dziwi się, że Sienkiewicz nie wspomina o Misjach albo że tak dużo miejsca poświęca Chińczykom. Ale Misje zbudowane przez Franciszkanina Junipero Serra wtedy były rozpadającymi się ruderami, nikogo nie obchodziły, zaczęto je cenić jako zabytki i restaurować o wiele, wiele później. Co do Chińczyków, oni to byli główną, importowaną masowo, siłą roboczą, używaną do najcięższych robót, według wzoru mającego w naszym stuleciu liczne odpowiedniki, jak choćby we Francji po II wojnie światowej, gdzie arabskie *bidonvilles* skutecznie podsycaly rasizm

statecznych obywateli swoją skrajną nędzą i nożownictwem. Być może dałoby się zarzucić Sienkiewiczowi brak dogłębnych analiz, nie jest to jednak rzecz dziennikarza, a zresztą jedno zdanie tu, inne ówdzie, świadczy, że miał dość jasną świadomość złożoności zjawisk.

Dobry reporter — ale z dziennikarstwa Sienkiewicza nie dowiemy się co w nim naprawdę siedziało, co stanowiło napędową siłę jego literackich przedsięwzięć. Ambicja? Jaka ambicja, jakiego gatunku? Nadmiar? Nadmiar czego? Skromność? Poświęcenie? Jak siebie widział, kim był dla siebie? Mniejsza z tym, gustował czy nie, w Litkach, Lolitkach i nymfetkach. Ale ta pracowitość w gromadzeniu materiałów, ta zawodowa dyscyplina, która pozwalała mu pisać rozdziały „Trylogii” przy łóżku umierającej żony, bo odcinek musiał być dostarczony na czas, niezbyt zgadzają się z obrazem towarzyskiego snoba, zwykle letkiewicza i leniwca. Szukając klucza zwracamy się do jego dzieła. Jednakże stawia ono w tym zakresie opór, niczego nie wyjaśnia i zapewne również dlatego sam Sienkiewicz pozostaje w naszej wyobraźni figurą tak bladą.

Kim był jako pisarz? Oceny powszechnie przyjęte przez jego polskich wielbicieli składają się na pewien kanon, a czym jest ten kanon poucza książka „Sienkiewicz żywy”, pilnie jego założeń przestrzegająca. Założenia te można mniej więcej streścić jak następuje. Sienkiewicz był wielkim pisarzem i zwyciężył wbrew kwasom krytyki, zachwycając, oczarowując dorosłych i niedoroslých, wykształconych i niewykształconych, zdobywając najrzadszą z nagród: jego postacie przestały być zmyśleniami pisarskiej fantazji, stały się prawdziwymi, żywymi bohaterami prawdziwych przygód. Czyż nie dostawał listów w których czytelnicy błagali go, żeby któremuś z jego rycerzy nie przydarzyło się coś złego? Czyż nie dawano na mszę za duszę Longinusa Podbipięty? Wobec tak wielkiego triumfu, skoro „Trylogia” natychmiast, kiedy jeszcze drukowano ją w odcinku, czytelniczym plebiscytem została uznana za polską Iliadę, skoro ta jej czarodziejska władza nie osłabła do dzisiaj, radując wiele pokoleń, tracą wagę zarzuty wrogów Sienkiewicza. Zgryźliwości pod jego adresem były zwykle dyktowane względami ideologicznymi, mózgowe koncepty pozytywistów, lewicowców, Świętochowskiego, Prusa, Brzozowskiego, okazały swoją doraźność, nietrwałość, jak wszystkie mózgowe koncepty. Niewiele znaczą w porównaniu z darem stworzenia, poprzez baśń, świata który trwa swoją własną logiką, logiką fantastycznej a jednak dotykanej rzeczywistości. Brak zgody pomiędzy czytelnikami i krytykami powtórzył się w skali międzynarodowej, kiedy „Quo Vadis” zyskało we Francji pozycję wręcz nieprawdopodobnego *best-seller’a* 1900 roku — nic takiego w dziejach

francuskiego rynku dotąd nie było — i odbywało pochod przez wiele krajów w tłumaczeniu na liczne języki. Wzgardliwy ton, z jakim odzywali się o tej powieści luminarze francuskiego piśmiennictwa, nic jej sukcesom nie szkodził. Powodem jego była zapewne zawiść i jakby obraza, że Polak zgarnia takie laury i pieniądze. Pomimo całej wrogiej kampanii, przeważył głos publiczności i nagroda Nobla słusznie uwieńczyła największego polskiego powieściopisarza.

Zanim zajmę się kanonem, kilka słów o literaturze jako narodowej instytucji. Jest ona względnie świeżej daty. Trudno dokładnie określić kiedy wchodzi w swoje prawa, ale jak się zdaje przed dziewiętnastym wiekiem nie było pojęcia literatury (poezja rządziła się swoimi, odrębnymi prawami) jako Olimpiady w czasie, z podziałem na kategorie-gatunki, w których to kategoriach współzawodnikom rozdziela się złote, srebrne i brązowe medale. Sprawdzić to należałoby biorąc do ręki szkolne podręczniki z różnych okresów. Z powodu osiemnastowiecznych pozostałości, jak też z innych przyczyn, w amerykańskich podręcznikach ten „całościowy” charakter literackiej areny niemal nie istnieje. Natomiast skrajnym przykładem wręcz przeciwnej tendencji są podręczniki francuskie. Tam wszystko jest zgrabnie podzielone na chronologicznie następujące po sobie rozdziały i pod-rozdziały, na poezję, teatr, prozę, wielcy dostają tyle i tyle zdań, mniejsi odpowiednio mniej, a celem jest indoktrynacja młodych umysłów, które powinny wiedzieć gdzie rezyduje *la grandeur* i *la gloire* ich narodowej kultury. Nie inaczej są układane podręczniki sowieckie, z tym tylko, że mniej chodzi tam o artystyczną wielkość, bardziej o to co *poлезno*.

Literatury jako instytucji narodowej chwytają się w dziewiętnastym wieku również europejskie kraje uciemiężone aspirujące do niepodległości, i to tym bardziej, że zadrukowane stronic musiały im zastąpić rząd, parlament, państwowe granice. Europa zmieniała się w konglomerat etno-centrycznych kultur, z których każda budowała swój panteon czy też, wracając do użytej przed chwilą metafory, wystawiała swoją olimpijską ekipę. Kryteria doboru były mocno użytkowe, puste miejsca czekały na „wielkich” a mianowano ich kierując się moralnym pożytkiem czy splendorem dla narodowej wspólnoty. Te skłonności znalazły wyraz np. w podręczniku literatury polskiej Chrzanowskiego, dotychczas chyba, jako sztuka zwięzłego wykładu, najlepszym. Ktokolwiek został wychowany według takich wzorów, nie potrafi pozbyć się mocno zakorzenionych przyzwyczajeń, co zresztą jest niepotrzebne. Konieczne jednak są pewne modyfikacje.

Wobec nadmiaru, wobec niebywałego pomnożenia i ilości i jakości w skali międzykontynentalnej, stoimy wobec przymusu

zrzucania balastu. Wiek dziewiętnasty, wiek powieści, tak odległy, przemawia do nas językiem mnóstwa swoich baśni, które wtedy spełniały rolę później przejętą przez film i telewizję. Labirynt wielotomowych dzieł jest rajem dla historyka, ale złote i srebrne medale wówczas rozdzielane są dla niego raczej obyczajowym szczegółem. Bardzo niewielu wizjonerów umiało użyć formy powieściowej po to żeby otwierać nowy wymiar naszej wiedzy o człowieku i tych niewielu, kilku może tylko w całym zasięgu cywilizacji europejskiej, nazywamy wielkimi pisarzami. Surowość wobec innych nie byłaby usprawiedliwiona. Znajdą się wśród nich znakomici narratorzy, subtelni psychologowie, świetni humoryści, jak też producenci masowego melodramatycznego kiczu, który jest nieraz nadal czytany. Zapomnijmy na razie o Sienkiewiczu jako autorze powieści z dziejów Polski. W wielkiej międzynarodowej redukcji zostawiającej tylko pierwszorzędne nie ostaje się on jako autor znaczący. Tak więc choćby jego opowiadania amerykańskie, porównane z tymi, które natchnęła przede wszystkim Kalifornia — Mark Twaina, Bret Harte'a, Jacka Londona (autorów bynajmniej nie wolnych od kiczu) — są dość nieporadne, poczynając od „Przez stepy”, typowego romansu z ilustrowanych magazynów dla ludzi płci żeńskiej, a kończąc na „Latarniku”, nowelce, która nie wiadomo dlaczego tak polskich czytelników wzrusza. Czy wzruszałaby gdyby latarnik był Turkiem? Że Turek tęskni do Turcji to ładnie. *So what?* Może zamiast wzruszać się, lepiej byłoby okazywać mniej gorliwości we wtrącaniu niejednego ze współplemieńców w sytuację mieszkańca wieży na wyspie? Zresztą prawdziwy los, bardzo polski, jest za tą powiastką ukryty, czytelnik o nim nie wie, wiedzą tylko szkolarze, którzy odkryli czego z autentycznej biografii starego człowieka Sienkiewicz nie użył. Pierwowzór nie dlatego szukał posady na bezludnej wysepce, że był „znudzony życiem”, dlatego po prostu, że, jak mu się zdawało, ścigały go wszędzie, po kilku kontynentach, łapsy carskiej tajnej policji, przeważnie jego zacni z pozoru rodacy. Mania prześladowcza zmusiła go do zerwania stosunków z ludźmi, bo nikogo nie był pewny. Więc paranoik.

Sienkiewicz jako kronikarz współczesności. „Rodzina Połanieckich” jest powieścią parafialną, co nie może stanowić zarzutu, bo parafiańszczyzna Sopliców i Dobrzyńskich nie przeszkadza „Panu Tadeuszowi” być arcydziełem. Ale bohaterowie „Rodziny Połanieckich”, ograniczeni umysłowo, hipokryci, pokazani bez dystansu, nie ciekawią nas i nie życzymy sobie ani zawierać z nimi znajomości ani wnikać w podejrzone nieco spekulacje handlowe, które Połaniecki uważa za służbę bożą. W „Bez dogmatu” Sienkiewicz wziął temat olbrzymi, demoniczny, temat *décadence*, ale nie tylko nie miał w sobie nic z demona, pisał tak

jakby przed nim nie było Nikołaja Danilewskiego (niewątpliwego poprzednika Spenglera), Dostojewskiego, Leontjewa, rozważając to, co dobre polskie towarzystwo podróżujące na Riwierę, do Rzymu i Wenecji wyczytało u Francuzów. Toteż jeżeli jego mistrz Paul Bourget (wówczas uważany za wielkiego pisarza) jest dziś tylko papierem przeżywanym przez „badaczy owadzych nogów”, to samo stosuje się do „Bez dogmatu”.

Z „Quo Vadis” sprawa przedstawia się nie całkiem tak jak chce obowiązujący kanon. Piorunujący, zaiste, sukces tej książki we Francji francuska elita umysłowa podawała za potwierdzenie starej prawdy, że zły pieniądz wypiera dobry czyli jej gniewy na „Quo Vadis” świadczyły o poczuciu zagrożenia przez kulturę masową. „Quo Vadis” było ówczesnym filmem Hollywoodu. Czyli puszaniem w ruch, przy pomocy słowa, bo nie było jeszcze innego środka, wielkich akademickich płócien „odtworzących” sceny z życia starożytnej Grecji i Rzymu. Specjalizowali się w takich płótnach londyńczyk Tadema, wiedeńczyk Makart, w Polsce Siemiradzki, warto też zwrócić uwagę, że Siemiradzki (który zmarł w 1902) Sienkiewicza poprzedza w rzymskiej tematyce, a nie odwrotnie. We Francji, mającej za sobą przewrót realistyczny i impresjonistyczny, akademickie malarstwo nie było wysoko notowane przez ludzi lepszego smaku. Poza tym francuska literatura drugiej połowy stulecia próbowała już rywalizować ze starożytną egzotyką umieszczoną na płótnie. Przykładem „Salammbô” Flauberta, artystyczny niewypał, przemęczone stylistycznie wypracowanie. Niewątpliwie, z francuskich polemik dokoła „Quo Vadis”** przeziara dużo zawiści i zwyczajnej ksenofobii. Trzeba jednak zostawić na boku dziennikarstwo i zastanowić się nad sądami umysłów wybrednych. Nad ich zgodnością nie można przejść obojętnie. Powtarza się stale opinia, jaką Paul Valéry wypowiedział w liście do André Gide’a w październiku 1900 roku:

„‘Quo Vadis’ ma sukces. Ciekawe, że te figle jeszcze chwytają. Z tego co przejrzałem, przypomina to Munkacsego albo tę ohydłą niemiecką sztukę z Exposition — szewskie barbarzyństwo (*du barbare de cordonnier*)”.

Ponieważ nikt już chyba nie wie kim był Munkacsy, warto dodać, że był to węgierski malarz, odpowiednik raczej Matejki niż Siemiradzkiego.

Polski kanon podaje nam do wierzenia, że ataki na Sienkiewicza, szły przede wszystkim z kół antyklerykalnych i wrogich chrześcijańskiej tradycji. Dlatego przypomnijmy, że popularność „Quo Vadis” we Francji szczególnie przynębiała najbardziej

** zrelacjonowanych w rozprawie Marii Kosko: *Un „best-seller” de 1900, „Quo Vadis?”*, Librairie José Corti, 1960. Stamtąd czerpię cytaty.

prawdopodobnego z katolickich pisarzy, Léona Bloy, bo czytali tę powieść gorliwie proboszczowie. Bloy w powieści Sienkiewicza widzi „polską i przyrodzoną głupotę tego nieszczęśnika” (*la sottise polonaise et congénitale de ce malheureux*), co znaczyłoby, że *la sottise polonaise* uchodziła wówczas za taką cechę narodową jak skąpstwo Szkotów i gadatliwość Włochów.

Osobiście przypuszczam, że mieli rację Paul Valéry i Léon Bloy. Na usprawiedliwienie Sienkiewicza można przytoczyć tę okoliczność, że koniec dziewiętnastego wieku, mimo wielu dyskusji o *décadence*, schyłkowego Rzymu zupełnie nie czuł i sytuacja duchowa człowieka postawionego wobec historii toczącej się niezależnie od ludzkiej woli dopiero później, po wielu doświadczeniach, zaczęła być, przez analogię, rozumiana. Zachodzi na pewno związek pomiędzy nie-ostrością, rozmażliwością umysłową w „Bez dogmatu” i spłyceniem Rzymu w „Quo Vadis”. Tak czy owak, powieść jest znaczną regresją wobec obrazów Rzymu w literaturze polskiej, w „Irydionie” Krasińskiego, a tym bardziej w „Quidam” Norwida.

Dałoby się, owszem, przeprowadzić obronę powieści-panoram ze starożytności jako literatury rozrywkowej, przychylnie odnosząc się do „Ostatnich dni Pompei” Bulwera Lyttona (1834), „Ben Hura” Lew Wallace’a (1880) i do „Quo Vadis”. Artykuł jaki Henri de Montherlant napisał specjalnie do omawianej książki zbiorowej nie przynosi jednak nic więcej niż stwierdzenie, że Montherlant w dzieciństwie zachwycił się Sienkiewiczem (kto się nie zachwycił?) i że pozostał mu wdzięczny. Ponieważ na twórczość Montherlanta nie jestem wrażliwy, nie jest to dla mnie argument. Wypowiedź tego znanego z przekory literata ma cechy *camp* czyli chwaleń „na odwrót” kultury dla mas odpychającej wybrednych, tak że obrazek z jeleniem pijącym u źródła zostaje umieszczony w nowym kontekście i, traktowany z pobłażliwą ironią, bawi jako składnik takiej czy innej pop-art.

Sienkiewicz był wielki bo napisał „Trylogię” i „Krzyżaków”. Kto wie, może anemiczność jego portretu wyjaśnia się prosto: rzeczywiście był osobą intelektualnie i uczuciowo anemiczną, gdyby było inaczej, mając tak duży talent narratorski siebie narzuciłby swoim dziełom, siebie w swoich dziełach, nie tylko tych z dziejów Polski, przekazał. Czyż Flaubert nie mawiał: „Pani Bovary to ja”, czyż Dostojewski nie był wszystkimi braćmi Karamazow równocześnie? Człowiek w Sienkiewiczze był prawdopodobnie mało wyrazisty, mocny natomiast patriota. W patriotyzmie trzeba więc szukać poruszającej go namiętności. Zaraz po upadku Rzeczypospolitej zaczyna się w Polsce literatura „powrotu do łona” czyli w przeszłość która leczy od doznawanych co dzień poniżeń. Ta linia

w powieści, od Niemcewicz, Rzewuskiego, do Kraszewskiego i Kaczkowskiego, doskonali się i znajduje w „Trylogii” najpełniejszą realizację. Otwartą jest kwestią kto, Kraszewski czy Sienkiewicz, mądrzej przystępował do takiego samego w istocie zadania. Kraszewski bije Sienkiewicza gorliwością swojej służby i płodnością: jest fenomenem na miarę światową. Jednak Kraszewski nie napisał powieści barwniejszej niż „Trzej muszkietierowie” i bardziej zachęcającej do identyfikacji z jej bohaterami niż „Winnetou, czerwonoskóry gentleman” Karola Maya.

Pretensje do „Trylogii”? O co mieć pretensje do „Trzech muszkietierów” albo „Hrabiego Monte Christo” czy też do ich o wiele bogatszej w tło historyczne odmiany? Czego więcej można żądać od „Krzyżaków” niż żeby byli wartką narracją osnutą dookoła „Grunwaldu” Jana Matejki? Należałoby się tylko cieszyć, że takie powieści są, postawić je na zaszczytnym miejscu wśród innych dzieł reprezentujących rozpaczliwy „powrót do łona” i na tym poprzestać. Niestety wszystko się zmienia kiedy historyczne panoramy Sienkiewicza podaje się za wielką literaturę i zaleca się je jako chleb duchowy pokoleń. Nie jest prawdą, że kontrowersja dookoła Sienkiewicza sprowadza się do ideologicznego sporu. Całkowite zlekceważenie tej kontrowersji przez współautorów książki trudno usprawiedliwić. Przeciwnicy Sienkiewicza w Polsce nie tylko przeciwstawiali mu swoje, inne, widzenie wypadków historycznych. Kiedy Prus zarzucał „Trylogii”, że krew obficie w niej z ran płynąca nie jest krwią ale jagodowym sokiem, kiedy śmiał się z Podbięty, chodzącej gilotyny odmawiającej paciorek, to nie była ideologia tylko zasadnicze, równie ważne wtedy jak dzisiaj, żądanie: żeby pisarz był umysłowo i emocjonalnie dorosły i żeby zwracał się do dorosłych. Ach, Sienkiewicz jest świetny, wyborny, pyszny, znakomity, zamaszysty! Tak, wszystko to ma, prócz wielkości. Tej wielkości, którą poznaje się np. po scenach w obozie jeńców u Tołstoja. Niechby wielkość była koślawa, wykręcona, skażona, nie pyszna i zamaszysta, bo zaiste nie mierzy się jej perfekcją. Ale niechby była.

Londyńska książka podkreśla pedagogiczno-patriotyczne zalety „Trylogii”. Słusznie, tylko że czy naród, który obiera opowieść nieco dziecinną za swoją Iliadę nie płaci zbyt wysokiej ceny? Czy cały nie zmienia się w Peter Pana, chłopca który nie chciał rosnąć? A poza tym „Trylogia” jest mniej niewinna niż to z pozoru wygląda. Jej bohaterowie, z sarmackiego prairi ulepiani, archetypalni, w sarmackie życie z kolei wracają z kart powieści, a niektóre ich popędy, przez Sienkiewicza niedomówione, w życiu nabierają dobitności. Rzeklibyśmy, że „Trylogia” kryje w sobie niewywołaną kliszę, a kiedy ją wywołają odpowiednie warunki, wyłania się z niej twarz, archetypalnie sarmacka, Gnębna Puczymordy.

Gnębón Puczymorda otrzymał swoje imię i nazwisko od St. Ign. Witkiewicza. Mówi się o nim w sztuce „Szewcy” oraz w powieści „Jedyne wyjście”, której akcja dzieje się, jak zwykle u Witkacego, w Polsce przyszłej, gdzieś na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. W państwie tym, o ustroju, jak można wnioskować, faszystowsko-komunistycznym, Puczymorda stoi na czele monopolistycznej partii P.Z.P. W „Tangu” Mrożka przybrał natomiast imię Edek. Dopatrywanie się w Puczymordzie jednej osobistości, czy też przedstawiciela jednej politycznej orientacji, byłoby błędne. Posiada on bowiem wszelkie właściwości plemiennego geniusza, narodowego parakleta, wodza o wielu twarzach. Rodowód jego jest zawiły, niemniej „Trylogia”, oglądana z dystansu, zawiera dane co do jego pochodzenia. Nie jest to bynajmniej moje odkrycie, bo przeciwnicy tzw. sienkiewiczowskiej krzepy dawno już dostrzegli u herosów tego pisarza, przybierających po kilku wiekach nowe postacie i twarze, zamiłowanie do pałki. Tutaj oczywiście wkraczamy już w spór ideologiczny, bo to zwykle liberałowie i socjaliści widzieli w Sienkiewiczu sprzymierzeńca prawicy, najpierw nacjonalistycznej, następnie rasistowskiej i totalitarnej. Z chwilą jednak kiedy wspomina się o wychowawczych zaletach „Trylogii”, nie jest dobrze o tym sporze po prostu zamilczeć. Zresztą, chociaż wiele dawnych ideologicznych podziałów straciło swoje znaczenie, spór ten zinterpretowany na nowo, ma nadal żywotną treść. Dotyczy nie wpływu Sienkiewicza na umysły, ale nacisku zbiorowych tęsknot na umysł tego twórcy, bluszczowaty, mało samodzielny, konwencjonalny.

Uwagi powyższe nie będą się podobać. Cel ich jest ten sam co niektórych wierszy Antoniego Słonimskiego: „Bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw”. W szczególnie ponurych momentach historycznych spełnia się swój obowiązek dążąc do przywrócenia elementarnej hierarchii wartości. Bez ścisłej i surowej hierarchizacji nie ma życia duchowego, jest chaos zrelatywizowanych mniemań, taktycznych posunięć i cynizm. Nic mnie nie obchodzi, że podtrzymując sienkiewiczowski kanon dostaje się brawko. Człowiek ma za dużo kłopotów ze swoim istnieniem żeby ostrość problemów stępiać partykularnymi rozczuleniami. Ktokolwiek miary ogólnoludzkie przedkłada nad miary pożytku dla danej wspólnoty nazywa się po polsku, jeżeli się nie mylę, *biezrodnyj kosmopolit*. Takich właśnie, myślę, dziś potrzeba. Gdyby posądzono mnie o lekceważenie literatury polskiej, popełniono by omyłkę. Ponieważ piszę po polsku, muszę dbać o zdrowie mego gospodarstwa to znaczy, między innymi, wypróbować materiały z jakich są zrobione budynki wśród których się poruszam. Kompleksy niższości powstają zwykle stąd, że broni się różnych lokalnych monumentów („bo wielkim był”) czując w głębi serca, że nie całkiem

z nimi w porządku. Z polskiej literatury muszę brać to, co wytrzymuje konfrontację z ludzką, nie tylko polską, wielkością, co określa moją odrębność jako człowieka nie niższego niż moi bliźni wychowani na innych literaturach. Nie należy tu np. „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. Sienkiewicz nie był pisarzem wysokiej miary. Książka wydana w 1967 roku, wychodząca z założenia że był, grzeszy brakiem poczucia humoru w takich tytułach jak: „Trylogia — polską Iliadą” (*żadna* nowoczesna literatura nie ma, bo nie może mieć, Iliady) i „Sienkiewicz a Tacyt”, nie przyczynia się też do obudzenia szacunku dla bynajmniej nie relatywnej hierarchii ludzkich osiągnięć.

Czesław MIŁOSZ

Ofiary i oprawcy

Stanisław Wygodzki oparł *Zatrzymanego do wyjaśnienia** na opowiadaniach znanych komunistów ze „starej gwardii” i na relacjach spisanych po roku 1956 za namową Zakładu Historii Partii przy KC PZPR. Jest to więc zbeletryzowane świadectwo z lat, o których Leon Wudzki mówił na VIII Plenum: „Ludzi łapano na ulicy i wypuszczano po siedmiu dniach badania niezdołnych do życia. Ludzi tych trzeba było odwozić do Tworek. Ludzie chronili się do Tworek, ażeby nie dostać się do UB. Udawali wariatów. Ludzie w popłochu, w panice, nawet porządni ludzie, uciekali zagranicę żeby tylko uniknąć naszego systemu... Całe miasto wiedziało że ludzie mordują, całe miasto wiedziało że są karce w których ludzie po trzy tygodnie stoją w ekskrementach po kostki, całe miasto wiedziało że Różański zdziera ludziom paznokcie osobiście z rąk, całe miasto wiedziało że oblewa się ludzi zimną wodą i stawia na mrozie, tow. Berman, członek komisji do spraw bezpieczeństwa, nie wiedział”.

Bohater opowiadania Wygodzkiego, Szpakowaty, nie miał zdawałoby się powodu „unikać systemu” jako stary i wybitny komunist z SDKPiL i KPP. A jednak, po krótkim okresie honorów i ministerialnej synekury, „zatrzymują” go w roku 1949 i „wyjaśniają” jego „sprawę” do roku 1955. Wraca z więzienia do sparaliżowanej żony, umiera przed ogłoszeniem uchwały IX Plenum z roku 1957,

* Biblioteka „Kultury”, tom 1965, str. 205, Paryż, grudzień 1968, cena F 16,50).

w której mowa i o nim w związku z „wypaczeniami w organach byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego”. Na cmentarzu zbierają się jego przyjaciele i znajomi, gromadka intonuje Międzynarodówkę. Prosty robotnik i członek partii Aron Szklarz, który zetknął się ze Szpakowatym w szpitalu więziennym UB, recytuje szepem werset z Księgi Hioba.

Mimo cierpień i goryczy partyjny Hiob „nie obraził się na partię”, pozostał jej do końca wierny, uważając swoje „zatrzymanie do wyjaśnienia” za „omyłkę”. W ciągu sześciu lat śledztwa nie torturowano go metodami opisanymi przez Wudzkiego, raz tylko kazano mu rozebrać się do naga i usiąść na odwróconym do góry nogami taborecie. Jego tortura polegała na całkowitym odcięciu od świata, na ciągłym pisaniu własnego życiorysu, i na zagrożeniu lub co najmniej zawieszeniu poczucia łączności z tym wszystkim czemu od najmłodszych lat służył. Chodziło naturalnie o KPP, „przeżartą prowokacją” i „powiazaną z defą”, krwawo przetrzebioną w Rosji w latach czystek i ostatecznie rozwiązaną przez Komintern w roku 1938. „Pojął że on, jeden z najbliższych współpracowników Warskiego, Leńskiego, Kostrzewy, Bortnowskiego, Unslichta, Piotrowskiego, nie może się znaleźć poza kręgiem oskarżeń, które dosięgły przyjaciół. Dalsze rozmowy, selekcja dowodów, dobór materiałów były takie, iż tylko potwierdzały słuszność zarzutów. Szpakowaty był bezradny”. Tuż przed śmiercią — o czym Wygodzki nie wspomina — Szpakowaty mógł jeszcze nacieszyć oczy widokiem swoich „zrehabilitowanych” pośmiertnie przyjaciół w panteonie fotograficznym *Trybuny Ludu*. Ale nie jest wcale (nawiasem mówiąc) pewne, czy wkrótce nie usłyszymy o niektórych z nich znowu, dla odmiany jako o „kryptosyjonistach”.

„Bezradność” Szpakowatego należy przypisać jego dogmatyzmowi. Przy całej sympatii dla swego bohatera Wygodzki rozumie to bardzo dobrze i podkreśla bardzo wyraźnie, co wzbudza zaufanie do autentyczności jego opowiadania. Towarzysz więzienny Szpakowatego, członek delegatury rządu londyńskiego, zauważa: „Dziwna jest wasza interpretacja faktów, bardzo dziwna. Czasami wydaje mi się, że to ja hołduję metodzie marksistowskiej, a nie wy. Tam, gdzie potrzebna analiza polityczna, wy mówicie o pomyłkach albo, co brzmi jeszcze śmieszniej, wdajecie się w analizę psychologiczną. To co wy nazywacie pomyłką, ja nazywam po prostu fałszerstwem”. Diagnoza jest ścisła. Szpakowaty nie załamuje się co prawda w śledztwie, ale stając na gruncie „omyłki” popełnionej przez partię która „w zasadzie ma zawsze rację”, oddaje się na dalszą metę (do której w jego „sprawie” nie doszło dzięki zmianie kursu w roku 1955) w ręce swoich oprawców. Charakterystyczny jest pod tym względem jego ostrożny a nawet niechętny stosunek do dwóch komunistów, którzy odrzucają teorię „omyłki”: do Wukopa i do mądrego Szklarza. Kiedy w jednej z pierwszych rozmów po „zatrzymaniu do wyjaśnienia” oficer UB opukuje ofiarę („partii może być potrzebne fałszywe oświadczenie”, „kto sprawuje władzę musi czasem kłamać”), Szpakowaty

zamiast powiedzieć „nie” stara się raczej wybadać warunki „kompromisu”: „Ustąpię wam, tylko mi wytłumaczcie, wobec kogo chcecie kłamać... Przekonajcie mnie o słuszności tego, co głosicie. Nie macie przed sobą wroga. Jestem starym komunistą”. Ubek ma pełne prawo pokwitować: „To też już jest jakaś płaszczyzna porozumienia z nieprzejednanym”. W organizowanych *po wsiem prawitām iskusstva* procesach pokazowych tacy „nieprzejednani starzy komuniści” powtarzali przed sądem wyuczone na pamięć w śledztwie zeznania. W Polsce rzecz nie wyszła po prostu poza stadium przygotawcze.

W najbardziej dramatycznym rozdziale *Wielkiej Czystki* Weissberg-Cybulski opowiada o tym, jak jego współtowarzysz celi komunista Rożanski usiłuje go namówić by przyznał się do zbrodni niepopewionych. Rożanski uważa za swój „obowiązek partyjny” podpisać wszystkie fałszywe oskarżenia, które podsuwa mu sędzia śledczy. Fałsz i prawda są dla niego „pojęciami burżuazyjnymi”, pozbawionymi całkowicie sensu w Związku Sowieckim. Nie jest istotne, czy człowiek ma się w ogóle do czego przyznać. „Istnieją pewne konieczności polityczne i partia ma prawo domagać się od swoich członków, by się tym koniecznościom podporządkowali”. Do partii należy decyzyjnie komu na „danym etapie walki” przypada rola oskarżonego, a komu oskarżyciela. Weissberg oburza się początkowo na tę upiorną bzdurę, ale po jakimś czasie i w nim rodzą się wahania: „W atmosferze NKWD traciło się poczucie proporcji. Nawet tam, na wolności, po wielkich procesach ludzie już nie wiedzieli kto jest prześladowanym, a kto prześladowcą. Cóż dopiero tutaj... Miałem uczucie, że w rozmowach z Rożanskim zacierały się we mnie jasne i proste pojęcia dobra i zła, prawdy i fałszu, oraz ich mierniki. Zaczynałem wątpić w słuszność mojej sprawy. Broniełem się przed trucizną, sączoną przez niego kropla po kropli do mojego mózgu. Czułem jednak, że jego siła sugestii powoli przewycięża moją wolę”. Trzeba dużego wysiłku, by Weissberg uwolnił się w końcu od „hipnozy” Rożanskiego (zresztą prowokatora) i odzyskał zdolność „oceniania rzeczy według reguł zdrowego rozsądku ludzkiego a nie według reguł dialektyki GPU”.

Historia z Rożanskim jest epizodem chwilowo zaczadzonego umysłu, wskazującym na możliwość wykorzystania takiego zjawiska u ludzi słabszych niż Weissberg w atmosferze permanentnej inkwizycji. Tortury (bo one są naturalnie najważniejsze, o czym wie Wygodzki cytując Brechta z dramatu *Galileo Galilei*) mogą w wiernych członkach partii, oskarżonych naraz o fikcyjne zbrodnie, przygotować grunt pod presję dodatkową. Hanna Arendt określa ją trafnie w *The Origins of Totalitarianism* jako presję nie tyle „dialektyki”, co „logiczności”. W oparciu o „logiczność” partia dzieli w praktyce swoich członków na oprawców i ofiary (*executioners and victims*): i jedni i drudzy „przyśpieszają bieg historii”, jedni oskarżając i likwidując kiedy należy w interesie nieomyślniej partii, drudzy przyznając się i przyjmując pokornie wyroki kiedy partia tego od nich wymaga. Siła „logiczności” tkwi w obawie zaprzeczenia samemu sobie. Zgadzasz się że

historia jest walką klas, i zdajesz sobie sprawę z roli odgrywanej w niej przez partię. Wiesz zatem że, historycznie biorąc, partia — niezależnie od takich czy innych omyłek — ma w ostatecznym rozrachunku zawsze rację. W danym momencie historycznym, czyli zgodnie z prawami historii, muszą być popełnione pewne zbrodnie które partia, znowu zgodnie z prawami historii, musi ukarać. Do popełnienia tych zbrodni konieczni są zbrodniarze, ale może się zdarzyć że choć partia przewiduje ostro nieuniknione zbrodnie, nie umie jeszcze zidentyfikować zbrodniarzy. Ważniejsze od identyfikacji zbrodniarzy jest ukaranie zbrodni, gdyż w przeciwnym wypadku koło historii zostanie zahamowane w swym biegu. Ty więc którego oskarżamy albo jesteś zbrodniarzem, albo partia powołała cię do odegrania roli zbrodniarza — tak czy owak, stałeś się obiektywnie wrogiem partii. Odmawiając przyznania się, odwracasz się od historii, stajesz się rzeczywistym wrogiem, zaprzeczasz samemu sobie i odbierasz sens całemu swojemu życiu. „Tyrania logiczności — dodaje Hanna Arendt — oznacza oddanie umysłu w niewolę nigdy nie kończącego się procesu”, z którego nic nie jest w stanie wyrwać człowieka poza jego „wielką zdolnością zaczęcia czegoś od nowa”.

Jest to portret typowego dogmatyka. Bohater opowiadania Wygodzkiego nie posiada tej zdolności i nie potrafi już niczego zacząć od nowa. Ocala go *in extremis* (podobnie jak Gomułkę) oddolna fala „polskiego października”.

Lucjan KŁODNICKI

Prawdy względne Leszka Kołakowskiego

Leszek Kołakowski zebrał niedawno dziesięć swoich rozpraw dotyczących epistemologii, historii, etyki i socjologii w książce zatytułowanej *Kultura i Fetysze* (PWN, 1967). Autor podkreśla jednak słusznie na wstępie, że ta selekcja materiałów sięgająca dziesięciu lat wstecz nie jest bynajmniej przypadkowa. Myśl przewodnią książki Kołakowski zamyka w aforyzmie greckiego komediopisarza Epicharma: „Godzi się, by śmiertelny śmiertelne, nie zaś nieśmiertelne myśli rodzić”. Innymi słowy, Kołakowski sprzeciwia się filozofiom, które zakładają istnienie zasadniczych, niezmiennych prawd i utrzymują że obowiązkiem naszym, a przede wszystkim obowiązkiem filozofów, jest te prawdy odkryć, albo przynajmniej wskazać miejsce, gdzie one się ukrywają.

W pierwszej chwili stanowisko Kołakowskiego wydaje się pros-

te i przypomina poglądy pozytywistów Koła Wiedeńskiego. Można by pomyśleć mianowicie, że Kołakowski odrzuca na przykład stały niewzruszony świat platońskich idei, czy też przekonanie o istnieniu doskonałego, wiecznego Boga, na rzecz systematycznego badania zjawisk w świecie, który poznajemy zmysłowo, a nie drogą czystego rozumowania. Jednakże nauki ścisłe też mają swoje ustalone modele świata, które z biegiem czasu nabierają cech nienaruszalnych dogmatów, więc w tej dziedzinie również Kołakowski przestrzega przed przyjmowaniem pewnych sformułowań jako pewniki, które obowiązują wiecznie. Kołakowski odrzuca wszelkie pretensje absolutystyczne, nie tylko teologów, historyków, moralistów i filozofów o skłonnościach metafizycznych, lecz także teoretyków nauk ścisłych.

Nie oznacza to jednak, że Kołakowski głosi skrajny sceptycyzm. Nie mówi on bowiem, że niczego nigdy nie powinniśmy uważać za pewne. Takie stanowisko byłoby zresztą nielogiczne, gdyż głosząc postulat „Nic nie jest pewne”, przyznajemy, że istnieje przynajmniej jedna prawda, w którą nie potrafimy wątpić. Jest nią właśnie twierdzenie „Nic nie jest pewne”. Kołakowski twierdzi raczej, jak przystało na ucznia Hegla i Marksa, że prawdę determinują okoliczności historyczne, w jakich dana prawda jest głoszona. Prawdy są uzależnione od warunków historycznych dlatego, że są głoszone nie przez stworzenia posiadające wiedzę absolutną, lecz przez istoty śmiertelne, których zakres wiedzy musi z konieczności być niepełny i w znacznej mierze fałszywy. Stanowisko Kołakowskiego prowokuje jednak inne pytanie: jeżeli rzeczywiście kryterium prawdy zmienia się co pewien czas, jak wytłumaczyć fakt, że zawsze jednak istnieje jakieś kryterium, wedle którego jedne wnioski odrzucamy jako błędne a inne przyjmujemy za prawdziwe?

Kołakowski stwierdza, że „metafizyczne pytanie o prawdę jest naukowo zbędne. Zbędne jest również przypuszczenie, że zbiór owych prawd tymczasowych przybliży się, w kolejnych uściśleniach, do gotowej, w świecie idei transcendentálnych już przyrządzonej i oczekującej odkrywców 'prawdy bezwzględnej'” (str. 202). Wniosek ten Kołakowski wyciąga z obecnego stanu nauki: „jeśli wiedza naukowa zdejmuje coraz to nowe opakowania z bytu empirycznego, to i tak nie ma widoków, byśmy w końcu, zdartej ostatnie opakowanie, ujrzeli odwinętą z niego „rzecz samą”, która wszystkim opakowaniem nada sens wspólny; że trzeba raczej liczyć się z tym iż opakowania mnożą się razem z kolejnym ich zdzieraniem i współtworzone są niejako w procesie samego ich usuwania” (str. 210). To znaczy, że nasza wiedza o wszechświecie dzisiaj nie jest bliższa prawdy, niż wiedza którą dysponowali kolejno Kopernik, Galileusz, Newton i Einstein. W pewnym sensie jest to wniosek słuszny: wszechświat jest nadal tajemnicą — może dziś nawet większą tajemnicą niż się zdawało naszym pradziadom — różnica polega jedynie na tym, że z postępem nauki tajemnice pojawiają się w coraz to nowych rejonach naszej niewiedzy.

Czyż jednak odkrycia nauki są aż tak przypadkowe? Czyż nasza wiedza dotycząca na przykład systemu słonecznego nie jest bliższa prawdy niż wiedza Ptolemeusza? Zapewne czeka nas wiele niespodzianek, ale za to mamy ogromny zakres negatywnej wiedzy: to znaczy wiemy z całą pewnością że pewne odkrycia są nie do pomyślenia. Nikt dziś nie przyjmie serio rewelacji, że ziemia jest płaska lub że powierzchnia księżyca składa się z gnijącego sera.

Tak więc uczeni posiadają użyteczne kryterium prawdy. Nie jest to oczywiście kryterium absolutne — i tu zgadzamy się z Kołakowskim — gdyż samo sformułowanie takiego kryterium oznaczałoby, że człowiek włada nieograniczoną wiedzą o wszechświecie. Stwierdziwszy jednak, że kryteria naukowe podlegają stale rewizji w miarę, jak zdejmujemy „coraz to nowe opakowania z bytu empirycznego”, musimy jednocześnie podkreślić, że kryteria te są wynikiem ścisłej obserwacji zjawisk dostępnych nam wszystkim, a więc nie są czystym wymysłem, który można dowolnie zastąpić przez inny, równie przypadkowy wymysł.

Istnieje jednak bardzo ważna dziedzina absolutów, którą Kołakowski w ogóle się nie zajmuje, może właśnie dlatego, że stanowi ona najpoważniejszy problem dla jego tezy, iż wiedza nasza uzależniona jest od warunków historycznych. Mam na myśli prawa logiki, które determinują w sposób bezwarunkowy strukturę naszego rozumowania. Prawa logiki nie są prawami umownymi, które można czy to łamać, czy to zmienić na lepsze. To są prawa, których musimy przestrzegać, jeśli zamierzamy myśleć sensownie. Nikt nam oczywiście nie zabrania tych praw łamać: to znaczy rozumienie nielogiczne nie jest ani grzechem ani przestępstwem — częściej niestety ludzie bywają karani za to właśnie, że mają odwagę rozumować konsekwentnie i wyciągać stąd gorzkie nieraz prawdy. Zatem rozumować błędnie zawsze nam wolno, nie potrafimy natomiast dowieść — i tu właśnie kryje się sens konieczności logicznej — że błędne wnioskowanie jest mimo wszystko poprawne. Praw logiki nikt nie jest w stanie naruszyć i dlatego żadna siła nie zdoła zbudować prawdy na fałszu.

Kołakowski mógłby się tu powołać na tych logików, którzy wbrew temu co właśnie powiedziałem o prawach logiki, starają się przekonać nas, że prawa logiki, choć rzeczywiście uniwersalnie obowiązujące, odnoszą się jednak tylko do struktur lingwistycznych, którymi posługuje się człowiek cywilizowany, że właśnie umiejętności rozumowania logicznego jest cechą wyróżniającą go od ludów prymitywnych.

A jednak Kołakowski czyni coś diametralnie odmiennego. Referuje mianowicie z aprobatą badania antropologiczne Levi-Straussa, z których wynika, że na przykład społeczność dzikich w naszym pojęciu buszmenów w rzeczywistości przestrzega tych samych norm myślenia co my. Pan Jourdain w sztuce Molière'a wyraził zdumienie, gdy mu powiedziano, że od dziecka mówił prozą. Podobne zdziwienie wyraziliby nie tylko buszmeni, ale i wielu tak zwanych cywilizowanych ludzi, gdyby się dowiedzieli, że w dyskusjach trzymają się reguł sformułowanych przez Arystotelesa. Ale

oczywiście fakt, że ktoś nie zdaje sobie sprawy z istnienia tych logicznych norm nie oznacza że wolno mu je bez szkody łamać. Konkluzje Levi-Straussa potwierdzają to przypuszczenie: streszczając je Kołakowski stwierdza, że człowiek prymitywny „posługuje się operacjami umysłowymi takimi samymi jak nasze, współcześnie stosowane w myśleniu naukowym” (str. 248).

Czyż więc Kołakowski nie jest zmuszony przyznać, że nie wszystkie prawdy są względne? Nie, ponieważ broniąc swej tezy, może odpowiedzieć, że prawa logiki determinują tylko strukturę naszego myślenia lecz nie mają żadnego wpływu na treść, która tę strukturę w danej chwili wypełnia. I właśnie treść zmienia się w zależności od warunków historycznych.

Ale i tu raz jeszcze można zakwestionować stanowisko Kołakowskiego. Okazuje się bowiem nieraz, że czysto analityczne wzory matematyków, nie oparte na obserwacji i pomiarze przedmiotów i zjawisk, znajdują zastosowanie empiryczne: empiryczna interpretacja nieeuklidesowej geometrii Riemanna pokrywa się z Einsteinowskim modelem wszechświata.

Cóż jednak powiemy (zaprotestuje Kołakowski) gdy Einstein zostanie zastąpiony, podobnie jak pół wieku temu Einstein zastąpił Newtona? System Riemanna nie utraci oczywiście swej wewnętrznej zgodności, ale w interesującej nas tu interpretacji przestanie być zgodny z prawdą.

Deбата trwa.

Adam CZERNIAWSKI

Staropolskie organy

Muzyka dawna w ciągu ostatniego dwudziestolecia zdecydowanie przestała być wartością muzealną. Dziś należy ona do tych dziedzin sztuki, które nieprzerwanie przyciągają coraz liczniejszą publiczność będąc zwłaszcza pierwszoplanowym elementem festiwalu, tej tak charakterystycznej dla naszej epoki postaci manifestacji kulturalnych.

Wykonawstwo dawnej muzyki stało się też obszerną dziedziną wiedzy i sztuki w której krąg wprężnięte jest liczne grono badaczy, konstruktorów instrumentów, instrumentalistów i śpiewaków. Wielu z nich zresztą łączy kilka tych funkcji.

Od dawna dość zdano sobie też sprawę z faktu, że oryginalna postać brzmieniowa, całkowicie zgodna ze stylem epoki w której powstały wskrzeszane dziś utwory muzyczne jest warunkiem *sine qua non* ich wartości estetycznej.

* Jerzy Gołos, *Zarys Historii Budownictwa Organowego w Polsce*. Wydawnictwo Bydgoskiego Tow. Naukowego, 1966.

Stąd też mamy już zdecydowanie poza sobą okres „przykrawania”, dostosowywanie dawnych utworów do metod współczesnego wykonawstwa i jego aparatu wykonawczego.

Początki tego procesu sięgają początków naszego stulecia wraz z renesansem klawesynu dokonany z inicjatywy Wandy Landowskiej oraz bachowskimi studiami Alberta Schweizera, który chociaż przeszedł do historii głównie dzięki swej działalności humanitarnej w Afryce, w swej młodości był niemniej wielkim badaczem i wykonawcą barokowej muzyki organowej.

On też pierwszy powiązał dzieła J. S. Bacha z organami Silbermanna, słynnego alzackiego budowniczego instrumentów XVIII wieku. Dziś autentyczne barokowe czy renesansowe organy liczą się na wagę złota, te które zachowały się w autentycznej postaci stają się celem muzycznych pielgrzymek i organizowanych wokół nich festiwali.

Powstała też na ten temat bogata literatura studiów muzykologicznych, albumów zdjęć i nagrań oraz periodyków.

Kult dawnych organów wybitnie przyczynił się też do ożywienia środowisk odgrywających do niedawna raczej marginesową rolę w międzynarodowym życiu muzycznym. Mam tu na myśli w pierwszym rzędzie kraje skandynawskie, które właśnie dzięki brakowi większej działalności muzycznych „modernistów” XIX stulecia zachowały dużą ilość zabytkowych organów z XVII i XVIII wieku, a dziś dzięki nim stały się ośrodkami o międzynarodowym znaczeniu.

W Polsce wykonawstwo dawnej muzyki rozwinęło się na znaczną skalę dopiero w ostatnim dziesięcioleciu, choć początki zainteresowań tą dziedziną sięgają czasów dosyć odległych bo początków bieżącego stulecia i okresu międzywojennego.

Co szczególnie cenne, obecny rozwój tej dziedziny zawdzięcza my wyłącznie spontanicznej inicjatywie środowiska muzycznego, w pierwszym rzędzie Warszawy. W przeciwieństwie do krajów zachodnich gdzie inicjatywy tego rodzaju mają z reguły solidne oparcie w mecenacie radiofonii i wytwórni płyt, w Polsce akcja ta spotyka się z niechętnym raczej, w najlepszym razie tolerującym nastawieniem czynników oficjalnych.

Przyczyny tej niechęci są złożone — w pierwszym rzędzie okres o którym mowa cechuje po łańcuchu niepowodzeń rezygnacja czynników partyjnych z propagandowych funkcji sztuki (świećnie to zanalizował w swej książce Tomasz Staliński), z drugiej spontaniczny entuzjizm publiczności wypełniającej po brzegi sale koncertów dawnej muzyki budzi niewątpliwie podejrzenia partyjnych antyintelektualistów. W konkretach wyraża się to w ogólnej tendencji do zwalczania nowych inicjatyw kulturalnych.

Wprawdzie instytucje stworzone poprzednio (często na wyrost) nie są likwidowane, działalność ich cechuje jednak planowa stagnacja.

Pewne koncesje przyznawane są jedynie inicjatywom na terenach zachodnich (organizowany od roku 1966 bardzo udany festi-

wał muzyki oratoryjnej „Wratislavia Cantans” we Wrocławiu), co wynika niewątpliwie z przesłanek polityki międzynarodowej.

Muzycy więc tworzący specjalistyczne zespoły dawnej muzyki (do najwybitniejszych należą warszawskie *Musicae Antiquae Collegium Varsoviense* oraz *Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses*) sami musieli pokonać takie trudności jak zdobycie materiałów muzycznych a nade wszystko bardzo kosztowne zakupy dawnych instrumentów (udało się tu zdobyć szereg autentyków o muzealnej wartości) czy budowa ich rekonstrukcji.

Mimo tych trudności wymienione zespoły zdołały osiągnąć bardzo wysoki poziom wykonawstwa i zyskać zasłużone powodzenie mimo, że instytucje organizujące życie muzyczne ustosunkowały się do nich najłagodniej mówiąc bez entuzjazmu. Jako „prywatna inicjatywa” artystyczna zakłócają one tok ich urzędowania (bo trudno tu właściwie mówić o działaniu) wprowadzając w dodatku na rynek artystyczny zwalczany „produkt nietypowy” nie przewidziany przez wszechwładne „rozdzielniki”.

Osobny rozdział stanowi działalność osławionego PAGARTu i „Ars Polona”, agencji które miast prowadzić działalność akwizycyjną w dziedzinie sztuki ograniczają się do „stawiania wozu przed koniem” — na mocy posiadanego monopolu zatwierdzając i opodatkowując wszelkie umowy z zagranicą które autorzy czy przedstawiciele sztuk wykonawczych zapewnią sobie sami.

Do tego jako element pozornie niezwiązany dołącza się atmosfera stałej nagonki antykościelnej wskutek czego inicjatywy wykorzystania dla celów koncertowych wnętrz kościelnych lub klasztornych (np. wspaniałych krużganków klasztoru dominikanów w Krakowie) napotykać na kateryczne veto...

I tu znów pewne licencje przyznawane są na ziemiach zachodnich w postaci letnich festiwali muzyki organowej w Oliwie i Kamieniu Pomorskim czy też włączenia wrocławskiego kościoła Św. Elżbiety w obręb wspomnianego już tamtejszego festiwalu.

Oczywiście w całości sytuacja nacechowana usztywnieniem i stagnacją daleka jest jeszcze od zajeżdżonego i tępego neostalinowskiego „Kulturkampf’u” przeciw zabytkom kultury rozpetanego w Niemczech Wschodnich, a wśród którego ostatnich ofiar figurują dzieła tej miary co późnogotycki fundacyjny kościół uniwersytetu w Lipsku czy „Wawel Prus” — garnizonowy kościół w Poczdamie upamiętniony zaprzysiężeniem „Świętego Przymierza” u sarkofagu Fryderyka II. Mimo tych czy innych resentymentów stwierdzić trzeba, że było to jedno z najwybitniejszych dzieł architektonicznego baroku w protestanckiej części Niemiec. Oba zburzono pod błahymi pretekstami racji urbanistycznych czy drogowych. Warto nadmienić, że podobny los spotkał też historyczną salę lipskiego Gewandhaus’u, jedną z najświetniejszych sal koncertowych Europy będącą świadkiem odkrycia i renesansu muzyki J. S. Bacha dokonanego przez Felixa Mendelssohna i wszystkich niemal wielkich wydarzeń muzycznych XIX stulecia. Nie miała ona tym razem żadnych religijnych powiązań, ale jako dawne sukiennice pewnie raz iła wspomnieniem potęgi mieszczaństwa.

W Polsce stosunek do zabytków daleki jest od takich drastyczności, ale wiele z nich pozbawionych jest opieki i ochrony. Dotyczy to także zabytkowych organów. Tych ostatnich zachowało się sporo zwłaszcza w małych miastach czy dawnych opactwach (Kazimierz nad Wisłą, Jędrzejów, Wąchock, Sulejów, Leżajsk), jednym słowem wszędzie tam gdzie w ubiegłym stuleciu zabrakło środków na modne wówczas przebudowy. Ilość zabytkowych organów jest więc znaczna, choć ich stan zachowania często zły. Na szczęście ich dzisiejszy użytkownicy zdają sobie sprawę z zabytkowych wartości unikają przeróbek a nie posiadając środków na gruntowną konserwację czekają lepszych czasów.

Polskie zabytkowe organy stały się zresztą szeroko znane za granicą dzięki wydany w Niemczech Zachodnich albumom poświęconym międzynarodowemu repertorium zabytków tego rodzaju, a do których materiału dostarczyli polscy fotograficy.

Omawiana więc obecnie publikacja jest dalszym krokiem w poznaniu tej specyficznej, ale zyskującej coraz większe znaczenie dziedziny kultury muzycznej. Jest ona wynikiem, choć z pewnością nieostatecznym, długoletnich studiów autora, muzykologa i wirtuoza-organisty w jednej osobie. Dodać tu należy że jest on również współautorem czterotomowej antologii polskiej dawnej muzyki organowej i klawesynowej wydanej w serii poświęconej całokształtowi zabytków tej dziedziny realizowanej przez „*American Institute of Musicology*”.

Suma tych elementów zapewnia książce oparcie o całokształt różnorodnych elementów historyczno-dokumentalnych i analitycznych. „*Zarys Historii Budownictwa Organowego w Polsce*” jest w istocie rzeczy monografią rozpatrującą istniejące zabytki i dane zaczerpnięte z archiwaliów i obszernej literatury na szerokim tle ogólnoeuropejskim i na tle tendencji stylistycznych muzyki komponowanej z przeznaczeniem na instrumenty klawiszowe w okresie od XVI do końca XVIII stulecia. Praca ta choć analizuje bardzo szczególny wycinek kultury znaczeniem swym wykracza poza granice samego tematu, pozornie ściśle specjalistycznego i dotyczącego wąskiego kręgu zainteresowanych.

W istocie praca ta ma znaczenie ogólnokulturowe gdyż recepcja i promieniowanie cech stylistycznych w tej szczególnej dziedzinie są równoległe w stosunku do innych, często do dziś niezbadanych. Budownictwo organowe to dziedzina bardzo złożona, należąca tak do historii kultury muzycznej jak historii sztuki, obrazująca przy tym stan kultury technicznej i pewnych dziedzin fizyki (akustyka).

W odniesieniu do wszystkich tych elementów udało się autorowi uzyskać godne uznania wyniki, tym bardziej cenne, że praca ta ma charakter pionierski — całość więc analizowanego materiału musiała być uzyskana drogą autopsji, wędrówek po całym kraju oraz niemniej żmudnych studiów archiwalnych czy oparcia się o niedostępne w kraju źródła zagraniczne.

W sumie książka daje przegląd takich zagadnień jak rozwój budownictwa organów na przestrzeni od X aż po koniec XVIII

wieku na Zachodzie (paradoksalnie, mimo że organy pochodzą z Bizancjum jedynie Kościół Zachodni zaadoptował je do celów muzyki liturgicznej tym samym zapewniając im eksponowaną rangę artystyczną), tendencje w polskim budownictwie organowym od XIII stulecia, związki między stylem polskiej dawnej twórczości organowej a stylem budownictwa instrumentów oraz filiacje międzynarodowe dotyczące tak czerpania z zewnątrz pewnych elementów stylistycznych, jak (co warto podkreślić) ekspansji polskiego budownictwa na środowiska zagraniczne, w pierwszym rzędzie północne.

Monografię uzupełniają cenne materiały w postaci bogatego wyboru ilustracji najciekawszych prospektów organowych i szczególnie interesujących elementów mechanizmów, obszerny katalog miejscowości posiadających zabytkowe organy (autor terytorium Polski traktuje tu w sensie historycznym a nie w aktualnych granicach) oraz katalog budowniczych organów zestawiony na podstawie danych archiwalnych i sygnatur którymi opatrzone instrumenty. Warto podkreślić, że dane te opublikowane zostały po raz pierwszy i stanowią niezwykle cenny materiał dla dalszych studiów w tej dziedzinie.

Książka Jerzego Gołosa poza obszernym i syntetycznie ujętym zasobem informacji już osiągniętych stanowi też kompendium tematów i problemów czekających na szersze naświetlenie i które, miejmy nadzieję, staną się tematem dalszych prac autora, jedyne dziś w Polsce posiadającego w tym przedmiocie tak pełne kompetencje.

Omawiana monografia daje syntetyczny obraz rozwoju dziedziny istotnej jako wyznacznik staropolskiej kultury, co więcej dziedziny wyjątkowo odpornej na fale przyływów i odpływów tak znamiennych dla twórczości literackiej czy w mniejszej mierze, muzycznej.

Polskie budownictwo organowe reprezentowało nieprzerwanie na przestrzeni sześciu co najmniej stuleci bez wątpienia „europejski wymiar” tak pod względem wartości kolorystyki dźwiękowej, jak wirtuozostwa rozwiązań technicznych, będących niekiedy wręcz „sztuką samą w sobie” pozwalających wykonawcy nadawać utworom postać brzmieniową dającą własną wizję partytury. W tym sensie stwarzając możliwość unikalnego wykonania, osiągalnego jedynie na danym instrumentcie budowniczy organów jest nie tylko twórcą narzędzia, ale też kierunku muzycznej interpretacji. Dla tego też wykonawstwo organowe było i zawsze pozostanie sztuką w której odtwórczość spleta się nierozłącznie z twórczością, w większej mierze niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie sztuki muzycznej.

Książka Jerzego Gołosa ma ogromne znaczenie tak dla licznych dziś w Polsce słuchaczy zainteresowanych dawną muzyką, jak również dzięki obszernemu streszczeniu w języku angielskim którym opatrzone wydanie jest wartościowym źródłem informacji o charakterze międzynarodowym. Przygotowywane obecnie jej wydanie niemieckie rolę tę jeszcze znacznie umocni.

Jest więc to jedna z najcenniejszych pozycji polskiej monografistyki muzykologicznej ostatnich lat, monografistyki która w dziedzinie historii przedstawia się bardzo skromnie, a w dziedzinach estetyki i teorii stała się „administracyjną” domeną nieprawnych a dziś znów „przywróconych do chwały” egzegetów stalinowskiego socrealizmu.

Adam SUTKOWSKI

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie.

I. Bibliografia, nauka o książce, bibliotekoznawstwo, muzealnictwo.

1. HELSZTYŃSKI, Stanisław: *Bibliografia pism Stanisława Przybyszewskiego*. W setną rocznicę urodzin 1868 - 7. V. 1968. Warszawa, 1968, Towarzystwo Przyjaciół Książki, s. 43, (3).

Bibliografia obejmuje 153 pozycje — od „Powinszowania dla matki” z r. 1878 do odczytu o kobiecie o znamienym tytule: „Kobiety winny moją trumnę na swych barkach zanieść do grobu”. Poza zaskakująco wysokim procentem tytułów niemieckich uwagę zwracają liczne pozycje „kłopotliwe” np. oświadczenie w związku z zatargiem z Mich. Asanką Japończykiem (1913) wyzyskane w „Górze czarodziejkiej” Manna — monachijska „Polen und der heilige Krieg” (1915) itd.

2. ROCZNIK BIBLIOTEKI NARODOWEJ. IV. Warszawa, 1968, s. 383, (1), 31 pl. (port. i podobizny starych druków).

Wydany obecnie tom nosi podtytuł „Studia nad dawną książką poświęcone prof. dr Alodii Gryczowej z okazji 40-lecia jej pracy naukowej” i przynosi, obok bibliografii Jubilatki, 22 rozprawy związane ze starodrukami polskimi, ich autorami, drukarzami, wydawcami itd. Prof. Gryczowa jest uczenicą prof. Stanisława Kota, pod którego kierunkiem napisała rozprawę doktorską o „Polskich kancjonałach protestanckich w XVI :”. Na polu pracy bibliotekarskiej mistrzem jej był śp. Kazimierz Piekarski, którego prace kontynuuje i uzupełnia.

II. Religia

3. WAGNER, Jan: *Katolicyzm żywy*. Warszawa, 1968, Instytut Wydawniczy PAX, s. 363.

Przedruki artykułów ogłoszonych poprzednio w prasie PAXowskiej ułożone w grupy o tytułach: O społecznej roli światopoglądu; Z postępowych

tradycji chrześcijańskiej myśli społecznej; Wśród problemów Kościoła soborowego; Z zagadnień dialogu w Polsce; W perspektywie drugiego dwudziestolecia i drugiego tysiąclecia.

III. Socjologia. Nauki polityczne. Ekonomia. Prawo. Wychowanie.

4. DULCZEWSKI, Zygmunt (wybór i opracowanie): *Młode pokolenie Ziemi Zachodnich*. Pamiętniki. Poznań, 1968, Instytut Zachodni, s. 468. (Ziemię Zachodnie. Studia i materiały, Nr 11).

Ogłoszone w tomie pamiętniki są rezultatem konkursu ogłoszonego w roku 1966 przez Zakład Socjologii Instytutu Zachodniego. Ukazują się w 10 lat po plonach analogicznego konkursu na „Pamiętniki osadników Ziemi Odzyskanych”.

5. JEDLICKI, Jerzy: *Klejnot i bariery społeczne*. Przeobrażenia szlachectwa polskiego w schyłkowym okresie feudalizmu. Warszawa, 1968, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 469, bibliog. (Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, Pracownia Historii Struktur Społecznych).

Rozprawa oparta na badaniach zespołowych przeprowadzonych w Inst. Historii nad okresem międzypowstaniowym w Królestwie Polskim. Intencją autora jest ściśle sprecyzowanie stanu prawnego szlachty w zaborze rosyjskim oraz obraz „emocji i aspiracji jakie klejnot szlachecki wzbudzał w różnych środowiskach”. Autor omawia działalność Heroldii Król. Polskiego, procedurę legitymowania dawnej szlachty, kreowanie nowej i pozbawianie szlachectwa na mocy wyroków sądowych. Lekturę utrudnia demonstracyjnie stosowany pseudonaukowy żargon marksistowski.

6. MAŁECKI, Jan M.: *Związki handlowe miast polskich z Gdańskiem w XVI i pierwszej połowie XVII wieku*. Wrocław-Warszawa-Kraków, 1968, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, s. 272, (2). Polska Akademia Nauk-Oddział w Krakowie, Prace Komisji Nauk Historycznych, Nr 20.

Autor interesuje się przede wszystkim polskim zapleczem Gdańska i, na podstawie szczegółowych analiz rejestrów celnych, dochodzi do wniosku, iż wbrew twierdzeniom historyków niemieckich Gdańsk wpływał ożywczo na rozwój miast polskich a nie pasożytował na gospodarce handlowej Rzeczypospolitej.

IV. Medycyna

7. DZIAK, Artur: *Części zamienne człowieka*. Warszawa, 1968, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, s. 231, (1), ilustr.

Interesujące omówienie dotychczasowych osiągnięć chirurgii w zakresie przeszczepiania tkanek i narządów oraz zastosowań „części zamiennych” (sztuczne kończyny itp.).

V. Sztuki plastyczne. Teatr.

8. KATALOG RYSUNKÓW Z GABINETU RYCIN BIBLIOTEKI UNI-

WERSYTECKIEJ W WARSZAWIE. Część 1: Varsaviana. Rysunki architektoniczne, dekoracyjne, plany i widoki z XVIII i XIX wieku. Opracowały Teresa Sulerzycka i Stanisława Sawicka przy udziale Jadwigi Trenklerówny. Warszawa, 1967, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 385, ilus. (Ministerstwo Kultury i Sztuki, Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków, Ośrodek Dokumentacyjny Zabytków. Biblioteka Muzealnictwa i Ochrony Zabytków, Seria A, t. IV).

Starannie opracowany katalog planów architektonicznych i rysunków dekoracyjnych pochodzących głównie ze zbiorów Stanisława Augusta oraz darów Stan. Kostki Potockiego. W katalogu reprezentowane są m.in. prace Jakuba Fontany, Dominika Merliniego, Jana Chrystiana Kamsetzera, Szymona Zuga, Jakuba Kubickiego i in.

9. INSTYTUT SZTUKI POLSKIEJ AKADEMII NAUK: *Pięć studiów z dziejów scenicznych dramatów Mickiewicza*. Wrocław-Warszawa-Kraków, 1968, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, s. 247, (1), ilus. (Studia z dziejów teatru w Polsce pod red. Tadeusza Siverta, t. VI).

Tom obejmuje następujące rozprawy: Maria Wosiek: Historia tekstu scenicznego „Dziadów”; Zbigniew Wilecki: „Dziady” w inscenizacji Ryszarda Wasilewskiego i Stanisławy Wysockiej; Tadeusz Sivert: Z dziejów inscenizacji „Widm” Moniuszki-Mickiewicza; Zdzisław Kwieciński: Mickiewicz na scenach amatorskich; Zygmunt Markiewicz: Próby wystawienia „Konfederatów barskich” w Paryżu.

10. PUCIATA-PAWŁOWSKA, Jadwiga: *Jacek Malczewski*. Wrocław, 1968, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, s. 336, 4 kolorowe plansze, ilustr.

Obraz „wielowarstwowej twórczości” artysty, charakteryzujący poszczególne grupy tematyczne w rozdziałach: Wątek sybirski i motyw ludowy; „Melancholia” i „Błędne koło”; Fauny i Syreny; Aniołowie i Chimery; U studni; Chrystus i Madonna; Portrety i wizerunki własne; Thanatos. Książka bogato i pięknie ilustrowana.

VI. Teoria i historia literatury. Wydania klasyków.

11. RYMKIEWICZ, Jarosław Marek: *Myśli różne o ogrodach*. Dzieje jednego toposu. (Warszawa), 1968, Czytelnik, s. 254, (2). (Z prac Instytutu Badań Literackich PAN).

Esej, erudycji pełen, poświęcony dziejom motywu (= toposu) rajszych ogrodów i przyrody kształtowanej ręką biegłego ogrodnika w myśl poetycznych zachcianek właścicieli. Tytuł książki nawiązuje do „Myśli różnych o sposobie zakładania ogrodów” ks. Izabeli z Flemingów Czartoryskiej. Autor, znany poeta i tłumacz metafizycznej poezji angielskiej, rywalizuje z „Barbarzyńcą w ogrodzie” Herberta w biegłości i celności operowania cytatai i nasycaenia tekstu poezją. Książka — temat do rozważań Jerzego Stempowskiego.

12. LISTY DO ADAMA MICKIEWICZA W MUZEUM A. MICKIEWICZA W PARYŻU. Rejestr uzupełniony bibliografią opracował Janusz Odrowąż-

Pieniążek. Wrocław - Warszawa - Kraków, 1968, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, s. XXII, 269, (3), 12 pl. (portrety i faks.). (Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Archiwum Literackie, t. XII).

Cenne i ważne wydawnictwo dopełniające istniejące od lat wydanie listów Mickiewicza do różnych adresatów. Tu informacje o piszących do poety i odpowiedziach na jego listy. Szkoda, że nie pełne wydanie tekstów! Doskonałe podobizny portretów (m.in. Marii z Wereszczaków Puttkamerowej, Odyńca — jaka ciekawa twarz!) faks. listu Norwida itd.

13. NORWID, Cyprian: *Miniatury dramatyczne*. Opracował i wstępem poprzedził Juliusz W(iktor) Gomułicki. (Warszawa, 1968), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 195, (1), front. (autoportret Norwida z r. 1877).

Tomik zawiera teksty „miniatur”: „Chwila myśli”, „Noc tysięczna druga”, „Wanda”, urywek „Teatru bez teatru”, „Ślodycz”, „Krytyka”, „Auto-da-fé” i „Miłość-czysta u kąpieli morskich”. Gomułicki przypomina we wstępie, iż tylko trzy z tych utworów były wystawiane lub wyzyskane w audycjach radiowych.

14. STRUG, Andrzej: *„W Nienadybach byczo jest...”* i inne utwory. Opracował Samuel Sandler. (Warszawa), 1968, Czytelnik, s. 416, (4), 1 pl.

Zbiór drobnych utworów Struga nie objętych wydaniem książkowym. Tytuł wywodzi się od fragmentów nie ukończonej powieści, której rękopis spłonął w Arsenale warszawskim w r. 1944. W skład tomu wchodzi nadto fragmenty „nadrealistycznej” powieści Struga pt. „Archiwum książąt Sanoyców” — opowiadanie „Sen nocy letniej” przynoszące obraz Warszawy w nocy z 4 na 5 sierpnia 1915 i wysoko ocenione przez wydawcę opowiadanie „Tomek” (z kręgu „Kroniki świeciechowskiej”), w którym strzelcy wkraczają w sierpniu 1914 do „Mielca”. Większość ogłoszonych w tomie tekstów pochodzi ze zbiorów p. Nelly Strugowej, wdowy po pisarzu.

VII. *Literatura piękna (poezja, powieść, dramat, eseje).*

15. IWASZKIEWICZ, Jarosław: *O psach, kotach i diablach*. Opowiadania. Warszawa, 1968, Czytelnik, s. 140, (4).

Tom opowiadań, zawierający m.in. przedruk głośnej noweli „Wzlot”, znanej dotąd wyłącznie z pierwodruku w „Twórczości” z 1957 roku.

16. KIJOWSKI, Andrzej: *Dziecko przez ptaka przyniesione*. Ilustrował Franciszek Starowieyski. (Warszawa), 1968, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 137, 91/+24 strony reprodukcji ogłoszeń z początku XX wieku, 1 pl.

Powieść, o wyraźnym podkładzie autobiograficznym, przypisana lekarzom, którzy „badają twórczość dzieci”. Śmiała i udana próba odtworzenia atmosfery Krakowa z okresu I Wojny Światowej i dwudziestolecia (rewia na Błoniach krakowskich, pogrzeb Marszałka). Ciekawa kompozycja i wręcz znakomita stylizacja języka na podobieństwo łacińskich dziejopisów. „Miasto, co stoi, i rzeka, co płynie — oto powieści skrót metaforyczny, który krytykom usług nie poddawam” — pisze we wstępie Kijowski.

17. MULARCZYK, Andrzej: *Co się komu śni*. Warszawa, 1968, Iskry, s. 353, (1).

Wybór felietonów współpracownika „Świata”, „Życia Literackiego” i realizatora cyklu audycji radiowych pt. „Kropka, ale nie koniec”. Wydany obecnie tom obejmuje felietony tropiące echa wojny w latach pokoju („podczas majowej manifestacji w Verdun z okazji 50-lecia wielkiej bitwy nie wolno było palić, ponieważ na polu znajdują się jeszcze nie wykryte pociski”).

VIII. Życiorysy. Pamiętniki.

18. KOPCZEWSKI, Jan Stanisław (oprac.): *Tadeusz Kościuszko w historii i tradycji*. (Warszawa, 1968), Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, s. 461, ilustr. (Przedmowa prof. Stanisława Herbsta).

Obszerne, starannie przygotowane i obliczone na czytelnika „masowego”, wypisy kościuszkowskie wydane zostały „z myślą, że żywot Naczelnika i dzieje jego legendy staną się znów podstawą do refleksji bogatszej o żywy rozwój badań historycznych w ostatnich latach”. Na tom składają się materiały życiorysowe, listy-odezwy-rozkazy Kościuszki, głosy współczesnych, teksty ilustrujące narastanie legendy — wreszcie oceny historyków przedwojennych i obecnych krajowych ze znamienym pominięciem emigracyjnych. Mimo koniunkturalnych wstawek — które łatwo wyeliminować — książka przydać się może organizatorom imprez emigracyjnych typu „akademia ku czci”. Doskonałe ilustracje, przedruki starannie wyszukanych wierszy o Kościuszcze (Lenartowicz, Ujejski, Kasprowicz, Konopnicka itd.).

19. ŁUSZCZEWSKA, Jadwiga (DEOTYMA): *Pamiętnik*. Wstępem i przypisami opatrzył Juliusz W(iktor) Gomulicki. (Warszawa, 1968), Czytelnik, s. 251, (5), 12 pl.

Wbrew oczywistym uprzedzeniom do osoby „wieszczki” lektura bardzo interesująca nie tyle ze względu na opisy salonu literackiego Łuszczeńskich ile na wyłaniającą się z pamiętnika pełną kompleksów i niedomówień sylwetę autorki. Gomulicki widzi w niej ofiarę snobistycznych zapędów rodziców „opętanych salonem” i żądzą popisywania się „fenomenem”. Na szczególną uwagę zasługuje rozdział z opisem przygód Deotymy w Rosji, gdy w r. 1864-5 towarzyszyła dobrowolnie ojcu aresztowanemu za działalność patriotyczną. Przeżyła z nim m.in. pożar Symbirska.

Nadeślane nowości wydawnicze

BREGMAN (Aleksander). *Zakamarki historii*. Str. 238 i 2 nlb. Wybór rozpraw pod redakcją Adama Ciołkosza. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1968).

ŁOBODOWSKI (Józef). *Nożyce Dali. Dzieje Józefa Zakrzewskiego* część trzecia. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1968).

- NOWAKOWSKI (Tadeusz).** *Aleja dobrych znajomych.* Str. 396 i 4 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1968).
- NOWAKOWSKI (Tadeusz).** *Nie-stworzone rzeczy.* Str. 436 i 4 nlb. Zbiór opowiadań. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1968).
- PRAGŁOWSKI (Aleksander).** *Od Wiednia do Londynu. Wspomnienia.* Str. 238 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1968).
- SURYNOWA - WYCZÓŁKOWSKA (Janina).** *Gringa.* Str. 237 i 3 nlb. Powieść współczesna. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1968).
- IRANEK - OSMECKI (Kazimierz).** *Kto ratuje jedno życie... Polacy i Żydzi 1939-1945.* Str. 323 i 1 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska Orbis, Londyn 1968).
- NAŁĘCZ (Zygmunt).** *Wszystkie światy i Państwo.* Tom I i II. Str. 412 i 3 nlb. (Wyd. Gryf Publications, Londyn 1968).
- MEKARSKI (Stefan).** *Dyktatura komunistów w szkolnictwie wyższym.* Str. 16 i 1 nlb. (Odbitka z broszury „Szkolnictwo wyższe i nauka polska na Obczyźnie”. Wyd. Veritas, Londyn 1968).
- Młode pokolenie Ziemi Zachodnich. Pamiętniki.* Str. 468 i 2 nlb. Wybór i opracowanie Zygmunt Dulczewski. (Ziemia Zachodnie, Materiały i Studia Nr 11. Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1968).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew).** *Ameryka w wieku technologicznym. Nowe zagadnienia naszych czasów.* Str. 42-69 i 1 nlb. (Odbitka z „Tematów” Nr 26, Lato 1968. Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn 1968).
- KLUGMAN (Aleksander).** *Na ostrzu pióra. O Wielkim kłamstwie, prawdy słów kilka.* Str. 99 i 1 nlb. (Wyd. Izraelskie Nowiny i Kurier, Tel Awiw, 1968).
- LIPIŃSKI (Tadeusz).** *Ujarmione skrzydła.* Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. St. Wytrzye, Tel Awiw, 1969).
- BORNE (Etienne).** *Bóg nie umarł. Studium o współczesnym ateizmie.* Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paris 1968).
- CHAUCHARD (Paul).** *Nauka i wiara.* Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paris 1968).
- DZIEDUSZYCKI (Tadeusz).** *Geopsychologia. Prologomena.* Str. 95 i 1 nlb. (Londyn 1968).
- Poemat Pieśni. Scherzo czeskie. Pięćdziesiąt lat błędów Komunizmu Europejskiego.* Str. 13 i 1 nlb. (Wyd. Jules Fontana, Paris 1968).
- Polski Ośrodek Katolicki w Martin Coronado 1958-1968.* Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Padres Franciscanos, Buenos Aires 1968).
- WIELICZKA (Zygmunt).** *Prawda a legendy Powstania Wielkopolskiego 1918-1919.* Str. 51 i 1 nlb. (Wyd. druk. „Lud”, Kurytyba 1961).
- 1867-1967. W setną rocznicę urodzin Józefa Piłsudskiego (program uroczystości).* Str. 12 nlb. (Wyd. Buenos Aires, 1968).
- Rocznik Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. Rok XIII, 1967.* Str. 355 i 5 nlb. (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1968).
- Combats étudiants dans le monde.* (Wyd. Editions du Seuil 1968, Paris).
- DE ROUX (Dominique).** *Entretiens avec Witold Gombrowicz.* Str. 226 i 6 nlb. (Wyd. Pierre Belfond, Paris 1968).
- GOMBROWICZ (Witold).** *Journal Paris-Berlin.* Str. 184 i 8 nlb. (Wyd. Christian Bourgois, Paris 1968).
- Le droit d'être un homme.* Str. 588. Recueil de textes préparé sous la direction de Jeanne Hersch. (Wyd. Unesco, 1968).
- KANDYBA (Ivan O.).** *Pour la vérité et la justice. Procès politiques en Ukraine de 1950 à 1961.* Str.

34. (Études Historiques et politiques). (Wyd. Editions de l'Est Européen, Paris 1968).
- KLAWITTER (Karol). *L'Armée de la revanche. Les troupes d'Ulbricht en Tchécoslovaquie*. Str. 16. (Wyd. Markus Verlag, Cologne 1968).
- SILONE (Ignazio). *L'aventure d'un pauvre chrétien*. Str. 268 i 4 nlb. (Wyd. Calmann-Lévy, Paris 1968).
- VICHNIAK (Isabelle). *L'ordre règne à Prague*. Str. 176 i 18 nlb. (Wyd. Fayard, Paris 1968).
- WYRWA (Tadeusz). *Les difficultés et les tendances évolutives concernant la gestion de l'„entreprise socialisée”*. Approche comparative. Str. 638-664 i 2 nlb. (Estratto dal fascicolo N. 3 di Stato Sociale). (Wyd. Unione Tipografico-Editrice Torinese, 1968).
- WYRWA (Tadeusz). *Le rôle des syndicats dans la gestion de l'entreprise socialisée en Pologne*. Str. 175 - 191. (Extrait de Canadian Slavic Studies, II, No 2, Summer 1968). (Wyd. Montréal 1968).
- DANIEL (Yuli) ARZHAK (Nikolai). *This is Moscow speaking and other stories*. Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Collins and Harvill Press, London 1968).
- Universal Declaration of Human Rights*. Str. 22. (Wyd. Ukrainian Congress Committee of America, Inc., N.Y. 1968).
- Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945*. Volume 2 1943-1945. Str. 866 i 2 nlb. (Wyd. The General Sikorski Historical Institute, London, 1967).
- GÖMÖRI (George). *Baroque Elements in the Poetry of Mikołaj Sep Szarzyński and Bálint Balassi*. Str. 383-396. (Reprinted from The Slavonic and East European Review, Volume XLVI, Number 107, July 1968, Birmingham).
- MICKIEWICZ (Adam). *Forefathers*. Str. 288. (Wyd. The Polish Cultural Foundation, London 1968).
- STACHIEWICZ (Wanda). *On the Twenty-Fifth Anniversary of the Canadian Branch of the Polish Institute of Arts and Sciences in America and the Polish Library in Montreal Historical Sketch*. Str. 14 i 2 nlb. (Wyd. Polish Publications Ltd., Montreal 1968).
- STACHIW (Matthew). *Ukraine and Russia an outline of history of political and Military Relations. December 1917 - April 1918*. Str. 215 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainian Congress Committee of America, Inc., New York, 1967).
- Ukrainians and Jews. A Symposium*. Str. 199 i 1 nlb. (Wyd. The Ukrainian Congress Committee of America, Inc., New York 1966).
- The University of Edinburgh and Poland. An historical review*. Ed. by Wiktor Tomaszewski. (Wyd. W. Tomaszewski, Edinburgh 1968).
- STROBEL (Georg W.). *Quellen zur Geschichte des Kommunismus in Polen 1878-1918*. Str. 12. (Wyd. Verlag Wissenschaft und Politik, Köln 1968).
- Jahrbücher für Geschichte Osteuropas*. Str. 104-116. Fritz T. Epstein, Ed. (Neue Folge Band 16, Jahrgang 1968, Heft 3 September 1968). (Wyd. Otto Harrassowitz, Wiesbaden 1968).
- In honorem Hermann Buddensieg für das Mickiewicz-Gremium der Bundesrepublik Deutschland*. Str. 142 i 2 nlb. (Heidelberg, 1968).
- STROBEL (Georg W.). *Mitgliederbestand der PZPR und Parteisäuberungen*. Str. 341 i 3 nlb. (Berichte des Bundesinstituts für Ostwissenschaftliche und Internationale Studien, 64/1968). (Köln, 1968).
- Deutschlandfunk Jahrbuch, 1967-68*. Str. 121 i 3 nlb. (Köln 1968).
- LUCZYSCHYN (I.). *Die Nationalitätenpolitik der russischen kommunistischen Partei*. Str. 35 i 1 nlb. (Separata aus dem „Aufbau“ der schweizerischen Wochenzeitung für Recht, Freiheit und Frieden). (Wyd. Zürich 1968).

DATA	POLITYKA
16-11-68	Na Zjeździe PZPR w Warszawie wybrano nowy skład Politbiura i Sekretariatu Partii. Nowymi członkami Politbiura zostali: S. Kociołek, W. Kruczek i J. Tejchma na miejsce A. Rapackiego, W. Szyra i F. Waniełki. Do Sekretariatu KC weszli: S. Olszowski i J. Szydłak.
17-11-68	Na Plenum KC w Pradze wybrano 8-osobowe Prezydium Partii w składzie: O. Czernik, A. Dubczek, E. Erban, G. Husak, S. Sadowsky, J. Smrkovsky, L. Svoboda i L. Strougal. W czasie obrad pro-sowieccy konserwatyści ostro krytykowali kierownictwo Partii, ale żaden z przedstawicieli tej grupy nie wszedł do Prezydium.
18-11-68	Na konferencji prasowej w Budapeszcie, sowiecki minister spraw zagranicznych, Gromyko, wystąpił z pojednawczym tonem wobec Zachodu. Wyraził on m.in. nadzieję, że NATO zda sobie sprawę, że złagodzenie napięcia leży w interesie obu stron.
19-11-68	Flota francuska na morzu Śródziemnym przyłączyła się do wspólnych manewrów Paktu Atlantyckiego. W Waszyngtonie zwraca się uwagę, że Francja stopniowo powraca do ograniczonej współpracy wojskowej z NATO.
20-11-68	W przemówieniu wygłoszonym z okazji Święta Artylerii prezydent Ceaucescu zapowiedział rozbudowę własnego przemysłu zbrojeniowego. Podkreślił on, że armia rumuńska współpracuje nie tylko z wojskami Układu Warszawskiego, ale i z siłami „wszystkich państw socjalistycznych”.
21-11-68	Na posiedzeniu w Budapeszcie, które odbyło się z udziałem delegatów 67 partii komunistycznych, Rosjanie przeprowadzili swój projekt zwołania światowej konferencji komunistycznej w Moskwie w maju przyszłego roku. Przeciw tej propozycji głosowali jedynie delegaci komunistów brytyjskich, szwajcarskich i grupa komunistów francuskich reprezentujących departamenty zamorskie.
22-11-68	W atmosferze niepokojów studenckich i strajków robotniczych prezydent Włoch Saragat rozpoczął konsultacje w sprawie utworzenia nowego rządu. Jednocześnie w łonie partii Chrześcijańsko-Demokratycznej doszło do głębokiego kryzysu.
23-11-68	W wyniku gwałtownego kryzysu franka francuskiego rząd brytyjski podwyższył podatki pośrednie, ograniczył kredyty i wprowadził szereg ograniczeń importowych.

KULTURA I NAUKA

Węgierskie Ministerstwo Oświaty odtworzyło ze Związkiem Pisarzy przedwojenną organizację socjograficzną „Poznajmy Węgry”. 26 pisarzy ma badać z ramienia tej organizacji przebieg reform społeczno-gospodarczych w okręgach prowincjonalnych.

Według wiadomości nadchodzących z Warszawy w ramach „walki z rewizjonizmem i syjonizmem” z Uniwersytetu Warszawskiego usunięto ponad 300 osób.

Nagrodę Goncourtów otrzymał 45-letni B. Clavel za powieść „Owoc Zimy”. Na skutek tego wyboru doszło do rezygnacji z jury Louisa Aragona.

Władze węgierskie przyznały wyższym uczelniom większy zakres autonomii.

W wydawanym co tydzień w Londynie czasopiśmie „Historia II Wojny Światowej” Purnell & the BPC” psychiatra dr Barton pisze, że warunki w obozie koncentracyjnym w Belsen były zupełnie znośne.

Prasa brytyjska zamieszcza pochlebne recenzje z książki prof. Anny Ciencięła pt. „Poland and the Western Powers 1938-1939”.

RÓŻNE

*Best-seller*em w Moskwie jest 600-stronicowa książka telefoniczna. Telefon Prezydium Najwyższego Sowietu: 2959051.

W Watykanie zmarł 87-letni kardynał Bea, jeden z głównych promotorów eklezjalizmu.

Światowe Zrzeszenie Studentów Żydów zorganizowało „Dzień Protestu” wobec represji przeciw studentom w Polsce.

Nowym I sekretarzem wojewódzkim w Poznaniu został K. Barcikowski, na miejsce J. Szydłaka, który wszedł do Polithiura jako członek-zastępca.

W Pradze ogłoszono, że wkrótce rozpoczyna się rozmowy w sprawie budowy naftociągu przez Rumunię, Jugosławię i Węgry, którym transportowana będzie ropa z Persji.

DATA	POLITYKA
24-11-68	Wbrew powszechnym oczekiwaniom Francja sprzeciwiła się devaluacji franka. Rząd francuski wprowadził szereg zarządzeń oszczędnościowych i ograniczeń fiskalnych. Wbrew naciskom międzynarodowym, Niemcy Zachodnie nie podniosły parytetu marki. Banki międzynarodowe przyznały Francji poważne kredyty celem podtrzymania parytetu franka.
25-11-68	
26-11-68	A. Dubczek i O. Czernik przyjęli delegację związków twórczych w Czechosłowacji, która wręczyła im 14 punktowe memorandum, zawierające żądania utrzymania zdobyczy wolnościowych. Dubczek i Czernik oświadczyli, że tak długo, jak sprawują władzę nikt nie będzie prześladowany za przekonania polityczne.
27-11-68	Rząd Południowego Wietnamu ogłosił, że gotów jest wysłać swą delegację na rozmowy pokojowe w Paryżu.
28-11-68	Władze Paktu Atlantycznego dały do zrozumienia, że w wypadku inwazji sowieckiej na Jugosławię gotowe są udzielać temu krajowi pomocy w uzbrojeniu i zaopatrzeniu walczących oddziałów.
29-11-68	W Bukareszcie zakończyło się posiedzenie przedstawicieli wojskowych Układu Warszawskiego. Obradom przewodniczył marszałek Jakubowski.
30-11-68	Na konferencji prasowej w Bośni Tito oświadczył, że wprawdzie sytuacja międzynarodowa nie uległa poprawie, ale niebezpieczeństwo inwazji sowieckiej nie istnieje.
1-12-68	Na podstawie dekretu Komitetu Centralnego i Rady Ministrów ZSSR powołano do życia Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, znane niegdyś pod skrótem MWD. Prasa sowiecka zapewnia, że nie oznacza to powrotu do dawnych metod MWD.

KULTURA I NAUKA

Profesorem Poezji w Oxfordzie wybrany został na okres 5 lat adwokat R. Fuller. Jednym z kandydatów był Jewtuszenko, który w głosowaniu zajął 3 miejsce na 11 kandydatów.

Na łamach prasy zachodniej rozwinął się spór na temat Jewtuszenki. Anglicy Kingsley Amis i Bernard Levin krytykują go za brak lojalności wobec Siniawskiego i Daniela, a Amerykanie A. Miller i W. Styron wystąpili w jego obronę.

Nagrodę literacką Prix Fémina zdobyła 65-letnia Marguerite Yourcenar za powieść historyczną „L'œuvre au Noir”.

Prof. R. Ingarten otrzymał nagrodę zachodnoniemieckiej fundacji Gottfrieda von Herder i szwajcarskiej im. Goethego za prace z zakresu estetyki.

Zwolniona z więzienia i wyrzucona z Polski wraz z niewidomym pisarzem S. Szechterem Nina Karsow dziękuje na łamach londyńskiego *Times* a za wybranie jej „więźniem roku” przez międzynarodową organizację „Amnesty International”.

Rada Ministrów na Węgrzech przedłużyła subsydia dla Kościołów do końca 1974 roku. Kościół Katolicki otrzymuje połowę rocznej dotacji 68 milionów forintów. Żydzi — 15 procent tej sumy.

RÓŻNE

W Budapeszcie zmarł Istvan Dobi ludowiec, który z ramienia komunistów sprawował urząd prezydenta Węgier.

W Bawarii rozbił się odrzutowiec lotnictwa czechosłowackiego MiG 21. W katastrofie zginął pilot, który jak się przypuszcza uciekał na Zachód.

Zmarł w Berlinie wschodnim pisarz, Arnold Zweig, w wieku lat 81.

Zmarł w Stanach Zjedn. powieściopisarz amerykański, Upton Sinclair, w wieku lat 90.

Ksiądz biskup Rubin odprawił w Katedrze Westminsterskiej uroczyste nabożeństwo z okazji 50-lecia Polskiej Marynarki Wojennej.

Na Węgrzech istnieje 9.500 sklepów prywatnych. W ostatnich 3 miesiącach władze udzieliły 500 nowych licencji.

W Londynie zmarł ks. Infułat Bronisław Michalski.

Lidova Demokracie podaje wyniki badania opinii publicznej wykazujące że 85 procent społeczeństwa popiera Dubczeka.

DATA	POLITYKA
2-12-68	Rząd Czechosłowacki wystąpił z protestem do władz sowieckich przeciw wydawaniu i rozpowszechnianiu pisemka wojsk okupacyjnych <i>Sprawy</i> , które występuje z ostrymi atakami na przywódców czechosłowackich.
3-12-68	Prezydent-Elekt Nixon ogłosił, że jego głównym doradcą do spraw Obrony Narodowej będzie profesor uniwersytetu harwardskiego Henry Kissinger.
4-12-68	Związek Sowiecki oskarżył Wielką Brytanię o świadome wykorzystywanie wydarzeń w Czechosłowacji dla pogorszenia stosunków między Wschodem i Zachodem. Nota sowiecka wywołała powszechne zdziwienie w Wielkiej Brytanii.
5-12-68	Przemawiając na konferencji prasowej w Delhi brytyjski minister spraw zagranicznych, Stewart, oświadczył, że Sowiety stanowią większe niebezpieczeństwo niż Chiny. Inwazja na Czechosłowację wykazała, że Moskwa nie cofa się przed użyciem siły.
6-12-68	Dwa amerykańskie niszczyciele wpłynęły na morze Czarne. <i>Prawda</i> określiła to jako prowokację i naruszenie konwencji w Montreux ograniczającej żeglugę okrętów wojennych po morzu Czarnym.
7-12-68	
8-12-68	Chiny zawarły z Albanią porozumienie wojskowe, na podstawie którego będą mogły stacjonować swe wojska w Albanii oraz utrzymywać bazy morskie i rakietowe nad Adriatykiem. Jednocześnie do Chin udała się 6-osobowa albańska delegacja handlowa.
9-12-68	Partyjno-rządowa delegacja czechosłowacka z A. Dubczkiem i O. Czernikiem na czele obradowała z przywódcami sowieckimi w Kijowie. W Pradze podkreśla się, że rozmowy toczyły się w lepszej atmosferze, niż poprzednie spotkania po inwazji. Zwraca uwagę fakt, że w rozmowach nie brał udziału Smrkovsky, uważany za przedstawiciela bardziej liberalnego skrzydła partii.

KULTURA I NAUKA

Przedstawiciele organizacji naukowych artystycznych i kulturalnych w Czechosłowacji uchwalili rezolucję domagającą się zachowania praworządności i wykonywania przez władze woli społeczeństwa.

Ida Kamińska, która po wygnaniu z Polski przybyła do Nowego Jorku zamierza odtworzyć tam Teatr Żydowski. Odwołała ona potępienia społeczeństwa za antysemitizm wywołany przez władze. W Polsce pozostawiliśmy wielu przyjaciół – powiedziała Kamińska.

Laureat nagrody Stalina, pisarz W. Niekrasow, przyłączył się do protestu 94 intelektualistów sowieckich, skierowanego do Najwyższego Sowiegu w związku z procesem Pawła Litwinowa i 4 innych osób.

Zjazd Związku Pisarzy, który miał się odbyć w 1968 r. w Bydgoszczy został odroczony do lutego 1969 roku.

W Mińsku wydano po polsku i po białorusku album poświęcony Mickiewiczowi. Autorami są: poeta Janko Bryl i krytyk W. Kolesnik.

RÓŻNE

4 studentów w Warszawie zostało skazanych na kary do 18 miesięcy więzienia za udział w demonstracjach marcowych. Prasa określa ich jako byłych studentów.

Dr Paweł Litwinow i Larissa Daniel są nadal przetrzymywani w więzieniu w Moskwie, mimo skazania ich przez sąd na wygnanie na Syberię.

Sąd w Berlinie Wschodnim skazał na kary więzienia 7 osób za „wystąpienia antypaństwowe”.

Władze partyjne w Bułgarii zaatakowały jednego z najpopularniejszych satyryków bułgarskich Radoy Ralina, twierdząc, że jest on autorem rozpowszechnianych aforyzmów antypartyjnych.

P. Reddaway, wykładowca na Londyńskiej Wyższej Szkole Ekonomicznej zwraca uwagę w obszernym liście do *Times'a* na rosnącą liczbę więźniów politycznych w Rosji. Zapowiada on szereg nowych wydanictw na ten temat.

DATA	POLITYKA
10-12-68	Prezydent-Elekt Nixon ogłosił skład nowego gabinetu. Stanowisko sekretarza Stanu obejmie W. Rogers, Obrony — M. Laird, Skarbu — D. Kennedy. Koła Kongresowe i prasa powitały z zadowoleniem ten wybór, podkreślając jednak, że w skład nowego gabinetu nie weszła żaden czołowy polityki amerykański.
11-12-68	Polityk chrześcijańsko-demokratyczny, Mariano Rumor, utworzył nowy rząd koalicyjny we Włoszech złożony z Chrześcijańskich Demokratów, Socjalistów i Republikanów.
12-12-68	Na Plenum Czechosłowackiej Partii Komunistycznej głównym mówcą był premier Czernik. Robotnicy wielu fabryk domagali się w rezolucjach nadsyłanych na Plenum utrzymania na wpływowym stanowisku J. Smrkovsky'ego. Jest on przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego, które może ulec reorganizacji w związku z wprowadzoną strukturą federalną Czechosłowacji.
13-12-68	
14-12-68	W Waszyngtonie panuje przekonanie, że zamierzone spotkanie prezydenta Johnsona z premierem Kosyginem nie dojdzie do skutku, wobec wyraźnej desaprobacji prezydenta-elekta Nixona.
18-12-68	
25-12-68	

KULTURA I NAUKA

Bezpartyjna organizacja amerykańska, Freedom House, przyznała tegoroczną Nagrodę Wolności M. Dżilasowi.

Władze partyjne na Węgrzech odebrały legitymacje partyjne 3 filozofom, którzy wzięli udział w konferencji filozoficznej w Budapeszcie, gdzie doszło do potępienia inwazji na Czechosłowację. Nie zastosowano wobec nich żadnych innych represji.

Władze kanadyjskie zarządziły deportację 11 marynarzy polskich, którzy zeszli z statku PRL i poprosili o azyl. Decyzja spotkała się z energicznymi protestami w Kanadzie. Zapowiedziano apelację o zmianę tej decyzji. Potrzebne są masowe protesty organizacji i poszczególnych osób, które należy wysłać na ręce Minister of Canada, Mr. P. E. TRUDEAU, Ottawa, Ont. Canada.

RÓŻNE

W Warszawie zapowiedziano zwiększenie wydatków na obronę o 9,7 procent.

Były wicepremier czeskosłowacki i główny inicjator reform gospodarczych, prof. Ota Sik, przebywający w Szwajcarii, oświadczył, że pod naciskiem sowieckich władz partyjnych wszczęły przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne.

Minister Spraw Wewnętrznych NRF, Benda, zamierza zwrócić się do Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o zakazanie działalności skrajnie prawicowej partii NPD.

Zmarł w Warszawie w wieku lat 83 prof. Stanisław Pigoń, senior historyków literatury polskiej.

Zmarł w Krakowie prof. Henryk Niedzwiedzki, twórca krakowskiego ośrodka fizyki jądrowej.

Zmarł w Warszawie po operacji raka artysta-malarz Mieczysław Janikowski, stale zamieszkały w Paryżu. M. Janikowski był projektodawcą znaczka na „Fundusz Kultury”.

Listy do Redakcji

LIST OTWARTY DO P. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO

Szanowny Panie,

nie dawno, na łamach *Kultury*, nazwał Pan moją ostatnią powieść dobrze napisaną, za co Panie Boże zapłać.

Dodał Pan jednak, że w czytelniku o lewicowych poglądach budzi ona sprzeciw, albowiem patrzę w niej na socjalizm poprzez aparatczyków i karierowiczów.

Słusznie. Z zastrzeżeniem, że w moim przekonaniu każda metoda poznawcza w literaturze jest właściwa. Na przedmiot poznania patrzeć można jak się chce — z góry, u dołu, z boku, przez różowe lub czarne szkła. Rzecz w tym, aby obraz odbity w literackim tekście osiągał maksymalnie możliwą ostrość wyrazu, zbliżał się do prawdy na tyle, na ile Opatrzność zezwoliła nam na takie zbliżanie w określonych przez Siebie parametrach, co w języku różnych fanatyków człowieczych możliwości zwie się także obiektywizmem. Można opisywać socjalizm od strony biur śledczych, można od strony fabryk, można od strony obozów koncentracyjnych, szpitali, czy sztabów rewolucyjnych. Można go także spróbować opisać od strony karykaturalnych salonów socjalizmu i niby-paradoksalnych giełd pseudo-neo-wartości, o co mi właśnie chodziło. A że socjalizm, taki jakim go znamy, zawsze na tym źle wychodzi, to już niczyja, prócz socjalizmu, wina. Literacki wiek XX wypchany jest miażdżąco jednostronnymi opisami demokratycznego kapitalizmu, o co nikt do krytykujących pisarzy nie wnosi pretensji, aczkolwiek osiągnięcia mieszczańskiej demokracji, obok jej klęsk i błędów, też nie należą do najmniejszych i stanowią po dziś dzień o Pańskim i moim bezpieczeństwie i prawie głosu. Domagając się ode mnie spojrzenia całościowego i perspektywicznego pod nieuchronnym kątem aprobaty zabrania mi Pan analizy aspektu, przechodząc tym samym na pozycje krytyka socrealistycznego.

Po czym zgromił mnie Pan surowo, że nie dostrzegłem wielkości idei socjalistycznej, co świadczy nie „o małości socjalizmu tylko o braku perspektyw autora”. I znów ma Pan rację. Istotnie, nie dostrzegłem, chociaż na patrzeniu straciłem ćwierćwiecze i oczy mnie rozboleły od przypatrywania się. Lecz czy nie prościej byłoby ustalić pewne kategorie bez nieostrożnego wartościowania: ja nie jestem socjalistą, nigdy nim nie byłem, przeto zwolniony jestem od konieczności intelektualnej ekstrapolacji. Po cichu, między nami, zwierzę się Panu, że zawsze byłem i pozostałem otwartym przeciwnikiem socjalizmu — takiego czy innego, praktycznego czy teoretycznego, realnego czy wymaginowanego. Obawiam się jednak, że to w niczym nie umniejsza ani mnie, ani moich perspektyw.

Z zasady unikam frontalnych dyskusji o wielkich, zaawansowanych w rozwoju ideologiach naszej kompleksowej ery. Ich ponad-racjonalna spoistość sprawia, że nawet najinteligentniejsi dyskutanci popadają w parodystyczne uproszczenia. Byłem niedawno na prywatnym spotkaniu z Milovanem Džilasem w Nowym Jorku; jeden z obecnych spytał go naiwnie dlaczego został marksistą. Byłem pewien, że Džilas odpowie kalamburem, skrótem, żłośliwym unikiem w rodzaju, że również nie wie dlaczego ma śniadą cerę. Tymczasem Jugosłowianin zabrał się do żmudnego wyjaśniania w stylu: „Już w wieku piętnastu lat...” Zabrzmiało to żałością i prymitywnie i nie wyjaśniało niczego, zwłaszcza w świetle dojrzałych jego dywagacji na temat socjo-moralnych wyższości późnego kapitalizmu nad wczesnym socjalizmem. Stąd nie wiem zbyt dobrze dlaczego, czytając Pana, naszała mnie chęć aby spytać: „A cóż to właściwie jest ta idea socjalistyczna?”, o której pisze Pan z takim oddaniem, którą przyjmować trzeba jak komunę, choć w perspektywie, a nad której całościowym efektem zastanawiałem się po raz pierwszy głęboko, choć pewnie nieudolnie, 30 lat temu. W międzyczasie doszedłem jednak do pewnych wniosków.

Korektury życia zawsze możemy nazwać wulgarnym empiryzmem bez faktycznego znaczenia dla właściwości czystych idei, niemniej trudno jest je wyłączyć kompletnie z procesu formowania się naszej wiedzy o ideach, o ich założeniach, jak i o ich perspektywach. Cóż może wskazać socjalizm, poczynając od fundamentów ideowych, co w ogólnoludzkim i moralnie pozytywnym znaczeniu byłoby tylko *jego własne*, a nie projekcją, bądź przedłużeniem, innych światopoglądów, religii, ideologii? Łagodniej mówiąc: czego z zakresu najwyższych wartości etycznego nakazu nie dzieli on z innymi systemami przykazań? Boję się, drogi Panie, że szukając skrzętnie od Tomasza Morusa poprzez Babeufa, Saint-Simona, Proudhona do Marxa, Engelsa i Lenina nie znajdziemy wielu śladów takiej wyłączności. W sferze dokonań i rozstrzygnięć moralnych, dla mnie społecznie najważniejszej, wielkość idei socjalistycznej niewiele ma wspólnego z oryginalnością i monopolem. Stąd ktoś nie dostrzegający tej jedynej i specyficznej wielkości

być może nie zasługuje na potępienie, a tylko na odmienne zaszeregowanie.

Pisze Pan: „Socjalizm jest wspaniałą ideą, której blasku nie przyćmił nawet Stalin i jego kaźnie”. Mnie się wydaje, że jednak przyćmił. Postawił przed ludzkością podstawowe pytanie: dlaczego było to możliwe „w” i „w imię”? Tym samym podmył nieco platońskie podejście do idei socjalizmu. Liberalizm tak zwanej *Judeo-Christian Civilization* ma na swym sumieniu listę grzechów, wśród których przewrotność, hipokryzja i obojętność na krzywdę są najłagodniejsze, nigdy jednak nie zrodził w swej burzliwej i udręczonej historii ani przesłanek ani faktów o tak monstrualnej dźwigni psycho-fizycznej jak socjalizm. Jest w socjalizmie, poszukiwanym, odczuwanym i przeżywanym, jakaś tragedia monizmu, która każe mi wierzyć, że nigdy ludziom w nim nie będzie dobrze, a nawet znośnie, czego już się wytłumaczyć nie da nawet ułomnością natury ludzkiej. Cała plejada literackich wrogów mieszczańskiego liberalizmu pastwi się nad nim od stulecia nie troszcząc się nigdy ani przez chwilę o jego perspektywy; a przecież w przejrzyistości i blasku tychże perspektyw, w żarzących się jeszcze węglach Deklaracji Praw Człowieka i Johna Stuarta Milla grzejemy się ciągle, Pan i ja.

Trzeba być ślepym, aby oceniając socjalizm z pozycji już spełnionej przezeń roli w historii, nie przyznać mu także licznych zasług kulturotwórczych i cywilizacyjnych. Wszędzie tam, gdzie nie doszedł do politycznej hegemonii, wywołał pożyteczne społecznie reakcje i skutki. Po to jednak niekoniecznie trzeba być socjalistą, ani koniecznie widzieć socjalizm w kalejdoskopach nie wyczerpanych *jeszcze* możliwości, które mają lub muszą być *a priori* „wielkie”. Napisał Pan, że „tak na Wschodzie jak i na Zachodzie są ludzie, którzy odważnie głoszą nieskażone posłanie socjalizmu”. Też jestem pod urokiem dialektycznej jazdy figurowej Leszka Kołakowskiego, ale mu nie wierzę. Współczuję Kuroniowi i Modzelewskiemu, wysoko cenię ich pryncypialną godność i odwagę poszukiwaczy, ale nie chciałbym żyć w ICH socjalizmie i nie sądzę, ażeby udał on im się kiedykolwiek dużo lepiej, niż innym. A już bezzębna zgryźliwość umysłowa Marcuse’a, bezmyślna hiperpobudliwość Franza Fanona, wykrztuśna retoryka i arogancki idealizm Cohn-Benditów i amerykańskiej *New Left*, zrodzony z najgorszych tradycji inteligenckiej *Besserwissertum*, nie wydają mi się zachęcającym „posłaniem”, za którym mógłbym pośpieszyć w celu rozszerzania moich perspektyw. Pisze Pan, że „nigdy nie będzie doskonałego społeczeństwa socjalistycznego” bowiem ideał socjalizmu — równie jak doskonałe chrześcijaństwo — przerasta możliwości ludzkie. Zgadzam się z tym bez reszty, dodać tylko pragnę, że jest w socjalizmie jakaś immanentna możliwość naruszania i nadużycia pierwiastkowego humanizmu, z którą najświatlejsi i najlepsi socjaliści szamoczą się bezskutecznie od stulecia, a która mnie każe instynktownie go nie lubić.

Natomiast jedno z Pańskich stwierdzeń wzbudza we mnie dość uparty sprzeciw. Napisał Pan: „Przykład Czechosłowacji wy-

kazał, że nawet makabryczna karykatura socjalizmu jaką jest stalinizm — nie tylko nie odwraca ludzi od socjalizmu lecz przeciwnie pogłębia tęsknotę za prawdziwym socjalizmem". Otóż nie pogłębia. Z punktu widzenia norm ogólnoludzkich inwazja Czechosłowacji jest ponurym aktem politycznego bandytyzmu. Z pozycji rozeznania nieuchronnych skutków totalniacka bigoteria Breżniewa jest nie bez uzasadnień. Zdolności dezintegracyjne socjalizmu są oszałamiające. Każdy kto przeżył wstęp do Października w Polsce wie, że gdyby nie geografia to niewiele pozostałoby z socjalizmu poza sentymentalnymi akcesoriami w ekonomii, muzeach i podręcznikach szkolnych, oraz przynależnością do Paktu Warszawskiego, której celowości nikt nie poddawałby w wątpliwość. „Tęsknota za prawdziwym socjalizmem” jest aktualnie, we Wschodniej Europie, zupełnie naturalnym produktem powszechnie zaakceptowanej *lip-service*, czyli taktycznie nieodzownych deklaracji, a także autentycznie szczerych spekulacji doktrynalnych garści reformatorskich intelektualistów. W żadnej jednak mierze nie jest dyrektywą mas, o czym wydaje mi się, miałem więcej sposobów przekonania się, niż Pan. Masy ludzkie *tam*, mając do wyboru między socjalizmem, jakim go znamy, a nieustająco ewoluującym, elastycznie zaspakajającym ich potrzeby, a nawet psychologiczne kaprysy, demokratycznym kapitalizmem, optują bezwzględnie za tym ostatnim. Po obu stronach Wielkiego Rowu.

Nie ma zaś innego socjalizmu poza tym, który znamy. Wszystko inne jest raz jeszcze teorią i przyrzeczeniem. Zaś do przewidywań każdy z nas ma inny stosunek. Pan mówi z zachwytem o idei socjalizmu, czyli o ewentualnym socjalizmie jakiego nie znamy, karcąc mnie za napisanie książki o socjalizmie, który znam. Swoją wiarę — a może łatwowierność, lub niedomyślenie? — nazywa Pan dostrzeżeniem wielkości idei i jej perspektyw, moje sprawozdanie, którego Pan nie podważa, nazywa Pan perspektywy brakiem. Dość znany film Alain Resnais'a „La guerre est finie” oglądałem kiedyś na pokazie, po którym odbyła się dyskusja z udziałem nowojorskiego dystrybutora. Film jest kompilacją stanów psychicznych, uczuciowych i konkretnych faktów z życia lekko starzejącego się, hiszpańskiego rewolucjonisty-emigranta w Paryżu. Gra go Yves Montand. Z punktu widzenia norm etycznych i psychologicznych, gustów, upodobań, skłonności, tęsknot i snobizmów nowej światowej lewicy, Montand stanowi jej wzór, ideał i apoteozę: jest przystojny, doskonale ubrany, zmęczony (walczył z faszyzmem), sfrustrowany (nie pokonał go), zgorzkniały, pogardliwy, ma dwa stosunki płciowe z dwiema różnymi paniami w ciągu dwóch godzin filmu, nade wszystko zaś nie przestaje uprawiać politycznej subwersji przeciw Franco, co jest równie podniecające jak cnotliwe. Spytałem prowadzącego dyskusję, czy reżyser zastanowił się nad tym, kim zostanie bohater po zwycięstwie swego obozu. Odpowiedział mi: „Nie rozumiem pytania...” Oczywiście, nie rozumiał, bo niby skąd miał wiedzieć, na przykład, o procencie uczestników wojny hiszpańskiej w polskim

UB. Dodałem, że moim zdaniem, prawdopodobnie zostanie oficerem policji politycznej, czyli dławicielem wolności, czyli, że będzie gonił, badał i ewentualnie torturował tych, którzy go gonią teraz, a może też i wielu innych. Zewsząd ogarnęły mnie spojrzenia pełne irytacji i niesmaku. Wykazałem fatalny brak perspektywy.

Z poważaniem,

Leopold TYRMAND



Melbourne, 17 listopada 1968 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Brak jednego cudzysłowu, a ileż zmian w sensie! W numerze listopadowym p. Korson podał, że w październiku powstało „Towarzystwo Przyjaciół Kultury”. A tymczasem założyliśmy Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej „Kultury”, czyli Pańskiego pisma. Choć nie wszyscy z naszego grona zgadzają się ze wszystkim co się w „Kulturze” ukazuje, lub co i jak tam jest komentowane, niemniej uważamy, iż „Kultura” reprezentuje na Emigracji jedyną realną i wskazaną akcję polityczną (i wydawniczą!), oraz ma pierwszorzędny wkład do kultury narodowej i jej obrony — dlatego też chcemy pomóc „Kulturze”.

Jak? Nie tylko przez sprzedaż znaczków (co nas zresztą mało zachwyca, bo tak już jest na Emigracji, że kto odczuwa potrzebę kultury czy rozumie „Kulturę”, ten nie ma pieniędzy i na odwrót), ale i przez zdobywanie nowych prenumeratorów dla pisma i „Zeszytów Historycznych”, przez urządzenie imprez (zorganizowaliśmy „Lampkę wina” z Henrykiem Szeryngiem, gdy tu koncertował odnosząc triumfy) i przez dyskusje nad ciekawszymi artykułami czy inicjatywami (aby Redakcja mogła mieć jak najwięcej ech i głosów z terenu, co powinno chyba pomóc w redagowaniu pisma). Chcemy również wprowadzić wśród nas zwyczaj, by podobnie jak na barmywach u Żydów zbiera się na Izrael, u nas zbierano na weselach i imieninach na „Kulturę”.

Równocześnie przesyłamy ciut ponad 200 dolarów australijskich (mocniejszych zresztą od amerykańskich) uzyskanych ze sprzedaży znaczków i z imprezy, oraz dalsze dwie prenumeraty (poprzednio 5). Zaprzyjaźnionej firmie konkurencyjnej, londyńskim „Wiadomościom” też zdobyliśmy kilka prenumerat.

Zamiast wysyłać na Boże Narodzenie miłe, kłopotliwe, kosztowne i w sumie bezużyteczne kartki z życzeniami, znów zbierzemy parę groszy na wspomniany cel. Wierzymy, że podobne koła Przyjaciół „Kultury” (nie mające zresztą być nowymi, jeszcze jednymi organizacjami, a raczej tylko gronami ludzi dobrej woli) powstaną i w innych ośrodkach i będą się cieszyć poparciem miejscowej prasy polskiej, jak my melbournieńskiego „Tygodnika Polskiego”.

Z poważaniem,

Andrzej CHCIUK



Boston, 23 listopada 1968 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze czerwcowym-lipcowym oraz w specjalnym numerze czechosłowackim ogłosiła *Kultura* dwa apele o zbiórkę funduszków na dalszą akcję wydawniczą. Instytut Literacki ma w tej dziedzinie ogromne osiągnięcia. Zostaną one niewątpliwie odpowiednio ocenione przez przyszłego Gadona

naszej emigracji. Nie o tej akcji chciałem jednak mówić. Pragnę zwrócić uwagę na polityczne akcenty obu apelów. W numerze z czerwca-lipca czytamy, że Redakcja *Kultury* pragnie „stymulować procesy zachodzące w Kraju”, oraz „być katalizatorem... i skupiskiem sił gotowych do działania”.

Apel ten wskazuje, że zespół *Kultury* pragnie odgrywać czynną rolę w procesach politycznych, przebiegających w Kraju. Czy zespół *Kultury* ma po temu odpowiednie kwalifikacje? Warunkiem akcji politycznej jest przecież współuczestnictwo ryzyka i współodpowiedzialność za rezultaty. Czy zespół *Kultury* warunki te spełnia? I czy zdaje sobie należycie sprawę ze stawki, o którą szło i ciągle jeszcze chodzi?

W tymże samym numerze czytamy, że demonstracje marcowe studentów doprowadziły do sytuacji wręcz rewolucyjnej:

„Jest już pewne ponad wszelką wątpliwość, że gdyby ich akcja nie wygasła była zbyt wcześnie, ogarnęłaby w końcu robotników i doprowadziłaby (jak w Czechosłowacji) do przełomu w partii”.

Zgadzam się z pierwszą częścią tego stwierdzenia, odrzucam jednak wnioski, które z niego zespół *Kultury* wyciąga. Do „przełomu w partii” Moskwa nigdy by nie dopuściła, bo „kierownicza rola partii” w państwach wasalnych jest jednym z kanonów polityki sowieckiej. Zagrożenie tej roli w Czechosłowacji było właśnie jednym z powodów interwencji sierpniowej. W państwach wasalnych typu sowieckiego odwilż ma ściśle określone granice.

W końcu października br. rozmawiałem z wiedeńskim korespondentem radia zachodnioniemieckiego, Hans Jakob Stehle. Jest on m.in. autorem nader dla Polski przychylniej książki „Nachbar Polen”. W sierpniu, z okazji przyjęcia wydanego przez Dubczeka dla Marszałka Tito na Hradczanach, rozmawiał on z szeregiem dygnitarzy sowieckich, m.in. z ambasadorem w Pradze. Gdy Stehle zauważył, że sytuacja w Czechosłowacji wydaje się być napięta, sowiecki dyplomata zgodził się całkowicie. Dodał jednak, że uważa sytuację w Polsce za o wiele groźniejszą, o krok od wybuchu. Ocena ta pokrywa się z tym, co usłyszałem od grupy historyków polskich, których spotkałem parę dni przed rozmową z dziennikarzem niemieckim, na międzynarodowym kongresie z okazji pięćdziesięciolecia upadku monarchii habsburskiej. N.b. Stehle dodał, że na szczęście Polska zatrzymała się o krok od przepaści, bo jeden fałszywy krok mógłby spowodować, że interwencja sowiecka mogłaby się skierować na Polskę, a nie na Czechosłowację (tak jak w październiku 1956 roku skierowała się na Węgry, Polskę wówczas oszczędzając).

Czy Polska miałaaby raz jeszcze odegrać rolę „Winkelryda Narodów”? Tak więc, wydaje się, że „kompleks budapesztański”, nad którym *Kultura* tak w czerwcu-lipcu biadała, okazał się jednak zahamowaniem zbawiennym.

W tymże samym apelu czytamy o „detonatorze” czechosłowackim. Detonatory, jak wiadomo, służą do powodowania wybuchów. O jakie wybuchy chodziło zespołowi *Kultury*? Skąd taka rewolucyjna frazeologia w organie propagatorów ewolucjonizmu, skąd wyrzeczenie się tak długo i uporczywie głoszonej teorii? List ten piszę nie jako przeciwnik ewolucjonizmu, ale właśnie jako jego zwolennik, stając w obronie tej w zasadzie słusznej tezy. Od roku 1956 przynajmniej jasnym się stało, że Rosja krok za krokiem traci panowanie nad Europą Środkowo-Wschodnią. Jedynie jakieś tragiczne, nieprzemyślane pociągnięcia, nieobliczalne wysoki ze strony albo Zachodu albo mieszkańców tego obszaru, mogłyby uratować sowieckie panowanie.

W październikowym numerze *Kultury* ukazał się drugi apel do czytelników, w którym czytamy:

„Powtarzana często przez *Kulturę* diagnoza polityczna okazała się na przykładzie Czechosłowacji tragicznie ścisła...”

Wiele czytałem w *Kulturze* ocen trafnych, ale na pewno nie należy do nich ocena kryzysu czechosłowackiego. Wystarczy przejrzeć odpowiednie numery pisma, aby stwierdzić, że *Kultura* została porwana przez pęd bezkrytycz-

nego podziwu nie tylko dla *istoty*, ale także *tempa* eksperymentu przebiegającego w tym kraju. A przecież to właśnie o *tempo* w tym wypadku chodziło! Wszyscy przyjaciele Czechosłowacji (a do takich zaliczam się, choćby z tytułu przeszło 30 lat współpracy ze wszystkimi możliwymi klubami i związkami pracującymi nad zbliżeniem między obu narodami) cieszyli się z *istoty* zachodzących tam procesów i mieli nadzieję, że prędzej czy później, drogą politycznej osmozy przenikną one do innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Ale czy istotnie można powiedzieć, że *tempo* obrane przez Dubczeka było w obecnych warunkach najwłaściwsze? Czy nie dał on, przypadkiem, licznych pretekstów do interwencji? Czy np. stworzenie stacji radiowej nadającej w języku ukraińskim audycje na Ukrainę sowiecką, czy zapraszanie stamtąd licznych delegacji dla zapoznania ich z czechosłowackimi osiągnięciami w dziedzinie liberalizacji i demokratyzacji, były istotnie posunięciami najlepiej zabezpieczającymi powodzenie i trwałość rodzimego eksperymentu? Przecież sami Czesi mają na ten temat poważne wątpliwości.

W specjalnym numerze czechosłowackim z listopada br., w rozsądnym pod wielu względami (szczególnie w zakończeniu) artykule, Mieroszewski pisze m.in.:

„Podwójna hegemonia opiera się na systemie jałtańskim, który przewiduje nietykalne sfery wpływów. Gdyby Rosjanie zrównali Pragę z ziemią — Waszyngton ograniczyłby się do słów ubolewania”.

Pozwalam sobie dodać, że to samo byłoby z Warszawą, a niewiele brakowało do tego, aby Polacy „stymulowani” przez swą emigrację, raz jeszcze dali po temu okazję. Stwierdzenie Mieroszewskiego przypomina jedną kardynalną prawdę: że wypadki w Europie Środkowo-Wschodniej rozgrywają się w ramach sztywnego, przemożnego układu sił, stworzonego u schyłku Drugiej Wojny Światowej. Tylko przemiany na najwyższym szczeblu światowym mogłyby doprowadzić do zmiany tego układu. Jeżeli chcemy działać skutecznie, bez prowokowania nowych Budapesztów, musimy działać ostrożnie, stopniowo, tzn. w ramach istniejącego układu i z liczeniem się z naszymi możliwościami oraz reakcjami sił dyktujących trwałość układu. To było, moim zdaniem, przesłanką linii propagowanej dotychczas tak konsekwentnie i często tak wymownie przez zespół *Kultury*. Jestem zdziwiony, że głosząc tę linię przez szereg lat zespół ten dał się nagle ponieść nastrojom chwili i linii tej się sprzeniewierzył.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy mego poważania.

M. K. DZIEWANOWSKI

Profesor Historii Uniwersytetu w Bostonie.

1. *Kultura nigdy nie ukrywała że jest nie tylko miesięcznikiem i domem wydawniczym, lecz również ośrodkiem politycznym; a skoro nim jest, to trudno się chyba dziwić że „pragnie odgrywać czynną rolę w procesach politycznych zachodzących w kraju”. Nie wiadomo co należy rozumieć przez „odpowiednie kwalifikacje”, o których pisze autor listu. Kto i jak ma decydować o posiadaniu (lub nie posiadaniu) takich „odpowiednich kwalifikacji”? Kwalifikacjami emigrantów politycznych są ich dorobek, działalność i rezonans w kraju. Zespoły polityczne, które takich naturalnych kwalifikacji nie posiadają, przestają po prostu po pewnym czasie istnieć, albo cokolwiek znaczyć. Waga i zasięg Kultury chyba rosną (po przeszło dwudziestu latach istnienia), co zdaje się dowodzić że nie grozi jej naturalna dyskwalifikacja. Demagogiczny jest argument o „współuczestnictwie ryzyka” i „współodpowiedzialności za rezultaty”. Wszyscy działający emigranci polityczni są i byli zawsze współodpowiedzialni za rezultaty swojej działalności politycznej, a na*

obczyźnie znajdują się nie dlatego że chcą uniknąć uczestnictwa w ryzyku lecz dlatego że w wielu wypadkach mogą działać lepiej i skuteczniej poza zasięgiem rodzimych policji.

2. Cokolwiek się powie o „kanonach polityki sowieckiej w państwach wasalnych”, przełom w partii jest możliwy. Nastąpił on w Czechosłowacji i trwa nadal mimo inwazji sierpniowej. Polecamy uwadze autora listu bardzo ciekawe oświadczenie Sartre'a, złożone w Pradze 2 grudnia ub.r.: „Podkreśla się zbytnio aspekty negatywne obecnej sytuacji w Czechosłowacji, nie uwypatniając dostatecznie znacznej siły nowopowstałego sojuszu między robotnikami i inteligencją... Kto uważa Czechosłowaków za pokonanych, ryzykuje pomyłkę”. Kanony kanonami, ale (jak słusznie powiada Sartre) „są granice których przywódcy sowieccy nie mogą przekroczyć”.

3. „Przemiany na najwyższym szczeblu światowym” nie zajdą samoczynnie, trzeba je wymuszać walką i oporem. Polityka łagodnej perswazji wobec rządzących, przy nawoływaniu rządzonych do spokoju i cierpliwości, jest wbrew pozorom nierealistyczna. Trudność ewolucjonizmu w Polsce polega dzisiaj na tym, że jego ewentualnych adresatów odsunięto od wszelkich wpływów. Zmieniła się radykalnie sytuacja w Polsce, co siłą rzeczy nie mogło się nie odbić na linii politycznej Kultury.



Londyn, 20 grudnia 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

Korespondent londyńskiego *Observer'a* Neal Ascherson, często odwiedzający Polskę i bystro na ogół komentujący jej życie, zwrócił ostatnio uwagę w obszernym artykule pt. „Strange new terror grips Poland” (w nrze z dn. 15 grudnia 1968), na powszechną „aluzyjność”, z jaką o wszystkim dziś mówi się w Polsce. Niczego — o ile idzie o najnowszą historię — nie wolno nazywać po imieniu, żadnego pytania z tej dziedziny otwarcie stawiać nie wolno. Do tych pytań zaliczył Ascherson następujące: „Whether Russia has a right to the city of Lwow”.

Tak się złożyło, że w tym samym dniu przeczytałem w grudniowej *Kulturze* uwagi „Londyńczyka” „o emigracyjnym patriotyzmie”, a w nich zwrot: „... po długim i niełatwym namyśle doszedłem do wniosku, że musimy zrezygnować ze Lwowa”. Jeśli dobrze sobie przypominam, nie jest to pierwsza w tej sprawie deklaracja „Londyńczyka” w *Kulturze* i jeśli się nie mylę, jedna z poprzednich składana była nie tylko w jego, ale i „zespołu *Kultury*” imieniu.

Pragnę się zwrócić z uprzejmą prośbą do 67 osób, które w grudniowym numerze uiszczyły wpłatę na fundusz *Kultury*, aby zechciały wypowiedzieć swoją opinię: czy podzielały pogląd „Londyńczyka”? M.in. radbym usłyszeć opinię mego starego i dobrego znajomego ze Lwowa, wybitnego pisarza i autora książki pt. „Mój Lwów” — Józefa Wittlina.

Sądzę, że rezultat takiej mini-ankiety (także jej przemilczenie) mógłby być interesujący. Nie wątpię też, że znany liberalizm Pana Redaktora i Jego pisma przychyli się do spełnienia mojej prośby.

Łączę wyrazy poważania,

Stefan MĘKARSKI

Ocenę listu p. Męcarskiego — jego treści i intencji — pozostawiamy Czytelnikom (Redakcja).

Cooma North, Australia, 12 grudnia 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z zeszytem specjalnym „Kultury” poświęconym wydarzeniom w Czechosłowacji, czy wolno mi dodać, jako wolnemu człowiekowi żyjącemu w wolnym państwie i piszącemu ten list do redakcji wolnego pisma — że są podstawy do przypuszczenia iż mocno nie pragmatyczna i niepolityczna postawa po stronie czeskiej oraz racja stanu i prestiż mocarstwowy po stronie rosyjskiej, być może nie pozostawiły Rosji innej alternatywy niż na pewno niechętna interwencja zbrojna. Fakt, że Czesi są stroną pokrzywdzoną nie tu, niestety, nie znaczy. „*Right or wrong, you don't twist the lion's tail with impunity*”, jak głosili Anglicy w starych, dobrych, imperialnych czasach. To powiedzenie stosuje się nie tylko do lwa, lecz także do niedźwiedzia, czerwonego czy brunatnego. W czasie ostatniej wojny europejskiej niewątpliwie pamiętały o tym Szwajcaria i Szwecja, bo tak nakazywała im racja stanu. Ciekawe, dlaczego wołał o tym zapomnieć towarzysz Dubczek, człowiek przecież nie głupi, który ukończył z odznaczeniem specjalny wydział dla kierowników partii na wyższej szkole politycznej w Moskwie.

W polityce nie ma miejsca na sentymenty. Tak samo nie miała innej alternatywy Ameryka, gdy interweniowała zbrojnie w Gwatemali, w Libanie, w Wietnamie — i gdy nie interweniowała na Węgrzech.

Nawiasem mówiąc, zachodnia fala oportunistycznego zachwyty dla Dubczeka była, i jest, raczej niedźwiedzia przysługą.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Adam NASIELSKI



Montreal, dn. 14 listopada 1968 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z pięknym artykułem Pawła Hostowca „Wspomnienie o przyjacielu”, poświęconym pamięci Jewhena Małaniuka, zamieszczonym w nrze 4/246 *Kultury*, pragnąłbym poprawić nieścisłość którą w nim znajduję. Najprawdopodobniej, pamięć zawiodła Hostowca jeśli chodzi o stosunki na sowieckiej Białorusi w latach przed drugą wojną światową.

Czerwiakow, który pełnił na Białorusi te same funkcje co Kalinin we władzach centralnych, w tym czasie — „prezydent” Białorusi — tzn. w latach 1935-37, w czasie mego pobytu w ZSSR, i przedtem, nie popełnił samobójstwa w r. 1936, jak pisze Hostowiec.

Czerwiakow został zamordowany w NKWD mińskim w drugiej połowie roku 1937. Oskarżony o „prawicowy układ nacjonalistyczny” i szpiegostwo na rzecz Polski. Aresztowany w następstwie „wielkiej czystki” po procesie i wykonaniu wyroku na Tuchaczewskim, a zatem po 12 czerwca 1937 roku.

NKWD rozpuściło natomiast wiadomość że ówczesny przewodniczący rady komisarzy BSSR Gołodied — „premier” BSSR — aresztowany równocześnie z Czerwiakowem, i oskarżony o „faszyzm” i szpiegostwo na rzecz „Białopolków”, popełnił samobójstwo wyskakując z okna czwartego piętra budynku NKWD w Mińsku.

Jednakowoż, jak doszły nas wiadomości niebudzące wątpliwości, funkcjo-

nariusze NKWD zrobili złą robotę organizując „samobójstwo” Gołodieda. A mianowicie miał on „wyskoczyć” mając ciasno związane ręce i nogi. Tak go znaleziono. Jednym słowem: *casus* Masaryka *avant la lettre*. W następstwie, nastąpiło aresztowanie funkcjonariuszy NKWD którzy „dopuszcili” do samobójstwa przez brak nadzoru.

Łączę wyrazy poważania,

Jerzy PIOTROWSKI



15 listopada 1968 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W październikowym numerze „Kultury” przeczytałam wypracowany artykuł p. Danuty Mostwin pod tytułem: „Czarny ogień”. Na stronie 27-ej p. Mostwin pisze: „Tak, jak wśród białych tak samo i wśród Murzynów rozpiętości klasowe i kulturalne są ogromne. Znałam białych pastorów, którzy swoją pracę misyjną traktowali jako *part time* i białych Świadków Jehowy, którzy pozwolili umrzeć własnemu dziecku, aby tylko nie dopuścić do niego lekarza”.

Jak wzmianka o białych Świadkach Jehowy wiąże się z tematem — nie bardzo rozumiem. Czy aby się wiąże? Bo niby co mają wspólnego biali Świadkowie Jehowy z dolą Murzynów w U.S.A.? Prawda, że nie ma pośród Świadków Jehowy dyskryminacji rasowych, ale o tym wzmianki w artykule brak. Czy może autorka artykułu chciała osiągnąć jakiś inny cel swoim bardzo stanowczym i pewnym stwierdzeniem, malującym życie Świadków jako egzystencję na najniższym kulturalnym dnie? Z żyjących stworzeń tylko rodzaj *sus rustica* zabija i pożera swoje własne potomstwo. Nie słyszałam, żeby to robili normalni ludzie, tym bardziej Świadkowie Jehowy, którzy nie tylko głoszą biblijne zasady Chrystusowego królestwa, ale przede wszystkim zasady te stosują w swoim życiu, w tym także na odcinku własnej rodziny.

Dlatego chciałabym na tej drodze zapytać p. Mostwin czy znała osobiście owych Świadków Jehowy, którzy, nie dopuszczając do własnego dziecka lekarza, pozwolili temu dziecku umrzeć? Czy też znała tych ludzi tylko ze słyszenia lub z relacji usługujących sąsiadów, czy może z informacji jakiejś lokalnej amerykańskiej gazeciny, z zasady nie grzeszącej nadmiarem ścisłości? Czy wreszcie p. Mostwin rozmawiała kiedykolwiek osobiście z jakimikolwiek Świadkami Jehowy na temat rzekomego unikania przez nich usług lekarskich?

Z oświadczenia p. Mostwin wynikałoby, że lekarz i Świadek Jehowy to dwaj groźni wrogowie, których wzajemne zetknięcie prowadzi do nieuniknionej śmierci jednej ze stron. Dziwnym zbiegiem okoliczności jestem nie tylko odbiorcą „Kultury”, ale także właśnie Świadkiem Jehowy i jednocześnie praktykującym lekarzem! Byłoby sprawą bardzo zasadniczą i jednocześnie pożyteczną, gdyby p. Mostwin do zamieszczonej na końcu swego artykułu bibliografii dołożyła pozycję pod tytułem „Biblia Tysiąclecia” (wydawnictwo Pallotinum, Poznań 1965), w której od Genesis do Apokalipsy jest mowa o świadkach Jehowy (Jahwe) i o ich roli w przededniu wielkiej na ziemi metamorfozy, która z ręki Stwórcy zaskoczy p. Mostwin i jej współczesne pokolenie.

Polecam także książkę pt. „Let God be true” w wydaniu Watchtower Bible & Tract Society, Inc., 117 Adams St., Brooklyn, N.Y., 11201, U.S.A., ze specjalnym uwzględnieniem rozdziału — „Who are Jehovah’s Witnesses?”, a także dziełko w opracowaniu Marley Cole pt. „Jehovah’s Witnesses — The

New World Society" w wydaniu George Allen & Unwin Ltd., Ruskin House Museum Street, London, England. Służę wreszcie swoją skromną osobą także — adres znany Redakcji „Kultury”.

W ten sposób p. Mostwin uniknie na przyszłość paradoksalnych nieścisłości, które na pewno nie wzbudzają zaufania do reszty poruszanych przez nią zagadnień, opracowanych z niemałym nakładem czasu, wysiłku i energii.

Łączę wyrazy poważania,

Dr Irena ZIEMBIŃSKA
U.S.A.

RANDOLPH I WINSTON CHURCHILL

Wojna Sześciodniowa

w języku polskim

Najlepsza i najgłośniejsza książka o podłożu i przebiegu wojny izraelsko-arabskiej z czerwca 1967 roku.

Cena wraz z portem — dol. 2,25

Zamówienia prosimy kierować:

Publisher FREUND c/o POB 4392
Tel Aviv Israel

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} Trimestre 1969

PEŁNY WYKAZ WYDAWNICTW

«BIBLIOTEKI KULTURY»

1. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk i Ślub* (wyczerpane)
2. George ORWELL 1984 (wyczerpane)
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł* (wyczerpane)
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne* (Poezje) (wyczerpane)
6. Czesław STRASZEWICZ *Turyści z bocianich gniazd* (wyczerpane)
7. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane)
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy* (wyczerpane)
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy* (wyczerpane)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy* (wyczerpane)
13. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Kremla...* (wyczerpane)
14. Raymond ARON *Koniec wieku ideologii* (wyczerpane)
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc* (Opowiadania) (wyczerpane)
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórką* (Francja 1940-1944), 2 tomy
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych* (wyczerpane)
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne* (Mechanizm demokracji) (wyczerpane)
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)
26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
27. Milovan ĐILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy* (wyczerpane)

28. Marek HŁASKO *Cmentarze. Następny do raju* (wyczerpane)
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty* (wyczerpane)
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
(wyczerpane)
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi* (wyczerpane)
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany* (wyczerpane)
35. James BURNHAM *Rewolucja manadżerska* (wyczerpane)
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriliane widrodiennia* (Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI .. *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński* Św. Hordyńskiego (wyczerpane)
39. Tadeusz NOWAKOWSKI *Syn zadżumionych* (wyczerpane)
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii*
(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 6)
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy* (wyczerpane)
43. Jan KOWALIK „Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago* (Wyd. 3-cie) (wyczerpane)
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej* (wyczerpane)
46. Abram TERC *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?* (wyczerpane)
47. Tibor DERY *Niki* (wyczerpane)
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 7) (wyczerpane)
49. Wacław IWANIUK *Milczenia 1949-1959* (Poezje) (wyczerpane)
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa* (wyczerpane)
51. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-
CHMIELOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia* (wyczerpane)
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi* (wyczerpane)
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-*
dziackiej
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska*

- Róża Luksemburg *Revolucja Rosyjska* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 9) (wyczerpane)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej* (wyczerpane)
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 10) (wyczerpane)
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczесkie Powieści* (wyczerpane)
71. I. IWANOW *Jest' li ziżń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I.*
73. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy)
74. Adam CZERNIAWSKI . *Topografia wnętrza* (Poezje) (wyczerpane)
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze* (wyczerpane)
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi* (wyczerpane)
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosza do Stawka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze* (wyczerpane)
80. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi) (wyczerpane)
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
82. Milovan ĐŽILAS *Rozmowy ze Stalinem* (wyczerpane)
83. Jerzy MOND *6 lat temu...* (Kulisy Polskiego Października) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty) (wyczerpane)
84. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci)
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania* (wyczerpane)
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia (wyczerpane)
89. Witold JEDLIICKI *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 12-ty)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC *Lubimow* (wyczerpane)
92. — *We własnych oczach.* Antologia współczesnej literatury sowieckiej
93. Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI *Drugie przyjsćie oraz inne opowiadania i szkice*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyżnie 1939-1962*
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
96. Marek HŁASKO *Brudne czyny. Wszyscy byli odwróćeni* (wyczerpane)
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje) (wyczerpane)

98. Bogdan CZAYKOWSKI . *Spór z granicami* (Poezje) (wyczerpane)
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia*. Tom I/III
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
101. Jan BIELATOWICZ *Gaude Mater Polonia* (wyczerpane)
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 13-ty) (wyczerpane)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm* (wyczerpane)
107. Abram TERC *Mysli niespodziewane* (wyczerpane)
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-my)
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat* (wyczerpane)
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos* (wyczerpane)
113. Borys LEWICKIJ *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Cucio zaczarowany* (Poezje) (wyczerpane)
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI. *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-y)
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (wyczerpane)
124. — *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15-ty) (wyczerpane)
125. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty)
128. Marek HŁASKO *Piękni, dwudziestoletni* (wyczerpane)
129. Borys LEWYCKIJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)

131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana* (wyczerpane)
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty) (wyczerpane)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?* (wyczerpane)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*
139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty)
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)
143. Bonifacy MIAŻEK *Ziemia otwarta* (Poezje)
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty)
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry*
149. Galina SIERIEBRIAKOWA *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
150. Swietłana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do Przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
151. Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
152. Leopold TYRMAND *Życie towarzyskie i uczuciowe*
153. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty)
154. Kazimierz WIERZYŃSKI *Czarny Polonez* (Poezje) (wyczerpane)
155. Czesław DOBEK *Drugi rzut i inne opowiadania*
156. Wacław IWANIUK *Ciemny Czas* (Poezje)
157. Leon MITKIEWICZ .. *Z gen. Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-ty).
158. Alicja IWAŃSKA *Świat przetłumaczony*
159. Piotr GUZY *Stan wyjątkowy*
160. Julian KULSKI *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 22-gi).
161. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14-ty)
162. Andrej SACHAROW .. *Rozmyślenia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 23-ci)
163. Jerzy ANDRZEJEWSKI . *Apelacja*
164. Eugenio REALE *Raporty Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 24-ty).
165. Stanisław WYGODZKI . *Zatrzymany do wyjaśnienia*

GRYF-KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

Wyłączne przedstawicielstwo na Wielką Brytanię

KULTURY

i wydawnictw INSTYTUTU LITERACKIEGO (Paryż)

KSIĘGARNIA S.P.K.

- jest zaopatrzona w książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych,
- jest składem głównym (na prawach wyłączności):

GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO
W WIELKIEJ BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,

- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres: 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

U w a g a : *Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.*

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	30.000 F. b.	560.00 F. b
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guira 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can
NIEMCY : St. Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping C*, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N* Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book C* 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12 00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty portu 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56**

Zapowiedzi wydawnicze

W NAJBLIŻSZYM CZASIE UKAŻĄ SIĘ
W BIBLIOTECIE „KULTURY”

WYDARZENIA MARCOWE 1968

Wybór dokumentów
z przedmową prof. Zygmunta Bauman



HENRYK GRYNBERG

ZWYCIĘSTWO

Powieść o losie Żydów w Polsce
w czasie okupacji i w pierwszym okresie powojennym



DOMINIQUE DE ROUX

ROZMOWY Z GOMBROWICZEM



UKRAINA 1966 - 1968

Dokumenty o rosnącym oporze na Ukrainie

Cena 7,50 F